

A tropical beach scene with palm trees in the foreground and a rocky shoreline in the background. The sky is blue with some clouds. The text is overlaid on the image.

LIZA
MARKLUND

FARMIA

PEREŁ

CZARNA OWCA

**LIZA
MARKLUND**

FARMA

PEREŁ

Tłumaczenie: Elżbieta Frątczak-Nowotny

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA
WARSZAWA 2020

Tytuł oryginału: *Pärlfarmen*

Redakcja: Anna Brzezińska

Projekt okładki: KAV Studio Pola Rusiłowicz

Zdjęcie na okładce: © Evgeniia Litovchenko/Shutterstock.com

Korekta: Adam Osiński, Monika Łobodzińska-Pietruś

Copyright © Liza Marklund 2018

Published by agreement with Salomonsson Agency

Copyright © for the Polish translation by Elżbieta Frątczak-Nowotny, 2020

Copyright © Niklas Strömstedt, cytaty na stronach: 110-112, 135, 181, 357, 391, 417-418

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8143-168-2

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5 | DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
00-519 Warszawa | REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
www.czarnaowca.pl | SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

nwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[PROLOG](#)

[MANIHIKI](#)

[RAROTONGA](#)

[LOS ANGELES](#)

[LONDYN](#)

[DAR ES-SALAAM](#)

[HADES](#)

[EPILOG](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

PROLOG

Nikt nie wie, że tu jestem. I nikt się tego nigdy nie dowie.

Utonęłam u wybrzeży Tanzanii siedem i pół miesiąca temu.

Nie, nie piszę tam, z drugiej strony, mimo iż nadal jestem przekonana, że taka istnieje, niezależnie od logiki i wiedzy naukowej. My, ludzie, jesteśmy tak skonstruowani, by wierzyć.

Brakuje mi dzieci. Tęsknota jest niczym fizyczny ból, ciemna dziura w mojej piersi.

Zakładam, że miejsce, w którym przebywam, jest ładne. Wiem, że czasem trudno jest docenić coś, co jest nam dobrze znane.

Samotność sprawia, że staję się boleśnie obojętna na wszystko, na szczęście wiatr dotrzymuje mi towarzystwa, a przez palmy widzę fale. Książki, które wzięłam ze sobą, to – oprócz Biblii – *Filary ziemi* Kena Folletta i *Mniej niż zero* Breta Eastona Ellisa. Czytałam je tyle razy, że w końcu zaczęły mnie denerwować.

Nigdy wcześniej nie pisałam, moja rola zawsze ograniczała się do bycia czytelniczką, jednak ostatnio zaczęłam się obawiać o stan mojego umysłu. Moje ciało może żyć jeszcze dziesiątki lat, ale samotność robi z naszą duszą coś, co sprawia, że zaczynamy wyć do gwiazd.

Wiem, że mnie szukają. I nigdy nie przestaną. To, co zrobiłam, jest nie do naprawienia. Kara śmierci grozi nie tylko mnie, ale też innym: w niebezpieczeństwie jest Papa Tane i Nikau, i Amiria, i jej dzieci, jeśli kiedyś będzie je miała, i oczywiście także Johan i Iva.

Może kiedyś ktoś mnie tu znajdzie, a przynajmniej moje pobielące

szczątki wśród *makatea*.

Oto co się wydarzyło.

MANIHIKI

Kiedy jacht rozbił się o rafy, zaciemnienie trwało już dobre pół roku.

Był koniec sezonu orkanów 1990 roku i właśnie rozpoczęliśmy połów pereł.

Papa Tane wynajął dwóch mężczyzn z Tauhunu, żeby nurkowali razem z nami. Riki i Panako Brownowie byli rodziną Babci Vaine ze strony ojca. Jeszcze przed świtem wypłynęliśmy na lagunę wielkim kanu. W wilgotnym porannym powietrzu wyczuwało się oczekiwanie, mam wrażenie, że bracia Brownowie też je czuli, wszystkie te niezliczone godziny poświęcone naprawom, sprawdzaniu kotwicy, lin i sznurów, pływów, prądów i aparatów tlenowych, by jak najlepiej przygotować się do połowu.

W nocy silnie wiało, wydano ostrzeżenie przed cyklonem, ale atol Manihiki jest położony tak blisko równika, że niemal zawsze wychodziliśmy z takich opresji bez szwanku. Laguna nadal była wzburzona, widoczność nie najlepsza, ale to nikomu nie przeszkadzało. Najważniejsza była magia. Świat pod powierzchnią wydawał się inny, światło przenikało inną rzeczywistość i prowadziło mnie w głębinę.

Zeszliśmy z lampami i koszami. Każdy z nas zbierał od dziesięciu do dwunastu sznurów, na których było mniej więcej pięćset małż, żeby Papa Tane mógł jak najszybciej zacząć je przeglądać. Nasza rodzina nie zabezpieczała małż sieciami, jak to robili inni. Sieci umożliwiały co prawda zachowanie cennych kawałków muszli, ale Papa Tane nie przejmował się tym. Uważał, że dodatkowe sieci niepotrzebnie przedłużają połów.

Mężczyźni wiosłowali, ja siedziałam z przodu. Nie musiałam wiosłować. Małże, ciężkie i błyszczące, były widoczne i z przodu, i z tyłu łodzi. Poczułam, jak żołądek ściska mi się z emocji. Obserwując je z zewnątrz, trudno było powiedzieć, które z nich kryły w sobie *pinctada margaritifera*. Jeśli dopisze nam szczęście, siedemdziesiąt procent muszli będzie zawierało jakąś perłkę. Muszle były niezwykle piękne. W tym momencie nie mogliśmy zrobić nic więcej. Ściągnęłam płetwy i zamknęłam oczy, wystawiając twarz do wiatru, czułam, jak moje przesycone solą ubranie

przywiera do ciała.

Byliśmy już prawie przy brzegu, kiedy na horyzoncie ukazała się tarcza wschodzącego słońca. Nikau, mój brat, pierwszy usłyszał wołania dochodzące od *tua*, rafy.

– Spodziewamy się dzisiaj jakiejś łodzi z Rakahangi? – spytał.

Teraz i my słyszeliśmy wołania. Nie można było rozróżnić poszczególnych słów, słychać było jedynie chór poruszonych głosów. Wszyscy wyciągnęliśmy szyje, jakbyśmy chcieli spojrzeć przez palmy na drugą stronę. Kiedy dotarliśmy do brzegu, nie traciliśmy czasu na wciąganie kanu na brzeg.

– Co się dzieje? – zawołał Nikau w stronę warsztatu.

Papa Tane, który właśnie przygotowywał się do szczepienia małż, co odbywało się przez włożenie fragmentu płaszczka pobranego od innego osobnika, uniósł głowę i spojrzał na nas zdziwiony. Przypomniało mi się, jak Mama Evelyn mówiła niedawno, że ojciec zaczyna mieć kłopoty ze słuchem.

Riki i Panako Brownowie byli już w drodze do kościoła, więc ruszyłam za nimi. Nawet Papa Tane rzucił pracę i zaczął biec za nami. Krzyki przybierały na sile, teraz słychać było już każde słowo.

– Wsiadajcie do łódek, fale zaraz go rozerwą!

Najpierw widziałam tylko fale, spieniona biała woda uderzała o rafę z siłą śmiertcionośnego cyklonu. Byłam zdyszana po biegu. Przyłożyłam dłonie do oczu, by chronić je przed ostrym światłem, i spojrzałam na migoczącą w słońcu wodę, ale niczego nie mogłam dojrzeć.

– To santana o długości dziesięciu metrów – powiedział Tanga, wskazując dłonią na rafę.

I wtedy zobaczyłam łódź.

Była to długa i wąska, oślepiająco biała żaglówka z podartymi żaglami i złamanym masztem. Korpus zaklinował się na rafie z dziobem zwróconym ku lądowi. Wpłynęła prosto na nią i utknęła między koralami. Fale oceanu

uderzały o rufę z coraz większą siłą.

– Pospieszcie się! – zawołał ktoś za nami.

– Gdzie jest funkcjonariusz Everest? Trzeba go tu sprowadzić.

– Korpus zaczyna pękać!

Głosy to przybierały na sile, to cichły. Tanga ponownie przyłożył do oczu swoją wielką lornetkę. Znał się na żaglówkach i marzył o własnej.

– To amerykańska łódź – powiedział, nie odejmując lornetki od oczu. – Jacht jednokadłubowy z kabiną. Nie jakiś szaleńczo drogi, ale szybki. Ma nisko zamocowany bom, co może być problemem.

Kilka mniejszych łódek ruszyło już w stronę wraku jachtu. Na szczęście był wśród nich Kapitan Mareko, jedyny, który nadal miał ropę w baku.

– Nie zdążą – stwierdził stojący obok mnie Nikau.

Patrzyłam na jacht, aż oczy zaczęły mi łzawić od słońca. Tak, Nikau miał chyba rację, łódź była za długa i za wąska, by móc opierać się żywiołowi dłużej niż jeszcze kilka minut. Miałam wrażenie, że wśród wycia oceanu słyszę trzask pękającego włókna szklanego, ale chyba się przesłyszałam.

– Mamy sznury i liny?

– Po co? Już po wszystkim!

– Przynieście je! Szybciej!

Kapitan Mareko i obaj jego synowie zdążyli już dotrzeć do jachtu. Chłopcy wspięli się szybko na kołyszący się pokład, słyszałam, jak coś do siebie krzyczą, ale nie słyszałam co.

– Tam ktoś jest! – zawołał Tanga. – Ktoś leży w kajucie.

Zrobiłam krok w stronę brzegu i znów spojrzałam pod słońce. Synowie kapitana nieśli coś bezkształtnego i pozbawionego kolorów, nie widziałam dokładnie co, ale Tanga zapewne miał rację: to było ciało. Unieśli je nad reling i spuścili do łódki kapitana. Jeden z chłopców wrócił pod pokład, kolejna fala uderzyła o rufę, sprawiając, że jacht przechylił się do przodu. Kapitan krzyknął, do wraku dobiły kolejne łódki, ale kapitał dał znać ręką, że mają się wycofać. Jacht za chwilę się przełamie. Na pokładzie znów

pojawił się chłopak, tym razem z walizką w ręce. Kiedy przeskoczył przez reling i znalazł się w łódce, kapitan natychmiast ruszył do brzegu. Zanim zdążył dopłynąć, biały korpus jachtu rozpadł się. Rozległ się jęk i wrak powoli, ale nieubłagalnie zaczął iść na dno po drugiej stronie rafy.

– Kiona – odezwał się Papa Tane. Podszedł do mnie, a ja nawet go nie zauważyłam. – Idź po Mamę Evelyn.

Odwróciłam się i ruszyłam biegiem do domu. Amiria siedziała przy stole w swoim szkolnym mundurku, ze słuchawkami na głowie. Słuchała jakichś kaset.

– Gdzie jest mama?

Wzruszyła ramionami, kiwając głową w takt muzyki. Przez słuchawki sączyła się melodia, słyszałam słowa piosenki: „W Ameryce nie ma kotów...”.

Pobiegłam do lecznicy. Kiedy wpadłam do środka, mama właśnie porządkowała zapasy.

– Kończy się gaza – powiedziała. – Pojedziesz po południu do Tauhunu i...

Na mój widok puściła trzymane w ręce gaziki.

– Zdarzył się wypadek?

– Jacht zatonął. Na rafie. Jedna osoba została przetransportowana na brzeg.

Mama wróciła szybko do gabinetu.

– Żyje?

– Nie wiem.

Chwyciła stetoskop i ciśnieniomierz i obie ruszyliśmy biegiem na brzeg.

To był mężczyzna. Wynieśli go z łodzi i położyli na plaży. Jedna noga sterczała pod dziwnym kątem, na czole widać było dużą ranę. Wargi miał białe i popękane, skórę na twarzy spaloną słońcem. Mama Evelyn kazała wszystkim odejść, wyjęła stetoskop i pochyliła się nad mężczyzną. Przez chwilę słuchała w skupieniu, po czym zawołała przez ramię:

– Mamy na czym go przenieść?

Ewan Jensen, bratanek Fete, przyniósł deskę surfingową. Była nieco za krótka i nogi mężczyzny wystawały na zewnątrz, ale spełniła swoje zadanie. Czterech mężczyzn ruszyło z rozbitkiem do lecznicy, reszta podążyła za nimi, niczym głośna fala morska.

Położyliśmy go w pokoju numer jeden, po czym Mama Evelyn nakazała wszystkim opuścić lecznicę i wzięła się do pracy. W drzwiach i oknach natychmiast pojawiły się ciekawskie twarze.

– Oczyść ranę na czole, żebyśmy mogła zobaczyć, czy jest głęboka – powiedziała.

Umyłam ręce, wyjęłam jodynę i sterylne gaziki. Najpierw przemyłam skórę wokół rany, a na koniec samo rozcięcie. Połowa czoła była spuchnięta i sina, uderzenie, które spowodowało uraz, musiało być silne, ale sama rana nie była bardzo głęboka.

– Ma pękniętą czaszkę? – spytałam.

– Czy z nosa albo z uszu cieknie przezroczysty płyn?

Poświeciłam latarką w uszy i na twarz.

– Nie – powiedziałam.

Mama Evelyn zajęła się przygotowaniem kroplówki, ale mężczyzna był tak odwodniony, że nie była w stanie się wkłuć. W końcu udało jej się znaleźć żyłę w jego zdrowej nodze i założyć wenflon.

– Taśma chirurgiczna – rzuciła, a ja pobiegłam po taśmę.

Mama Evelyn podłączyła kroplówkę, podeszła do wezglowia łóżka, wzięła latarkę i poświeciła nią w oczy mężczyzny.

Miałam wrażenie, że wszystkie dzieciaki w Tukao opuściły szkołę i stały teraz z nosami przylepionymi do okien.

– Czego szukasz? – zawołał jakiś dziecięcy głosik od okna.

– Krwiaka – odpowiedziała Mama Evelyn.

– Czego?

– Jeśli doszło do pęknięcia czaszki, to jest ono zapewne linearne.

I rozgałęzione – powiedziała, a dziecko zrozumiało, że nie ma sensu pytać dalej.

Zmierzyłam mężczyźnie ciśnienie, co nie było łatwe.

– Musiał leżeć tam przez dłuższy czas – stwierdziłam.

Mama Evelyn nie odpowiedziała. Posłuchała bicia jego serca, napisała w karcie pacjenta „puls 140”, dodała „acidosis” i „uszkodzenia organów”.

Zszyłam ranę na czole dużymi szwami i spróbowałam zmyć krew, którą mężczyzna miał we włosach, po czym owinęłam mu głowę naszym ostatnim bandażem.

– Przeżyje? – spytał Tanga.

– Przeprowadź ojca – odpowiedziała Mama Evelyn.

Tanga przekazał polecenie któremuś z dzieciaków.

Prawa noga mężczyzny była złamana w kilku miejscach. Papa Tane był potrzebny, żeby ją nastawić, by Mama Evelyn mogła założyć gips. Mężczyzna był nieprzytomny, więc nie musieliśmy podawać mu nic przeciwbólowego. Wspólnymi siłami nastawiliśmy nogę, a Mama Evelyn uznała, że powinno być w porządku. Prawy nadgarstek był spuchnięty i poraniony. Mama Evelyn ścisnęła go tak mocno, jak tylko mogła, starając się, by wszystkie kosteczki trafiły na swoje miejsce. Potem pomogłam jej włożyć rękę w gips i założyć mężczyźnie cewnik.

Mężczyzna leżał na łóżku z gumowymi wężykami odchodzącymi od ciała w kilku miejscach i z zabandażowaną głową. Nogę w gipsie miał podwieszoną na wyciągu nad łóżkiem. Ludzie zaczęli odchodzić od okien, najwyraźniej zgłodnieli z wrażenia. Nikau i Papa Tane wrócili do warsztatu, ktoś musiał zająć się małżami.

Ja i Mama Evelyn usiadłyśmy obok łóżka, każda na swoim krześle, podzieliłyśmy się szklanką wody i przyglądałyśmy się mężczyźnie. Leżał cicho z otwartymi ustami i zamkniętymi oczami. Jego klatka piersiowa nakryta cienkim prześcieradłem ledwie się unosiła. Policzki miał szkarłatne, pokryte półcentymetrowym zarostem.

– Jak myślisz, kto to jest? – spytałam.

– Na pewno jest młodszy, niż wygląda. Koło czterdziestki. Amerykanin. Europejczyk albo Kiwi. Na pewno niezbyt wprawny żeglarz.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Wypłynął sam w morze, mimo ostrzeżenia przed cyklonem. W takiej sytuacji nie należy ryzykować.

Mama Evelyn poszła odwiedzić Babcię Metua, mieszkającą za lądowiskiem. Zostałam sama. Zwilżyłam wargi mężczyzny słodką wodą, co pół godziny mierzyłam mu ciśnienie, za każdym razem było nieco wyższe. Kiedy kroplówka się skończyła, podłączyłam nową.

Zastanawiałam się, skąd pochodzi i dokąd płynął. Przypomniałam sobie jego miękkie jak u dziecka, jasne, niemal bezbarwne włosy. Dotykałam ich, kiedy zszywałam mu ranę na głowie. Moje pytanie do Mamy Evelyn pozostawało bez odpowiedzi:

– Dlaczego wypłynął w morze podczas cyklonu?

Zanim Mama Evelyn wróciła, zdążył już zapaść zmrok.

– Zostanę tu na noc – oświadczyła. – Rozmawiałam z ojcem, jutro rano mnie zmienisz.

Pacjent leżał nieruchomo, owinięty bandażami przypominał mumię.

– Myślisz, że przeżyje?

Mama Evelyn nie odpowiedziała, była zajęta sprawdzaniem cewnika.

Wracalam do domu w ciemności. Podmuchy wiatru smagały mi ręce i nogi, na skórze czułam sól po porannej kąpieli. Pachniałam morzem.

W powietrzu unosił się zapach licznych ognisk, które płonęły przed domami, w mroku wyglądały jak zawieszony w powietrzu ogniste muchy.

Fakt, że od dwóch lat z Rarotongi nie przyplłynął żaden statek, spowodował szereg niedogodności, ale to wszystko. Ropa do prądnicy, która zaopatrywała wyspę w energię elektryczną, skończyła się już dawno temu. Morze i ziemia karmiły nas, ludzi, w taki sam sposób jak od tysięcy lat: nocą świeciły gwiazdy, żywiliśmy się rybami i orzechami kokosowymi. Prawdę mówiąc, nigdy do końca nie ufaliśmy nowoczesnym wynalazkom, takim jak konserwy, płyny do mycia naczyń czy lodówki. Kiedy szłam, słyszałam, jak połamane muszelki trzeszczą pod moimi stopami. Trudno było tu coś uprawiać. Kury i prosięta biegały radośnie stadkami po całej wyspie, jedząc to, co zdołały znaleźć. Słyszałam je w zaroślach. Niektórym rodzinom, między innymi naszej, udało się wyhodować drzewka limonkowe. Dzieliliśmy się owocami, jak wszystkim innym. Zamiast mrozić ryby, suszyliśmy je. Trzeszczenie sznurów, na których wisiały, mieszało się z zawodzeniem wiatru i graniem świerszczy. Zamiast myć zęby pastą, czyściliśmy je wodą morską, jak kiedyś się robiło. Kiedy zabrakło podpasek i tamponów, zaczęliśmy używać pociętych na paski starych pareo, kawałki materiału zastępowały nam spódnice, sukienki, szale i narzędzia. Początkowo wyrzucałyśmy je, ale po jakimś czasie zaczęliśmy je prać, by móc używać ich wielokrotnie. Mama Evelyn przyjmowała poród pod mahoniem w świetle lampki olejnej w noc po tym, kiedy skończyła się ropa

do prądnicy. Poród przebiegł tak jak powinien, ale dziecko wkrótce zachorowało i zmarło, zanim skończyło roczek.

Myśli kłębiły mi się w głowie w ciemnościach, ale wciąż wracały do leżącego w lecznicy pacjenta. Odwodnienie zostało opanowane, nerki pracowały i produkowały mocz. Nie było natomiast wiadomo, jak poważna jest rana głowy. Jeśli pęknięcie było linearne, to mogło się samo zrosnąć, ale jeśli doszło do krwawienia wewnątrzczaszkowego, mógł pojawić się ucisk na mózg, a w lecznicy nie było możliwości przeprowadzenia operacji. Istotne wydawało się, jak długo mężczyzna był nieprzytomny. Prawdopodobnie będzie utykał, miałam wrażenie, że nie udało nam się złożyć kości tak, żeby obie nogi były równe. Miałam nadzieję, że nie jest praworęczny, bo miałam poważne wątpliwości, czy odzyska pełną sprawność w prawej dłoni.

Mężczyźni zebrali się przed naszym warsztatem, duże ognisko rozświetlało brzeg. Tanga siedział pośrodku grupy z butelką samogonu w ręce. Przed nim leżała pusta torba sportowa, podobna do tej, w której Nikau przechowywał sprzęt do tenisa. Zawartość torby leżała rozrzucona wokół ogniska: ubrania, kilka książek, tenisówki, środki higieniczne. Obok stała zamknięta metalowa walizeczka wielkości teczki. Kiedy wśród zebranych osób dostrzegłam Ngaru, wzdrygnęłam się. Przybył tu aż z Tauhunu, zwabiony dramatycznymi wydarzeniami. W głosach mężczyzn słychać było wyraźne podniecenie.

– Erik Bergman – powiedział Barbie, przerzucając kartki niewielkiej książeczki, pewnie paszportu rozbitka. Jego długie, lakierowane paznokcie lśniły w księżycowej poświacie. – Gdzie leży Szwecja? – spytał.

– Co za dureń – stwierdził Ewan Jensen. – Jak mógł skierować jacht prosto na rafę?

– Wiał silny wiatr, dostał bomem w głowę – powiedział Tanga. – Tego rodzaju łodzie mają nisko zawieszony bom, musiał zboczyć z kursu.

Usiadłam na skraju i nagle poczułam, jak bardzo jestem zmęczona.

Obecność Ngaru sprawiała mi przyjemność, ale czułam się zakłopotana. Niepotrzebnie, bo on w ogóle nie zwracał na mnie uwagi.

Sięgnęłam po grillowaną papugorybę i *nimata*, wodę kokosową. Wzięłam do ręki książki, które mężczyzna miał w torbie, i zaczęłam je kartkować. Były napisane w języku, którego nie rozumiałam, niektóre litery widziałam po raz pierwszy.

– Co wy robicie? – krzyknął Papa Tane, który właśnie wyszedł z warsztatu. – Zbierzcie jego rzeczy. Ile wy macie lat?

Mężczyźni roześmieli się, zerknęli po raz ostatni na rzeczy rozbitka, zanim Papa Tane je zebrał, włożył do torby i zaciągnął zamek. Potem zaniósł torbę i dziwną walizeczkę do Dużego Domu.

Zjawił się funkcjonariusz Everest, który właśnie skończył rozmawiać przez radio z Rarotongą.

– Co ci powiedzieli? – dopytywał się głośno Tanga.

Everest zgłosił zatonięcie jachtu władzom na głównej wyspie archipelagu.

– Nie wydano żadnego pozwolenia – stwierdził Everest. Usiadł obok Barbie i wypił łyk wody kokosowej.

By przybić do Manihiki, trzeba było mieć specjalne pozwolenie, wydane przez władze celno-imigracyjne w Avarua. W tym przypadku najwyraźniej takiego pozwolenia nie wydano.

Spojrzałam w ogień, podczas gdy mężczyźni przez dłuższą chwilę omawiali konsekwencje tego, co się stało: doszli do wniosku, że raczej żadnych nie będzie, ponieważ formalnie jacht przecież nie przybił do portu, tylko zatonął, więc problem zniknął.

Ngaru podszedł i usiadł obok mnie. W pierwszej chwili chciałam się odsunąć, ale nie zrobiłam tego.

Mężczyźni byli zgodni, że nie warto podejmować próby wydobycia wraku. Jacht rozpadł się na dwa kawałki i zatonął na głębokiej wodzie za rafą. Tak czy inaczej, funkcjonariusz Everest wystawił rozbitkowi

trzydziestodniową wizę turystyczną, którą wbił mu do paszportu, więc formalnościom stało się zadość.

Rozmawiano o łodziach i o tym, co mogło się przydarzyć mężczyźnie. Wiał południowoschodni wiatr, więc musiał płynąć z Tahiti. Znalazł się w oku cyklonu – kretyn. Zastanawiano się, które jachty są stabilne, które szybkie, a w końcu – jak zwykle – rozpoczęła się dyskusja o różnych gatunkach ryb: które jak smakują, o jakiej porze roku są najtłustsze, czy lepiej je piec, czy jeść surowe jak *ika mata*.

Zostawiłam ich i odeszłam, czego nikt nie zauważył.

Gdy usnęłam w pokoju nad warsztatem, przyszedł do mnie Ngaru. Po raz pierwszy odwróciłam się od niego, kiedy włożył dłoń między moje nogi.

Następnego dnia Ngaru zastąpił mnie podczas połowu pereł, żebym mogła pójść pomóc Mamie Evelyn w lecznicy. Wzięłam ze sobą obie torby, które chłopcy wynieśli z łodzi: tę sportową i tę błyszczącą, metalową.

Mężczyzna obudził się o świcie, zdezorientowany i z silnym bólem głowy. Nie powiedział niczego istotnego, ale w nocy nie miał drgawek, co należało uznać za dobry znak. Pozwalało przypuszczać, że uraz głowy nie był bardzo poważny. Teraz spał z zamkniętymi ustami. Wargi nie były już tak spękane jak wcześniej, a twarz tak szkarłatna. Mama Evelyn wymieniła mu cewnik, a kroplówkę podłączyła do ręki.

– Wróć po drugim śniadaniu – oświadczyła i poszła do domu. Miała czerwone oczy.

Usiadłam obok śpiącego mężczyzny, rozejrzałam się po pomieszczeniu i zaczęłam rozmyślać. Niczego mi tu nie brakowało. Właściwie miałam wszystko. Kontakt ze światem zapewniały mi powieści, które ciotka Doris przysyłała specjalnie dla mnie z Nowej Zelandii każdym statkiem płynącym z Rarotongi: powieści przygodowe i romanse, książki detektywistyczne i dziwne książki fachowe. Najbardziej lubiłam powieści historyczne, historie o tym, jak ludzie kiedyś żyli: *Imię róży* Umberto Eco, *Dom dusz* Isabel Allende, *Klan Niedźwiedzia Jaskiniowego* Jeana M. Auela. W mojej głowie bohaterowie powieści przybierali konkretne kształty. Myśl o tych wszystkich ludziach, którzy kiedyś żyli na ziemi, a teraz już ich tu nie było, budziła mój szacunek i przepełniała mnie melancholią. Nie mówiłam o tym głośno. Nikau drwiłby ze mnie do końca życia.

Tego dnia wzięłam ze sobą *Alchemika*, brazylijskiego pisarza Paola Coelho. Była to opowieść o biednym pasterzu Santiago, który udał się w długą podróż w poszukiwaniu skarbu, ukrytego u podnóża egipskich piramid. Pewien mężczyzna powiedział mu, że jeśli „czegoś potajemnie pragniemy, to cały wszechświat sprzyja naszemu pragnieniu”. Ładna myśl, ale zastanawiałam się, czy prawdziwa. Bo czy naprawdę wystarczyło czegoś bardzo chcieć? Czy cały wszechświat będzie mnie wspierać, dlatego że chcę

zająć miejsce mojej siostry na uniwersytecie?

Mężczyzna jęknął, więc podniosłam głowę. Jego powieki były spalone słońcem, miał kłopot z otwarciem oczu. Wstałam i nachyliłam się nad nim, nasze spojrzenia się spotkały.

– Erik Bergman? – spytałam.

Zajrzałam do jego paszportu, zapamiętałam zdjęcie mężczyzny o jasnej cerze, z oczami koloru wody i smutnymi ustami. Patrzył teraz w sufit i nie odzywał się. Miał trzydzieści cztery lata.

– Jesteś na Manihiki – powiedziałam. – W lecznicy w Tukao. Podać ci coś do picia?

Rozległ się suchy kaszel, mężczyzna wycharczał coś, czego nie zrozumiałam. Podałam mu szklanekę ze słomką. Wypił chciwie.

– Jesteś głodny? – spytałam. – Mama Evelyn, pielęgniarka, wróci koło południa. Przyniesie ci trochę zupy rybnej. Lubisz zupę rybną? Z sokiem z limonki i mlekiem kokosowym.

Mężczyzna zamknął oczy i natychmiast znów zasnął. Niewykluczone, że Mama Evelyn podała mu morfinę.

– Prawie wszystko, co jemy, jest z limonką i mlekiem kokosowym – powiedziałam śpiącemu mężczyźnie.

Zmieniłam kroplówkę. Worek na mocz nie był jeszcze pełen, więc go zostawiłam. Ciśnienie krwi się ustabilizowało, tętno nadal było podwyższone.

Wróciłam do lektury *Alchemika*. Santiago oświadczył się pięknej Fatimie, która powiedziała, że wyjdzie za niego, kiedy skończy swoją podróż i znajdzie skarb. Uznałam, że ma serce z kamienia.

Potem wróciła Mama Evelyn. Wyglądała nieco lepiej, nie miała już tak podkrążonych oczu. Zjadłam kilka *uto*, orzechów kokosowych, które znalazłam na tyłach lecznicy, i wróciłam do warsztatu. Atmosfera była napięta. Mój brat przejął moje obowiązki i był z tego powodu niezadowolony. Papa Tane krzyczał na niego, kiedy był nieostrożny

i uszkadzał muszle małż. Teraz szybko się oddalił i zostawił mnie samą.

Popołudnie minęło szybko, jak zwykle kiedy poławialiśmy perły. Bracia Brownowie zebrali w lagunie kilka sznurów z małżami, Nikau i Ngaru przygotowywali je do dalszej obróbki na pomoście, a ja potem otwierałam je szpatułką w warsztacie. Ngaru był niezadowolony i nie patrzył w moją stronę. Nie przywykł, żeby mu odmawiano. Fale uderzały o pomost, pozostałość cyklonu, który już przeszedł.

Pomyślałam o mężczyźnie w lecznicy, o jego jasnych oczach koloru nieba i porannej mgły. Pochodził ze Szwecji. Nie wiedziałam, gdzie leży Szwecja, ale na pewno gdzieś daleko. Przywiódł go tu los czy zbieg bezsensownych okoliczności?

Kładłam małże na stoliku przed Papą Tane. A on otwierał je, czyścił, usuwał kawałki liny, które przyrosły do podłoża, i nacinał ostrożnie gruczoł. Ze środka wypadła świeżo narodzona perła, błyszcząc w popołudniowym świetle. Wtedy zawsze wstrzymywałam oddech. To był klejnot, ale dziwnie żywy. Papa Tane umieszczał ją na tacy razem z innymi. Jeśli perła była duża i ładna, małż nadawał się do ponownego użytku. Najlepsze potrafiły rodić perły trzy, czasem nawet cztery razy. Za każdym razem większe, a tym samym cenniejsze.

Papa Tane zamykał muszlę, a ja podawałam mu następną. Słońce zaczęło już zachodzić.

Patrzyłam na tacę z perłami: złote, srebrne, fioletowe i zielone leżały na kawałkach tkaniny, które nadawały im barwę i połysk. Za rok, może dwa będziemy mogli zbierać kolejne perły. Dobrze, że był z nami Ngaru, pomógł nam umocować zaszczepione perły na sznurach, które potem bracia Brownowie mieli umieścić w wodach laguny. Ale kiedy skończyliśmy, Ngaru wsiadł do kanu i bez słowa ruszył z powrotem do Tauhunu. Został ze mną po śmierci mojej siostry, a ja pozwalałam mu zbliżać się do mnie, kiedy chciał i jak chciał. Najczęściej wchodził we mnie od tyłu, mocno, brutalnie, a ja się na to godziłam.

Tego wieczoru przybyła pielęgniarka z Tauhunu i przejęła opiekę nad pacjentem, żeby Mama Evelyn mogła się wyspać. Przywiozła ze sobą bandaże i gaziki.

Byłam sama w pokoju nad warsztatem, pokoju, który należał do mnie i do Moany. W ciemności nasłuchiwałam jej głosu, ale nie słyszałam go wśród szumu fal. Zapaliłam więc lampkę z tłuszczem wieprzowym i sięgnęłam po jej podręcznik do geografii i *Atlas świata* Collinsa.

Szwecja była trzecim co do wielkości krajem w Europie. Położona gdzieś na dalekiej północy, w Skandynawii, była królestwem, niepodległym krajem od czasów średniowiecza. Zdziwiłam się, kiedy zobaczyłam na mapie, że przebiega przez nią krąg polarny. Na tej samej szerokości geograficznej na półkuli południowej leżała Antarktyka. Musiało tam być straszliwie zimno. Kraj miał osiem milionów mieszkańców, co znaczyło, że był bardzo rzadko zaludniony. Nic dziwnego w tym klimacie, pomyślałam. Szwecja nie uczestniczyła ani w pierwszej, ani w drugiej wojnie światowej, więc ludzie byli nastawieni pokojowo. Przez ostatnie sześćdziesiąt lat niemal przez cały czas politykę rządu kształtowała jedna partia polityczna: Socjaldemokratyczna Partia Pracy. Nie wiem, czy słusznie, ale nazwa kojarzyła mi się z komunistami. Zbudowano państwo dobrobytu z darmowymi szkołami i darmowym leczeniem dla wszystkich, zasiłkami dla bezrobotnych i płatnymi zwolnieniami lekarskimi. Gminy zapewniały opiekę nad dziećmi i seniorami, co doprowadziło do bardzo wysokich podatków, niezależnie od tego, czy socjaldemokraci wygrywali, czy przegrywali wybory.

Zdmuchnęłam płomień lampki i wyjrzałam przez okno, księżycowa poświata oświetlała wody laguny, która lśniła niczym srebro.

Wszystkie morza świata były ze sobą połączone. To było dziwne uczucie.

Babcia Vaine była z natury osobą podejrzliwą wobec ludzi w ogóle, ale szczególnie wobec *papa'a*, białych ludzi. Maoryskie *papa'a* nie miało nic wspólnego z ojcami, znaczyło po prostu „cztery warstwy ubrania”, przynajmniej według legendy, i pochodziło z czasów pierwszych misjonarzy, którzy – chociaż wydawało się to dziwne – tak właśnie się ubierali. Babcia Vaine urodziła się na Rakahandze, ale wcześniej została wysłana do Rarotongi jako *tamariki angai*, dziecko adopcyjne. Dorastała u bezdzietnej ciotki. Tam po jakimś czasie poznała Dziadka Tanego, który pochodził z Matavery – stąd nazwisko naszej rodziny. Kiedy na świecie pojawił się ich trzeci syn, postanowili wrócić na Manihiki. Powód ich powrotu nadal był owiany tajemnicą nawet dla nas, najbliższych członków rodziny, ale miało to coś wspólnego z Dziadkiem Tanem, który został oszukany przez białego mężczyznę z Australii. Podobno zabrał mu kanu, ale wspomniano też o jakiejś sumie pieniędzy. To wydarzenie ugruntowało u Babci Vaine przekonanie, że świat jest zły, a białym ludziom nie można ufać, może z wyjątkiem Mamy Evelyn, ale też tylko może. Najstarsi synowie, Tom i Matini, zostali w charakterze *tamariki angai* u bezdzietnej ciotki, wówczas już bardzo wiekowej starszej pani.

Babcia Vaine nie była zadowolona z pacjenta, który bardzo powoli dochodził do zdrowia w pokoju numer jeden.

– *E vaka putaputa* – powiedziała, co znaczyło „kanu z wieloma dziurami”.

A więc duży problem.

To właśnie Babcia Vaine zdecydowała o moim imieniu, taki był u nas zwyczaj. Muszę przyznać, że trudno było mi jej to wybaczyć. Kiona to duża ćma, brzydki owad, który często się gubił i trafiał w sieci pająka.

– Bzdury – powiedziała Babcia Vaine, słysząc moje narzekania. – Kiona symbolizuje niezależność i pozycję. Tam, skąd pochodzę, jest to ładne i ważne imię.

Nie wiedziałam, o jakie miejsce jej chodzi, o Rarotongę czy Rakahangę,

ale miałam wątpliwości, czy na którejś z tych wysp to imię naprawdę miało takie znaczenie.

W tych dniach Babcia Vaine narzekała bardziej niż zwykle. Nie podobało jej się, że „zaniedbuję lagunę”, zajmując się pacjentem w lecznicy.

– *E maro ma'ana* – mówiła, mając na myśli „ciepłą opaskę na biodra”, czyli osobę, na której można było polegać. Określenie to nie obejmowało białych mężczyzn, którzy trafiali na dalekie wyspy w dziwnych okolicznościach.

Musiałam popłynąć łodzią przez lagunę do przychodni w Tauhunu, żeby uzupełnić zapas środków przeciwbólowych. Pielęgniarka Vioora, która pochodziła z Atui, wyspy w południowej części archipelagu, była wobec mnie bardzo uprzejma, chociaż dobrze znała historię Moany. Wypytywała mnie o pacjenta. Zadawała wiele pytań dotyczących jego stanu zdrowia, pochodzenia i tego, jak w ogóle znalazł się na rafie. Z jakiegoś powodu jej ciekawość sprawiła, że poczułam się zawstydzona.

– On niewiele mówi – odpowiedziałam wymijająco.

– Ale chyba mówi po angielsku?

Kiedy funkcjonariusz Everest przesłuchiwał mężczyznę w sprawie wraku, siedziałam w poczekalni i wszystko słyszałam, więc tak – mogłam potwierdzić, że pacjent mówił dobrze po angielsku, nawet bardzo dobrze. Jego opowieść pokrywała się z tym, co mówili mężczyźni już pierwszego wieczoru: Erik Bergman był człowiekiem żądnym przygód, samotnym żeglarzem. Kupił jacht na Tahiti i był w drodze na zachód, kiedy pojawił się cyklon i zepchnął go z kursu. Podczas próby zwinięcia żagla bom uderzył go w głowę, mężczyzna wpadł do kajuty i już tam został. To, że dwa dni później jacht trafił na rafę w Manihiki, należy uznać za cud.

Opuściłam Tauhunu tak szybko, jak tylko mogłam.

W drodze do portu minęłam opuszczony pałac, który powoli chylił się ku upadkowi. Na werandzie przed domem brata mamy Ngaru zobaczyłam go na werandzie. Udał, że mnie nie widzi, a może rzeczywiście mnie nie widział. Tak jak podejrzewałam, opuścił Tukao, żeby nie musieć uczestniczyć w poławianiu pereł, albo dlatego, że się mną znudził. Zrobiło mi się wstyd i szybko ruszyłam w stronę portu.

To, co powiedziałam siostrze Vioorze, było prawdą. Pacjent był raczej małomówny. Prosił o wodę, czasem o basen, i to w zasadzie wszystko. Staralam się go nie niepokoić, więc zwykle siedziałam w gabinecie i czytałam.

– Siostro – zawołał pewnego wieczoru, kiedy Mama Evelyn była u Babci Metui, której stan się nie polepszał i prawdopodobnie nie zostało jej już wiele życia. Odłożyłam *Filary ziemi* Kena Folletta, moją ulubioną powieść, i poszłam do pokoju numer jeden. Mężczyzna na wpół siedział na łóżku. Niedawno go ogoliłam, rany po poparzeniach na twarzy goiły się, opuchlizna na czole już prawie zeszała.

– Mam pytanie – zaczął. – Proszę mi powiedzieć: gdzie ja jestem?

– W Tukao. Na Manihiki. Wyspy Cooka. Północna część archipelagu. Należymy do Nowej Zelandii, ale jesteśmy niepodlegli.

Zamrugął zdezorientowany.

– Gdzie?

– Południowa część Oceanu Spokojnego. Ze wszystkich stron otacza nas woda.

Nie była to do końca prawda, bo na horyzoncie na północnym zachodzie majaczyła Rakahanga.

Pacjent zamknął na chwilę oczy, ale zaraz znów je otworzył. Patrzył na szybko zapadający zmrok.

– Był tu policjant. Przesłuchiwał mnie.

– Funkcjonariusz Everest – powiedziałam.

Mężczyzna sięgnął ręką po stojący na stoliku kubek z wodą, chwycił go i zaczął pić przez słomkę. Odstawił kubek i odchrząknął.

– Czy przypływając tu, dopuściłem się jakiegoś nielegalnego czynu? Popeliłem przestępstwo?

Przysunęłam krzesło bliżej jego łóżka.

– Przybijając do Manihiki, trzeba mieć pozwolenie z Rarotongi, ale ponieważ jacht zatonął, zanim dobił do brzegu, uznano, że pozwolenie nie

było konieczne. – Uśmiechnęłam się niepewnie. – Dostałeś wizę turystyczną ważną miesiąc.

– A jak długo już tu jestem?

Policzyłam na palcach.

– Jedenaście dni.

Mężczyzna milczał chwilę.

– Manihiki, tak?

– To atol. Laguna i czterdzieści trzy *motus*, czyli małe wyspy. Laguna ma dziewięć kilometrów szerokości. Są tu dwa miasta, Tauhunu i Tukao. Nie ma nas w *Atlasie świata* Collinsa.

– Nie macie elektryczności?

– W tej chwili nie, brakuje ropy do prądu.

Patrzył na mnie. Nie był szczególnie przystojny, miał jasne włosy, ale nie blond, ciemniejsze, chociaż nie był też szatynem, szczękę miał nieco za bardzo kanciastą, a uszy za małe.

– Pracujesz tu jako pielęgniarka?

Spojrzałam na moje dłonie.

– Moja mama, Siostra Evelyn, jest pielęgniarką. Czasem jej pomagam. Głównie jednak pracuję na farmie pereł.

Mężczyzna uniósł brwi w sposób, który – jak się później okazało – był bardzo dla niego charakterystyczny.

– Na farmie pereł?

– Nasza rodzina ma farmę czarnych pereł. *Pinctada margaritifera* występują w naturze w lagunie, wystarczy zanurzyć sznur i po trzech latach jest obrośnięty przez małże. Nurkuję podczas połowów i pomagam w warsztacie. Może zostanę techniczką...

To była prawda, Papa Tane powiedział, że być może zapisze mnie na kurs, kiedy następnym razem będzie się odbywać na wyspie, i wtedy dostanę licencję.

– Czarna farma? – spytał mężczyzna zdziwiony.

– Perły są czarne. Tak się je nazywa, chociaż w rzeczywistości mają różne kolory. Połowa nie daje się zakwalifikować do żadnej kategorii, pozostałe dzieli się na klasy od A do D, w zależności od barwy, kształtu i wielkości.

Erik Bergman spojrział w okno, gdzie zapadła już całkowita ciemność. Księżyc świecił, ale chmury zakrywały gwiazdy.

– Policjant powiedział, że mój jacht zatonął. Da się go wydobyć?

Pokręciłam głową.

– Rozpadł się na kawałki i zatonął. Kapitan Mareko i jego chłopcy uratowali pana w ostatniej chwili.

Mężczyzna spróbował usiąść.

– Mogę prosić cię o przysługę?

– Oczywiście – powiedziałam i wstałam, żeby poprawić mu poduszkę pod plecami.

– Moja teczka – powiedział, wskazując głową na kąt, w którym złożone były jego rzeczy. – Jest jakieś inne miejsce, gdzie można ją położyć? Gdzieś, gdzie nie ma takiej wilgoci?

Mężczyzna zauważył moją zdziwioną minę.

– Tu nie jest mi potrzebna. Są w niej papiery i kilka drobiazgów.

– Niestety kluczyki zaginęły.

Mężczyzna przymknął oczy i opadł na poduszkę.

– Ktoś mnie szukał?

Pytanie było tak absurdalne, że niemal się roześmiałam.

– Od dwóch lat nie było tu żadnego statku. Osiem miesięcy temu przyleciała grupa kupców pereł wynajętym samolotem, ale poza tym nie było tu nikogo od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku.

– Jeśli ktoś będzie mnie szukał, przyprowadź go do mnie. Tylko nie mów, że mnie znasz.

– Kto miałby cię szukać?

Mężczyzna odchylił głowę do tyłu, wymamrotał coś, czego nie

dosłyszałam – a może mówił w nieznanym mi języku.

Wróciłam do lektury *Filarów ziemi*. Była to opowieść o budowie katedry w Kingsbridge w Anglii w XII wieku. Czytałam ją już po raz kolejny. Autor opowiadał o najróżniejszych spiskach między możliwymi tamtego okresu, ale to mnie nie interesowało. Interesowała mnie sama budowla! Miałam ją przed oczami: unoszące się wysoko nad ziemią łuki, migoczące światło i kolumny wychodzące z podziemi i sięgające do nieba. Byłam tam, u boku budowniczego, mistrza Toma, szczególnie wtedy, gdy nurkowałam.

Kiedy przyszła Mama Evelyn, żeby mnie zastąpić, wychodząc, wzięłam ze sobą błyszczącą metalową walizkę mężczyzny. Po chwili namysłu włożyłam ją do kartonu, w którym leżały stare podręczniki szkolne Moany, i postawiłam na najwyższej półce w komórce za cysterną ze słodką wodą. Miejsce było suche i bezpieczne.

Papa Tane zamówił rozmowę do Stryja Matniego na Rarotondze przez centralę radiową znajdującą się tuż obok Domu Gminnego, niedaleko lecznicy. I jeszcze tego samego wieczoru dostał połączenie. Babcia Vaine i Amiria przygotowały kolację – w przeciwieństwie do mnie Amiria umiała i lubiła gotować. Zmęły mięso małą na farsz, a następnie go upiekły, do tego usmażyły naleśniki, które zjedliśmy, popijając mlekiem kokosowym.

Zostawiłam jedzenie dla Mamy Evelyn i pacjenta i usiadłam obok Papy Tanego na ziemi koło pomieszczenia, w którym była centrala radiowa, w zapadającym zmroku czekaliśmy na rozmowę. Były tu też inne rodziny, wiele osób miało różne sprawy do załatwienia, wieczór był gorący i wilgotny.

– Ostatnio dużo myślałam o miejscu Moany na uniwersytecie... – zaczęłam.

Moja siostra dostała się na Wydział Polityki i Stosunków Międzynarodowych na Uniwersytecie w Auckland. Zgodnie z planem miała płynąć następnym statkiem do Rarotongi, a potem lecieć samolotem na Nową Zelandię.

– Ktoś inny zajmie jej miejsce – powiedział Papa Tane. – Wielu się o nie ubiegało.

– Może pojedę zamiast niej?

Papa Tane spojrział w kierunku rafy.

– Kiona, to nie jest dla ciebie.

– Też mogłabym studiować.

Papa Tane odwrócił wzrok i wtedy po raz pierwszy powiedział:

– Twój uniwersytet jest na lagunie.

Vaitomo, operator, wyszedł i poinformował, że nasza rozmowa została połączona. Papa Tane wszedł, ja zostałam w drzwiach. Stryj Matini na Rarotondze zajmował się finansami, a Papa Tane zdawał mu sprawozdanie z sytuacji na farmie: podawał liczby, wyniki połowów, informował o koniecznych inwestycjach. Każde zdanie kończył słowem „odbiór”. Od

niepamiętnych czasów los ludzi żyjących nad laguną był związany z perłami. Przemysłowa produkcja, farmy i hodowla pereł były stosunkowo nowym wynalazkiem. Nie bardzo rozumiałam, o czym rozmawiają, ich długie wywody na temat budżetu i bilansu zamieniały się w mgłę. To prawda, że nie miałam równie dobrych stopni jak moja siostra, szczególnie z matematyki, ale lubiłam czytać i mówiłam płynnie zarówno po maorysku, jak i po angielsku. Moana była świetna z matematyki i interesowała się polityką, poza tym znała kilka języków: maoryski, angielski i francuski, rozumiała też chiński. Matka jej najlepszej przyjaciółki, Reo Cherval, pochodziła z Tahiti, z francusko-chińskiej rodziny, i od początku uczyła Reo i Moanę języków. Natomiast ja wiedziałam dużo o europejskich katedrach i o średniowieczu w Europie, znałam nazwy większości krajów na świecie, potrafiłam wskazać ich stolice. Czytałam Biblię, Bóg był dla mnie ważny. Nie przepadałam natomiast za polityką, interesowało mnie tylko, w jakich warunkach żyją ludzie. Kiedy Moana twierdziła, że właśnie na tym polega polityka, nie do końca rozumiałam, o co jej chodzi.

Stryj Matini powiedział przez radio, że w „Cook Islands News” pisali o śmierci Moany. On i Ciotka Ama dali jej zdjęcie, które zostało opublikowane w prasie. Było co prawda czarno-białe, a Moana miała na nim czternaście lat, ale i tak można było ją rozpoznać. Stryj zachował egzemplarz gazety.

Przekazaliśmy pozdrowienia dla całej rodziny, przez chwilę rozmawiałam też z moją kuzynką Vaianą, ale nie miałyśmy sobie wiele do powiedzenia. Widziałyśmy się tylko raz, przy odsłonięciu nagrobka na cmentarzu w Rakahandze, więc szybko się pożegnałyśmy. Poinformowaliśmy operatora, że połączenie zostało zakończone, i wróciliśmy do domu.

Pomyślałam o gazecie, o „Cook Island News”, i że opublikowano tam zdjęcie Moany, chociaż już po jej śmierci. Miała na nim czternaście lat, a teraz już jej nie było: zdjęcie przedstawiało chwilę uchwyconą w czasie.

„Cook Island News” to dziennik piszący o sprawach bieżących, o Wyspach Cooka, Polinezji i reszcie świata. Stryj zachowywał egzemplarze z ważnymi artykułami, głównie dotyczącymi hodowli pereł, a potem wysyłał je nam statkiem, jeśli to było możliwe. Papa Tane wkładał je do pudełka z liści palmowych i chował pod łóżkiem. Czasem w gazecie były też inne artykuły, na przykład o tym, że gdy piosenkarz David Bowie nagrywał w Rarotondze film *Wesołych świąt, pułkowniku Lawrence*, jedna z osób z ekipy filmowej zablądziła i zaginęła w dżungli na zboczach wulkanu. Mimo że wyspa miała zaledwie dziesięć kilometrów szerokości, nigdy jej nie znaleziono. Szczątki do dziś pozostają ukryte gdzieś w bujnych zaroślach wyspy. Ten egzemplarz gazety trafił na półkę w Dużym Pokoju.

Zastanawiałam się, czy i gdzie stryj schowa egzemplarz ze zdjęciem Moany. Zapewne też położy go na półce.

T ej samej nocy z południa nadciągnęła burza, pioruny i silne podmuchy wiatru przez wiele dni trzymały w szachu Manihiki. Babcia Vaine nie miała wątpliwości: to Hikahara protestowało przeciwko pacjentowi w lecznicy. Hikahara, miejscowe bóstwo, w połowie kobieta, w połowie mężczyzna, pochodziło z czasów przed Chrystusem. Rządziło pogodą, deszczem i burzami. Od pasa w górę kobieta, od pasa w dół mężczyzna. Babcia lubiła opowiadać o tym, jak misjonarze postanowili rzucić mu wyzwanie. Jej opowieść z czasem stawała się coraz lepsza, można było odnieść wrażenie, że wręcz sama w niej uczestniczyła. Wszyscy mieszkańcy wyspy zebrali się przy kamieniach Hikahary w Tukao i cały dzień – od wczesnego ranka do zachodu słońca – modlili się o deszcz, ale niebo nie dało im żadnego znaku. Misjonarze prosili, by kontynuowali modły także następnego dnia, ale i to nic nie dało. Potem misjonarze poprosili swojego Boga o deszcz i deszcz spadł, a wszyscy na Manihiki przekonali się, że prawdziwym Bogiem jest Jahwe.

Podczas burzy musieliśmy zawiesić połowy, wypływanie na lagunę było ryzykowne. Papa Tane rozmawiał natomiast kilka razy przez radio ze swoim bratem na Rarotondze.

Stryj Matini był zajęty rozwijaniem własnej firmy, przedsiębiorstwa budowlanego specjalizującego się w imporcie produktów ze stali. Interes kwitł, ale finanse stanowiły problem. Trzeba było prowadzić księgowość, zbierać faktury, obliczać zysk, podatki, koszty. Papa Tane też miał z tym kłopot.

Tegoroczne zbiory były wyjątkowo dobre. Niemal osiemdziesiąt procent naszych *pinctada margaritifera* zawierało perły. Poza tym większość była okrągła bez widocznych skaz. Klasa B i C, kilka można nawet było zaliczyć do klasy A. Trzydzieści pięć procent małż zostawało zaszczepionych i wracało do laguny. Było to nieco powyżej oczekiwań, tak więc życie powinno nas cieszyć.

Wraz z poprawą stanu zdrowia pacjenta mogłam wrócić do pracy na farmie. Ja i Nikau kontynuowaliśmy połowy, sprawdzaliśmy liny, głębokość. Towarzyszyłam mistrzowi budowlanemu Tomowi w dwunastowiecznym Kingsbridge. Otaczające mnie wody laguny zamieniały się w nawę, korale w misterne rzeźby, morskie prądy niosły ze sobą kościelne śpiewy, woda nade mną przemieniała się w nieboskłon pełen gwiazd, tylko marmurowych aniołków. Otaczała mnie błoga ciemność, brak tlenu w płucach koił wszelki ból.

Wieczorami pomagałam Mamie Evelyn, zastępowałam ją przy pacjencie, żeby mogła zająć się innymi sprawami. Razem zmieniłyśmy mu gips na prawej ręce i lewej nodze. Na szczęście okazało się, że Erik Bergman rzeczywiście jest leworęczny. Noga nie wyglądała dobrze, była znacznie krótsza niż prawa. Zastanawiałam się, jak to możliwe. Co stało się z kawałkami kosteczek tam w środku?

Po długotrwałym sztormie nastąpiły upały, wilgoć stała się nie do wytrzymania. Pacjent pocił się, dwa razy tego wieczoru musiałam zmieniać prześcieradła.

– Nie przywykłeś do takiej pogody?

Erik Bergman stał w pokoju, mając na sobie jedynie bokserki. W lewej ręce trzymał kulę.

– Nie – powiedział. – Szwecja leży na północy. Przez pół roku mamy śnieg i mróz.

– Nad kołem podbiegunowym – dodałam.

W nikłym świetle lampki widziałam, jak uniósł brwi w charakterystyczny dla siebie sposób.

– To prawda. Byłaś tam kiedyś?

Roześmiałam się.

– Nie, ale wiele razy byłam na Rakahandze.

Zabrałam prześcieradła i włożyłam do miski, żeby je namoczyć. Zaletą deszczowej pogody było to, że wszystkie pojemniki były wypełnione słodką

wodą.

Kiedy wróciłam, mężczyzna leżał na łóżku. Upał i ból zmęczyły go.

– Mogę zadać ci pytanie dotyczące Szwecji?

Jego brwi znów powędrowały do góry.

– Czy w Szwecji są katedry? – zaczęłam ostrożnie.

– Katedry?

Sprawał wrażenie zdziwionego, zastanawiał się chwilę.

– Tak, mamy katedry w Lund i w Uppsali. I chyba też w Skara i w Linköpingu.

– Chyba? Nie wiesz? Nie jesteś chrześcijaninem?

– Nie nazywamy naszych świątyń katedrami, chociaż zapewne z takim zamiarem je wznoszono. Prawdę mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Dlaczego pytasz?

Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale wtedy po raz pierwszy opowiedziałam komuś, że dla mnie laguna jest katedrą, korale – kolumnami i ołtarzem, ławice ryb motyli – modlitwą, a potem – sama nie wiem dlaczego – zaczęłam płakać.

Mężczyzna nic nie powiedział, więc szybko przestałam.

Potem już do tego nie wracaliśmy.

Babcia Vaine w każdą środę i każdy piątek chodziła na poranną mszę do kościoła, do Cook Island Christian Church, a w niedzielę na mszę o godzinie dziesiątej i popołudniową modlitwę o czwartej.

– Pan Bóg stworzył świat na swój obraz i podobieństwo swoje – mówiła. – I by czerpać z tego przyjemność – dodawała, ruszając o świcie do kościoła.

Chętnie poszłabym razem z nią, ale nie miałam czasu. Natomiast niedzielnej mszy nigdy nie opuszczałam, niekiedy towarzyszyłam jej też na popołudniowej modlitwie. Kościół nie był katedrą, ale panował tam spokój, którego nie było w żadnym innym miejscu.

Kobiety miały zakryte ramiona i piękne kapelusze na głowach, mężczyźni – spodnie zakrywające kolana. Świergoczące głosy dzieci stanowiły tło dla potężnego głosu pastora Boyda.

Przez kilka niedziel po pojawieniu się Erika Bergmana modliliśmy się za niego wszyscy, cała parafia. Pastor wzywał Boga i błagał Go o zmiłowanie i zdrowie dla przybysza. Prosił, by zwrócił na nas swą promienną twarz i zesłał nam pokój. Jensen, który nie miał siły wstawać z ławki podczas podniesienia, siedział jak zwykle z otwartymi ustami i wpatrywał się w moje nogi. Stary Tupu kasłał bardziej niż zwykle. Mama Evelyn przyglądała się mu zatroskana. Wdowa Paetu siedziała dwie ławki przede mną i płakała tak, że trzęsły się jej ramiona. Jej mąż odszedł w zeszłym roku, jego grób obok domu nadal nie miał dachu.

Pastor grzmiał, ganił, ale i kusił, jego słowa trafiały w nas niczym kamienie. Promienie słońca wpadały przez kolorowe witraże, barwiąc posadzkę i ściany na czerwono, niebiesko, żółto i zielono. Pojedyncze osy krążyły zdezorientowane nad przybranymi kwiatami kapeluszami kobiet. Słowa pieśni odbijały się echem od ścian, miałam wrażenie, że unoszę się w powietrzu.

Po nabożeństwie zebraliśmy się pod blaszanym daszkiem w połowie drogi do oceanu i podczas gdy katolicy w kościele obok nadal śpiewali,

zaczęliśmy szykować posiłek: kawałki grillowanej i gotowanej papugoryby, kawałki chlebowca z zimnym ryżem, prosię gotowane w wodzie morskiej, pieczeń Papy Tanego, lekko schłodzona w wodzie morskiej *nimata*, woda w plastikowych pojemnikach, butelki po coca-coli wypełnione mlekiem kokosowym, jeszcze więcej chlebowca, gotowanych ryb i sałatka z makaronu i makreli z puszki, usmażone poprzedniego dnia naleśniki kokosowe i drożdżowe bułeczki z resztki przesianej mąki. Sięgnęłam po kawałek chlebowca. Barbie zdjął buty na obcasach, pomogłam mu umocować obrus kawałkami koralowców. Pastor Boyd zmówił *pure* i zaczęliśmy jeść. Rozmowy były ciche i spokojne, nawet dzieci biegały jakby wolniej i ciszej.

– Dziękujemy Ci, Panie, za Twój cud – powiedział pastor, siadając obok Mamy Evelyn. – Kiedy możemy się spodziewać, że przybysz będzie mógł razem z nami uczestniczyć w nabożeństwie?

Pomyślałam, że mama w równym stopniu co Bóg przyczyniła się do tego, że mężczyzna powoli wracał do zdrowia.

– Cuda potrzebują czasu – powiedziała łagodnie. – Bóg decyduje. Nie możemy oczekiwać, że będzie się spieszył dlatego, że Jego służy się niecierpliwą.

Pastor wstał i podszedł do sąsiedniego stołu. Widziałam, że jest niezadowolony z odpowiedzi. Mama Evelyn miała skłonność do takich wypowiedzi, łagodnych, ale i pouczających.

Widziałam, jak pokornie spuściła oczy i zaczęła jeść papugorybę.

Mama Evelyn przybyła na Manihiki z Auckland w latach sześćdziesiątych. Była pielęgniarką świeżo po dyplomie. Została tu. Lekarza chyba nigdy tu nie było. W ciągu tych wszystkich lat tylko raz wyprawiła się na Nową Zelandię, kiedy jeszcze byłam niemowlęciem. Nic nikomu nie mówiąc, wsiadła na statek płynący do Rarotongi, zostawiając ojca samego z czteroletnią Moaną, z Nikau, który miał wówczas trzy latka, i ze mną, kilkumiesięcznym niemowlakiem. Rok później wróciła ze spuszczoną głową i bladymi policzkami, z kasetowym odtwarzaczem wyposażonym w dodatkowy głośnik i lodówką, która nigdy nie działała. Opowiadano mi, że na początku się jej bałam. Nigdy nie widziałam kogoś, kto miałby żółte włosy i wodnisto jasne oczy. Tarita, kobieta, która zdążyła już zająć miejsce u boku ojca, musiała spakować rzeczy i wrócić kajakiem do Tauhunu. Byłam zrozpaczona, straciłam jedyną matkę, którą pamiętałam. Teraz miał się mną opiekować potwór o wodnistych oczach. Przywarłam do Papy Tanego i Babci Vaine. Dziadek Tane zmarł podczas nieobecności Mamy Evelyn. Jakaś jej część nigdy mi tego nie wybaczyła.

Ci, którzy ją znali, mówili, że po powrocie z Nowej Zelandii stała się jakby cichsza. Przestała głośno dyskutować z ludźmi na wyspie, skupiała się na swoich obowiązkach i leczeniu mieszkańców wyspy. Amiria przyszła na świat w dniu, w którym skończyłam pięć lat.

Po czterech tygodniach od wypadku pacjent wciąż jeszcze nie chodził. Potrafił przejść kilka kroków w jedną i kilka kroków w drugą stronę i to wszystko. Mając złamane obie nogi i rękę, nie mógł używać kul.

Funkcjonariusz Everest przedłużył mu wizę turystyczną na trzy miesiące. Wtedy powinien już odzyskać sprawność, a jeśli Bóg i rząd zechcą, to może do tego czasu uda się też przywrócić połączenie morskie między wyspami.

Prawy nadgarstek goił się kiepsko, nerw środkowy, który zapewniał czucie w kciuku, palcu wskazującym, palcu środkowym i po części też w palcu serdecznym, został prawdopodobnie zniszczony albo zakleszczony i nie funkcjonował. Pacjent nie miał czucia. Kiedy po ośmiu tygodniach zdjęto mu gips, powinien być w stanie ruszać dłonią, a tak się nie stało. Jedna noga też była wyraźnie krótsza od drugiej. Papa Tane zrobił mu specjalne kule, na których mógł się wspierać, i od tej pory kursował – kołysząc się – między gabinetem i pokojem numer jeden, aż Mama Evelyn zdecydowała, że nie musi dłużej pozostawać w lecznicy. Dostarczanie mu jedzenia i napojów było uciążliwe, poza tym cały czas ktoś musiał być obecny, by pomóc mu iść do toalety. Dlatego przenieśliśmy go do chaty obok zbiornika na ropę niedaleko naszego warsztatu. Śniadania i obiady jadał z nami, wieczorami siadywaliśmy razem wokół ognia. Na ogół milczał i cały czas trzymał się na uboczu. Jednak w ciągu dnia wybierał się na coraz dłuższe wędrówki po wyspie, kuśtykał na swoich dziwnych kulach, aż na łokciu porobiły mu się rany.

Odłowiliśmy ostatnie małże, nie były tak dobrej jakości jak wcześniejsze, ale ogólnie połów był udany.

Nikau i mnie pozwolono jak zwykle wybrać po jednej perle w podziękowaniu za dobrą pracę.

Wyspa nadal tonęła w ciemnościach.

Statki przestały zawijać do Manihiki po tym, jak w grudniu 1988 roku statek „Manuvai” rozbił się o rafę w pobliżu Nassau – nie stolicy Bahamów, tylko niewielkiej wysepki na południowy wschód od Pukapuka. Wieść rozniosła się lotem błyskawicy, zinalśmy na pamięć nazwy statków, które zaopatrywały nas w potrzebne nam rzeczy, zinalśmy też ich historię.

„Manuvai” zbudowany został w Danii, kraju, który – podobnie jak Szwecja – też leżał w Skandynawii. Statek powstał w 1960 roku i był już dość zużyty, kiedy na początku lat siedemdziesiątych zakupiła go stocznia Silk & Boyd. Nazwa stoczni nie miała nic wspólnego z naszym pastorem Boydem. Statek przez dziesięć lat pływał z towarami po Europie Północnej, na pewno nie był przeznaczony do żeglugi pasażerskiej w tropikach. Jednak kiedy zaczął kursować między północnymi Wyspami Cooka, podróżowanie stało się łatwiejsze. To właśnie na jego pokładzie czternastoletnia Moana popłynęła do Rarotongi. Po prawie dwudziestu latach pływania na morzach południowych jego żywot zbliżał się ku końcowi, gdy nagle doszło do tego nieoczekiwanego zdarzenia. Po trzech dniach kiepskiej pogody statek wyruszył do Nassau, pewnego dnia sternik zasnął na swoim stanowisku i statek wpłynął na rafę, podobnie jak później jacht Szweda. Po tym zdarzeniu wszelka komunikacja ustała, statki przestały do nas docierać. Armatorzy nie potrafili dojść do porozumienia z rządem w sprawie subwencji i licencji na dostawy. Rząd na Rarotondze okazał się całkowicie niezdolny do rozwiązania problemu. Stryj Matini informował przez radio o rozwoju sytuacji, czy raczej o braku postępów. Manihiki miało co prawda własne lądowisko. Zostało oddane do użytku i pobłogosławione 10 października 1988 roku, kiedy to wylądował tu pierwszy samolot, ale nigdy nie pojawiły się tu połączenia komercyjne. Używali go – sporadycznie – kupcy pereł, którzy przylatywali własnymi, prywatnymi samolotami.

Kilka tygodni po zakończeniu połowów pereł nadeszła pora, by ponownie użyć lotniska.

Kupcy wylecieli z Rarotongi o świcie, zatrzymali się, by uzupełnić zapas

paliwa na Aitutaki, i o wpół do dziesiątej byli oczekiwani na naszym lotnisku. Niemal wszyscy z Tukao, a także wiele osób z Tauhunu zebrali się koło drewnianego budynku na palach, z blaszanym dachem i ośmioma drewnianymi ławkami, by ich powitać. Czekanie przedłużało się. Nikau pierwszy usłyszał dźwięk maszyny lecącej gdzieś nad chmurami. Po chwili biała kropka stała się widoczna na niebie. Poczułam dreszcze i wkrótce potem samolot przypominający wyrosniętego konika polnego wylądował. Silnik warczał, kiedy samolot kołował w stronę zbiorników na paliwo i w końcu się zatrzymał. Hałas silnika to przybierał na sile, to cichł, drzwi się otworzyły i pasażerowie zaczęli wysiadać. Poruszali się sztywno, po długim locie mieli obolałe kręgosłupy i nogi, ale uśmiechali się szeroko. Było ich sześcioro, wszyscy pochodzili z Japonii i z Australii, tylko pilot pochodził z Rarotongi. Przywitali się z ojcem i z Kapitanem Mareko, z panem i panią Erlandsenami i jeszcze kilkoma innymi właścicielami dużych farm. Pastor Boyd zmówił *pure* i pobłogosławił samolot. Obok kościoła przygotowano obiad. Cała nasza rodzina była obecna, z wyjątkiem Amirii, która była w szkole, i Erika Bergmana, który nadal nie czuł się dobrze i odpoczywał w swojej chacie.

Papa Tane wygłosił krótką mowę powitalną skierowaną do nowo przybyłych, po czym pani Erlandsen, która napawała się własnym głosem, wygłosiła długie przemówienie pozbawione jakiegokolwiek treści. Mówiła głównie o tym, jak ważną jest osobą.

Jeszcze tego samego popołudnia czterech kupców i pilot polecili dalej do Tauhunu. Dwaj pozostali, jeden Australijczyk i jeden Japończyk, zostali w Tukao, by podzielić perły na kategorie i dokonać wyceny. W powietrzu unosił się gwar głosów, panował nastrój oczekiwania, wkrótce miał zalać nas strumień dolarów. Sama trzymałam się nieco z daleka, ale i mnie udzielało się podniecenie innych. Kupcy zostali zakwaterowani u Erlandsenów, ale na posiłki dla gości złożyły się wszystkie rodziny, a wieczorem mężczyźni zebrali się przy ognisku rozpalonym przed naszym

warsztatem. Tanga uwarzył całkiem udany trunek, Barbie śpiewał falsetem, wiejący od laguny wiatr był chłodniejszy niż zwykle.

– Dołączcie do nas! – wołano do mijających warsztat cieni. – Mamy *taro* i *ika mata*!

Siedziałam poza kręgiem, oparta o ścianę warsztatu, i wsłuchiwałam się w dźwięk głosów i fal. Moana była obok mnie, czułam, że jest zadowolona. Szwed wyszedł ze swojej chaty i – jak zwykle – zajął miejsce gdzieś z boku, na obrzeżach kręgu.

Na horyzoncie była tylko jedna chmura: brakowało nam ludzi z doświadczeniem finansowym. Zastanawiano się, czy nie należałoby utworzyć na wyspie kantoru, by ściągnąć kompetentnych ludzi – o ile oczywiście wznowiono by nieszczęsne połączenia.

– A ty... – zwrócił się do Nikau Kapitan Mareko – podobno znasz się na cyfrach.

To była prawda, Nikau miał głowę do rachunków, podobnie jak Moana.

– Nie znam się na księgowości – zaczął się tłumaczyć.

Nagle wstał Szwed, w lewej ręce trzymał kulę.

– Może mógłbym pomóc – zaproponował. – Mam pewne doświadczenie w tej dziedzinie.

Zaległa cisza, ludzie spoglądali zdziwieni na przybysza. Blizna na jego czole płonęła w świetle ognia.

– Potrafisz wystawiać faktury i obliczać VAT, prowadzić księgowość? – spytał Papa Tane.

Szwed skinął głową.

– Znasz zasady i taryfy obowiązujące w nowozelandzkich finansach?

– Nie sądzę, żeby różniły się zasadniczo od innych. Potrzebne mi będą informacje o stawkach podatkowych i ewentualnych szczegółowych zapisach, ale wszystko uzyskam z Rarotongi przez radio.

Zebrani wokół ognia mężczyźni popatrzyli na siebie. Obcy nigdy dotąd nie mówił tak dużo.

– Więc w porządku – stwierdził Papa Tane. – Możesz zacząć od jutra?

Erik Bergman podszedł do zadania ambitnie i skutecznie. Zaczął prowadzić księgowość, używając do tego starych zeszytów ze szkolnego magazynu. Poinformował mężczyzn, co mają zrobić, żeby otworzyć konta w banku ARB na Rarotondze, i wyjaśnił każdemu po kolei, co jest ważne, kiedy prowadzi się księgowość. Widziałam, jak siedzi w cieniu i wszystko cierpliwie tłumaczy. Nogę trzymał wyciągniętą przed sobą, grzywka wpadała mu do oczu. Mężczyźni słuchali go z nabożeństwem, nie słyszałam słów, ale widziałam, jak kiwają głowami w milczeniu.

Ja i Nikau wróciliśmy do pracy na farmie, trzeba było zadbać o tę część laguny, gdzie rozmieszczone były sznury z ponownie zaszczepionymi małżami. Spodziewaliśmy się dobrych zbiorów.

Kupców w zasadzie nie widywaliśmy, jedynie w niedziele, kiedy nie pracowali i towarzyszyli rodzinie Erlandsenów do kościoła. Znając dobrze Erlandsena, wiedziałam, że raczej nie mieli wyboru.

Pewnej niedzieli przy lunchu po mszy zdobyłam się na odwagę i podeszłam do australijskiego kupca. Powiedziałam, czyją jestem córką, i spytałam, co trzeba zrobić, żeby wyjechać do Australii. Patrzył na mnie zdziwiony.

– Można polecieć samolotem z Raro – powiedział. – A potem przesiąść się w Auckland.

– Z Auckland można polecieć dokądkolwiek?

Mężczyzna prychnął.

– Czemu pytasz?

W podręczniku do geografii, należącym do Moany, było napisane, że istnieje umowa między rządami Nowej Zelandii i Australii: obywatele Nowej Zelandii mogą mieszkać, studiować i pracować w Australii bez wizy tak długo, jak chcą. Wiedziałam, że ludzie z Manihiki wyjeżdżali do Australii do pracy, ale nie sądziłam, że każdy może to zrobić, ja także.

– Jak to jest mieszkać w Australii? – spytałam.

Mężczyzna miał około pięćdziesiątki, był potężnie zbudowany, nosił okulary i miał długie palce. Otarł chusteczką czoło i zerknął w stronę rafy.

– Sydney to duże miasto, ale reszta to dla mnie *outback*. Czerwona ziemia i cholerny upał. *Boongs* mogą je sobie zatrzymać.

Nie do końca rozumiałam, co do mnie mówił, więc szybko odeszłam. Nie był miłym człowiekiem. Może Australijczycy tacy są? Nie znałam ich wielu, właściwie tylko jedną kobietę – prowadziła kurs, po zaliczeniu którego Papa Tane otrzymał licencję technika. Była sympatyczna, chociaż prawdę mówiąc, niewiele z nią rozmawiałam.

Późnego popołudnia dwa i pół tygodnia po przybyciu na wyspę kupcy zakończyli interesy w Tauhunu i razem z pilotem wrócili do Tukao. Jeden z nich pochodził z Australii. Przedstawiłam mu się i zadałam to samo pytanie, które zadałam mężczyźnie o długich palcach: jak to jest mieszkać w jego kraju.

– To zależy, co masz na myśli – powiedział.

– Czy życie tam bardzo różni się od życia na Manihiki?

Roześmiał się, ale nie złośliwie.

– W Queensland pewnie nie. Tamtejszy klimat jest podobny: ciepły i wilgotny przez cały rok. Są tam fantastyczne rafy koralowe. Ale w Sydney, gdzie ja mieszkam, jest inaczej.

– Jak?

Mężczyzna zastanawiał się chwilę.

– Na obszarze wielkości tej laguny mieszka wiele milionów ludzi. Mamy społeczeństwo konsumpcyjne, nikt nie jest samowystarczalny. Zamiast ze sobą rozmawiać, oglądamy telewizję.

– Modlicie się do Boga?

Mężczyzna skinął głową.

– Wiele osób się modli – powiedział.

– Są tam katedry?

– Jedna jest na pewno. Świętej Marii.

– Jest duża i stara?

– Jest ogromna. W stylu gotyckim, ale chyba niezbyt stara. Stoi w środku miasta, więc widać ją z każdego miejsca.

Zwróciłam twarz ku niebu i spróbowałam ją sobie wyobrazić. Przypominała mi katedrę Toma w Kingsbridge.

– Chciałabym pojechać do Sydney – powiedziałam i właśnie w tym momencie wrócili kupcy ze spotkania z Kapitanem Mareko, ostatnim farmerem na ich liście. Wszyscy udali się do Domu Gminnego, żeby porównać wyliczenia i ocenić wartość połowów.

Tego wieczoru przy ognisku pojawił się problem Erika Bergmana, który siedział w kuchni Dużego Domu i sporządzał ostatnie raporty. Zastanawiano się, czy w samolocie do Rarotongi znajdzie się miejsce dla Szweda. Kupcy byli temu przeciwni. Samolot został specjalnie wyczarterowany i wszystkie miejsca były zajęte. Uznano, że ostateczną decyzję powinien podjąć pilot, a on się nie zgodził. Głównie z powodu większego zużycia paliwa. Niedołęga, chociaż na rachunkach rzeczywiście się znał, mógł poczekać na statek, jak wszyscy inni. Funkcjonariusz Everest podjął samodzielnie decyzję i przedłużył mu wizę o kolejne trzy miesiące.

Nazajutrz wczesnym rankiem całe miasteczko zebrało się przy lotnisku, również uczniowie szkoły. Funkcjonariusz Everest sprawdził bagaże podróżnych, żeby upewnić się, że nie wywożą niczego niedozwolonego, na przykład muszli, które były pod ochroną. Nie wywozili. Pastor Boyd zmówił *pure* i sześciu pasażerów oraz pilot weszli na pokład. Silnik zakasłał, zwiększył obroty i w końcu zaczął warczeć jak ogromna osa. Samolot ruszył przed siebie, zawrócił obok domu Babci Metua, która miała się nieco lepiej – po czym silnik znów zwiększył obroty i nagle samolot przeleciał nad naszymi głowami. Wszyscy krzyczeli i machali rękami, a potem jakaś niewidzialna ręka pochwyciła maszynę i uniosła ją wysoko, wysoko nad nami.

Skończyła się oliwa do lampek i przyszła pora uboju. Babcia Vaine wykastrowała knura, kiedy jeszcze był prosiakiem, i karmiła go orzechami kokosowymi. Był wielkości małego wieloryba i miał problemy z utrzymaniem się na nogach. Najwyższa pora, by poszedł pod nóż. Postanowiliśmy zrobić to pewnego sobotniego poranka, żeby uporać się ze wszystkim jeszcze przed mszą.

Warstwa tłuszczu robiła wrażenie, miała ponad dwanaście centymetrów grubości. Pocięliśmy ją na dziesięciocentymetrowe kawałki, które gotowaliśmy ze skórą tak długo, aż cały tłuszcz się wytopił.

Erik Bergman pracował razem z nami, chociaż widać było bladość pod opalenizną.

– Ta skóra ma tak pływać? – spytał, zaglądając do wielkiego kotła.

– *Musi* gotuje się tak długo, aż będzie chrupiąca. Jest bardzo smaczna. Dzieciaki za nią przepadają – powiedziałam, wskazując głową w stronę laguny, gdzie grupka maluchów uczyła się pływać. Zamiast gumowych opasek na rękach trzymały w dłoniach orzechy kokosowe. Orzechy unoszą się na wodzie, w dawnych czasach używano ich podczas połowu pereł jako pływaków do lin.

Erik zamieszał w kotle i podrapał się po karku. Brał udział we wszystkim, co działo się na wyspie, we wszystkich codziennych pracach, mimo że właściwie z niczym sobie dobrze nie radził. Krótsza noga i uraz dłoni nie polepszały sprawy. Nie mówił wiele i zwykle trzymał się nieco na uboczu. Mama Evelyn uważała, że powinien więcej jeść, nadal był chudy i kościsty. Spod ubrania wystawały mu łopatki, sterczały kości biodrowe. Czasem, kiedy nikt tego nie widział, patrzyłam na niego, próbując zrozumieć jego smutek.

Z pływaniem też nie bardzo sobie radził. Umiał pływać, ale nie lubił tego. W bardzo upalne dni skakał czasem do wody z pomostu przy warsztacie i pluskał się chwilę, ale zwykle wolał siedzieć w cieniu i rozkoszować się morską bryzą.

Czasem pomagał Amirze w matematyce, a ja wtedy czułam dziwną, irracjonalną złość.

Na ekonomii się znał. Prowadził księgowość dla kilku hodowców pereł z Tukao i kilku z Tauhunu. Zwykle pracował przy stole w kuchni. Teraz też tam siedział, przed nim na blacie leżały stosy rachunków i kalkulator.

– Nie potrafię was zrozumieć – powiedział pewnego dnia, kiedy wróciłam po dniu spędzonym na nurkowaniu w poszukiwaniu małż. –

Jesteście mądrzy, wykształceni, macie tu pielęgniarki, funkcjonariuszy policji, nauczycieli, budujecie łodzie, na wyspie są pastorzy, więc dlaczego nikt nie zna się na rachunkowości?

Opadłam na krzesło, poczułam, że kręci mi się w głowie: sprawiły to zapewne jego obecność i zbyt długie przebywanie pod wodą.

– Nie mamy takiej tradycji – powiedziałam.

– Nie rozumiem.

– Zanim pojawili się tu *papa'as*, nie mieliśmy pieniędzy.

– Więc co pełniło funkcję waluty? – dopytywał się, zapisując coś w zeszycie wypełnionym cyframi.

– Nic. Nie myśleliśmy w ten sposób. Nic nie kupowaliśmy i niczego nie sprzedawaliśmy.

Szwed odłożył pióro i podniósł głowę.

– Nie trudniliśmy się handlem wymiennym – ciągnęłam. – Nikt nic nie miał czy raczej wszyscy mieli wszystko. Wszyscy dostawali to, czego potrzebowali.

Szwed milczał chwilę.

– Ale teraz macie pieniądze. Wszyscy właściciele farm mają konta w bankach. Możecie się rozwijać, zainwestować w turystykę, wybudować hotele, bungalowy na plaży...

Pokręciłam głową.

– Na Wyspach Cooka nie można kupować i sprzedawać ziemi. Cały teren należy do rodzin. *Ariki* decyduje, gdzie dostajesz ziemię i gdzie możesz się

pobudować.

– No proszę, komunizm w praktyce.

Zastygłam.

– Co powiedziałeś?

– Nie wiedziałem, że powstaliście jako idealne społeczeństwo socjalistyczne.

Wstałam szybko.

– Nie jesteśmy komunistami!

Brwi Szweda uniosły się.

– Ale wasz sposób...

– Tylko nie mów, że jesteśmy komunistami czy socjalistami! Mamy wolność słowa i prawa człowieka! – niemal wykrzyczałam.

Szwed sprawiał wrażenie wystraszonego.

– Oj, przepraszam. Nie chciałem...

Wbiegłam do warsztatu, oczy zaszyły mi łzami. Ale jeszcze zanim dotarłam do mojego pokoju, zrobiło mi się wstyd.

Przecież Szwed nie wiedział o Moanie, nie znał jej myśli, poglądów. Ona nie żyła, więc niby skąd miałyby je znać?

W soboty Moana i ja zwykle robiłyśmy zapasy przed szabasem. Wybierałyśmy orzechy kokosowe, zielone do picia, pozostałe do jedzenia. Na *enaka*, terenie dostępnym dla wszystkich, zbierałyśmy *rau kotaha*, jadalne paprocie, które gotowało się na parze, a potem jadło z mlekiem kokosowym. Często rozmawiałyśmy o Związku Radzieckim, komunizmie i żelaznej kurtynie – to znaczy Moana mówiła, a ja słuchałam. Muszę przyznać, że kiedy udawało mi się opanować rozdrażnienie, niektóre jej opowieści bardzo mnie ciekawiły. Mówiła, że wielu ludzi w Europie było więźniami we własnych krajach, niektórzy ryzykując życie uciekali przez granicę na Zachód. Rosyjski prezydent, Michaił Gorbaczow, był trzeźwo myślącym politykiem, który rozpoczął reformy gospodarcze, nazywane pierestrojką. Miały doprowadzić do tego, żeby ludzie odzyskali wolność – tak przynajmniej to rozumiałam. Moana była zawiedziona, że nie może dalej śledzić tych wydarzeń, ponieważ statek nie raczył już zawijać do naszego portu. Moana nie lubiła komunizmu, zabraniał swobody wypowiedzi, nie zapewniał ludziom ich podstawowych praw, więc ja także uznałam, że nie lubię komunizmu.

– Ci ludzie robią swoje, nie robią tego, co obiecują – mówiła. – Politycy mają skłonność o tym zapominać – dodawała.

Opowiadała też o filozofach z przeszłości, o ich rozważaniach i prezentowanych przez nich teoriach. Wspominała dzieło Nietzschego *Tako rzecze Zaratustra*. Mówiła też, że Simone de Beauvoir twierdziła, że nie rodzimy się kobietą: kobietą się stajemy. Wtedy zaprotestowałam. Dzisiaj gorzko żałuję, że nie słuchałam jej uważniej.

Nikomiu nie pozwolę nazywać nas komunistami.

Przez pozostałą część dnia trzymałam się z daleka od Erika Bergmana.

Wieczorem mężczyźni siedzieli wokół ogniska rozpalonego nad laguną i jak zwykle dyskutowali o różnych ważnych sprawach: tym razem rozmowa dotyczyła kobiety, której rekin odgryzł stopę.

– Kiedy to się stało? – dopytywał się Barbie. – Nic mi o tym nie wiadomo...

– Jesteś Wszechmogącym? Skoro o tym nie słyszałeś, to to się nie wydarzyło?

– Spokojnie, za kogo ty mnie masz?

– Nazywa się Anna Hill. Moja ciotka ją zna.

– Anna Hill miała stracić nogę w wodzie za rafą? A niby kiedy ona tam wypłynęła? Możesz mi powiedzieć?

– Może nie za rafą, może było to w pobliżu Penhryn. Zdaje się, że ma tam rodzinę.

– Anna Hill nie ma rodziny na Penhryn. Jej ojciec pochodzi z Atui...

– Gadanie. Nie było żadnego rekina. Zraniła się w nogę i wdała się infekcja, zaniedbała ją i musieli jej ją amputować...

– Kto to w ogóle jest? Anna Hill. Ta niska, z Tauhunu?

– Wcale nie jest taka niska.

– To ta z jedną nogą.

– Kto?

Erik Bergman podszedł, utykając, do ogniska i jak zwykle usiadł nieco z boku. Nagle wyobraziłam sobie, jak to musiało brzmieć w jego uszach – te wszystkie absurdy i bezsensowna gadanina – i poczułam, że mam tego dosyć.

Wstałam, odeszłam od ogniska i usiadłam na ławce obok nieużywanego dystrybutora paliwa. Księżyc był w ostatniej kwadrze. Krzyż Południa lśnił jasno nad laguną. Głosy mężczyzn ucichły. Łuk Drogi Mlecznej pokazał się na niebie: setki miliardów gwiazd w jednej ogromnej galaktyce. Rzeczywistość na Manihiki była bardzo ograniczona, ale wszechświat –

nieskończony.

– O czym myślisz? – spytał Erik Bergman, siadając obok mnie.

Spuściłam głowę i zawstydzona wpatrywałam się w ziemię.

– O niczym specjalnym.

– Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem. Nie chciałem.

Skinęłam głową, próbując się uśmiechnąć.

– Jestem przewrażliwiona. To ja powinnam cię przeprosić.

– Nie wiedziałem, że to drażliwa kwestia.

– Nie jest drażliwa.

Czułam ciepło jego nagich nóg, jakby łaskotanie. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Mężczyźni przy ognisku śmiali się. Szwed zwrócił swoje wodniste oczy ku niebu.

– Niebo tu jest niesamowite. W promieniu kilku tysięcy mil nie ma żadnego zanieczyszczenia światłem.

Nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale nie odezwałam się.

– Jesteś osobą wierzącą, prawda?

Erik chodził z nami do kościoła w każdą niedzielę, więc widział, że się modłę.

– Jak wszyscy tutaj.

– Myślisz, że jesteśmy sami we wszechświecie?

Spojrzałam na niego, nie do końca rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Pastor Boyd tak twierdzi.

Uśmiechnął się niepewnie.

– Naukowcy twierdzą, że życie może powstać w znacznie prostszy sposób, niż dawniej sądzono. Prawdę mówiąc, w sprzyjających okolicznościach życie powstaje wszędzie, cały czas.

Skinął głową w stronę laguny, wiatr od wody targał mu włosy. Przypomniałam sobie, jakie były miękkie. Jak włosy niemowlaka.

– Jedna z teorii mówi, że życie powstało na granicy wody i lądu. Na plażach wzdłuż oceanów, takich jak te – powiedział.

Spojrzałam na wąski pas piasku na brzegu. Czyżby właśnie tu znajdowała się kolebka życia?

– Co dokładnie masz na myśli?

Grzywka urosła, zakrywała brzydką bliznę na czole.

– Wiatr przechodził nad wodą, niosąc ze sobą najróżniejsze rzeczy, zarówno wtedy, jak i teraz. Organiczne molekuly skupiały się wzdłuż wybrzeży. Bańki, które powstawały na plażach, składały się z różnych substancji, będących przodkami błon komórkowych.

Jego stopa dotknęła mojej nogi, odsunęłam się, jakby mnie parzyła.

– Wiesz, że wszechświat wszędzie składa się z tych samych podstawowych pierwiastków? Wszystko, co istnieje, powstało w wyniku Wielkiego Wybuchu, wszystkie komórki, które są tobą, wszystko wokół nas. Gwiazdy tam w górze to węglowodór, światło wszędzie jest takie samo. – Podniecony gestykulował w powietrzu, na tle światła z ogniska jego dłonie były wyraźnie widoczne. – Jeśli gdzieś tam, we wszechświecie, są inteligentne stworzenia, zdolne tworzyć skomplikowane struktury społeczne, to powinny być podobne do nas. Powinny składać się z materiałów organicznych, być w stanie odbierać światło i dźwięki, mieć zdolność poruszania się, przemieszczania i komunikowania, umieć konstruować rzeczy i potrafić argumentować. Zapewne mają coś w rodzaju oczu i uszu, rąk i nóg. Prawdopodobnie po parze rąk i nóg, bo wszechświat wydaje się symetryczny. Muszą być w stanie jeść to, co istnieje na ich planecie...

– Ciekawe, czy mają orzechy kokosowe – roześmiałam się. Głośniej i serdeczniej niż zwykle.

– Mają wodę, a żyjątka, które w niej są, zapewne są jadalne.

– Ryby! – zawołałam. – I może kraby palmowe!

– Potrafią się rozmnażać – ciągnął Szwed. – Dbają o siebie, może potrafią kochać i przeżywać smutek...

Zamilkł, a ostatnie wypowiedziane przez niego słowa zawisły w powietrzu niczym świetlna poświata: kochać i przeżywać smutek.

Podniosłam głowę i zobaczyłam, że mężczyźni przy ognisku przestali rozmawiać, siedzieli i patrzyli na nas.

– Muszę zająć się zmywaniem – powiedziałam i wstałam. Nie mogłam złapać tchu.

Nikau i ja przytwierdziliśmy pływaki do lin, które zniknęły pod wodą – im głębiej, tym mniej było w wodzie tlenu, co nie było korzystne dla małż. Ale ze względu na prądy liny nie mogły też być zbyt wysoko. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jak wyjątkową wiedzę posiadaliśmy w dziedzinie tak wąskiej, że niemal nieistniejącej. Jednak dla mnie tak właśnie wyglądał świat. Poczułam ulgę, że nie musimy zabierać lin do warsztatu i tam ich czyścić.

Chociaż o innych rzeczach też sporo wiedziałam. Na przykład o brytyjskiej księżnej Dianie wiedziałam niemal wszystko. Ciotka Doris prenumerowała „Woman’s Weekly”. Każdy statek przywoził numery z poprzedniego roku. I prawie w każdym numerze było coś o brytyjskiej rodzinie królewskiej, głównie o pięknej, młodej księżnej. Sprawiała wrażenie bardzo nieszczęśliwej. Smutek w jej oczach kontrastował z jej eleganckimi strojami i drogą biżuterią, a akurat na biżuterii się znaleźliśmy, to była nasza branża.

Umieściliśmy w wodzie nowe sznury, przez miesiąc odpoczywały w lagunie. Ngaru przyjechał, żeby pomóc nam je rozciągnąć. Nie dawałam rady schodzić głębiej niż pięćdziesiąt metrów, a niekiedy było to konieczne, żeby zakotwiczyć linę. Zwykle schodziłam na głębokość trzydziestu metrów, brałam kamień do ręki i opuszczałam się. Pozwalałam, by pochłonęły mnie ciemności. To było fascynujące uczucie, nacisk na moje ciało stawał się coraz większy, światło znikało: jakaś część mnie chciała opadać dalej, zostać tam na zawsze, ale zwykle na mniej więcej trzydziestym metrze puszczałam kamień.

Kiedy lina główna została umieszczona na miejscu, musiałam szybko przytwierdzić do niej sznury z małżami, po dziesięć naraz.

Na dole było bajecznie pięknie. Nie czułam się już samotna. Sznury z małżami wyglądały jak słupy z macicy perłowej w katedrze, a ja unosiłam się między nimi: widziałam migoczące płomienie świec, kaskadę kolorów i kształtów, słyszałam ciszę i odbijające się w niej echem uderzenia mojego

serca. Ryby ocierały się o moje łydki. Kiedy mężczyźni odpoczywali w kanu po nurkowaniu, ja ustrzeliłam kilka *mahimahi* na kolację.

Gdzieś tam na łodzi był Erik Bergman, siedział pochylony nad rzędami liczb z grzywką opadającą mu na oczy.

Następnego dnia była sobota. Zebrałam *uto* i *nimata* na *enaka* i weszłam do kuchni, gdzie przy stole siedział Erik Bergman, ślęcząc nad stosem papierów. Przy zlewie stała Babcia Vaine. Zmywała filiżanki i nie zwracała na niego uwagi.

– Myślałam o tym, co powiedziałaś – zwróciłam się do Erika. – O tym, że mamy tu wykształconych ludzi, ale prawie nikt nie zna się na pieniądzach. Czy chcąc zajmować się księgowością, trzeba umieć liczyć w pamięci?

Uniesione brwi.

– Niekoniecznie. Do rachunków używam kalkulatora. Natomiast na pewno trzeba być dokładnym. To jest najważniejsze. Czemu pytasz?

– Jak można się nauczyć ekonomii? Trzeba studiować na uniwersytecie?

– Jeśli chce się zrobić dyplom, to tak.

– Byłeś kiedyś na uniwersytecie?

Erik odłożył pióro i spuścił wzrok, jego drobna dłoń leżała na blacie.

– Mam doktorat z uniwersytetu w Lund. Pisałem o Systemie Rezerwy Federalnej.

Czułam, że otwieram szeroko usta.

– Ale... To przecież...

– To bank amerykański – dokończył Erik.

– Jesteś bardzo wykształconym człowiekiem – powiedziałam.

Babcia Vaine prychnęła przy zlewie.

– Pracowałeś w banku w Szwecji? – pytałam dalej.

– W Londynie.

Słyszałam o Londynie. To była stolica Wielkiej Brytanii. Ogromne miasto, jedno z największych na świecie. Z ogromną katedrą. Świętego Pawła. Księżna Diana brała tam ślub. Trudno było mi sobie wyobrazić, że Erik chodził po ulicach Londynu, że tam mieszkał.

– To zabawne? Praca w banku w Londynie?

Rzucił mi szybkie spojrzenie.

– Zabawne nie jest właściwym określeniem.

– Potrzebujemy więcej *nimata* – powiedziała Babcia Vaine. – Pospiesz się, zanim zaczną padać.

Tak naprawdę to nie potrzebowaliśmy *nimata*, ale nie zaprotestowałam, tylko wykonałam polecenie.

Późnym wieczorem nadeszła burza z piorunami i błyskawicami. W niedzielę lało jak z cebra, wielkie krople deszczu uderzały o blaszany dach. Po kościele Papa Tane powiedział, żeby Szwed wziął z chaty materac i położył go w naszym salonie. Nie chcieliśmy, żeby przemókł. Deszcz był niczym mur, na kuchni paliła się lampka, chociaż było dopiero wczesne popołudnie. Papa Tane i Mama Evelyn poszli odpocząć, Amiria była u Erlandsenów, a Babcia Vaine została dłużej w kościele. Nikau i Barbie poszli biegać na terenie za lotniskiem, czego nie wolno im było robić w niedzielę, ale nikt o tym nie wiedział, więc nie miało to znaczenia – co z oczu, to z serca. Siedziałam i czytałam książkę, na zewnątrz burza przybierała na sile. Szwed liczył na kalkulatorze, jednak po chwili płomień w lampce zaczął migotać i zgasł. Pochłonęła nas szara, bezkształtna ciemność.

Wpatrywałam się w ciemną kartkę przede mną, *Wybór Zofii* Williama Styrona. Historia kobiety, która gdy trafiła do nazistowskiego obozu koncentracyjnego, została tam zmuszona do tego, by wybierać między swoimi dziećmi.

– Masz dzieci? – spytałam. Zło opisane w książce kleiło mi się do palców.

– Nie. Niestety nie.

Pomyślałam o Zofii. Miałam ją przed oczami. Widziałam, jak stoi na peronie w Auschwitz, patrząc, jak strażnicy zabierają jej małą córeczkę do krematorium. Gdyby Mama Evelyn miała wybierać między mną a Moaną, domyślałam się, co by zrobiła.

Poruszona odłożyłam książkę.

– W Szwecji też zdarzają się burze, prawda? – spytałam.

Szwed zamknął zeszyt.

– Nie aż takie jak tu. Ale czasem rzeczywiście grzmi.

Mówił nieśpiesznie, z lekkim zaśpiewem.

– W dawnych czasach, jeszcze przed chrześcijaństwem, mieliście boga

burzy, tak samo jak my – powiedziałam. – Thora. Z jego słynnym młotem, Mjölnerem.

Szwed roześmiał się cicho, przyjaźnie. Biło od niego ciepło.

– Nie przestajesz mnie zadziwiać – powiedział.

Zamknęłam oczy, pozwoliłam, by Zofia odeszła gdzieś daleko i wsłuchiwałam się w jego oddech.

– Pewnego ranka, kiedy Thor się obudził, Mjölner zniknął – ciągnęłam. – Ukradł go olbrzym Thrym. Oświadczył, że nie odda go, jeśli bogini Freja nie zostanie jego żoną. Ale Freja nie chciała wyjść za Thryma, więc Thor przebrał się za pannę młodą i ożenił się z Thrymem, a kiedy odzyskał swój młot, zabił i Thryma, i jego siostrę.

– Niewiarygodne – powiedział Erik. – Nie znałem tej opowieści.

– Nie znasz swojej historii?

– Najwyraźniej nie. Skąd ty to wiesz?

– Takie rzeczy mnie interesują – powiedziałam, nie wspominając, że znalazłam krótki artykuł o dawnych wierzeniach w jednym ze szkolnych podręczników Moany.

– A co wiesz o naszej historii? – spytałam.

– Niewiele.

– Zanim przybyli tu *papa'as*, byliśmy kanibalami.

– Słyszałem.

– Najgorsi byli ci na Atiu, na południu. Podbijali inne wyspy i zjadali swoich wrogów. Tak stało się na Mauke i na Mitiaro.

– Brzmi przerażająco.

– Atiu to wyspa strachu. Babcia Vaine była tam. Cały brzeg pokrywa *makatea*, ostro zakończone koralce. Dojście do morza jest tylko w kilku miejscach. Na wyspie są doły i nory, w których znikają zarówno zwierzęta, jak i ludzie, w jaskiniach są resztki setek ciał, zapewne wrogów, których zjedli...

Pomyślałam, że opowiadam jakieś bzdury, i zamilkłam. Miałam

wrażenie, że deszcz nieco zelżał.

– Mogę zadać ci osobiste pytanie? – spytał Szwed.

– Oczywiście – powiedziałam i poczułam, jak przyspiesza mi tętno. –
A o co chodzi?

– O twoje włosy.

Uniosłam ręce, przeciągnęłam palcami przez sterczące na wszystkie strony kosmyki. Nie obcinałam ich od nocy, kiedy zmarła Moana. Wtedy obciąłam je maczetą, a potem pozwoliłam, żeby po prostu rosły. Teraz sterczały na wszystkie strony.

– A konkretnie?

Szwed milczał chwilę.

– Prawie wszystkie tutejsze kobiety mają długie włosy. Ty... się wyróżniasz.

W pokoju panowały ciemności, bardziej domyślałam się, gdzie jest, niż go widziałam.

– Nie tylko tym. Nie jestem też taka potężna jak inne kobiety.

Ngaru często mi to wypominał. Prawdziwy mężczyzna powinien karmić swoją kobietę tak, żeby wiatr nie mógł jej porwać.

– Całymi dniami nurkujesz. Nic dziwnego, że nie masz warstwy tłuszczu.
Powietrze jakby zgęstniało.

– Kobiety w Szwecji mają długie włosy? – spytałam niemal bezgłośnie.

– Niektóre.

Księżna Diana miała krótkie, jasne włosy i była bardzo chuda, niemal tak chuda jak ja.

– Mogę dotknąć? – spytał.

Czułam, jak mocno bije mi serce.

– Moich włosów?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Wstałam i podeszłam do niego. Usiadłam obok jego chorej lewej nogi, a on przeciągnął dłońią po moich włosach.

– Masz czucie w ręce? – wyszeptałam.

– Nie – powiedział z twarzą tuż przy mojej.

Pochyliłam się i pocałowałam go. Miał wąskie, twarde usta, oparłam język na jego dolnej wardze i chłonełam jego oddech. Smakował świeżo, morzem i limonką. Czułam, jak pieści dłońmi moją szyję, kark, odsunął krzesło, usiadłam okrakiem na jego kolanach, nie odrywając się od jego ust. Jęknął lekko z bólu, kiedy dotknęłam jego nogi, złamania nie zagoiły się tak jak powinny, pewnie potrzebna byłaby operacja, żeby pozbył się bólu. Rozwiązałam moje *pareu* i pozwoliłam mu opaść. Widziałam, jak jego członek napiera na materiał szortów. Czułam jego dłonie na moich plecach, westchnął, kiedy zaczęłam rozpinać mu rozporek. Wstałam, zdjęłam bieliznę i czekałam: byłam tak mokra, że wszedł we mnie natychmiast. Zaczęłam szybko się poruszać, kiedy nagle chwycił mnie za biodra – zwolniłam. Poczułam się zdezorientowana. Czyżbym zrobiła coś nie tak? Po chwili puścił mnie, nachylił się nade mną i zaczął ssać moje sutki. Zakręciło mi się w głowie, pod powiekami widziałam czerwień, purpurowy zachód słońca. Poczułam, jak przechodzi mnie fala gorąca, od podbrzusza po czubki włosów.

Po wszystkim opadliśmy na podłogę. Leżałam w jego objęciach, czując bliskość, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczałam. Jego ciało było twarde i gładkie, a oddech – jak chłodny powiew wiatru na moich plecach. Gładził mnie po włosach.

– Jest coś, o co chcę cię spytać – odezwał się cicho. – Dlaczego zawsze trzymasz się nieco na uboczu?

Zamknęłam oczy, czułam zapach jego skóry, pachniała solą i migdałami.

– Rzadko rozmawiasz z ludźmi. Jest jakiś powód?

Cisza aż dudniła, poczucie wstydu i winy sprawiło, że z trudem oddychałam.

Wtedy opowiedziałam mu o Moanie.

W dniu, w którym utonęła moja starsza siostra, sprawdzaliśmy główne liny. Zwykle wypływaliśmy przed świtem, ale rano było pochmurne, krople deszczu uderzały w wodę i łąd kaskadami żelaznych gwoździ. Papa Tane miał wątpliwości, czy w ogóle powinniśmy wypływać. Moana była w złym humorze, marudziła, chciała zostać na łądzie. Właśnie dostała okresu i bolał ją brzuch. Bała się rekinów, więc w taki dzień jak tamten na pewno wolałaby zostać w domu. Jej marudzenie wywoływało u mnie dziwne podniecenie. Stawiałam sobie za cel nie narzekać na pracę. Byłam sprawna, świetnie nurkowałam i byłam z tego dumna. Czułam złośliwą satysfakcję, że w czymś byłam lepsza od niej.

Pamiętam, że czekałyśmy razem w naszym pokoju nad warsztatem, patrząc na tańczące nad laguną chmury. Sunęły nad wodą niczym kotary mgły, krople deszczu odbijały się od blaszanego dachu z ogłuszającym hukiem. Dzień był szary, czułam niepokój. Sięgnęłam po *Filary ziemi*, żeby się uspokoić. Moana położyła się na łązku, żeby zapomnieć o bólu. Nie wiem, gdzie był Nikau.

Okolo dziesiątej deszcz nieco zelżał i Papa Tane uznał, że możemy wypłynąć. Niekiedy płynął z nami, ale akurat tego dnia został w domu, chciał zająć się rachunkami. Nigdy sobie tego nie wybaczył.

Popłynęliśmy aluminiową łądką zamiast jedną z tradycyjnych łądzi – nie żeby to miało jakikolwiek wpływ na późniejsze wydarzenia.

Moana czuła się nieco lepiej i kiedy wypłynęliśmy, kierując się w stronę naszego łąwiska na lagunie, nawet coś nuciła. Miała jasny, czysty głos w przeciwieństwie do mojego, nawet w tym była lepsza ode mnie.

Na lunch zjedliśmy trochę *uto* i grillowaną rybę, Nikau opowiadał najświeższe plotki z Tauhunu, o chłopaku, który nieco za dużo wypił i dopłynął nie do tej wyspy, do której chciał. Moana śmiała się, wtedy po raz ostatni słyszałam jej śmiech. Płynęliśmy dalej. Zanurkowałam, żeby sprawdzić głębokość i prądy: wokół mnie rosła katedra, chór śpiewał. Woda, która otaczała moje ciało, gdy płynęłam, by wynurzyć się na powierzchnię,

była jak kamienie.

To był długi i ciężki dzień pracy. Duża część lin była zdecydowanie za głęboko, nadmiernie obciążona dużą ilością małż, muszli i śmieci. Pływaki nie dawały rady utrzymać lin na właściwej głębokości. Pomyślałam, że trzeba będzie je oczyścić. Wolałabym tego uniknąć, bo zdjęcie lin i dostarczenie ich do warsztatu wymagało wiele wysiłku.

Nurkowaliśmy obok siebie, moje rodzeństwo i ja, odległość między każdym z nas wynosiła mniej niż dziesięć metrów, sprawdzaliśmy liny. Mieliśmy pilnować się nawzajem, nie oddalać się za bardzo i zawsze mieć się w zasięgu wzroku. Ale po deszczu widoczność była kiepska, liny były ciężkie i gęsto rozmieszczone, tak to później tłumaczono. Tak czy inaczej, ani ja, ani Nikau nie zorientowaliśmy się, że Moana utknęła.

Nikau zszedł na głębokość około trzydziestu metrów, żeby sprawdzić jedną z lin kotwiczących, z którą już wcześniej były kłopoty, więc cała odpowiedzialność spadła na mnie. Byłam tuż obok niej, powinnam była zauważyć, powinnam była zwrócić na to uwagę, powinnam była... Kiedy ostatnim razem ją widziałam, a przynajmniej tak mi się wydaje, była tuż za mną: ciemny kształt w wodzie. Wiem, że kręciło mi się w głowie, że miałam wysokie tętno, że nieco za długo byłam pod wodą. Pamiętam, że dałam jej znak, że wypływam, ale nie zaczekałam, aż potwierdzi, tylko ruszyłam ku światłu, ku sklepieniu katedry w Kingsbridge.

Mimo że wiatr już ustał, miałam wrażenie, że kołyszę się na wodzie. To był długi dzień i byłam zmęczona. Zdjęłam okulary i rozejrzałam się, wyjęłam z ust fajkę do nurkowania i poruszając nogami w wodzie, czekałam na pozostałych. Słona woda paliła mi usta, otulała moje ciało niczym gruby, mięsisty jedwab. Słońce już wyszło, czułam rytmiczne dudnienie fal przy rafie, jakby ziemia pulsowała. Światło wydawało się ostre, może dlatego, że w nocy ciemność była aż gęsta. To działo się niedługo po tym, jak na wyspie skończyły się zapasy ropy.

Nikau pojawił się na powierzchni po mojej prawej stronie, kosz na jego

piersiach uniósł się, kiedy zaczerpnął powietrza i rzucił się plecami na wodę.

– Widziałaś papugoryby? – zawołał, kiedy znów się pojawił.

– Powinniśmy byli wziąć harpun.

– Widziałaś rekina? Płynął tuż za tobą.

– Moana na pewno się przestraszyła.

Pamiętam, że roześmiałam się, szczerze rozbawiona na myśl o mojej siostrze i jej fobii.

– Gdzie ona jest? – spytał nagle Nikau.

Spojrzałam na zachód, błyszcząca turkusowa woda drażniła oczy. Na horyzoncie majaczyły palmy.

Jak długo była pod wodą? Cztery minuty? Pięć? To nie tak długo, zarówno ona, jak i ja mogłyśmy wytrzymać znacznie dłużej. Siedem minut? Osiem?

Nagle jakiś hałas w głowie zagłuszył wszystkie dźwięki, włożyłam maskę, fajkę i zanurkowałam. Woda wokół mnie wrzała, nawet w czubkach palców czułam adrenalinę, schodziłam coraz głębiej, na chwilę oślepił mnie promień słońca.

Moana, z głową owiniętą liną, wisiała na głębokości dziesięciu metrów. Jej długie włosy były splątane: kłębowisko sznurów, małą, drutu. Okulary i fajka wisiały wokół jej szyi, zdjęła je, próbując się wyplątać. Oczy i usta miała szeroko otwarte w niemym krzyku.

Miałam wrażenie, że moje ręce zamieniły się w ręce robota. Zaczęłam szarpać jej włosy, ale po chwili zrozumiałam, że przynosi to skutek odwrotny do zamierzonego, i zaczęłam rozplątywać je palcami. Jej ciało poruszało się powoli, ręce unosiły się nad jej głową, uderzały mnie w twarz, zimne jak ryby. Główna lina opuściła się zbyt głęboko i zaplątała w dwie mniejsze. Moana najwyraźniej próbowała je rozdzielić, ale wtedy musiało się wydarzyć coś, co sprawiło, że zamiast zachować ostrożność, spanikowała. Minęła minuta, dwie, zaczęłam płakać. Moana była pod wodą co najmniej osiem minut, może nawet dziewięć. Obok mnie pojawił się

Nikau, razem zaczęliśmy ciągnąć linę, mijały kolejne minuty: jednaście, może dwanaście, musieliśmy wypłynąć na powierzchnię.

– Mamy nóż na łodzi? – krzyknął Nikau.

Wiedziałałam, że nie, został w warsztacie. Nikau podciągnął się na rękach, wszedł do łódki, zaczął szukać noża. Nie znalazł go.

Ponownie zanurkowaliśmy, Nikau oderwał kilka małż i próbował użyć twardych skorup, żeby uwolnić włosy Moany, ale były mokre i stawiały opór – piętnaście, może nawet już szesnaście minut – stalowy drut, którym przymocowane były małże do liny, był za twardy, żeby poddać się muszli.

Poczułam, że światło znika, i wypłynęłam na powierzchnię.

Słońce pokonało już chmury, świat był jasny i niebieski. Świadomość tego, co się stało, była jak lód.

Moana była pod wodą już ponad dwadzieścia minut! Nikt nie przeżyłby tak długo, nawet Papa Tane.

Kiedy Nikau wypłynął na powierzchnię, oboje zaczęliśmy płakać: łzy mieszały się ze słoną wodą.

Zostawiliśmy ją tam, dziesięć metrów pod powierzchnią, kołyszącą się łagodnie w rytm fal.

Krzyczące oczy mamy. Biała twarz taty, kiedy rzucił się do łodzi i ruszył w stronę naszego łowiska. Nie słyszał, jak wołałam, że musi wziąć ze sobą nóż. Też nie udało mu się jej uwolnić. Wrócił, pobiegł po Everesta, policjanta, i razem zanurkowali, by maczetą uwolnić ją z liny.

Jak daleko sięgałam pamięcią, zawsze spałam razem z Moaną, więc kiedy przyплыnęła łódź z jej ciałem, wiedziałam, że wszystko jest nie tak. Jej ciało zostało pozbawione życia. Jej długie kruczoczarne włosy kleiły się jej do piersi i ramion, jakby została uduszona przez wielką kałamarnicę. Miałam wrażenie, że zmaląa.

Już wcześniej widywałam martwych ludzi, ale w lecznicy i nigdy nie był to ktoś, kogo kochałam. Zaczęłam iść po omacku, upadłam, krzyczałam bezgłośnie, aż zabrakło mi powietrza. Czułam na sobie spojrzenia mieszkańców Tukao przyklejone do mojego ciała. Nikt nie powiedział tego głośnie, ale wszyscy wiedzieli, że to była moja wina.

N garu przyplłynął z Tauhunu. Miał aluminiową łódź starego typu, długą na trzy i pół metra, i cztery litry ropy w baku. Widziałam go z daleka, jakby w tunelu. Szedł, nie dotykając ziemi, zbliżył się i objął mnie, nic nie mówiąc, a przynajmniej ja nic nie słyszałam. Chciało mi się płakać, ale nie mogłam zaczerpnąć powietrza. Miałam sucho w ustach, ze wstydu. Twarz Mamy Evelyn była pusta, miała białe wargi, jakby pozbawione krwi. Wiedziałam, co myśli: powinnam była ją zobaczyć, powinnam była.

Grzebiemy naszych zmarłych w ciągu dwudziestu czterech godzin. Moana była gotowa: została umyta i ubrana, a Babcia Vaine śpiewała jej po maorysku pieśni, które miały pomóc jej przejść na drugą stronę. Amiria siedziała obok i płakała, z oczu leciały jej drobne łzy, tak małe i piękne jak ona sama. Chciałam ją objąć i pocieszyć, ale moje ręce były zbyt ciężkie, żebym mogła je podnieść. Pastor Boyd odmówił *pure*.

Otarikura, narzeczony Moany, najprzystojniejszy chłopak na całej wyspie, minął mnie, nawet nie patrząc w moją stronę. Czułam jego milczenie unoszące się w powietrzu nad moją głową. Uczestniczył w kopaniu grobu i zbijaniu trumny, wszyscy mężczyźni brali w tym udział. Potem mężczyźni, także Nikau, zebrali się u Everesta, policjanta. Zgon został już wcześniej zgłoszony drogą radiową policji w Rarotondze. Postanowiono nie przeprowadzać dochodzenia. Everest uznał, że był to wypadek. Nikt nie ponosił winy. Nikt niczego nie zaniedbał, chociaż ja wiedziałam swoje. Jej imię, Moana, znaczyło morze i wieczność, na wieki wieków, amen.

Kobiety płakały i rozmawiały głośno w kuchni w Dużym Domu, który tak naprawdę wcale nie był taki duży. Ich głosy brzmiały jak powiew wiatru. Podano jedzenie i picie, pocieszano tych, którzy tego potrzebowali.

Jedliśmy *mahimahi*, grillowane na liściach kokosowych, *ika mata* z limonką i piliśmy mleko kokosowe z *paara*.

Miejsce obok mnie było puste. Zwykle siadywała tam Moana, ciepło promieniujące z grilla parzyło mnie.

– Chciałabyś żyć wiecznie? – spytała Moana kiedyś, gdy tu siedziałyśmy. To było tak niedawno.

– A ty? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

Był wieczór, jak dzisiaj, w ciągu dnia padało, ale pod wieczór się wypogodziło. Pamiętam, że spojrzała na grill, na którym nadal żarzyły się skorupy po orzechach kokosowych, jej twarz na tle ognia wydawała się jaskrawoczerwona.

– Kiedyś czytałam o rodzinie, która znalazła źródło młodości. Wypili z niego i przestali się starzeć. Nie mogli też umrzeć. Żyli i żyli. Mogli wypływać daleko w morze. Mogli skakać z wysokich skał. Syn miał dziewiętnaście lat, kiedy napił się ze źródła. Pewnego dnia spotkał dziewczynę, która była o kilka lat od niego młodsza. Zakochali się w sobie tak szaleńczo, że nie mogli bez siebie żyć. Ale rodzina nie mogła przebywać długo w jednym miejscu, bo okoliczni mieszkańcy stawali się podejrzliwi, więc po jakimś czasie zawsze ruszali dalej. Zaprowadzili dziewczynę do źródła i zdradzili jej swoją tajemnicę. Była zrozpaczona, kiedy zrozumiała, że zostanie sama, ale obiecała swojemu narzeczonemu, że w dniu, kiedy skończy dziewiętnaście lat, napije się wody ze źródła, a potem będą żyli razem w wiecznej młodości...

Słuchałam jej z zapartym tchem.

– I co się stało? Połączyli się?

Moana wstała, podeszła do werandy.

– Chcesz dokładkę? – spytała.

– Najpierw dokończ opowiadać.

– Po wielu latach chłopak znalazł jej nagrobek. Dożyła dziewięćdziesięciu trzech lat, doczekała się wnuków i prawnuków. Chłopak płakał ze szczęścia, że podjęła słuszną decyzję. Chcesz jeszcze ryby?

Moana lubiła jeść, ale nie była tęgą. Nurkowała niemal równie dużo jak ja, tyle że w przeciwieństwie do mnie nie sprawiało jej to radości.

Kiedy zapadł ciemny zmrok, Ngaru pociągnął mnie za sobą i ruszyliśmy

przez osadę, minęliśmy nowe lądowisko i poszliśmy na rafy. Poranny wiatr powrócił, targał koronami palm, fale oceanu mruczały głucho i ciężko. Kury i prosięta spały ukryte w zaroślach; kiedy zamykałam oczy, słyszałam ich oddechy. Położyliśmy się na macie z *kikau*, brązowych liści palmy. Wszedł we mnie szybko i mocno, byłam niegotowa, sucha, i zagryzłam zęby z bólu. Potem moja pustka zrobiła się jeszcze większa.

Kiedy Ngaru zasnął obok mnie na górze w warsztacie, ja jeszcze długo nie mogłam spać. W klatce piersiowej i w nogach czułam ćmiący ból. Łóżko Moany po drugiej stronie pokoju było ogromne i puste. Za oknem szeptała laguna, firanki poruszały się w przeciągu. Wiatr był niemal chłodny, pełen płaczu. Miałam wrażenie, że słyszę śmiech Moany, ale pewnie to tylko trawy śpiewały.

W końcu zesłam na dół i znalazłam nóż, który leżał obok harpuna. W świetle lampki z tłuszczem wieprzowym obciąłam sobie włosy, tuż przy skórze głowy.

Odnóża kałamarnicy obejmowały moje stopy, ogrzałam je na żarze, który nadal tlił się w palenisku.

Dzień po śmierci Moany pamiętam jedynie w luźnych, niepowiązanych ze sobą fragmentach. Manihiki obudziło się zapewne tak, jak budziło się każdego innego ranka – z różową wstęgą nad horyzontem, która wznosząc się na niebie, stawała się coraz większa. Koguty piał, a ocean huczał.

Kiedy Ngaru się obudził, spytał przerażony, co stało się z moją głową. Nie wiedziałam, o co mu chodzi. Obcinając włosy, zacięłam się w kilku miejscach i najwyraźniej w nocy nieco krwawiłam. Powiedział, że mam się ubrać i doprowadzić do porządku, i poszedł do kościoła. Posłuchałam go, poszłam do łazienki i zmyłam z siebie krew. Opowiedziałam wiatrowi, do czego doszłam.

– Myślę, że to przez tego rekina. Przestraszyła się go.

– Przez rekina? – dziwił się wiatr.

Chciałam mu wszystko wytłumaczyć, ale odebrało mi mowę. To był rekin, ale całkowicie niegroźny. Nikau widział go tam na dole, ale ja go nie zauważyłam. Moana pewnie też go zauważyła, cofnęła się i zaplątała się w liny i druty. Spanikowała. Powinnam była to zauważyć, powinnam była.

Uroczystość w kościele pamiętam jak trwające bez końca zanurzenie. Woda napierała na mnie ze wszystkich stron, oczy piekły z powodu braku tlenu, zmysły nie działały tak jak powinny. Ludzie pływali wokół mnie, mieli mętne oczy, w rękach trzymali prezenty: jedzenie i maty zamieniały się w pływy i rekiny, słowa odbijały się od ścian katedry. Wszyscy tam byli – zakładam, że powinni. Pamiętam, że był tam Barbie w bardzo ekstrawaganckiej kreacji w kropki i z falbankami, i w zbyt mocnym makijażu. Tanga wydawał się względnie trzeźwy. Byli też rodzina Erlandsenów i ich upośledzona ciotka, najlepsza przyjaciółka Moany, Reo Cheval, Fete Jensen i Kapitan Mareko i wszyscy jego synowie.

Nikt nie pytał o moje włosy, a przynajmniej ja sobie tego nie przypominam.

Tak naprawdę oprzytomniałam dopiero pod wieczór, kiedy wszyscy nurkowie z osady zebrali się w łodziach na *pokuru*. Nasza rodzina popłynęła jedną z większych, starszych łodzi, zbudowanych jeszcze przez dziadka. Siedziałam między ojcem a Nikau, Amiria była za mała, by nurkować, a mama nie potrafiła. Trzymałam w dłoni czerwone kwiaty hibiskusa z grobu dziadka.

Łodzie, około czterdziestu, zebrały się w kręgu w miejscu, gdzie Moana utonęła. Wiatr umarł razem z nią, fale uderzały o burzę, poza tym panowała cisza. Łódź pastora Boyda zatrzymała się w środku kręgu, pastor odmówił *pure*, modlitwa położyła się na wodzie i nakryła fale, odbijając się echem w mojej głowie. Kiedy zamilkł, Papa Tane skinął głową na mnie i Nikau. Dałam każdemu z nich po jednym hibiskusie. Opuściłam łódź zwrócona plecami do wody, zawsze tak robiłam. Trzymając ręce nad głową, kolana przy brodzie, zeszliśmy na głębokość dziesięciu metrów, do lin. Były poszarpane od cięć maczetą, w kilku miejscach zostały kosmyki włosów Moany. Szybko zaczęło brakować mi powietrza, mimo że zwykle wytrzymywałam znacznie dłużej. Papa Tane wziął moją rękę i rękę Nikau i staliśmy tam razem jakąś minutę, przypatrując się kosmykom długich włosów Moany, po czym wypuściliśmy z dłoni kwiaty. Dołączało coraz więcej nurków, przybywało kwiatów. Widziałam, jak powoli wracają na powierzchnię, do światła, otoczeni unoszącymi się wokół nich bańkami powietrza.

Papa Tane wyciągnął mnie na powierzchnię.

Tu świat trwał nadal. Funkcjonariusz Everest zaintonował pieśń, zaczęliśmy śpiewać, chociaż nie sędzę, żeby mój głos był słyszalny. Uderzaliśmy dłońmi o wodę, uderzałam cały czas, bez przerwy, *pokuru*, *pokuru*, błogosławiliśmy miejsce, gdzie zmarła Moana, żeby woda uwolniła jej duszę, by mogła pójść do nieba.

W drodze do domu płakałam w łodzi.

Pustka po Moanie była jak dziura w czasie, jak trójwymiarowy cień, czerń głębsza niż najczarniejszy mrok. Prześladowała mnie we dnie i w nocy, towarzyszyła mi, kiedy pomagałam mamie zszywać rany w lecznicy, i pod wodą, kiedy nurkowałam, by sprawdzić liny. Wszyscy to widzieli, wszyscy wiedzieli. Niosłam w sobie jej cień, niczym mój własny, moja wina stała się moją drugą skórą.

Czasem, kiedy nikt nie słyszał, rozmawiałam z nią. Często czytałyśmy razem Biblię, rozmawiałyśmy o cudach Chrystusa i niezbadanych wyrokach Pana. Moana odnosiła się krytycznie do Starego Testamentu, uważała, że jest reakcyjny, ale ja lubiłam zawarte w nim opowieści: o żonie Lota, która zamieniła się w słup soli, bo nie mogła się powstrzymać i obejrzała się, by spojrzeć na ogień i siarkę padające na Sodomę i Gomorę, o potopie i arce Noego, o tym, jak mały Dawidek zebrał pięć gładkich kamieni i trafił nimi z procy olbrzymu Goliata w czoło. Ulubioną opowieścią Moany było *Kazanie na górze* według Ewangelii Świętego Mateusza, a także historia o gorejącym krzewie na stepie według Ewangelii Świętego Łukasza.

– Jezus opowiadał o znaczeniu człowieka dwa tysiące lat przed przyjęciem przez Zgromadzenie Narodowe ONZ swojej deklaracji – stwierdziła Moana.

Zawsze się denerwowałam, kiedy mówiła o rzeczach, których nie rozumiałam. Organizacja Narodów Zjednoczonych była dla Moany czymś bardzo ważnym, często o niej wspominała. Chciała studiować politologię i wiedzę o państwie i pracować dla UNICEF-u, walczyć o prawa dzieci.

Bez przerwy opowiadała o sprawach, które ją zajmowały, ale też o tym, czego się bała. Bała się rekinów. Małe rekiny pływające przy rafach w lagunie nie były groźne, Moana wiedziała, że jej strach jest irracjonalny.

– Tamtego dnia płynął za nami rekin – powiedziałam jej. – Nie zauważyłam go, ale ty najwyraźniej tak. Liny się poplątały i wtedy go dostrzegłaś, i przestraszyłaś się. Cofnęłaś się, wpadłaś między liny i tam utknęłaś. Powinnam była to dostrzec, powinnam była ci pomóc.

Wtedy Moana zamilkła, spochmurniała i zniknęła wśród cieni.

– Nie zauważyłam go! – zawołałam za nią. – Przepraszam. Nie widziałam go.

Ciągle wracałam do lektury tygodników Mamy Evelyn. W świetle lampki mogłam wyczytać, że opisywane w artykułach kobiety były albo prawdziwymi kobietami sukcesu, albo ofiarami jakichś strasznych tragedii, albo i jedno, i drugie. Opowiadały o swoim cierpieniu bądź radościach, siedząc w pięknie umeblowanych salonach – we wszystkich domach były tapety – czy we wspaniałych ogrodach. Wszystkie były albo aktorkami, albo prowadziły programy w stacjach telewizyjnych, były artystkami lub modelkami. Niektóre miały sławnych mężów. Zdarzało się, że któraś wcześniej za dużo piła, ale udało jej się zerwać z nałogiem i wrócić do życia. Była też seria artykułów zatytułowanych „Hollywood, miasto marzeń”. Jeden z nich poświęcony był Jennifer Grey, aktorce, która grała Baby w *Dirty Dancing*. Jakiś reporter umówił się z nią w Los Angeles. Zamieszczono jej zdjęcie z profilu na tle samochodów i wieżowców. Uśmiechała się do kamery, zupełnie inaczej niż w filmie. W artykule napisano, że zaczęła swoją karierę od występowania w reklamówkach napojów.

Na Manihiki nie mieliśmy ani reklam, ani słodkich napojów. Zresztą nie mieliśmy też gazet, radia ani telewizji. Nie mieliśmy samochodów, tylko jeden traktor, który rozwoził towary po domach po rozładowaniu statku.

Zrobiło się już późno, ale sięgnęłam po podręcznik do geografii Moany i zaczęłam szukać informacji o Los Angeles. Było to drugie co do wielkości miasto w Stanach Zjednoczonych, położone nad Oceanem Spokojnym na południowo-zachodnim wybrzeżu kraju. W mieście mieszkało ponad piętnaście milionów ludzi.

Opuściłam podręcznik na kolana, po chwili wstałam i podeszłam do okna. Patrzyłam na lagunę. Była pełnia, powierzchnia wody mieniła się w księżycowej poświacie.

Jak to możliwe, że łączy nas to samo morze?

Książki, które miałam, czytałam tak dużo razy, że prawie znałam je na pamięć, zresztą nie tylko moje, także te, które należały do innych mieszkańców osady. Grzbiety „Woman’s Weekly” zaczęły się rozłazić i mama była niezadowolona. W końcu pożyczyłam od Tangi kilka pornosów, żeby zająć się czymś innym. Nie było w nich dużo tekstu, a część stron była posklejana i nie dało się ich otworzyć. Czytałam o mężczyznach z ogromnymi członkami, którzy lizali kobiecie łona, wywołując lawinę orgazmów, co podobno było dość niezwykle. Lektura takich artykułów nie sprawiała mi przyjemności.

Wszyscy w rodzinie przeżywali to, co się wydarzyło, na swój sposób. Amiria od czasu do czasu płakała, rycząc wniebogłose. Nastawiała kasety tak głośno, że miałam wrażenie, że zaraz zwariuję: Michael Jackson śpiewał *The Way You Make Me Feel*, Rick Astley *Never Gonna Give You Up*, kobiety, których nie znałam, śpiewały o tym, że *Heaven is a Place on Earth*, albo zastanawiały się *Where Do Broken Hearts Go?* Czasem wypływałam łodzią na lagunę, żeby nie musieć tego słuchać. Amiria narzekała bardziej niż zwykle na kiepskie posiłki w szkole – zazwyczaj chodziło się za budynek szkoły i ścinało maczetą kilka *uto*, będących mięsistą wersją orzechów kokosowych. Niektórzy próbowali dodawać do nich bulion lub zioła, niekiedy pastę do zębów, ale przyprawione mi nie smakowały, wolałam jeść je na surowo.

Nikau pił więcej niż wcześniej. W sklepie u Ciotki Kai alkohol dawno już się skończył, co jednak nie miało większego znaczenia, bo wielu pędziło własny. Najlepszy miał Tanga, może dlatego, że sam lubił pić. Teraz delektował się samogonem razem z Nikau: siedzieli na dworze przed warsztatem i rozmawiali, chociaż nikt nie wiedział o czym. W te wieczory, kiedy Tanga za dużo wypił i nie był w stanie wrócić do domu, wkładał kamizelkę ratunkową, przywiązywał się do pomostu i spał, unosząc się na wodzie.

Otarikura, narzeczony Moany, traktował mnie z jawną wrogością i głośno

oskarżał o to, o czym nikt co prawda nie mówił, ale o czym wszyscy myśleli. Poczułam ulgę, kiedy wyjechał do rodziny na Rakahandze. Jednak cienie pozostały.

Mama Evelyn stawała się coraz bardziej milcząca. Codziennie chodziła do lecznicy, gdzie jak zwykle mierzyła ciśnienie, walczyła z wszami u dzieci, wydawała lekarstwa i nastawiała drobne złamania na tyle, na ile mogła to zrobić bez rentgena.

Papa Tane pracował więcej niż kiedykolwiek, schudł, co akurat było dobre.

Babcia Vaine, która w swoim życiu napatrzyła się na wiele nieszczęść, a przynajmniej tak twierdziła, była jedyną osobą, która wydawała się nieporuszona śmiercią Moany.

– *E' enua te po, e takarorongā te ao* – oświadczyła.

Naszym prawdziwym domem jest świat duchów, ziemia to jedynie miejsce chwilowego pobytu.

Po raz pierwszy od dziesięciu lat popłynęła łodzią na Rakahangę, by uczcić swoich zmarłych przodków w Mieście Umarłych na obrzeżach Matara, więc jednak chyba śmierć Moany ją też poruszyła.

Wynieśliśmy łóżko Moany z mojego pokoju, który teraz stał się wielki jak ocean.

Ngaru został ze mną. Przyłgnęłam do niego. Kochaliśmy się częściej niż dawniej. Nie czułam podniecenia, wręcz chciałam, by stosunek był bolesny. Próbowałam myśleć o zdjęciach w gazetkach Tangi, ale to nie pomagało. Kiedy Ngaru zasypiał, ja leżałam obok niego z szeroko otwartymi oczami. Muszę zaznaczyć, że na wyspie nie wszyscy pochwalali to, że mężczyzna zostaje na noc u tak młodej kobiety jak ja. Wielu uważało, że seks można uprawiać dopiero po ślubie. Takie poglądy pojawiły się u nas wraz z przyjęciem chrześcijaństwa, tradycyjnie bowiem w naszej kulturze ani seks, ani preferencje seksualne nie stanowiły żadnego problemu.

Ngaru był przystojnym mężczyzną. Miał białe zęby i silne płuca; nurkując, mógł schodzić nawet na głębokość sześćdziesięciu metrów. Pochodził z Rakahangi. Niósł ze sobą świeży powiew świata z zewnątrz, co czyniło go jeszcze bardziej atrakcyjnym. Czasem szczypał moje chude nogi. Prawdziwy mężczyzna powinien dobrze odżywiać swoją kobietę: pod tym względem najwyraźniej mu się nie wiodło. Po wypadku Moany trudno było mu znaleźć spokój. Płakałam i błagałam go, żeby został ze mną, ale on ostatni litr ropy przeznaczył na podróż do domu, do brata matki w Tauhunu. Pojawiał się od czasu do czasu, kiedy akurat miał ochotę na seks, ale nie zdarzało się to często. Pewnie uznał, że wiosłowanie taki kawał jest zbyt męczące.

W soboty nadal zbieraliśmy orzechy kokosowe na *enaka*. Tyle że teraz towarzyszyła mi Amiria. Próbowałam rozmawiać z nią o Związku Radzieckim i sytuacji za żelazną kurtyną, o cierpieniach ludzi pod rządami tyranów. O tym, że wolność ekonomiczna niesie ludziom wolność w ogóle, ale Amiria nie słuchała mnie. Wolała rozmawiać o muzyce i filmach, które oglądała na wideo, dopóki jeszcze działała prądnicą. Szczególnie często wracała do *Dirty Dancing*. Film opowiadał o młodej dziewczynie z klasy średniej, Baby, która poznała biednego, ale przystojnego chłopaka, doskonałego tancerza. Amiria, którą też nazywano Baby, identyfikowała się z bohaterką filmu do tego stopnia, że było to aż śmieszne. Chociaż może nie powinnam tego mówić, skoro sama widziałam się w roli Ellen, żony majstra, budowniczego katedr.

Pewnej soboty, którą spędziliśmy, zbierając orzechy kokosowe, coś we mnie pękło. Amiria mówiła bez przerwy, opowiadała o filmie, w którym jakaś mysz wyemigrowała do Ameryki i zgubiła swoją rodzinę. Śpiewała piosenkę z tego filmu, aż miałam ochotę ją udusić. Opowiadała, że popłynie przez morze – jak zrobiła to Fievel, tak nazywała się mysz – i będzie studiować na uniwersytecie jak Moana, tyle że w Ameryce, nie w Auckland. W końcu powiedziałam, że ma się zamknąć, i wtedy się rozplakała. Krzyczała, że jestem głupia, brzydka i złośliwa, a potem pobiegła do domu. Wróciłam do zbierania pączków paproci, skończyłam dopiero po zmroku.

Papa Tane i Nikau zarznęli świniaka i rozpalili w piecu ziemnym, tak zwanym *umu*. Dym drażnił mi nozdrza. Zwykle lubiłam ten zapach, ale tego wieczoru było inaczej.

Babcia Vaine spojrzała na mnie surowo, kiedy weszłam do kuchni. Przez otwarte drzwi do Dużego Pokoju zobaczyłam, jak Mama Evelyn siedzi i kołysze w ramionach Amirię, mimo że siostra miała już dwanaście lat i była dużą dziewczynką. Położyłam rzeczy na blacie i wyszłam. Płacz ścisłał mi gardło, przełknęłam ślinę.

Tanga, Barbie i Nikau i jeszcze kilku mężczyzn siedzieli na podeście

obok warsztatu i pili samogon.

– Kiona, napijesz się z nami? – zawołał Tangi jak zwykle, a ja – chyba po raz pierwszy – wzdrygnęłam się i zatrzymałam przy schodach.

Piłam alkohol kilka razy, piłam samogon Tanga i piwo ze sklepu Ciotki Kais; uznałam, że jedno i drugie smakuje jak świński łój w nocnej lampce. A mimo to tamtego wieczoru zostałam z nimi.

Dobrze wiedziałam, co alkohol robi z ludźmi. Na przykład z mężczyznami, którzy postanowili poddać mnie *mótoro*, kiedy miałam trzynaście lat.

Mótoro znaczy uwodzić, włamywać się, czyli po prostu gwałcić młode kobiety. To było, jeszcze zanim zbudowaliśmy warsztat. Moana i ja mieszkaliśmy razem z innymi w Dużym Domu, ale akurat tamtej nocy było okropnie gorąco i nie mogłam zasnąć. Więc wstałam i poszłam spać do naszego *kikau*, chaty obok dystrybutora, bez ścian, jedynie z dachem z liści palmowych. Od laguny dochodziły powiewy wiatru, zasnęłam niemal natychmiast.

Obudziłam się, bo jakiś mężczyzna włożył mi język do ust. Inni trzymali mnie za ręce i nogi. Ugryzłam mężczyznę w język, z całych sił, a potem zaczęłam krzyczeć. Krzyczałam i kopałam, wrzeszczałam, aż obudziłam połowę osady. Papa Tane i Nikau przybiegli, a mężczyźni, którzy mnie napastowali, wzięli nogi za pas i uciekli w stronę plaży. Papa Tane złapał jednego z nich, tego, który był najbardziej pijany, i zaczął go bić, aż tamten wydał swoich kumpli. Rano Papa Tane odnalazł ich w Tauhunu i pobił, wszystkich po kolei. To jedyny raz, kiedy widziałam, jak ojciec posunął się do przemocy.

Dawniej *mótoro* było tradycją na Manihiki. Nie chwalono się tym, ale takie rzeczy się zdarzały. Potem, po gwałtownej reakcji ojca, nie słyszałam już o podobnych zdarzeniach. Babcia chłopców nigdy nie wybaczyła ojcu tego, co im zrobił, ale tym się nie zajmowaliśmy.

Chłopcy tłumaczyli, że byli pijani, że nie wiedzieli, co robią, i wszyscy

powinni zrozumieć, że skoro wypili za dużo, to nie mogą odpowiadać za swoje czyny.

Myśl, że mogę nie wiedzieć, co robię, przerażała mnie. A jednak podeszłam do Tangego i wzięłam od niego orzech kokosowy, przystawiłam go do ust i wypiałam łyk wstrętnego napoju. Czułam, jak wędrując do żołądka, wypala mi przełyk. Wypłułam resztę i zaczęłam kasłać. Mężczyźni śmiali się. Wzięłam więc następny łyk, a potem kolejny.

– Kochanie, spokojnie – powstrzymywał mnie Barbie.

– Już starczy – oświadczył w pewnym momencie Nikau.

Wypiałam kolejny łyk.

– Sama będziesz sobie winna – stwierdził Nikau. Kiedy wstał i poszedł do Dużego Domu, zajęłam jego miejsce obok Tangi.

Nie minęła godzina, a zaczęłam wymiotować.

Barbie został ze mną przez całą noc, ocierał mi usta i łzy.

Potem już nigdy nie wzięłam do ust żadnego alkoholu.

Niedziela po moich doświadczeniach z samogonem Tangi była okropna. Kościół kołysał się pod moimi stopami, jakbym płynęła łodzią przez lagunę. Wdowa Paetu nie mogła przestać płakać. Spojrzenia Fete Jensena raniły moją skórę, zrobiło mi się niedobrze. Stary Tupu bez przerwy kasłał. Kasłał i kasłał. Intensywne kolory migoczące na ścianach i na posadzce parzyły mi oczy – czerwień, błękit, zieleń, żółć, zastanawiałam się, ile jeszcze wytrzymam. Muzyka unosiła się pod sklepienie, głosy, dźwięki. Puściłam ławkę i poszybowałam ku górze. „Panie, patrzę na ten wielki świat, który Ty stworzyłeś”. Moja dusza dołączyła do dziękczynnego chóru. Chciało mi się płakać, poczułam suche łyzy, których nikt nigdy nie miał zobaczyć. Moja podróż do nieba była moją tajemnicą, moją i Boga Ojca.

Podczas lunchu ból głowy zaczął stopniowo łagodnieć, zszedł gdzieś na tył czaszki. Właściwie był to dobry dzień na leczenie kaca, miałam wrażenie, że blade kolory wokół sprawiają, że widzę świat nieco jaśniej. Rzeczywistość jakby zmaląła, stała się bardziej namacalna. Wyspa i ziemia nie zmieniły się, fale oceanu uderzały o *tua* i *tai*, o rafy i brzeg.

Wieczorem poszłam do ojca, który odpoczywał przy grobie dziadka.

– Chciałabym popłynąć na Poreę – powiedziałam. – Wezmę małą łódź i zostanę tam kilka dni.

Porea była jedną z małych wysepek po drugiej stronie laguny.

Ojciec spojrział na mnie niezadowolony.

– Poławiamy perły – przypomniał mi.

– Zaczynamy dopiero w przyszłym tygodniu.

– Dlaczego na Poreę? Po co?

– Chcę zapolować na kraby palmowe – odpowiedziałam.

Przecięgnął dłonią po granitowej płycie grobu dziadka.

– Nie rozumiem, co dobrego ma z tego wyniknąć – westchnął.

Tuż obok warsztatu leżały drewniane kanu, zrobione przez Dziadka Tanego, kiedy jeszcze był w pełni sił. Nie wyróżniały się elegancją, ale były znakomitej jakości. Dziadek zrobił je z *tamanu*, drewna twardego jak kamień, zwanego mahoniem południa. Większa łódź miała ponad pięć metrów i idealnie nadawała się do połowów, mniejsza zaledwie trzy i pół, ale była tak lekka, że sama byłam w stanie wciągnąć ją na brzeg. Jeśli zostawiłoby się je w wodzie, po trzech, czterech latach zaczęłyby gnić, ale jeśli leżały na brzegu, były zadbane i przykryte, mogły wytrzymać nawet czterdzieści lat.

Wcześniej rano następnego dnia spakowałam sprzęt do nurkowania, wzięłam też krótszy z harpunów, by móc swobodnie poruszać się w wodzie, niewielki nóż do sprawiania ryb, maczetę, by móc przedzierać się przez zarośla na *motun*, brezent, by przykryć nim łódź, a jednocześnie zbierać roś i deszczówkę, kilka limonek, żeby przyprawić nimi ryby, pudełko zapalek, latarkę do świecenia pod wodą, kilka koszy na kraby i niewielkie pudełko z książkami. Następnie udałam się do Dużego Domu. Mama Evelyn stała przy zlewie i piła kawę, za chwilę wychodziła do lecznicy. Amiria w szkolnym mundurku siedziała przy stole i jadła kawałek chlebowca, kopała w nogę stołu, wybijając rytm.

– Wychodzę – powiedziałam.

Mama odstawiła kubek z kawą.

– Co to znaczy? – spytała.

Poczułam skurcz żołądka, wyprostowałam się, jakby to miało w czymś pomóc.

– Rozmawiałam o tym wczoraj z tatą.

– Nie zgadzam się.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza, jak przed zanurzeniem się w wodzie.

– Jestem tu więźniem?

Amiria przestała kopać nogę stołu. Mama prychnęła.

– Co ty opowiadasz?

Już wcześniej przygotowałam sobie odpowiedź, ale kiedy padła, słowa okazały się zbyt pompatyczne, nie na miejscu.

– To farma pereł czy jakaś komunistyczna dyktatura? – powiedziałam.

Amiria zaczęła chichotać, miałam ochotę jej przyłożyć.

Mama sięgnęła po kubek i odwróciła się do mnie plecami.

– Dobrze, jedź – powiedziała, wypijając ostatni łyk kawy. – Tylko wróc przed czwartkiem. Najmłodszemu dzieciakowi Erlandsenów trzeba zmienić gips.

Vakan trudno było wiosłować, ale miałam wprawę, a odległość nie była duża. Porea leżała po drugiej stronie laguny, jakieś dziewięć kilometrów stąd. Wiosłowałam w tym samym tempie, w jakim zwykle chodziłam: pięć kilometrów na godzinę. Podróż powinna zająć mi niecałe dwie godziny.

Kiedy wypłynęłam na lagunę, nie miałam bynajmniej poczucia triumfu.

Wyspa miała mniej więcej dwieście metrów szerokości i pół kilometra długości. Fale oceanu biły o rafy koralowe na *tua*, ale wzdłuż *tia* od strony laguny biały jak kreda piasek był nienaruszony.

Kiedy w końcu dotarłam na miejsce, słońce było już wysoko na niebie. Droga wydała mi się dłuższa niż zwykle, ale też nigdy nie płynęłam tu sama i nigdy nie wiosłowałam sama cały czas. Kiedy wciągałam kanu na brzeg, ręce miałam odrętwiałe ze zmęczenia. Wciągnęłam łódź spory kawałek w głąb lądu, żeby nie narażać jej na przypyływ, i podłożyłam pod dno kilka kamieni, by chronić ją od wilgoci. Nie odwróciłam kanu do góry dnem, jak to zwykle robiliśmy, tylko przykryłam brezentem, by zbierać deszczówkę.

Widok w stronę Tukao zapierał dech w piersiach. Nie potrafiłam rozróżnić poszczególnych budynków, zlewały się w jedno i unosiły nad horyzontem.

Nigdy dotąd nie byłam sama tak daleko od domu, to było niezwykle uczucie, aż zakręciło mi się w głowie.

Zebrałam kilka *kikau* na posłanie, ale postanowiłam nie robić dachu. Gdyby przyszła ulewa, zawsze mogłam schronić się pod brezent. Następnie wspięłam się na palmę i zerwałam kilka kokosów: miałam więc *nimata* do picia i *uto* do jedzenia. Potem usiadłam w cieniu hibiskusa na brzegu z pudełkiem książek obok mnie i spojrzałam w stronę Tukao.

Prawdę mówiąc, czułam się tu dobrze, jak w domu, chociaż w nieco dziwny, obcy mi sposób. Byłam tu już wcześniej, razem z Nikau i Papą Tane łowiliśmy kraby. Tak więc miejsce nie było mi całkiem nieznanne, chociaż na pewno okolice Tukao były mi znacznie bliższe.

Moana nigdy nie wypływała z nami, nie przepadała za wodą. Podobnie jak mama lubiła wodę bardziej w teorii.

– Czy laguna rzeczywiście jest moim światem? – zadałam sobie szeptem pytanie.

Potem się rozplakałam. W końcu sięgnęłam po książkę, po powieść Stephena Kinga. Była to bardzo nieprzyjemna historia o niewyobrażalnym

złu, którego ofiarą padały dzieci i które można było przezwyciężyć jedynie, jeśli ofiary się zjednoczą, okażą sobie zaufanie i będą gotowe poświęcić wszystko. Beverly, jedna z dziewcząt, strzeliła do Zła z procy i raniła Je. Zło przybrało postać wilkołaka, schowało się w kanalizacji i zniknęło.

Czy przemoc znaczyła to samo co zło?

Pomyślałam o Beverly, która strzeliła do Niego z procy. Nie zrobiła tego, bo była złym człowiekiem, tylko dlatego, że była dobrym. Ciekawe, co Ono o tym sądziło.

– Jezus przepędza złe duchy – powiedziałam głośno do Moany.

Wiedziała, że mam na myśli rozdział piąty Ewangelii według Świętego Marka. Kiedy Jezus odwiedza krainę Gerazeńczyków, spotyka mężczyznę, który żył wśród grobów. Okoliczni mieszkańcy wielokrotnie próbowali pojmać go i skuć łańcuchami, ale jemu zawsze udawało się uwolnić. Nie byli w stanie sobie z nim poradzić. Jezus natychmiast zrozumiał, na czym polegał problem, i powiedział: „Wyjdź, duchu nieczysty, z tego człowieka”¹. Wtedy wszystkie nieczyste duchy zebrały się w ciele mężczyzny i weszły w stado świń, które pasły się na zboczu. Zwierzęta rzuciły się ze stromego zbocza i utonęły w morzu.

Odłożyłam książkę z dziwnym niepokojem w żołądku.

Czy Ono wiedziało, że jest złe? Czy mężczyzna z krainy Gerazeńczyków wiedział, że jest opętany przez złe duchy? Czy to możliwe, że niczego się nie domyślał?

Rozpaliłam ogień w łupinie kokosa. Kiedy słońce zaszło, odczekałam godzinę i dopiero wtedy weszłam do wody. Chociaż nie było wiatru, fale uderzały mocno o rafę. Manihiki leżało na szczycie podwodnej góry, która miała cztery tysiące metrów wysokości, a jej zbocza opadały niemal prostopadle w dół.

– Lepiej będzie, jeśli tu na mnie zaczekasz – powiedziałam Moanie. Trzymałam latarkę i liny w lewej ręce, w prawej miałam harpun. Ryby zapewne już usnęły, bo niemal w ogóle się nie poruszały. Mogłam

podpłynąć do nich i wycelować. Wiedziałam, że ich pośmiertne drgawki wzbudzą czujność rekinów, które zaczną poruszać się bez celu w wodzie nad skalną półką. By tlen dopływał do skrzeli, musiały bez przerwy być w ruchu. Wycelowałam, zabiłam cztery ryby i szybko nawlekłam je na sznur. Zdążyłam w ostatniej chwili, bo zaraz potem pokazał się pierwszy rekin. Szybko zawróciłam, ale zdążyłam poczuć, jak jego grzbiet muska mi plecy. Durna wielka ryba. Wyłączyłam latarkę i zaczęłam płynąć do brzegu. Ogień żarzył się, dołożyłam kilka łupin, podmuchałam i po chwili buchnęły płomienie, na których mogłam usmażyć ryby. Zjadłam je z sokiem z limonek, popijając gotowaną wodą. Potem zjadłam *uto* i wypilałam *nimata*. I natychmiast zasnęłam, syta i spokojna.

Następny dzień był duszny i ciepły. O świcie siedziałam dłuższą chwilę w milczeniu, pozwalając, by niebo zastąpiło okna naszego kościoła w Tukao. Promienie słońca przenikały kolorowe kawałki witraży mojej duszy, rozbrzmiały śpiewy. Na śniadanie zjadłam resztki ryb, dzieląc się nimi z mrówkami, które zdążyły już je znaleźć. Spożyłam więc kilka rodzajów białka. Dziwnie się czułam, siedząc tak na brzegu w zwykły wtorek i nie mając nic do roboty. Moana była tuż za mną, niemal czułam jej oddech na karku. Długo siedziałyśmy tak razem w milczeniu, podczas gdy moje myśli wędrowały. Zastanawiałam się nad tym, że człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga.

Kiedy zaczął się upał, znów weszłam do wody, która otoczyła mnie niczym cienki welon. Popłynęłam w kierunku Tauhunu. Po drodze widziałam w oddali kilka łódek, ale z nikim się nie przywitałam, zresztą nie sądzę, żeby ktoś mnie zauważył. Kiedy się zmęczyłam, odwróciłam się na plecy i chwilę odpoczywałam: unosiłam się na wodzie, pozwalając kołysać się falom. Ostatnio pływałam dla przyjemności, kiedy byłam dzieckiem. Miałam osiem lat, kiedy zaczęłam nurkować po muszle ślimaków, dlatego nie potrafię zrozumieć, czemu Amiria jest taka uprzywilejowana. W dni powszednie zawsze pracowaliśmy, a w niedziele pływanie dla przyjemności

było zabronione.

Wróciłam na ląd dopiero po południu. Miałam ciężkie ciało i pustkę w głowie, byłam zadowolona. Resztę dnia spędziłam, leżąc pod hibiskusem. Skończyłam czytać książkę. Moana była tuż obok mnie, widziałam zarys jej cienia, co dodatkowo pogłębiało ciszę.

O zmroku złapałam kilka krabów, powięzałam je sznurem i wrzuciłam do kosza. Na kolację zgrillowałam jeden z tych mniejszych, zjadłam też kilka *uto*: był to istic królewski posiłek. Kraby palmowe wspinają się na palmy i osiągają niekiedy gigantyczne rozmiary. Babcia Vaine twierdzi, że widziała takiego, który miał prawie pół metra długości i ważył pięć kilogramów, ale nie wiem, czy można jej wierzyć. Kraby żywią się głównie kokosami, więc ich mięso też smakuje kokosem: jest słodkie i soczyste. Nie znam niczego lepszego.

W nocy padało. Ugasiłam pragnienie, pijąc deszczówkę. W snach deszcz zamienił się w kanalizację pod małym miasteczkiem w Maine, gdzie zniknęło Zło. Goniły mnie nieczyste duchy.

– Jestem złym człowiekiem? – zawołałam do Moany przez deszczowe chmury. – Jestem złym człowiekiem?

Rano rozpogodziło się. Obudziłam się zmarznięta i pusta. Książki zmokły nieco, mimo że leżały pod brezentem.

Weszłam do wody i złapałam kilka dużych papugoryb. W pewnym momencie zauważyłam w dole ogromnego rekina szarego, miał co najmniej trzy metry długości, i postanowiłam wrócić na brzeg. Nie mam fobii na punkcie rekinów, ale czuję do nich szacunek.

Spakowałam swoje rzeczy, brezent i kosz z krabami, do drugiego kosza włożyłam świeże ryby, maczetę i limonki, których nie zjadłam, pudełko z książkami, harpun, nóż i latarkę. Był przypływ, więc nie natrudziłam się, spychając kanu na wodę, ale i tak czułam zmęczenie w rękach i nogach. Wsiadłam do kanu. Słyszałam fale uderzające o boki, łagodne, niemal pogodne, i rozplakałam się. Płakałam i płakałam, aż wiosło wpadło do wody

i musiałam za nim wskoczyć. Potem pozwoliłam *vakan* unosić się na wodzie, aż wszystko we mnie ucichło. Teraz już wiedziałam.

To nie była moja wina.

Wieczorem odwiedzili nas Tanga i Barbie i cała rodzina Erlandsenów. Zjedliśmy razem kraby. Babcia Vaine ugotowała je z solą i ziołami i wszyscy byli zgodni, że to najlepsze danie na ziemi.

Następnego dnia zmieniliśmy gips Mei Erlandsen. Mama Evelyn poszła do Babci Metui, która mieszkała niedaleko lądowiska, a ja postanowiłam odszukać stare podręczniki Moany. Może były jakieś, których jeszcze nie znałam. Znalazłam je na najwyższej półce w schowku za cysterną ze słodką wodą. Obroniły się przed wilgocią i owadami. Wyjęłam podręcznik do geografii i odstawiłam pudełko na miejsce. Podręcznik zabrałam ze sobą na górę do pokoju nad warsztatem. Wzięłam też atlas geograficzny Collinsa. Najpierw znalazłam mapę Nowej Zelandii. Zaczęłam wędrować po niej palcem, zatrzymałam się na AUCKLAND. Tam była uczelnia Moany. Dostała stypendium, Maori Academic Excellence. Tam mieszkała też ciotka Doris, siostra mamy. Mama Evelyn urodziła się i dorastała niedaleko stamtąd. Studiowała pielęgniarstwo na uniwersytecie. Była tam też katedra pod wezwaniem Świętego Patryka, ale nie tak duża i stara jak katedra Toma w Kingsbridge. Oczywiście nigdy tam nie byłam. Moana też nie. Raz, kiedy miała czternaście lat, popłynęła z grupą taneczną statkiem do Rarotongi. To wtedy brat ojca, Stryj Matini, zrobił jej zdjęcie, które później trafiło do gazety, do „Cook Island News”. Ja nie potrafiłam ani tańczyć, ani śpiewać, więc nie byłam brana pod uwagę jako uczestniczka tej wyprawy. Po powrocie Moana opowiadała o podróży. Nie była to zachęcająca opowieść. Możliwe, że wyolbrzymiła nieco niewygody, opowiadając o tygodniach spędzonych na pokładzie, w sztormie, deszczu i prażącym słońcu, przed którymi chronił jedynie postrzępiony brezent, o falach większych niż palmy kokosowe i o wszechobecnym zapachu silników na ropę. Słuchając tego wszystkiego, przestałam być zazdrosna.

Dzisiaj dałabym wszystko, by móc tam pojechać. To było moje marzenie, unoszące się gdzieś w oddali, nieuchwytne jak chmury na horyzoncie.

Pewnego dnia opuszczę Manihiki.

Następnego ranka jacht rozbił się na rafach i pojawił się Erik.

Moja opowieść o Moanie obejmowała tygodnie, miesiące, toczyła się przez wszystkie lata, które były nam dane. Erik obejmował mnie i słuchał.

Babcia Vaine nie bardzo wiedziała, co sądzić o mojej „nowej fascynacji”, jak to określała.

– *Kare te to'ora e 'ongi i te puaka* – powtarzała raz za razem.

Wieloryb nie całuje świni.

Posunęła się nawet do tego, że nazwała mnie *e maroro*, latającą rybą – tak u nas określano osoby, które często zmieniały partnerów.

Ngaru trzymał się z daleka, pozostawał w Tauhunu, ale podobno nie był szczęśliwy. Tak przynajmniej mówiono.

W ciągu dnia Erik nadal prowadził rachunki mieszkańców z wyspy i robił to na naszym stole kuchennym.

Wieczorami, zamiast siedzieć i czytać w świetle lampki, kochałam się z Erikiem. No i rozmawialiśmy. Cierpliwość, jaką mi okazywał, była zadziwiająca i ogromna. Uśmiechał się ciepło, gładził mnie po włosach i patrzył na mnie z dziwnym smutkiem w oczach. Niekiedy mówił o mnie jak o swoim „cudzie”. Kiedy raz spytałam, co ma na myśli, przyciągnął mnie do siebie i wydawało mi się, że płakał.

Kochaliśmy się powoli i ostrożnie. Początkowo czułam się trochę nieswojo, ale nie chciałam go popędzać. Sprawił, że nauczyłam się czekać i tęsknić, co otworzyło przede mną nowe światy. Nauczył mnie rozkoszować się chwilą: miałam wrażenie, że unoszę się w powietrzu, że się rozpadam. Używał rąk i języka, napawał się moim ciałem, był wszędzie, musiałam tłumić krzyk, by nie niepokoić innych.

Rozmawialiśmy o Europie i o krajach, które odwiedził, jakby znajdowały się w innej galaktyce: Neapol, Nowy Jork, Marbella, Pekin i Moskwa. Opisywał je niekiedy drastycznie i dramatycznie, ale też zabawnie i niepokojąco: opowiadał o ludziach, którzy przemieszczali się jak owady w tunelach pod ziemią, o powietrzu, które zdobycze cywilizacji uczyniły tak

trującym, że zaczęło nam zagrażać, o kobietach, które wydawały majątki, by nie wyglądać staro.

Pewnego razu podjął nieco niepewnie kwestię komunizmu.

– Nie miałem nic złego na myśli – powiedział, a ja pospiesznie zapewniłam, że oczywiście go rozumiem.

– Kto ma zarządzać naszymi zasobami, to wybuchowe pytanie – powiedział, patrząc na lagunę. – Własność może być trucizną, sprawia, że ludzie tracą rozum. Są tacy, którzy nigdy się nie nasyca, którzy nie znają granic.

– Ale ile można mieć? – spytałam.

Jego twarz w świetle księżycy była poważna.

– Cały świat. A tak naprawdę to chodzi o gospodarkę światową.

Pewnego dnia zaśpiewał mi piosenkę, po szwedzku. Zaczynała się tak: *Om du var ett hav, vore jag en våg, om du var himmelen, skulle jag ha vingar*².

Potem mi ją przetłumaczył. Podobała mi się.

„Gdybyś była morzem, ja byłbym falą. Gdybyś była niebem, ja miałbym skrzydła. Gdybyś była deszczem, ja byłbym morzem i lądem. Gdybyś była muzyką, ja byłbym pieśnią. Gdybyś była stepem, ja byłbym wiatrem. Gdybyś nie istniała, byłbym niczym...”³.

– To bardzo popularna szwedzka piosenka – powiedział. – „Chodź, moja kochana. Dzisiaj w nocy wszystkie okna są otwarte. Otwarte na świat, w którym mieszka miłość. Chodź, nie pozwól mi zasnąć tej nocy. To my, ty i ja, jesteśmy przemijającym czasem. Gdy nastanie ranek, znów będziemy się kochać...”

I tak było, byliśmy we dwoje w pokoju, w którym zawsze wszystkie okna były otwarte, w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Erik nie był człowiekiem religijnym, w Szwecji prawie nigdy nie chodził do kościoła, jedynie na śluby i pogrzeby. W ogóle Skandynawia była zsekularyzowana, ludzie ufali sobie nawzajem, wierzyli nie w Boga, tylko

w system społeczny. Tak twierdził. Uznałam, że brzmi to nieco niebezpiecznie. Jednak tu, na Manihiki, w każdą niedzielę uczestniczył w nabożeństwie. Podobnie jak ja uwielbiał śpiewy. W kościele nie mieliśmy organów ani żadnego innego instrumentu, ale głosy sprawiały, że dach się unosił, anielskie głosy szumiały, wisiały w powietrzu, mieszając się z kolorami barwnych szyb.

– Pomyśleć, że pieśń *O Panie nasz* istnieje też po maorysku – powiedział Erik pewnego popołudnia, kiedy wróciliśmy do domu po kościelnym lunchu, najedzeni i zmęczeni.

– Jak to? To maoryska pieśń. *E Tapuhā, e te nui Atua...*

Roześmiał się cicho.

– To szwedzka pieśń ludowa. Słowa do niej napisał Carl Boberg pod koniec XIX wieku. „Gdy patrzę na świat, który stworzyłeś, Panie...”

– Ale ty przecież w to nie wierzysz – drażniłam się z nim. Chociaż śpiewał po szwedzku, wiedziałam, co te słowa znaczą.

– Ciebie stworzył na pewno – powiedział i przyciągnął mnie do siebie. – Żaden człowiek nie byłby w stanie stworzyć czegoś tak doskonałego.

Potem zaśpiewał mi inną piosenkę skomponowaną przez tego samego człowieka, który napisał tę o falach i morzu.

„Przysłaś do mnie, gdy wiosna była w rozkwicie...”

Po niecałych dwóch miesiącach Mama Evelyn potwierdziła to, co już od jakiegoś czasu podejrzewałam: byłam w ciąży.

Obcy należeli na Manihiki do rzadkości, łagodnie mówiąc. Ale żeby obcy tu został i dał początek nowemu życiu, to zdarzało się jeszcze rzadziej. Mama Evelyn była chyba jedyną taką osobą. *Papa'as*, który postanowił zostać, był akceptowany przez miejscowych, ale nigdy nie uznano go za prawdziwego *manihiki*. Mamę Evelyn zawsze nazywano Siostrą Evelyn. Nigdy też nie stała się częścią kobiecej społeczności, w której Babcia Vaine tak ochoczo uczestniczyła. Być może w jakimś stopniu sama była sobie winna, może zaważyły jej celne riposty i sposób bycia. Erik też nigdy nie został tu w pełni zaakceptowany. Pozostał obcym, który nie potrafił żeglować, chociaż z drugiej strony świetnie prowadził rachunkowość.

Moja ciąża miała spore konsekwencje dla farmy. Mama Evelyn zabroniła mi nurkować. Nie było do końca pewne, w jakim stopniu zmiany ciśnienia wpływają na płód. Nikt nie potrafił powiedzieć, czy bąbelki powietrza, które pojawiają się we krwi, gdy ktoś zanurzał się zbyt szybko, przechodzą do krwi dziecka i mogą spowodować uszkodzenie mózgu. No i istniało też ryzyko niedotlenienia. Zatrudnienie dodatkowych pracowników, na przykład braci Brownów, było kosztowne i kłopotliwe, poza tym nie znali naszych terenów i zwyczajów.

– Dlaczego Amiria nie zacznie nurkować? – spytałam któregoś wieczoru, kiedy siedząc obok nieczynnego dystrybutora, jedliśmy papugoryby. Mama Evelyn zbladła.

– Amiria będzie studiować – rzuciła.

Nie potrafię powiedzieć, czy sprawiły to hormony, czy też zmęczenie, które czułam w tych pierwszych miesiącach, ale nagle zaczęłam okropnie płakać. Upuściłam rybę na ziemię, wstałam i pobiegłam w stronę warsztatu, w ciemności i w rozdygotaniu nie zauważyłam pływaków, które wiatr przywiał na dziedziniec, wpadłam na nie i się przewróciłam. Wszyscy ruszyli w moim kierunku, na końcu biegł Erik, kulejąc. Nikau i Papa Tane zanieśli mnie z powrotem do światła przy dystrybutorze, gdzie Mama

Evelyn natychmiast mnie zbadała.

– Chcecie, żeby moje dziecko umarło! – zawołałam melodramatycznie w ciemność. – Tak będzie najlepiej dla wszystkich!

– Milcz – skarcił mnie Papa Tane i rzeczywiście zamilkłam, bo nigdy wcześniej tak się do mnie nie zwracał.

Dziecku nic się nie stało, a mnie przydzielono inne zadania: zajmowałam się małżami na łodzi, poza tym pomagałam Babci Vaine w Dużym Domu i mamie w lecznicy.

Pewnego popołudnia, kiedy czułam się niemal równie niedobrze jak po wypiciu samogonu Tangi, Nikau odciągnął mnie na bok.

– Ngaru dowiedział się, że jesteś w ciąży – powiedział cicho.

Uniosłam brwi, tak jak zwykle robił to Erik.

– Podobno się wściekł i rozbił kanu swego wuja.

Nie przestraszyłam się, byłam zaskoczona.

– Jest stuknięty – powiedziałam.

Zaraz jednak przyszła mi do głowy inna myśl:

– Które kanu? Chyba nie to stare, z drewna *tamanu*?

Nikau zagryzł zęby i ruszył do warsztatu. W tym czasie często bywał w złym humorze, nie miał czasu przesiadywać u Tangi tak często jak wcześniej.

Następnego dnia dowiedzieliśmy się z radia nadającego z Rarotongi, że zagraniczny armator oświadczył, iż zamierza uruchomić połączenia żeglugowe między Wyspami Cooka. Pogłoski o tym krążyły już od jakiegoś czasu, ale teraz najwyraźniej podjęto ostateczną decyzję. Statek „Lady Moana” miał zawinąć do Manihiki, Rakahangi i Pukapuka już w następnym tygodniu. Miał zabrać towary z Avatiu.

Tego wieczoru całe miasteczko świętowało, urządzając gigantyczne *umukai*. Ubito osiemnaście prosiąt, dzieci szkolne zebrały ponad sto sztuk *nimata*. Farmy pereł wypuściły małże, zadowolając się zarzuceniem sieci. Nad Tauhunu i nad Tukao dym z grilli unosił się tego wieczoru wysoko w niebo.

Trwające od prawie dziesięciu miesięcy ciemności miały się wkrótce skończyć.

Kilka wieczorów później, w sobotę, Nikau wrócił do domu z podbitym okiem, w dolnej szczęce ruszały mu się dwa zęby. U Tangi pojawił się Ngaru, straszliwie bluźniąc, przeklinał dziwkę morderczynię, czyli mnie, i jej brata, czyli Nikau, co skończyło się rękoczynami. Mama Evelyn stwierdziła, że oko nie zostało uszkodzone, wcisnęła rozchwiane zęby na miejsce najlepiej jak potrafiła i powiedziała, że Nikau ma nie jeść przez tydzień. Uznała, że to wszystko była moja wina.

Papa Tane szczepił małe dla kilku farm w Tukao w zamian za część zbiorów. Ostatnio musiał ograniczyć tę działalność z powodu braku czasu. Nadal jednak hodował małe dla Everesta, policjanta, i nie tylko dlatego, że Everest z racji swojej funkcji był jedną z najpotężniejszych osób w miasteczku, ale też dlatego, że urodzili się w odstępie trzech dni i razem dorastali. Pewnego popołudnia, kiedy skończyli pracę, Papa Tane poruszył kwestię formalnej sytuacji Erika. Stałam po drugiej stronie ściany, czyściłam małe i wszystko słyszałam.

– Jeśli chce tu zostać, musi mieć pozwolenie na pobyt i na pracę – stwierdził Everest.

Papa Tane spytał, jakie warunki musiałyby spełnić.

– Musi posiadać wyjątkowe umiejętności, no i jakaś osoba czy organizacja musi go sponsorować. Informacja o naborze na stanowisko powinna ukazać się dwanaście razy w gazecie „Cook Island News”, a osoba zainteresowana podjęciem pracy musi aplikować o nią ze swojej ojczyzny, a przynajmniej spoza Wysp Cooka. Potrzebne będzie też zaświadczenie lekarskie i zaświadczenie o niekaralności.

– Coś takiego. – Papa Tane był wyraźnie zszokowany. – I to wszystko ma przesłać tobie? – spytał.

– Nie, musi przesłać to do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i władz imigracyjnych na Raro.

Kiedy Mama Evelyn przybyła na Manihiki, miała załatwione wszystkie formalności, więc nikt nigdy się nad tym nie zastanawiał.

Stałam z małżami w obu rękach i nie byłam w stanie oddychać.

– Ile czasu to wszystko zajmie? – spytał Papa Tane.

– Trudno powiedzieć – stwierdził funkcjonariusz Everest, chociaż podejrzewam, że tak naprawdę to nie miał pojęcia.

– Rok?

– Trudno powiedzieć...

– Kiona spodziewa się dziecka! Powinien złożyć papiery w Szwecji?

Dziecko zdąży pójść do szkoły, zanim dokumenty wrócą! No i co zrobimy z księgowością? Tobie też prowadzi księgi.

Miałam wrażenie, że Everest pije z *nimata*.

– W tym przypadku zachodzą szczególne okoliczności. Prawdę mówiąc, Erik nie pracuje. Nie otrzymuje żadnego wynagrodzenia, prawda?

Nie, nikt w rodzinie Mataverów nie otrzymywał wynagrodzenia.

– A więc prowadzenie księgowości można określić jako... powiedzmy... działalność turystyczną?

Mężczyźni zgodzili się co do tego.

– A ponieważ jest ożeniony, no, prawie ożeniony, z mieszkanką Wysp Cooka, więc ma tu powiązania rodzinne, a tym samym także prawo do pozostania na wyspie, prawda? – upewniał się Papa Tane.

Tak to wyglądało.

Zaświadczenie lekarskie nie powinno stanowić problemu, bo przez ostatnie kilka miesięcy Mama Evelyn regularnie go badała. Problemem było natomiast zwrócenie się do szwedzkiego rejestru skazanych. Jak należało to zrobić? Mężczyźni uznali, że zajmą się tym w odpowiednim czasie. Uznali zgodnie, że Erik Bergman może na razie nadal mieszkać na Manihiki, posługując się wizą turystyczną.

Musiałam usiąść na pomoście, drżały mi nogi.

Na myśl o tym, że mogłabym stracić Erika, zaczęło mi się kręcić w głowie.

Wieczorem opowiedziałam Erikowi, co usłyszałam. Najpierw zbladł. Szybko dodałam, że mężczyźni uznali, że może pozostać na Manihiki na podstawie wizy turystycznej. Erik leżał nieruchomo na plecach i patrzył w sufit.

Położyłam się na nim, zaczęłam całować jego szyję, klatkę piersiową, przeciągnęłam paznokciami po jego rękach, pieściłam jego plecy i kark, wzięłam do ust jego członek, pozwoliłam mu czekać i pożądać mnie, a kiedy usiadłam na nim okrakiem, niemal natychmiast eksplodował. Objął mnie

mocno i powtórzył:

– Jesteś moim cudem.

Nowowy statek, „Lady Moana”, miał wyporność stu sześćdziesięciu trzech ton, znacznie mniejszą niż wysłużony „Manuvai” o wyporności czterystu ton.

Statek podpłynął do raf niedaleko Tukao, gdzie zakotwiczył wczesnym popołudniem. Niewielki niebieski stateczek z białą nadbudówką i pokładem na rufie. Zjawili się wszyscy: Babcia Metua i Fete Jensen, i wszystkie dzieciaki, kobiety w sukienkach, które zwykle zakładały jedynie do kościoła, w ładnych koronkach i eleganckich kapeluszach, natomiast mężczyźni, którzy mieli pomagać w rozładunku, byli ubrani bardziej praktycznie. Dzień był wietrzny, fale wysokie, na niebie kłębiły się chmury. Traktor z przyczepą zajechał do portu, zużywając resztki ropy, i czekał teraz na towary. Wszyscy mieli świadomość, że spora część ładunku została w Avatiu, zamówień było tak wiele, że trzeba będzie kilku rejsów, żeby przetransportować cały towar. Nikt nie wiedział, co dostanie, to była loteria, trochę jak wieczór wigilijny. Pierwszeństwo miała ciotka Kai: zapełnienie półek w jej sklepie było w interesie wszystkich.

Niewielki stateczek kołysał się na falach. Łodzie, które popłynęły w stronę rafy, miały poważne problemy, gdy próbowały cumować obok siebie, żeby odebrać towar. Fale targały nimi, łodzie zderzały się burtami, liny napinały się, luzowały, mężczyźni krzyczeli i machali rękami. Obracali wiele razy, niosąc niewielkie ładunki. Zauważyłam, że wstrzymuję oddech: szczelina w rafie, przez którą wpływało się do portu, była jak ucho igielne, na szczęście obeszło się bez żadnych incydentów. Po dobrej godzinie pierwsza przyczepa została wypełniona towarami, przede wszystkim pojemnikami z ropą, i traktor ruszył. Dzieciaki biegły za nim, przypominając morskiego węgorza, krzyczały i podskakiwały. Po raz drugi w ciągu kilku tygodni przygotowano wielkie *umukai*, chociaż uroczystość miała być skromniejsza niż poprzednia, którą uczczono wiadomością o wznowieniu połączenia. Mężczyźni nadal byli zajęci rozładowywaniem towarów. Babcia Vaine i wiele innych kobiet szykowało posiłek pod

blaszanym zacienieniem ustawionym niedaleko kościoła. Pewnie powinnam im pomóc, ale nie mogłam oderwać wzroku od towarów spływających do portu.

O zmroku wszystko zostało wyładowane i statek natychmiast odpłynął, kierując się do Rakahangi. Załoga chciała zapewne dotrzeć do portu, zanim zrobi się ciemno.

Nasza rodzina miała szczęście, otrzymaliśmy większość potrzebnych rzeczy. Papa Tane zamówił gumowe klamry do harpunów w sklepie ze sprzętem do nurkowania w Rarotondze. Wszystko doszło. Harpuny nadawały się do użytku przez wiele lat, ale gumy trzeba było regularnie wymieniać. Była też paczka z książkami, tygodnikami i kasetami wideo od ciotki Doris. Amiria cieszyła się z każdego filmu. Nie mieliśmy co prawda ani telewizora, ani wideo, ale Erlandsenowie mieli i jedno, i drugie. Bardzo podnieciła się kasetą z *Małą syrenką* Disneya, podejrzewałam, że oszaleje na punkcie nowych piosenek. Nikau dostał CD z zespołem Queen i film akcji *Szklana pułapka*. Zapewne obejrzy go u Tangi. Było też kilka książek dla mnie: *Nieznośna lekkość bytu* Milana Kundery, *Historia* Elsy Morante i wydanie kieszonkowe *Mniej niż zero* Breta Eastona Ellisa. O żadnej z nich nic nie słyszałam, więc poczułam się nieco zawiedziona.

Był też list od Stryja Matiniego z dołączonym egzemplarzem „Cook Island News”, w którym pisano o śmierci Moany. Wzięłam go drżącymi rękami, uparłam się, że przeczytam artykuł. Był krótki i rzeczowy, opisywał zdarzenie, nie komentując go. Dwudziestojednoletnia Moana Matini uległa wypadkowi podczas pracy na rodzinnej farmie perel w lagunie Manihiki. Napisano, że ciało znalazł miejscowy funkcjonariusz, co nie było do końca zgodne z prawdą, ale poczułam dziwną ulgę. Zamieszczono też zdjęcie, czarno-białe, tak jak mówił stryj. Była bardzo podobna do siebie. Zdjęcie zostało zrobione podczas pokazu tańców. Moana miała na sobie spódnice z traw, na szyi wieniec z gardenii, we włosach kwiaty hibiskusa. Śmiała się szeroko, jak zwykle, i patrzyła mi prosto w oczy. Zamknęłam powieki,

położyłam dłoń na jej czternastoletniej sylwetce i poczułam jej radość i światło, którym promieniała.

Babcia Vaine narzekała oczywiście, że nie wszystko przyszło. Dla niej szklanka nigdy nie była w połowie pusta, tylko niemal pusta.

Erik oczywiście nie dostał niczego, ale uczestniczył z dużym zapalem w rozpakowywaniu towarów.

Funkcjonariusz Everest wpadł do nas z żoną. A potem – zanim zrobiło się ciemno – ruszyliśmy wszyscy na *umukai* pod blaszanym dachem obok kościoła. To była ostatnia noc, podczas której jedynym źródłem światła były płonące ogniska. Prądnica miała zostać uruchomiona już następnego dnia wieczorem. Pompy zaczną działać, nie trzeba będzie już nosić wody, znów będzie można korzystać z klozetów, kuchenek, lodówek i wiatraków. Mając ropę, nie będziemy musieli wiosłować, by zbierać małże, co ogromnie ułatwi nam pracę. Będzie można zamienić rowery na motorowery, zapewne zwiększy się też zapotrzebowanie na insulinę, które podczas zaciemnienia istotnie spadło.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, przemawiał pan Erlandsen. Mówił o znaczeniu społeczności i wspólnoty. Chodziło mu o to, że powinniśmy go wspierać i we wszystkim się z nim zgadzać. Ludzie krążyli, przynosząc jedzenie, co znaczyło, że Erlandsen mówił już dobrą chwilę. Postanowiliśmy przynieść sobie coś do jedzenia. Zaopatrzyliśmy się w ryby, *taro* i prosiaka i rozłożyliśmy na ziemi niedaleko *tua*.

Zobaczyłam Ngaru, jak tylko się pojawił, mimo że był dobre trzydzieści metrów od nas i wszędzie tłoczyli się ludzie. Stanął blisko ognia, kołysząc się podejrzenie. Najwyraźniej był już porządnie wstawiony. Mowa pana Erlandsena wydawała się ciągnąć bez końca. Ludzie rozmawiali, śmiali się, gwar zawisł nad wyspą. Ngaru potknął się, był spocony i zdyszany, rozglądał się, jakby kogoś szukał.

Nie zauważyłam harpuna w jego ręce, nie wtedy.

Dojrzał mnie i ruszył w naszą stronę. Ludzie rozstępowali się, jedli, pili

i się śmiali. Ngaru krążył między nimi z harpunem w jednej dłoni i butelką alkoholu w drugiej.

– Dokąd się wybierasz? – spytał Erik i w tym momencie Ngaru uniósł rękę nad głowę i wrzasnął.

Pan Erlandsen urwał w połowie zdania, ludzie odwrócili głowy zdziwieni. Ngaru biegł w naszą stronę z uniesionym nad głowę karabinem harpunowym. Stałam przed Erikiem, chciałam go chronić. Poczulałam uderzenie butelką w ramię, tak mocne, że zachwiałam się i upadłam. Ngaru wycelował w Erika i strzelił. Wrzasnęłam ze strachu. Erik zrobił unik, harpun drasnął mu skórę i wylądował na ziemi za nim. Odwrócił się i podniósł go. Stał, trzymając go w ręce przed sobą. Leżałam tuż obok na ziemi i wiedziałam, co zaraz się stanie. Próbowałam krzyknąć, ale chyba nie zdążyłam. Chociaż nie wiem. Ngaru rzucił się na Erika i nadział się na ostrze strzały. Przeszyło mu brzuch, przebiło przeponę i dotarło do serca.

Nie żył, zanim upadł na ziemię.

Odgłos upadającego ciała pozostał we mnie do dziś.

Wokół nas zapadła cisza, nawet płomienie ognia przestały trzaskać. Ludzie stali z otwartymi ustami, oczy mieli wielkie jak księżyc w pełni.

A potem rozległy się wrzaski: wszyscy krzyczeli jednocześnie.

Mama Evelyn założyła kilka szwów na głowie Erika, po czym zabrano go do Domu Gminnego i zamknięto, jakby miał dokąd uciec – poza tym wszystkie okna były otwarte.

Jeśli chodzi o Ngaru, Mama Evelyn mogła jedynie stwierdzić zgon. Już wcześniej wiedziałam, że nie żyje. Na ziemi niemal nie było krwi, ponieważ serce przestało bić kilka sekund po tym, jak trafiło je ostrze harpuna.

Jeszcze tej samej nocy zawiadomiono brata matki w Tauhunu, rodzeństwo i rodzice Ngaru otrzymali wiadomość dopiero następnego dnia, przez radio.

Tej nocy w ogóle nie zmrużyłam oka. Leżałam na łóżku w pokoju nad warsztatem i czułam ciężar rosnącego we mnie dziecka, czułam, jak się przeciąga.

Moja dusza była dziwnie pusta, istniała jedynie wielka ciemność. Nawet Moany nie było przy mnie. W jakiś niewytłumaczalny sposób wróciła na zdjęcie w gazecie, która leżała na półce w dużym pokoju: zastygła na wieczność w swoim uśmiechu.

Kapitan Mareko i brat matki z Tauhunu zabrali ciało Ngaru do Rakahangi już o świcie, miał zostać pogrzebany jeszcze przed zmierzchem. Zaczekałam, aż łódź odpłynie, po czym poszłam do Dużego Domu. Miałam czerwone oczy, kręciło mi się w głowie. Wszyscy już wstali, Amiria była podniecona, Babcia Vaine wzdychała i płakała. Mama Evelyn miała białe wargi.

Wzięłam na bok Papę Tanego i spytałam, co będzie się dziać w ciągu dnia. Odpowiedział głośno, żeby wszyscy słyszeli:

– Zgon został zgłoszony do Rarotongi, ale nie wspomnieliśmy o okolicznościach. *Ariki* i *rangatira* przedyskutują sprawę i podejmą decyzję.

Następnie odwrócił się do mnie plecami.

Formalnie nie podlegaliśmy już władzy wodzów i ich zastępców, ale niekiedy – z braku innej władzy – odwoływano się do nich. *Ariki* było pozycją dziedziczną. Niestety nie było pewności, kto miał największe prawo do tytułu, co prowadziło do ciągłych kłótni między sąsiadami. Niezamieszkaną pałac w Tauhunu był tego konsekwencją: nie sposób było ustalić, kto ma prawo w nim zamieszkać.

Nikau podszedł do mnie, położył rękę na mojej dłoni.

– Wszyscy widzieli, co się stało – wyszeptał. – Funkcjonariusz Everest siedział tuż obok. Ludzie wiedzą, że Ngaru był agresywny.

Miałam sucho w ustach, więc tylko skinęłam głową, bynajmniej nie przekonana.

Kiedy zrobiło się jasno, całe Tukao zebrało się przed Domem Gminnym. Wewnątrz zajęli miejsca mniej lub bardziej samozwańczy wodzowie, funkcjonariusz Everest i pan Erlandsen, pozostali mieszkańcy tłoczyli się w niewielkich oknach. Erik siedział z przodu i wpatrywał się w podłogę. Ranę na głowie przykrywał świeży opatrunek. Próbowałam złapać jego wzrok, ale nie widział mnie. Pastor Boyd otworzył zgromadzenie, odmawiając *pure*, po czym dodał, że każdy może się wypowiedzieć.

– Dawno nie mieliśmy w Manihiki do czynienia z tak brutalnym morderstwem – rozpoczął pan Erlandsen, po czym wszystko zamieniło się w chaos.

– Z morderstwem? – krzyczał Nikau przez okno. – Jeśli wczoraj ktoś popełnił zbrodnię, to był to Ngaru! To było usiłowanie morderstwa! Wszyscy to widzieli!

Wszyscy domniemani *ariki* i *rangatira* wstali jednocześnie i zaczęli wykrzykiwać swoje argumenty. Krzyczeli też, że ludzie na zewnątrz mają milczeć albo wskoczyć do laguny. Pastor Boyd był zmuszony użyć swojego grzmiącego głosu, którego zwykle używał w Wielki Piątek, żeby uciszyć zebranych.

Ludzi na zewnątrz poinformowano, żeby się nie wtrącali. Zagrożono, że jeśli nie będą milczeć, zostaną odesłani. Ludzie mamrotali niezadowoleni, ale dostosowali się.

Następnie sporządzono listę mówców, wśród których był oczywiście także pan Erlandsen, chociaż nie bardzo wiedziano, jak ukrócić jego gadatliwość.

Stwierdził, że Erik Bergman był nieznaną litości mordercą, który brutalnie pozbawił życia jednego z synów wyspy, więc kara może być tylko jedna: dożywocie na Rarotondze.

Pastor Boyd podziękował mu za wypowiedź i oddał głos Take Chevalowi, ojcu Reo.

– Wszyscy znamy obowiązujące w takich przypadkach procedury – powiedział. – Poinformujemy Rarotongę o okolicznościach i niech oni zdecydują, czy należy wysłać po niego *Te Kukupa*.

Za oknami zrobił się szum.

Te Kukupa to niesławna łódź policyjna, opłacana i utrzymywana przez australijski rząd. Nigdy nie widzieliśmy jej na oczy, poza zdjęciami w „Cook Island News”, ale wszyscy znali krążące o niej opowieści. Stałam w najbardziej oddalonym oknie i patrzyłam do środka nad głową Babci

Vaine. Na samo wspomnienie o *Te Kukupa* musiałam usiąść na ziemi.

Na sali zabrał głos funkcjonariusz Everest.

– Zastanawiam się, czy to odpowiedzialne z naszej strony przekazać decyzję do Rarotongi – powiedział. – Nie mają możliwości zbadania miejsca wypadku, przesłuchania świadków...

– Miejsca wypadku? Miejsca zbrodni! – zawołał pan Erlandsen.

Pastor Boyd kazał mu usiąść i zaczekać na swoją kolej. Funkcjonariusz Everest mógł mówić dalej.

– Jak już wspomniałem, ludzie z Rarotongi nie mają możliwości zbadania wiadomego miejsca, nie przesłuchają świadków, nie mają żadnej wiedzy w tej kwestii. A wszyscy dobrze wiemy, jak traktuje się więźniów z północy, którzy zostają przekazani na Awaruę.

Wszyscy zaczęli mówić naraz, i zebrani w sali, i ludzie na zewnątrz. Powszechnie znana była historia młodego mężczyzny z Penhyrn, który groził pistoletem swoim rówieśnikom. Został zatrzymany przez miejscowego funkcjonariusza policji, który wezwał na pomoc *Te Kukupa*. Na pokładzie chłopak został przykuty do relingu. Spędził tak całą podróż do Rarotongi, ponad tydzień w prażącym słońcu i wśród szalejącej ulewy. Sprawa skończyła się tym, że młodociany przestępca oskarżył rząd Wysp Cooka o nieludzkie traktowanie. Proces nadal się toczył.

– Tego chcecie? – spytał retorycznie funkcjonariusz Everest. – Chcecie, żeby ci z Rarotongi skuli jednego z naszych? Żeby potem toczył się kosztowny proces, który doprowadziłby do tego, co wszyscy znamy? Ngaru, niech Bóg zmiłuje się nad jego duszą, był młodym mężczyzną z problemami. Temu nikt nie zaprzeczy. Wszyscy widzieliśmy, co zrobił. Byliśmy tam. Wszyscy jesteśmy świadkami. Z racji pełnionej przeze mnie funkcji i tego, że byłem naocznym świadkiem, mogę stwierdzić to, co wszyscy wiemy: Ngaru próbował zabić Erika Bergmana. Celował do niego z karabinu harpunowego, i celował prosto w głowę. Zranił go na tyle poważnie, że rana wymagała opatrzenia. Prawdę mówiąc, to czysty

przypadek, że to Bergman siedzi na ławie oskarżonych, a ciało Ngaru Lewisa wkrótce zostanie pogrzebane. Równie dobrze mogłoby być na odwrót. Erik Bergman się bronił. Nawet nie zdążył się podnieść. Siedząc na ziemi, chwycił broń, którą Ngaru Lewis wycelował w jego głowę. Tak to wyglądało. Ngaru Lewis rzucił się na niego i ostrze harpuna przeszło mu brzuch...

Po tych słowach rozgorzała dyskusja na temat tego, jakie obrażenia odniósł Ngaru. Mama Evelyn – której nie było na miejscu, więc musiano wezwać ją z lecznicy – powiedziała w zasadzie to samo co funkcjonariusz Everest. Ngaru zmarł niemal natychmiast, w chwili gdy ostrze harpuna trafiło go w serce.

W tym momencie opuściłam spotkanie i chwiejąc się na nogach, ruszyłam w stronę warsztatu. Lęk ciążył mi w piersi niczym kamień. Zwinęłam się w kłębek na łóżku i zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, księżyc świecił mi prosto w twarz. Jasnoniebieska, niemal przezroczysta poświata przypominała mi kolor oczu Erika. Niewiele brakowało, a zaczęłabym krzyczeć.

– Spokojnie – powiedział Erik, gładząc mnie po głowie.

Odwróciłam się i spojrzałam mu w twarz, widziałam włosy opadające mu na policzki i bliznę na czole.

– Puścili cię?

Skinął głową.

– W raporcie wspomniano o napaści i samoobronie.

Usiadłam i objęłam go.

– Nigdy mnie nie zostawiaj – powiedziałam.

Nie odpowiedział.

Czytałam *Niežnośną lekkość bytu* Milana Kundery. Pochłonęła mnie całkowicie. Nikt nie uprzedził mnie o jej sile, o sposobie, w jaki pokazywała miłość i życie. O opisach Związku Radzieckiego i okropnościach wiosny 1968 roku. Dotknęły mnie do żywego. Walka młodej Teresy o męża i psa – na Manihiki nie mieliśmy psów, tylko koty, tak zniszczone przez chów wsobny, że większość nie miała już ogonów.

Im cięższe stawało się moje ciało, tym większa stawała się też pustka w mojej duszy. Czytałam książkę kilka razy i płakałam, aż Erik zabrał mi ją i żeby mnie rozśmieszyć, zaczął opowiadać mi zabawne anegdoty o Szwecji.

– W moim kraju bajkopisarki potrafią obalić rząd – powiedział pewnego razu.

Otarłam łzy i spojrzałam na niego.

– Słyszałaś o Pippi Langstrump? Nie? To postać stworzona przez jedną z najbardziej znanych szwedzkich autorek książek dla dzieci. Bardzo szanowana kobieta, nazywa się Astrid Lindgren. Napisała bajkę dla dzieci, którą zamieściła pewna popołudniówka kilka miesięcy przed wyborami do parlamentu. Wiele osób twierdzi, że zmieniła szwedzką politykę na zawsze.

– W jaki sposób? – spytałam.

– Opisała absurdalny szwedzki system podatkowy z lat siedemdziesiątych w formie baśni. Pisała o tym, jak pewna kobieta, Pomperipossa, całymi dniami harowała i radośnie płaciła pieniądze przywódcom kraju. Kiedy jednak zażądano od niej podatku, który przekraczał to, co zarobiła, zaczęła protestować.

– Miała zapłacić więcej podatku, niż wynosiły jej zarobki? To chyba niemożliwe?

– Tak też powiedział minister finansów w wywiadzie w radiu. Stwierdził sarkastycznie, że nie można oczekiwać od bajkopisarki, że będzie znała się na ekonomii, ale okazało się, że się mylił. Wiesz, co Astrid Lindgren mu odpowiedziała? Zasugerowała, że skoro minister potrafi opowiadać bajki, ale najwyraźniej nie potrafi liczyć, to może powinni zamienić się miejscami.

Wtedy się roześmiałam.

– Minister przegrał?

– Jego partia przegrała. Po czterdziestu latach rządzenia.

Erik opowiadał mi też inne historie, między innymi o znanych gwiazdach popu. Opowiedział mi o Abbie. Nie wiedziałam, że to szwedzki zespół. I o biednym chłopcu ze Smolandii, który założył firmę przesyłkową. Składał meble w płaskie paczki i wysyłał je w świat. Nazwał firmę inicjałami swojego adresu: Ingvar Kamprad, Elmtaryd, Agunnaryd. Teraz jego firma była największą firmą meblową na świecie, a wydawany każdej wiosny katalog stał się publikacją o największym nakładzie na świecie.

– Ludzie kupują jego rzeczy?

– Kupują. I to coraz więcej.

– Co z nimi robią?

– Wstawiają do swoich mieszkań – powiedział Erik.

Mówił, że szwedzkie społeczeństwo jest całkowicie przejrzyste. Wszystkie informacje są ogólnodostępne. To, na co politycy wydają pieniądze obywateli, informacje o ludziach i firmach, o dochodach i płaconych podatkach, nawet stopnie szkolne są upubliczniane.

Czasem czytał mi też książki, które przechowywał w swojej torbie sportowej. Były po szwedzku, więc nie rozumiałam ani słowa.

– To nie jest trudny język – zapewniał mnie. – Tysiąc lat temu szwedzki i angielski brzmiały niemal tak samo. Mówili nim Wikingowie. Rzeczy, które istniały tysiąc lat temu, dzisiaj nazywają się tak samo.

Wskazał ręką na pozbawionego ogonka kota, który mijał nas w mroku.

– Angielski *cat* to po szwedzku *katt* – powiedział. – *Ko* to *cow*, *hund* to *hound*, a *fisk* to *fish*...

Pokazywał na kolejne części ciała.

– Ręka: *arm* po angielsku brzmi tak samo po szwedzku: *arm*. *Fot* i *foot*, *hand* i *hand*.

Nagle wskazał na okno:

– *Window* – powiedział. – Kiedyś po szwedzku mówiono *vindöga*. Dzisiaj mówimy *fönster*. W średniowieczu zapożyczyliśmy to słowo z niemieckiego, pierwotnie pochodzi z łaciny: *fenestra*.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Moja mama uczyła języków. A wiesz, że nazwy dni tygodnia, których sama dzisiaj używasz, to pierwotnie imiona nordyckich bogów? *Tuesday* do dzień Thyra, nordyckiego boga wojny. *Wednesday* to *Day of Woden*, czyli dzień Odyna. *Thursday* to oczywiście dzień Thora, dobrze ci znanego boga burzy. No i mamy też dzień Frei, bogini płodności: *Friday*.

Objął mnie, położył ręce na moim brzuchu. Jego skóra pachniała prażonymi migdałami.

– Dziękuję, Frejo – wyszeptał mi do ucha.

– Żartowniś z ciebie – powiedziałam.

Poczułam jego oddech na mojej szyi.

– „Przyszłaś do mnie, gdy wiosna była w rozkwicie. Pamiętam, jak stanęłaś w oknie, a potem w nocy coś się wydarzyło...” – śpiewał cicho po szwedzku.

Tego wieczoru zepsuła się prądnica, musieliśmy znów zapalić lampki łojowe. Po okresie ciemności prądnica pracowała, jak chciała, nauczyliśmy się jej nie ufać.

– A więc twoja mama uczyła języków – powiedziałam. Leżeliśmy obok siebie i czytaliśmy w słabym świetle lampki. – Jest już na emeryturze?

Poczułam, że zamarł.

– Ona nie żyje.

– Przykro mi. Na co umarła?

– To był wypadek.

Erik zamknął książkę, położył ją na podłodze i odwrócił się do mnie plecami. Chwilę później zgasiałam lampkę i zasnęłam.

Prawdę mówiąc, już nigdy później nie rozmawialiśmy o jego mamie. O ojcu nigdy nie wspominał.

„L ady Moana” powróciła do Manihiki z resztą ładunku i kilkorgiem pasażerów. Byli to ludzie, którzy zostali na Rarotondze po tym, jak „Manuvai” rozbił się o rafy. Kiedy wyładowano towary, Reo Cheval i kilkoro innych młodych ludzi weszło na pokład, żeby popłynąć na główną wyspę archipelagu. Wszyscy dostali się na studia w Auckland. Reo miała studiować pielęgniarstwo, jak Mama Evelyn. Jej matka i ciotka płakały na pomoście, kiedy statek odpływał. Ona nie płakała.

Tym razem nie było paczki od ciotki Doris. Ani ja, ani Erik nie uczestniczyliśmy w *umukai* po rozładowaniu statku.

Pewnej deszczowej nocy pod koniec kwietnia obudziły mnie skurcze. Cała rodzina zerwała się na nogi. Nikau pobiegł do Take Chevala poprosić, żeby włączył prądnicę. Mama Evelyn pospieszyła do lecznicy po potrzebne narzędzia. Babcia Vaine i Amiria postanowiły zrobić kanapki i lemoniadę. Papa Tane podjechał motorowerem z przyczepą, żeby zawieźć mnie do lecznicy, ale wolałam iść na piechotę. Na samą myśl, że miałabym się trząść w deszczu na krętych i nierównych drózkach rafy koralowej, zrobiło mi się niedobrze. Tak więc poszli ze mną obaj: ojciec i Erik, każdy z parasolem nad moją głową. Pomysł nie był najlepszy, szłam pośrodku i zmokłam bardziej, niż gdybym szła sama. Dwa razy musieliśmy się zatrzymać, żebym mogła odpocząć między skurczami. W końcu dotarliśmy na miejsce.

– Dzięki za pomoc – zwróciła się Mama Evelyn do obu mężczyzn, kiedy opadłam na kozetkę w sali numer trzy. – Możecie już iść.

Papa Tane odwrócił się i wyszedł, ale Erik usiadł na krześle w rogu. Mama Evelyn zamarła.

– Co ty robisz? – spytała.

– Pomyślałem, że tu zostanę.

– Wykluczone. Kiedy pracuję, nie mogę mieć wokół siebie obcych ludzi.

– Rozumiem, że może ci się wydać to dziwne, ale w Szwecji ojcowie są obecni przy porodzie. Nie będę przeszkadzał, a w razie potrzeby będę mógł pomóc.

– My nie mamy takiego zwyczaju.

– A my mamy.

Mama Evelyn zagryzła zęby. Przecież nie mogła wziąć go na ręce i wynieść. Poza tym właśnie nadszedł kolejny skurcz.

Pomagałam mamie przy wielu porodach, ale tym razem to ja rodziłam i było to zupełnie nowe doświadczenie. Bóle nie były tak wszechogarniające, jak się spodziewałam. Wcześniej uczyłam inne kobiety oddychać podczas porodu, więc wiedziałam, co mam robić. Byłam

zdumiona siłą własnego ciała. Skurcze sprawiały, że niemal się unosiłam, miałam wrażenie, że mnie rozrywają. Niesamowite doświadczenie. Erik przysunął krzesło i usiadł obok mnie. Trzymał mnie za rękę, ocierał mi pot z twarzy. Nie walczyłam z bólem, podążałam za nim, i kiedy noc była najciemniejsza, jakąś godzinę przed świtem, nasz synek przyszedł na świat. Szczęście, jakie czułam, trzymając go w objęciach, było nie do opisania. Erik płakał ze zmęczenia.

Nazwaliśmy go Johan Geronimo. Był jedynym dzieckiem na Wyspach Cooka noszącym te imiona.

Wybór imienia jest niezwykle ważny na Manihiki, w ogóle na Wyspach Cooka. Imię, które otrzymujemy przy porodzie, jest pomostem do przeszłości, do naszych przodków i wydarzeń z historii naszej rodziny. Później można otrzymać inne imiona; ostatnie otrzymuje się, kiedy się umiera. W Tauhunu był mężczyzna, który nazywał się Bezwartościowy Reretaki – nie wiem dlaczego.

Kiedy w rodzinie przychodzi na świat pierwsze dziecko, imię wybierają dziadkowie. Imię drugiego dziecka wybiera rodzina matki, w ten sposób rodziny się zmieniają. Ja byłam trzecim dzieckiem, więc moje imię wybrała Babcia Vaine, matka ojca. Stąd Kiona. Niestety.

Ponieważ nasz syn nie miał dziadków ze strony ojca, o wyborze imienia zdecydował Erik. Zanim dokonał wyboru, Papa Tane bardzo dokładnie opisał mu nasze zwyczaje. Tłumaczył, że imię powinno występować w jego rodzinie po stronie ojca i że ma być godne. Erik zastanawiał się cały dzień, a wieczorem przekazał, jakie imię wybrał dla syna.

– Dałem mu imię po moim bracie – powiedział, kiedy Amiria spytała, dlaczego właśnie takie.

Był dobrze zbudowany i miał ciemną karnację. Wcześniej zaczął raczkować i lubił głośno się śmiać.

Założyłam, że zaraz po porodzie wrócę do nurkowania, ale nikt tego ode mnie nie oczekiwał. A ja nie doceniłam, jak czasochłonne jest zajmowanie się takim maleństwem. Dziecko trzeba było karmić, przewijać, uspokajać i bawić się z nim. Erik prowadził księgowość wszystkich właścicieli farm pereł w Tukao – poza Erlandsenem, który upierał się, że Erik jest mordercą. Ale popołudnia spędzał z nami, bawił się z małym, mówił do niego po szwedzku, śpiewał mu piosenki, których ja nie znałam.

Pamiętam te dni, zawsze skąpane w słońcu.

Babcia Vaine od samego początku opowiadała małemu bajki. A on siedział na jej kolanach i zafascynowany wsłuchiwał się w jej monotonne opowieści po maorysku:

– W dniu, kiedy Rongo stworzył ziemię i morze, spojrzał w dół na Wyspy Cooka i zdumiał się ich pięknem. Podziwiał głębokie doliny, krystalicznie czystą lagunę i obfitość kolorowych tropikalnych kwiatów. Kiedy nadszedł wieczór i świat spowiły ciemności, piękne wyspy stały się niewidoczne. Rongo posmutniał i zaczął płakać. Jego łzy padały z nieba, łącząc się z wodą laguny, kiedy trafiały w powierzchnię, zamieniały się w perły. Księżyc oświetlał skrzącą się wodę laguny, muskał lśniące w niej perły i w księżycowej poświacie Rongo znów mógł podziwiać wyspy, teraz zarówno w dzień, jak i w nocy.

Babcia skinęła głową zamyślona.

– Perły są darem od Rangii, z nieba, dla Moany i morza.

W tym momencie Johan zwykle zaczynał już marudzić, więc brałam go i dawałam mu pierś.

Czasem Babcia Vaine opowiadała mi straszne historie o wyspie strachu, Atiu, i zamieszkujących ją kanibalach, o tym, jak rozrywano ludzi na kawałki na *makatea*, i nawet jeśli Johan nie rozumiał ani słowa, zawsze znajdowałam pretekst, żeby przyjść i zabrać go z pokoju.

Często szłam nad lagunę i pozwalałam synkowi pluskać się w ciepłej wodzie. Uwielbiał to, pisał ze szczęścia i obiema rączkami uderzał w wodę niemal jak *pokuru*. Erik często nam towarzyszył, siadał na brzegu i przyglądał się nam.

– Tchórz – wołałam, ochlapując go wodą. – Chodź!

Erik unikał wody. Kiedy spytałam dlaczego, opowiedział o pewnym zdarzeniu z dzieciństwa.

– Mieliśmy dom w Mölle, nad samym morzem. Byłem mały, miałem cztery, może pięć lat. Pewnego wieczoru, kiedy rodzice urządzali przyjęcie rakowe, poszedłem na pomost po piłkę plażową, która tam została. Poślizgnąłem się i wpadłem do morza. Dotąd pamiętam przerażenie, kiedy próbując zaczerpnąć powietrza, otworzyłem usta i słona woda dostała mi się do płuc.

– Jak sobie poradziłeś?

– Wyciągnął mnie jeden ze starszych chłopców, syn znajomych rodziców. Potem nauczył mnie pływać.

Pamiętam, że zaciekało mnie to, że jego rodzina jadła raki, tak samo jak moja. To było jedyne wspomnienie z dzieciństwa, którym Erik się ze mną podzielił.

„Lady Moana” znów do nas zawitała. Ojciec zamówił nową pompę wodną do warsztatu i sprzęt do nurkowania dla mnie i dla Nikau.

– Pora, żebyś znów zaczęła nurkować – powiedział, a w mojej głowie odezwał się krzyk, który nigdy nie zamilkł.

Zdałam sobie sprawę, że nie chcę nurkować w lagunie. To nigdy nie był mój świat. Słyszałam głosy wokół mnie, jakbym nagle znalazła się w środku ulewy, musiałam wyjść z kuchni. Usiadłam z Johanem w pokoju, podczas gdy pozostali rozpakowywali zamówione towary. Mały śpiewał i skakał mi na kolanach, chciał zejść na podłogę.

Nie chciałam, nie chciałam, nie chciałam nurkować w lagunie.

Z kuchni dobiegały mnie komentarze dotyczące ryżu, oleju i konserw mięsnych, soli, cukru i czarnego pieprzu w torebkach, no i nowych ksiąg rachunkowych dla Erika.

– Mamo, spójrz, ile tygodników – zawołała Amiria.

Domyśliłam się, że przysłała je ciotka Doris.

Erik wszedł do pokoju i podał mi książkę: *Świat według Garpa* autorstwa Johna Irvinga.

– Bardzo dobra książka. Czytałem ją po szwedzku – powiedział.

Usiadł obok mnie, trzymając w ręce egzemplarz „Cook Island News”. Na okładce książki przeczytałam, że autor opisuje „świat seksualnych skrajności, obfitujący w smutek i szaleństwo, mroczny i gwałtowny...”.

Erik wziął ode mnie Johana i podał mi dziennik. Na stronie siódmej był artykuł o śmierci Ngaru Lewisa. Napisano, że zgon nastąpił podczas *umukai* w Tukao na Manihiki. Autor opisywał pokrótce, co się wydarzyło. Ngaru Lewis zaatakował po pijanemu szwedzkiego turystę, Erika Bergmana, doszło do rękoczynów, w wyniku których Ngaru zmarł. Nie zamieszczono zdjęcia ani ofiary, ani Erika.

Jeszcze tego samego wieczoru zaczęłam czytać *Świat według Garpa*. Pod wieloma względami była to straszna opowieść, okrutna i przerażająca, ale też wrażliwa i smutna. Erik i Johan zasnęli obok mnie, a ja czytałam całą

noc. Skończyłam jakąś godzinę przed świtem. Przeczytałam ostatnie zdanie:
„W świecie Garpa wszyscy jesteśmy skazani na śmierć”.

Kiedy nagle zwymiotowałam, zrozumiałam, że znów jestem w ciąży.

Nasza córeczka Iva przysła na świat miesiąc za wcześnie. Miała jasne włosy, jasną cerę i w ogóle nie była podobna do brata. Przez kilka pierwszych tygodni nie mogła być wystawiana na słońce, żeby światło dzienne nie zniszczyło nadmiaru bilirubiny, którą miała we krwi, a z którą jej wątroba sobie nie radziła. Wiedziałam, że to mogło być niebezpieczne. Poziom bilirubiny nie był na tyle wysoki, żeby uszkodzić mózg, ale i tak byłam przerażona.

Jej imię wybrał Papa Tane. Iva to dosłownie cyfra dziewięć, ale symbolizowała też elegancję, ciągłość rodziny i wspólnotę. Uznałam, że to ładne imię i byłam wzruszona, że ojciec je wybrał. Chciał wzmocnić rodzinne więzy, związać moje jasnowłose dziecko o niebieskich oczach z rodziną. Byłam tak wzruszona, że niemal się popłakałam.

– Chcę pojechać do Szwecji – wyszeptalam Erikowi pewnej nocy, kiedy leżące między nami dziecko w końcu zasnęło. Wnieśliśmy na górę stare łóżko Moany i postawiliśmy je obok mojego w pomieszczeniu nad warsztatem, żeby cała rodzina mogła spać razem.

Na niebie świeciły już gwiazdy i księżyc, widać je było za oknem. Erik leżał nieruchomo.

– Dlaczego? – spytał cicho. – Masz tu wszystko, czego potrzebujesz.

– Chcę pracować z dziećmi. Mam zdolne ręce, zakładam szwy lepiej niż Mama Evelyn i Siostra Vioora, mogłabym studiować w Szwecji pielęgniarstwo.

– Kiona...

– Mówiłeś, że studia w Szwecji są bezpłatne. Możemy się pobrać, tak naprawdę, i pojedę tam z tobą.

– Ja tam już nic nie mam. Nie mam rodziny, niczego.

– Masz brata. Johana.

Erik spojrział na mnie, jego oczy żarzyły się w ciemności.

– Co ty mówisz? Nie mam brata.

Popatrzyłam na niego i pod jego błyszczącą twarzą dostrzegłam twarz

kogoś, kogo nie znałam.

– Tutaj jest wszystko – powtórzył Erik stłumionym głosem. – Wszystko. Wszystko, czego kiedykolwiek będziesz w życiu potrzebować, jest na tej farmie, w tym domu.

Przełknęłam ślinę tak głośno, że musiał to usłyszeć.

– Jesteś wykształconym człowiekiem – powiedziałam. – Wiele lat studiowałaś. Dlaczego nie chcesz dać mi takiej możliwości?

Erik milczał chwilę.

– To, co tu mamy, nasze życie z dziećmi, tu nad laguną, to coś niezwykłego. Ludzie całe życie się trudzą, studiują, pracują, i nigdy nawet się do tego nie zbliżą.

Pocałował mnie, ale ja nie odwzajemniłam jego pocałunku.

– Kocham cię – wyszeptał. – Kocham nasze życie, dla mnie jest ono spełnione.

Odwróciłam się do niego plecami i nic więcej już nie powiedziałam.

Kiedy Iva skończyła pół roku, nie miałam już żadnego usprawiedliwienia i musiałam wrócić do pracy. Dobrzy pracownicy byli drodzy, poza tym wcale nie było o nich łatwo. Bracia Brownowie należeli do najlepszych, ale niedawno rozpoczęli własną działalność. Nie mogłam dłużej migać się od swoich obowiązków.

Poza tym okazało się, że praca szła mi łatwiej, niż się tego spodziewałam. Być może ciężę sprawiły, że moje ciało dojrzało i wzmocniło się. Mogłam zejść na głębokość czterdziestu metrów, chociaż rzadko zachodziła taka potrzeba. Niestety magia zniknęła. Katedra wokół mnie przestała śpiewać.

Amiria spędzała dużo czasu w szkole, zajmowała się też gotowaniem, gdy Babcia Vaine opiekowała się dziećmi. Bardzo lubiła Johana, ale Ivę wręcz ubóstwiała.

Pewnego popołudnia, kiedy wyszłam z laguny, zobaczyłam, jak spaceruje w cieniu po podwórzu z małą na rękach.

– Ati miał gospodarstwo w Arorangi na Rarotondze – powiedziała, gładząc małą po włosach. – Miał tam duuuży ogród, w którym rosły *taro*, *kumara*, *maniota*, *kuru* i *kapati*. Codziennie szedł na zbocze doglądać warzyw. Sam wrywał chwasty, po czym podlewał uprawy wodą z pobliskiego stawu. Pewnego ranka okazało się, że połowa jego plonów została zjedzona. Postanowił zanocować na polu i schwytać złodzieja. Kiedy na nocnym niebie pojawił się księżyc, obudziły go dochodzące z ogrodu śpiewy i śmiech. Podeszedł bliżej na czworakach i zobaczył grupę nagich kobiet, które tańczyły wokół jego grządek. Miały białą skórę, a włosy rude, blond lub nieco ciemniejsze. *Momoke*, wyszeptał Ati. Wiedział, że to elfy. O świcie wróciły do stawu, ale następnego wieczoru, kiedy znów się pojawiły, Ati złapał najjaśniejszą z nich i spytał, czy chce zostać jego żoną. Chciała. Miała na imię Vaine, tak jak ja. Urodził im się syn, Tau, który miał jasną skórę i jasne włosy, jak ty. Ati, Tau i Vaine żyli szczęśliwi w Arorangi, ale z czasem Vaine zaczęła tęsknić za swoją rodziną. Brakowało jej dawnego świata i chociaż kochała Atiego, chciała wrócić do

rodziny. Ati i Tau towarzyszyli Vaine na dno stawu, ale nie mogli żyć pod powierzchnią i musieli wrócić. Rodzina zebrała się na brzegu, siedzieli, obejmując się. Ati wiedział, że nigdy już nie zobaczą Vaine, ale wiedział też, że Vaine zawsze będzie ich kochać. Do dzisiaj na Wyspach Cooka żyją potomkowie Vaine, od czasu do czasu rodzi się tu dziecko z jasnymi włosami i jasnymi oczami. Ty jesteś jednym z nich.

Babcia Vaine pocałowała małą w czołko. Stałam w cieniu cysterny na wodę i przyglądałam się im. Nagle poczułam chłód, z trudem łapałam oddech.

Iva miała już prawie roczek, kiedy zostaliśmy zaproszeni na odsłonięcie nagrobka na grobie Ngaru na Rakahandze.

– Nie pojedę tam – powiedziałam od razu. – Nigdy w życiu.

– Twoja nieobecność zostanie potraktowana jak obraza – tłumaczył mi Papa Tane.

– Chciał zabić Erika.

– Co przypłacił życiem. Byłaś jego narzeczoną. Jego rodzice oczekują, że uczysz jego pamięć.

– Nigdy nie byliśmy zaręczeni, nie tak naprawdę. Erik też został zaproszony?

– Oczywiście, że nie.

– Pojedziesz z nami – stwierdziła Mama Evelyn. I tak się stało.

Wyłynęliśmy z Tukao o świcie aluminiową łodzią Kapitana Mareko. Miała płaskie dno, osiem metrów długości i niespełna dwa szerokości. Szeleszczący brezent został przymocowany do metalowego rusztowania, by chronić nas przed słońcem. Mężczyźni wnieśli na pokład towary, przekrzykując się i gestykulując: butle z gazem, kosze z *taro*, orzechy kokosowe, z których można będzie pić podczas drogi, pudełka z brązowego kartonu ze ściętymi rogami i pofałdowanymi pokrywkami, niewielką pompę wodną, liny i żyłki wędkarskie, i małą kozę. Musieliśmy włożyć kamizelki ratunkowe, chociaż w zasadzie nie były potrzebne, bo wszyscy potrafiliśmy pływać. Papa Tane odmówił krótkie *pure* i ruszyliśmy. Pomachałam Erikowi, Babci Vaine i dzieciom, którzy zostali na pomoście.

– Trzymajcie się mocno! – zawołał Kapitan Mareko.

Kierowaliśmy się w stronę szczeliny w rafie, silnik terkotał cicho. Wszyscy liczyli fale: sześć, siedem, t e r az! Ryk silnika, dziób łodzi uniósł się, na tle nieba wyglądał przez chwilę jak latarnia morska, i huk, kiedy opadł na fale. Trzymałam się drewnianej ławki z całych sił, poleciałam do przodu, a po chwili byliśmy już na pełnym morzu. Napięcie puściło, wszyscy poczuli ulgę, a potem była już tylko długa, długa droga do

Rakahangi. Miałam wrażenie, jakbyśmy cały czas płynęli pod górę.

Droga na wyspę zawsze przebiegała wśród głośnych okrzyków, niewielki silnik wył, protestując. Drewniane ławki były zimne jak kamień. Jeszcze po kilku godzinach po dopłynięciu na ląd miałam wrażenie, że wszystko wokół mnie się kołysze.

Udało nam się trafić w szczelinę, dobiliśmy do brzegu.

Rakahanga bardzo się różniła od naszej wyspy. Było tu cieplej i bardziej sucho. Laguna była mniejsza, a ląd większy. Rósł tu prawdziwy las z drzewami sięgającymi nieba, tak wysokimi, że promienie słońca nie docierały do poszycia. Na dole pod drzewami było ciemno i dziwnie. Ziemię pokrywały *kikau*, brązowe opadłe liście palmowe, które tworzyły wilgotny dywan, pochłaniający wiatr i odgłos ludzkich kroków.

Po śmierci Ngaru nie widziałam się z jego rodziną. Czułam nieprzyjemne pieczenie w gardle, chociaż nie miałam powodu do niepokoju. Moja obecność była co prawda konieczna, ale nikt nie oczekiwał, że będę aktywnie uczestniczyła w ceremonii. Jego rodzice przywitani się ze mną, ale jego rodzeństwo mnie zignorowało. Podczas uroczystości siedziałam gdzieś z tyłu i cicho płakałam.

Odsłonięcie nagrobka to u nas ważniejsza ceremonia niż sam pochówek. Wiedziałam, że nie we wszystkich kulturach tak jest. Tradycje związane z pochówkiem różniły się nawet na naszych dwóch wyspach.

U nas zmarłych chowano obok domów, w których mieszkali za życia. Dziadek Tane i Moana zostali pochowani w grobie z granitową płytą tuż obok Dużego Domu.

Na Rakahandze panował inny zwyczaj. Tuż za kościołem było miejsce pochówku większe niż całe Tukao. W myślach nazywałam je Miastem Zmarłych, było ogromne, wyjątkowe. Wznosiły się tam wielkie rodzinne grobowce z błyszczącymi białymi płytami i firankami w ładne wzory, były też stare, szare kamienne nagrobki z ledwie widocznymi imionami i nazwiskami zmarłych, zaniedbane mauzoleum i bogato zdobione groby

dzieci. Duże drzewa rzucały nieregularne cienie, wiatr szeleścił nabożnie w koronach palm.

Po odsłonięciu nagrobka wszyscy uczestnicy zebrali się przy kościele w Matara na posiłek. Nie brałam w tym udziału, poszłam przejść się wśród cieni.

Minęłam szkołę, gdzie las był najgęstszy, i znalazłam miejsce, które coś do mnie szeptało, jakby mnie przyciągało do siebie. Kiedyś, jako dziecko, byłam tu z Moaną, Nikau i kuzynką Vaianą, córką Stryja Matinięgo. Pamiętam, jak niewidoczni dla nikogo prześlizgnęliśmy się przez dżunglę, zmierzając w stronę oceanu.

Te wspomnienia wciąż były bardzo silne.

Na brzegu znajdowały się groby dwóch wyklętych mężczyzn, którym nie pozwolono spocząć w poświęconej ziemi. Obaj byli złodziejami, ukradli *taro* pastora i za karę zostali rażeni piorunem, gdy wypłynęli na połów. Dlatego zostali pochowani tutaj, w prześwicie obok huczącego oceanu. Dwa szare kamienne nagrobki, na których wiatr z czasem zatarł imiona i nazwiska. Zostało tylko przekleństwo.

Szybko odnalazłam to miejsce i uczucie sprzed lat powróciło. Wszystko tu wydawało się chłodniejsze, suchsze, bardziej trzeszczące i bardziej ponure. Przeszły mnie ciarki. Wtedy było tak samo. Wiatr targał suchymi liśćmi palm, ziemię pokrywały skorupy orzechów kokosowych.

– Był jeszcze jeden grób. – Pamiętam, jak Vaiana wyszeptała mi to do ucha. – Mężczyzny, który próbował złapać żółwia i został wciągnięty w głębinę. Nigdy nie znaleziono jego ciała...

Takie groby ukrywano w dżungli, miejsce spoczynku wyklętych, na wieki wieków.

– On też był złodziejem? – wyszeptałam wtedy do Vaiany.

Kuzynka spojrzała na mnie lekko obrażona.

– Skąd mogę wiedzieć – odpowiedziała.

Mama Evelyn była zła, że tam poszliśmy, dzisiaj na pewno też byłaby

niezadowolona. Kiedy spytałam ją o groby nad brzegiem oceanu, ściągnęła usta.

– To nie są groby, tylko miejsca pamięci – powiedziała.

Potem odwróciła się i zajęła się przekładaniem różnych rzeczy z miejsca na miejsce. Widziałam jej szerokie plecy, wyraźnie się ode mnie dystansowała.

Siedziałam przy grobach wyklętych, czy raczej miejscach pamięci, aż nadeszła pora powrotu na Manihiki.

Nie wierzyłam, że to była moja wina, ale miałam wrażenie, jakby przekleństwo grobów towarzyszyło mi przez cały dzień.

Kiedy wracaliśmy, łódź była załadowana po brzegi. Płynęła z nami rodzina Chevalów, która spędziła kilka tygodni na Rakahandze. Papa Tane stał na przodzie, reszta tłoczyła się na niewielkich drewnianych ławeczkach. Ja siedziałam obok Amirii. Kapitan Mareko włączył silnik, zaczęliśmy liczyć fale. Ktoś zawołał „Wszystko gotowe”, ale albo musiał pomylić się w rachunkach, albo nie dostrzegł zbliżającej się ogromnej fali. Wypływając z portu, ujrzeliśmy ją nagle przed sobą. Mieniąca się w słońcu, śmiertelnie groźna, wyglądała jak betonowy mur w kolorze orzecha kokosowego. Instynktownie nabrałam w płuca tyle powietrza, ile mogłam pomieścić. Amiria zaczęła wrzeszczeć, łódź zniknęła w dole i o mało się nie wywróciła, puściłam ławkę i nagle zalała nas woda. Widziałam, jak Papa Tane zostaje wyrzucony do góry, zrobił salto w powietrzu i wylądował z głową do przodu od strony sterburty. Po chwili byliśmy już po drugiej stronie rafy. Fale zniknęły, jakby nigdy ich nie było, tylko Papa Tane leżał nieruchomo na płaskim dnie łodzi, krew leciała mu z dwóch dużych ran na czole i z ust. Mama Evelyn podbiegła do niego, zdjęła swoje *pareu* i owinęła je wokół jego głowy.

– Zawróć! – krzyknęła do kapitana. – Przejdź przez szczelinę! Teraz!

Kapitan Mareko, którego niełatwo było przestraszyć, zrobił się błydy jak kreda.

– Przepraszam, przepraszam – powtarzał. – Nie zauważyłem fali. Nie zauważyłem jej.

Dziwne, ale nie bałam się. W moim świecie Papa Tane nie mógł ulec wypadkowi, nie tak naprawdę.

Wróciliśmy do portu, tym razem bez problemu, ludzie przybiegli i wspólnymi siłami udało nam się wynieść ojca na nabrzeże. W burcie aluminiowej łodzi, w miejscu, w które uderzył głową, powstała duża wypukłość. Stary Nimo przyjechał na motorowerze i pomógł przewieźć ojca do szpitala, gdzie pielęgniarka i Mama Evelyn zszyły mu głowę. Z raną w ustach niewiele można było zrobić, musiała zagoić się sama.

Kiedy wracaliśmy do łodzi, zobaczyłam, że Mamie Evelyn drżą ręce.
Wtedy zrozumiałam, jak groźna mogła okazać się ta sytuacja.

Zanim wyruszyliśmy w drogę powrotną, zrobiło się już późne popołudnie. Przepłynęliśmy przez szczelinę bez kłopotów i skierowaliśmy się w stronę domu. Łódź kołysała; na myśl o tym, jak to wszystko mogło się skończyć, zrobiło mi się niedobrze. Papa Tane siedział na drewnianej ławce oparty o mamę, miał zaciśnięte powieki i głowę owiniętą bandażem.

Amiria słuchała przez słuchawki piosenki o morzu.

Nikau siedział i wpatrywał się w horyzont.

Ja robiłam wszystko, by nie ulec mdłościom.

W pewnym momencie, gdzieś między Manihiki i Rakahangą, jest takie miejsce, z którego nie widać na horyzoncie żadnej wyspy, nawet skrawka lądu: jest tylko skrzące się morze.

Nikau pierwszy zauważył jacht.

– Oczekujemy dzisiaj jakiejś łodzi? – spytał.

– Nic mi o tym nie wiadomo – powiedział Take Cheval. – Funkcjonariusz Everest jest na rozmowach na lądzie w Tauhunu. Nie spotykaliby się, gdybyśmy spodziewali się gości.

Zasłoniłam oczy dłonią i spojrzałam na fale.

– Jesteś pewien, że to jacht? A nie wieloryb?

Kapitan Mareko, który stojąc za sterem, posługiwał się kompasem leżącym na plastikowym klapku, wyjął lornetkę i spojrzał w stronę zachodzącego słońca.

– Tak, to jacht, aluminiowy, z silnikiem.

– Kieruje się na Tukao – stwierdził Nikau.

Poczułam, jak przeszył mnie chłód. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale nagle ledwie byłam w stanie oddychać. Poprosiłam kapitana o lornetkę. Przyglądałam się jednostce. Tak, to był jacht, oceaniczny. Na pokładzie były trzy osoby.

– Płynie z południowego zachodu – powiedziałam.

– Z Samoa? – spytał Nikau.

- Ktoś pewnie postanowił opłynąć kulę ziemską.
- Bez pozwolenia przybijania do brzegu? – spytał Take Cheval.
- Nie wiemy, czy chce przybić do Tukao – odezwała się Mama Evelyn.

Jeden z mężczyzn na jachcie przyglądał się nam przez wielką lornetkę. Amiria pomachała ręką załodze jachtu, mężczyzna z lornetką odwzajemnił pozdrowienie.

- Możemy popłynąć szybciej? – spytałam.

Kapitan Mareko słynął z tego, że raczej oszczędzał ropę, ale tym razem ruszył przed siebie z oboma silnikami na pełnych obrotach.

Dotarliśmy do portu w Tukao pół godziny przed zachodem słońca. Duży szary jacht zostawiliśmy za sobą. Teraz już nie ulegało wątpliwości, że kierował się w naszą stronę. Jak tylko kapitan dobił do pomostu, wyskoczyłam na ląd i nie czekając na *pure* Take Chevala, pobiegłam w stronę naszej farmy. Przemknęłam obok kościoła i blaszanej wiaty, pod którą zwykle jadalśmy niedzielne lunchy, okrążyłam stertę pływaków, przestraszyłam stado prosiąt i wpadłam do Dużego Domu, gdzie Erik siedział przy stole w kuchni pochylony nad rachunkami.

– Jacht – powiedziałam. – Kieruje się w naszą stronę.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Oceaniczny, bez pozwolenia na cumowanie – dodałam.

Erik wstał, krew odpłynęła mu z twarzy. Chwycił się stołu.

Babcia Vaine siedziała na podłodze w pokoju dziennym i bawiła się z dziećmi.

Erik wziął moją dłoń i razem ruszyliśmy biegiem do warsztatu i naszego pokoju na górze. Tak szybko, na ile pozwalała chora noga Erika.

– To oni? Ci, którzy cię szukają, tak?

Jego twarz była szara jak popiół.

– Nie przyznawaj się, że mnie znasz.

– Nie jesteś tu zameldowany. Nikt nie wie, że tu...

– Artykuł w „Cook Island News” – powiedział Erik, sięgając do torby.

Wrzucił do niej swoje rzeczy, trzy powieści po szwedzku, ubrania, paszport, tenisówki i szczoteczkę do zębów.

– Co to za jedni? Ci mężczyźni na jachcie?

– Zostali wysłani przez mojego pracodawcę.

– Co zrobiłeś?

Powiesił torbę na ramieniu i chwycił mnie za ramiona swoimi niezwykle silnymi dłońmi.

– Kiona, cokolwiek zrobią albo powiedzą, nie wolno ci się przyznać, że mnie znasz. I ukryj dzieci, a przede wszystkim Ivę.

Puścił mnie i utykając, ruszył do schodów. Oślepiła mnie panika.

– Erik! – krzyknęłam. – Co się dzieje?

Zatrzymał się, widziałam, że z trudem łapie powietrze. Odwrócił się i położył dłoń na moim policzku.

– Pewnie będą chcieli zabrać mnie ze sobą. Muszę wracać do Londynu.

– Ale dlaczego?

– Muszę coś dokończyć.

– Kiedy wrócisz?

Puścił mnie.

– Muszę sam się zgłosić. Nie chcę, żeby zaczęli o mnie rozpytywać. Jeśli tak się stanie, powiedz, że mieszkam w chacie na zewnątrz. Papa Tane i reszta też niech się do mnie nie przyznają.

– Powiedz, że z nimi nie pojedziesz. Powiedz, że chcesz tu zostać.

– Kiona, oni mają broń. Kochanie, proszę...

Zaczął płakać. Upuścił torbę na podłogę i objął mnie, tuląc tak mocno, że zabrakło mi tchu, a ja chyba coś krzyczałam.

– Idź do dzieci – wyszeptał mi do ucha. – Weź Ivę i ukryjcie się.

Zszedł szybko ze schodów, kierując się w stronę chaty przy dystrybutorze. Kiedy do niej dotarł, rozłożył swoje rzeczy na podłodze. Cienie zdążyły już zrobić się długie, niebo płonęło. Erik ruszył w stronę *tua*, zatrzymał się, kiedy spotkał Papę Tanego. On i reszta rodziny właśnie wracali do domu. Erik rozmawiał z nimi chwilę, nie słyszałam, co mówił, ale domyślałam się.

Wbiegłam do domu, do dużego pokoju, wzięłam na ręce Ivę i wybiegłam na dwór.

– Kiona – wołała za mną Amiria. – Dokąd idziesz?

Z córeczką w objęciach usiadłam w krzakach oddalonych o jakieś pół kilometra od lotniska, skąd widać było port. Prosięta i kury przyglądały mi się, jakby chciały spytać, co tu robię. Rozplakałam się.

Widziałam, jak jacht zarzuca kotwicę i trzech na czarno ubranych

mężczyzn wsiada do jolki. Erik czekał na nich na pomoście, sam. Słońce zarzyło się na horyzoncie. Rozmawiali kilka minut, słyszałam głosy, ale nie mogłam rozróżnić słów. Erik wskazał na dystrybutor. Następnie jeden z mężczyzn wsiadł z nim do łódki i razem przepłynęli przez szczelinę w rafie. Erik wszedł na pokład pierwszy. Pozostali mężczyźni ruszyli w kierunku kościoła, zapalili latarki, bo zdążyło się już zrobić ciemno. Mała zaczęła marudzić, ale udało mi się ją uciszyć i w końcu usnęła. Siedziałam nieruchomo w zaroślach i czułam, jak mrówki wędrują mi po karku. Po jakimś czasie, kwadransie, może półgodzinie, ruszyłam w stronę domu. Słyszałam, jak mężczyźni rozmawiają z ojcem łamaną angielszczyzną. Obeszli dom, widziałam światła ich latarek w mroku. W końcu odeszli, a ja śledziłam ich wzrokiem. Na nabrzeżu odebrała ich łódź, mieli coś ze sobą, chyba torbę Erika. Jak tylko weszli na pokład, jacht podniósł kotwicę i z włączonymi silnikami ruszył na południowy zachód.

Dopiero kiedy ocean się uspokoił, a księżycowa poświata znów sięgnęła horyzontu, weszłam do Dużego Domu.

Wszyscy czekali na mnie w pokoju dziennym, na twarzy Papy Tanego widać było zmęczenie i niepokój.

Tak jak się spodziewałam, mężczyźni z jachtu poszli do chaty obok dystrybutora i znaleźli tam rzeczy Erika. Następnie przyszli do Dużego Domu, jeden z nich wypytywał o Szweda, drugi obszedł cały dom, świecąc latarką we wszystkie kąty. Papa Tane odpowiedział zgodnie z prawdą, że rodzina cały dzień spędziła na Rakahandze i ze Szwedem spotkała się dopiero wieczorem. Mężczyźni pokiwali głowami, być może rozpoznali zabandażowaną głowę ojca, bo przyglądali się nam już wcześniej przez lornetkę. Mężczyzna spytał, czy Szwed nawiązał jakieś kontakty tu na wyspie, ale ojciec odpowiedział krótko, że cudzoziemiec zawsze trzymał się z daleka, był biedny jak mysz kościelna, poza tym nieborak nie potrafił żeglować. Jedynym powodem, dla którego pozostawał na wyspie, był brak pieniędzy na podróż powrotną, więc na pewno się ucieszy, że jego znajomi

przybyli tu po niego.

W tym czasie drugi mężczyzna zdążył sprawdzić cały dom. Obaj rozmawiali chwilę w języku, którego nikt z nas nie znał, po czym opuścili dom i udali się do portu.

Kiedy Papa Tane opowiedział mi to wszystko, byłam oburzona. Miałam wrażenie, że ojciec wyparł się Erika, jak Piotr Jezusa, trzy razy, zanim zapiał kur, chociaż wiedziałam, że tak nie było. Powinnam być wdzięczna, że tak świetnie zrozumiał instrukcję Erika.

– Powiedz nam: co to za ludzie? I co zrobił Erik? – dopytywał się teraz.

Spuściłam głowę.

– To jego pracodawcy. Nie wiem, co zrobił. Wiem tylko, że chce nas chronić.

– Przed czym?

– Jeśli wrócą, nikomu nie wolno się przyznać, że go znamy.

– Ale jak go znaleźli?

– Erik podejrzewa, że przeczytali artykuł w „Cook Island News”.

– Jaki artykuł? – dopytywał się Nikau.

– O Ngaru.

W pokoju zapadło milczenie. Mama Evelyn wstała pierwsza i poszła do sypialni, Amiria i Babcia Vaine podążyły za nią.

Nikau pomógł mi zanieść dzieci na górę, do pokoju nad warsztatem, i położyć na łóżku, które wypełniało cały świat.

Czułam się jakbym zaraz miała utonąć. Dla smutku nie było tu miejsca.

Mężczyźni rozmawiali o rybach, o tym, jak je łowić i sprawiać. Co jest lepsze: zarzucić sieci przy brzegu czy z łodzi, polować z harpunem w dzień czy w nocy, podczas pełni księżyca, kiedy padał deszcz, czy wręcz przeciwnie? Jaki rodzaj skorupiaków jest najlepszy? Wniosek był taki, że najlepsze są te, które wypełzają ze swoich kryjówek podczas deszczu, oczywiście z wyjątkiem krabów palmowych.

Kraby palmowe to odrębna kategoria. Dyskutowano, jaka część kraba ma najdelikatniejsze mięso i jak powinno się je przyrządzać. Zgodzono się, że należy je maczać w gotowanych owocach chlebowca, w tłustym brązowym miąższu, oczywiście po usunięciu czarnej powłoki.

Następnie dyskutowano o różnych rodzajach karabinów harpunowych: czy większą swobodę dają te krótsze, czy może lepsze są te dłuższe o większym zasięgu. Następnie debatowano nad tym, jakie ryby najlepiej nadają się na grilla, które należy gotować, a które smażyć, i z czym należy je jeść. Wymieniano limonkę i mleko kokosowe, ale też dobrze ugotowane *kuru*, owoc chlebowca oraz *taro*. Następnie porównywano nazwy ryb na Manihiki, na Rarotondze i w języku angielskim. Na Manihiki ryby zmieniały nazwę wraz ze wzrostem, co powodowało spore zamieszanie, szczególnie wśród mężczyzn pochodzących z Rarotongi czy z innych wysp.

Nikt nie wspominał o Eriku, przynajmniej w mojej obecności. Był po prostu *papa'a*, który mieszkał tu kilka lat, spłodził dwójkę dzieci, po czym wyjechał. Żałowano, że nie mógł dalej prowadzić rachunków, ale przyuczył do tego zarówno Nikau, jak i najmłodszego chłopca Chevalów, więc osada radziła sobie całkiem nieźle.

Za dnia nurkowałam: sprawdzałam liny kotwiczne i zbierałam te obwieszane małżami. Wieczorami zajmowałam się dziećmi, w sobotę razem z Amirią zabierałyśmy je na *enaka*, gdzie zbierałyśmy *nimata*, by mieć zapas na cały tydzień.

W nocy w głowie krzyczałam, aż traciłam głos.

Po Moanie byłam w żałobie, ale po Eriku nie chciałam.

Dnie mijały, noce także.

Funkcjonariusz Everest podał w jednym ze swoich tygodniowych raportów, że szwedzki turysta, Erik Bergman, opuścił Manihiki. Nikt nie pytał, jak długo tu przebywał. Przy narodzinach moich dzieci nie został zgłoszony jako ojciec: skoro nie byliśmy małżeństwem, powinniśmy oboje zgłosić się osobiście na Rarotondze i zarejestrować je, co oczywiście było niemożliwe.

Można by więc pomyśleć, że nigdy go tu nie było.

Babcia Vaine zajmowała się dziećmi, podczas gdy Nikau zabrał mnie do Tangi, który niedawno kupił odtwarzacz wideo. Obejrzelśmy *Pola śmierci*, film opowiadający historię dziennikarza, świadka ludobójstwa w Kambodży w latach siedemdziesiątych. Zamordowano wówczas miliony osób. Ich czaszki tworzyły białe pola terroru.

W niedziele chodziłam do kościoła, szukając tam odpowiedzi na pytania: co Pan chciał dać nam do zrozumienia przez to, co się wydarzyło. Jaki był Jego cel? Dlaczego odsłonięcie nagrobka na Rakahandze odbyło się właśnie tego dnia? Dlaczego Papa Tane został ranny i nasz powrót się opóźnił, dzięki czemu dostrzegliśmy jacht na horyzoncie i zdążyliśmy ostrzec Erika? Dlaczego mordowano tak wielu ludzi, że ich czaszki tworzyły białe pola śmierci? Zwykle był jakiś cel, Panie, powiedz, że to prawda!

Tam na górze lepiej rozumiemy Jego cele.

I kim byli ci na ciemno ubrani mężczyźni? W jakim języku rozmawiali?

Dokąd zabrali Erika?

Równie dobrze mógłby nie żyć, ale przecież wiedziałam, że żyje. Moana była czarną dziurą w czasie, ale Erik oddychał obok mnie.

Pewnego niedzielnego popołudnia Amiria przyszła do mnie, kiedy razem z Johanem zbierałam na brzegu białe muszelki po ślimakach. Iva spała w cieniu na grobie Moany, a Nikau był u Anivy, swojej nowej dziewczyny. Laguna była gładka i cicha.

– Masz podręcznik do historii politycznej? – spytała cicho, żeby nikt nie usłyszał. Była przecież niedziela.

– Nie przypominam sobie – odpowiedziałam, prostując się. – Ale Moana na pewno go miała.

Amiria zaczęła bawić się z Johanem, a ja poszłam do komórki za cysterną ze słodką wodą. Sięgnęłam po karton z książkami Moany, był ciężki, jakby trzymano w nim złom.

Początkowo nie dotarło do mnie, co mam przed sobą. Wśród podręczników leżała jakaś metalowa skrzynka.

Nagle uzmysłowiłam sobie, że to teczka Erika! Ta sama, którą odłożyłam na bok któregoś wieczoru niedługo po tym, jak pojawił się na wyspie. A później o niej zapomniałam.

Wyjęłam ją, nie była nawet wilgotna. Sprawdziłam zamki: były nienaruszone.

W kartonie – jak się tego spodziewałam – znalazłam podręcznik zatytułowany *World Politics*, nigdy go nie czytałam. Stałam chwilę z książką w jednej ręce, teczką w drugiej i wahałam się, co robić. Włożyłam teczkę z powrotem do kartonu, a książkę schowałam pod prześcieradło – jak już wspominałam, była niedziela.

Wieczorem zaczęło lać. Leżałam w łóżku i słyszałam, jak krople bębnią o blaszany dach. Czekałam, aż całe Tukao zaśnie. Noc była czarna jak smoła, poszłam na bosaka do komórki za cysterną i sięgnęłam po teczkę Erika. Nigdy się nie zastanawiałam, ile może ważyć, ale była naprawdę ciężka. Tak cicho, jak potrafiłam, odstawiłam karton na miejsce i wróciłam do warsztatu. Znalazłam młotek i śrubokręt i poszłam na górę do pokoju. Przemoczona do suchej nitki zapaliłam lampkę, jak to zwykle robiłam

w nocy, kiedy czytałam. Usiadłam na podłodze obok łóżka i zaczęłam rozbijać zamek. W szumie deszczu nikt nie powinien niczego usłyszeć. Johan przewracał się we śnie, ale się nie obudził. Kiedy otworzyłam teczkę, poczułam, że brakuje mi powietrza, jakbym nurkowała i właśnie wypłynęła na powierzchnię.

Teczka była wypełniona szarymi i zielonymi banknotami.

Wzięłam do ręki jeden z nich. Widziałam różne banknoty, ale nie takie. Naszą walutą były dolary nowozelandzkie. „Federal Reserve Note” – było napisane na górze banknotu, a pod spodem: „United States of America”. Na środku był obrazek przedstawiający mężczyznę z długimi włosami, a w każdym rogu widniała cyfra sto. Tył banknotu był zielony, rysunek przedstawiał dom czy może niewielki kościół, na pewno była tam dzwonnica.

Wzięłam plik banknotów; pierwotnie były owinięte papierową opaską, która zapewne spadła. Banknoty były zebrane w pliki równej wielkości, w każdym musiało być sto banknotów, a plików było ze dwadzieścia. Cyfry zaczęły wirować mi przed oczami, poczułam, że drętwieją mi opuszki palców, jakby brakowało mi tlenu. Boże drogi, sto razy sto to dziesięć tysięcy; razy dwadzieścia to dwieście tysięcy. Dolarów. Amerykańskich dolarów. Wielki Boże.

Musiałam usiąść na łóżku. Przyglądałam się banknotom z pewnej odległości, jakby w ten sposób łatwiej było mi to wszystko pojąć. Iva obudziła się i zaczęła płakać, położyłam ją obok siebie i zaczęłam gładzić po plecach, aż zasnęła.

Potem znów usiadłam na podłodze i zaczęłam liczyć pliki. Było ich dwadzieścia dwa, ułożyłam je obok siebie.

Pod banknotami leżał jakiś dokument i kilka drobiazgów. Karta pokładowa wystawiona na Erika Bergmana na lot liniami Air New Zealand z Los Angeles do Papeete, 7 marca 1990 roku. Zaświadczenie o kupnie jachtu Shock Santana 35' model z 1980 roku. Zakupu dokonano w Papeete

na Tahiti, 9 marca 1990 roku, zapłacono gotówką, a kupującym był Erik Bergman.

Był to ten długi, wąski biały jacht, który rozbił się na rafie i zniknął w głębinie.

A więc Erik poleciał z Los Angeles na Tahiti, kupił jacht w Papeete i pożegłował na zachód, a z powodu cyklonu trafił do Tukao. Dokąd zmierzał?

Dlaczego nigdy nie zadałam mu tego pytania?

Pod zaświadczeniem leżała zalakowana koperta bez adresata. Przesunęłam po niej dłonią i w dolnym lewym rogu odkryłam logo firmy. Było dyskretne, musiałam skupić wzrok, żeby przeczytać tekst.

Yinhang Dengi Finance

71 Lombard Street

London EC3V 9AY

Wielka Brytania

Ważylałam kopertę w rękach, była stosunkowo lekka. Miałam wrażenie, że zawiera jakiś drobny przedmiot. Zawahałam się chwilę i rozerwałam kopertę.

W środku był kluczyk. Wyjęłam go. Był matowy, ciemnoszary i miał wiele ząbków. Nigdy wcześniej takiego nie widziałam. Odwróciłam kopertę, sprawdzając, czy nic innego w niej nie ma. Była pusta. Włożyłam kluczyk z powrotem do koperty, zakleiłam ją tak dobrze, jak potrafiłam, i położyłam na niej stos dolarów. Następnie sięgnęłam po ostatnią rzecz w teczce: różową plastikową kartę ze zdjęciem Erika. Był krótko ostrzyżony, widać było rąbek krawata, miał jasne oczy i wyglądał młodo.

To było szwedzkie prawo jazdy. Jego właściciel nazywał się Sebastian Andersson.

Wpatrywałam się w litery i nie miałam wątpliwości.

Sebastian Andersson, urodzony tego samego dnia co Erik.

Znów spojrzałam na zdjęcie i w twarzy mężczyzny zobaczyłam moje dzieci.

Nadeszła pora połowów, pracowałam dwa razy tyle co zwykle. Nurkowałam i wypływałam na powierzchnię z naręczami lin z małżami. Musiałam przygotować je do obróbki w warsztacie. Potem nurkowałam ponownie i wracałam z kolejnym naręczem małż. Wybrałam sobie jedną perłę: była idealnie okrągła, zielonofioletowa, błyszcząca i miała osiemnaście milimetrów średnicy. Została zakwalifikowana do klasy A.

Nocami czytałam *Mniej niż zero* autorstwa Breta Eastona Ellisa. Akcja rozgrywa się w Los Angeles, mieście na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, leżącym nad tym samym oceanem co nasza wyspa. Młody i bogaty Clay wraca do rodziny po studiach na wschodnim wybrzeżu. Szuka swojego najlepszego przyjaciela, Juliusa. Chodzi z imprezy na imprezę, młodzi ludzie robią sobie zdjęcia, dokumentują wstrzykiwanie heroiny, czasem oglądają też filmy, na których mordowano ludzi, co podnieca ich seksualnie. Clay i jego przyjaciele przyglądali się zafascynowani zwłokom chłopaka, który przedawkował i zmarł. Jakiś facet trzymał dwunastolatkę w zamknięciu i zrobił z niej niewolnicę seksualną. Kiedy sam jej nie gwałcił, dawał ją innym. W końcu Clay znalazł Juliusa. Przyjaciel okazał się heroinistą i męską prostytutką. Clay przyglądał się, jak przez kilka godzin uprawiał seks z jednym facetem.

Nikommu nie powiedziałam ani o pieniądzach, ani o Sebastianie Anderssonie. Błyszcząca metalowa teczka z zepsutym zamkiem trafiła z powrotem do kartonu z podręcznikami Moany.

Erik nie wracał.

Księżyc był znów w ostatniej kwarcie.

Pewnego dnia, był to poniedziałek, zamówiłam przez radio rozmowę do Stryja Matiniego na Rarotondze. Vaitomo, operator, był zdziwiony moją prośbą, czemu dał wyraz, ale byłam przecież dorosłą kobietą, matką dwójki dzieci, wprawdzie porzuconą, ale jednak, i miałam prawo korzystać ze wszystkich usług na równi z innymi. Obiecał, że połączy mnie jeszcze tego samego wieczoru.

Przed obiadem wyszłam z Dużego Domu pod pierwszym lepszym pretekstem, którego teraz już nie pamiętam, i ruszyłam w stronę Domu Gminnego, gdzie znajdowała się radiostacja.

Stryj Matini też był zdziwiony, słysząc mnie po drugiej stronie. Jego pierwsze pytanie brzmiało, czy stało się coś z ojcem. Zapewniłam, że nie. Powiedziałam, że dzwonię, bo chcę się dowiedzieć, jak kupuje się bilet z Manihiki na Rarotongę. Stryj zamilkł. Milczał tak długo, że pomyślałam, że może przerwano połączenie, ale po chwili powiedział, że zwykle to on załatwia takie sprawy dla rodziny na Manihiki, i zapytał, dlaczego chcę to wiedzieć.

W chwili gdy mu odpowiedziałam, mój plan stał się rzeczywistością.

– Chcę opuścić wyspę – oświadczyłam.

Mama Evelyn była wściekła. Powiedziała, że jestem egoistką, że myślę tylko o sobie, jestem rozpuszczona i bezwzględna. Jeśli wydało się na świat dwójkę dzieci, należało się nimi zajmować, a nie obarczać innych odpowiedzialnością.

– Tak jak ty zrobiłaś ze mną? – odpowiedziałam. Mama Evelyn zamieniła się w sopel lodu. – Ludzie postępują, jak postępują, nie zawsze zgodnie z tym, co mówią – rzuciłam, a ona odwróciła się na pięcie i wyszła. Nocowała w lecznicy.

Babcia Vaine płakała i załamywała ręce, Amiria marudziła, chciała jechać ze mną.

Papa Tane przyjął mój pomysł najlepiej. Wziął mnie na stronę i spytał, co się stało.

– Muszę się dowiedzieć – powiedziałam. – Nie mogę żyć w niewiedzy. Muszę przynajmniej spróbować.

– Sprawiasz mi zawód. Mnie, farmie, dzieciom.

Odwróciłam się. Jakbym tego nie wiedziała.

Dwa tygodnie później „Lady Moana” wróciła. Wypłynęła rano z Rakahangi i w drodze do Rarotongi miała jeszcze zawinąć do Aitutaki i do Atiu. Pożyczyłam starą walizkę Mamy Evelyn. Włożyłam do niej *nimata*, mięsne konserwy, *uto* i limonki. Pożywienia powinno starczyć na osiem do dziesięciu dni podróży. Spakowałam też trochę ubrań, szorty, koszulki i kapelusz z *rito*, jasnych liści palmy, włożyłam również *pareu*, a na samym dnie umieściłam dwadzieścia dwa pliki banknotów studolarowych, wyjętych z błyszczącej metalowej teczki Erika. Amiria dała mi małe pudełko z liści palmy, które sama zrobiła. Było ładne, chociaż nieco krzywe. Włożyłam do niego perły, które mogłam sobie wybrać po każdym sezonie. Uzbierałam jedenaście. Papa Tane podał mi certyfikaty dla każdej z nich, był przecież licencjonowanym selekcjonerem. Do szkolnego plecaka włożyłam trochę *uto*, żebym miała co jeść w ciągu dnia, niewielki nóż i *nimata*, kawałek chleba, kopertę z kluczykiem, świadectwa urodzenia dzieci i szwedzkie prawo jazdy należące do Sebastiana Anderssona.

Kapitan Mareko popłynął ze mną do statku, fale uderzały o burzę i natychmiast dostałam mdłości. Mężczyźni pomogli mi wejść na pokład, podali mi walizkę i plecak. Patrzyłam na brzeg, gdzie stała Babcia Vaine z Ivą na rękach. Obok stał Johan. Miałam wrażenie, że pomachał mi ręką, ale nie jestem pewna.

Na pokładzie było ciasno. Liczna rodzina z Rakahangi, której nie znałam, nazywali się Kautai, była w drodze do Atiu, płynęli na odsłonięcie nagrobka. Zdążyli już zająć wszystkie wygodniejsze miejsca. Wskazano mi siedzenie przy relingu, obok wylotu maszynowni. Było tam gorąco jak w piecu i cuchnęło ropą, dokładnie tak, jak opowiadała Moana. Pierwszej nocy byłam przekonana, że umrę.

Nie musiałam się obawiać, że zabraknie mi jedzenia. Nie mogłam przełknąć czegokolwiek.

Kiedy po pięciu dobach morskiej podróży przypłynęliśmy do Aitutaki, nie byłam w stanie ustać na nogach. Jeden z mężczyzn z załogi, pochodził z Fidżi i miał na imię John, zlitował się nade mną i dał mi trochę wody z własnych zapasów. Udało mi się też zjeść banana.

– Ile jeszcze drogi przed nami? – wyszeptalam.

– Zostało jeszcze Atiu. Przybijemy tam w nocy, będziesz mogła zejść na ląd.

Wyspa strachu, o której opowiadała Babcia Vaine. Nie, dziękuję.

Dwa dni później wypatrzyłam wyspę na horyzoncie.

– Atiu? – spytałam Johna.

– Nie, to Takutea. Jest niezamieszкана, nie wolno tam schodzić na ląd. Nic tam nie ma poza ptakami. Dawniej ludzie z Atiu przyplýwali tam raz w roku i zbierali *kopra*, ale już chyba tego nie robią.

Minęliśmy samotną wyspę, otoczoną rafami i *makatea*, niezwykle płaską i nieprzyjazną.

Na Atiu rodzina z Rakahangi opuściła statek i zostałam sama. Pozwolono mi położyć się pod brezentem za ładownią, gdzie miałam osłonę przed wiatrem i deszczem. Wydawało mi się, że zamieszkałam w pałacu.

Po kolejnych trzech dniach przybiliśmy do Avatiu.

RAROTONGA

Port w Rarotondze. Środa. Nikt się mną nie zainteresował, kiedy zesłam na ląd. Nawet marynarz John, co sprawiło mi pewien zawód. Tutaj nikt się specjalnie nie cieszył, kiedy do portu zawijał statek, nie było żadnych uroczystości, śpiewów, tańców.

Stałam kawałek od nabrzeża i czekałam, aż moje pakunki zostaną wyładowane. Po dobrej godzinie w porcie zjawił się Stryj Matini, przyjechał po mnie swoim autem. Samochód był żółty i miał niewielką przyczepę. Stryj się zestarzał, spotęźniał. I bardzo się spieszył. Rzucił walizkę na przyczepę, plecak zabrałam ze sobą. Nigdy jeszcze nie jechałam samochodem. Przypominało to trochę jazdę motorowerem, tyle że bardziej się nudziłam. Stryj wysadził mnie przed swoim domem w Mataverze i pojechał dalej, do swojej firmy niedaleko lotniska.

Dom był duży i cichy. Stryjenka Ama była u brata w Wellington, a Vaiana w podróży z trupą taneczną, więc byłam sama. Rozpakowałam jedzenie i włożyłam do spizarni, pamiętam, że zjadłam trochę *taro*.

Potem sięgnęłam po plecak, wyjęłam pieniądze Erika, akt urodzenia mój i dzieci, jedno *uto* i jeden owoc karamboli i poszłam do miasta. Szłam długo, prawie godzinę. U wysokiego komisarza Nowej Zelandii złożyłam podanie o paszport. Po wielu dniach spędzonych na statku nadal miałam wrażenie, że ziemia kołysze mi się pod nogami, nawet kiedy siedziałam na krześle, czekając, aż urzędnicy wypełnią potrzebne dokumenty. Kazano mi wejść do wąskiej garderoby i spojrzeć w lustro, żeby można było mi zrobić zdjęcie do paszportu. Coś błysnęło i zdjęcie było gotowe. Prawdę mówiąc, na zdjęciu – moim pierwszym w życiu – sprawiałam wrażenie bardzo zmęczonej i niezadowolonej.

W Avarua było dużo domów, skupionych na powierzchni podobnej do powierzchni Tauhunu. Wybrałam się na spacer po mieście. Były tu miejsca i instytucje, o których wiele słyszałam. Teraz te abstrakcyjne dla mnie pojęcia nabrały konkretnego kształtu. Cook Island Trading Corporation, CITC, portal, z którego Papa Tane korzystał, kiedy przez radio zamawiał

różne rzeczy do gospodarstwa, wysyłane potem statkiem na Manihiki. W centrum miasta znajdował się wielki market CITC, w którym można było chodzić między półkami i wybierać to, czego się potrzebowało, bez uprzedniego zamawiania.

Kawałek dalej dostrzegłam ARB, Avarua Rarotonga Bank, w którym nasza rodzina trzymała pieniądze. Wewnątrz działała klimatyzacja i było lodowato zimno, poczułam gęsią skórę na rękach. Pamiętałam, jak Erik instruował właścicieli farm i uczył ich, jak zakładać konta, więc kiedy znalazłam się przy dużym biurku naprzeciwko kasjerki, wiedziałam, co mam robić. Otworzyłam dwa konta, jedno dla Johana i jedno dla Ivy, po czym sięgnęłam do plecaka i wpłaciłam po sto tysięcy dolarów na każde. Dwadzieścia tysięcy zostawiłam w plecaku.

Kasjerka spytała, skąd pochodzą pieniądze.

– Z Manihiki. Z farmy czarnych pereł.

Kasjerka nie odpowiedziała. Przeliczyła ponownie pieniądze i dała mi dwa potwierdzenia wpłat.

Wyszłam na słońce i od razu poczułam się lżej – nie tylko dlatego, że pieniądze rzeczywiście były ciężkie.

Niedaleko banku znajdował się sklep Dive Shop. To tu Papa Tane zawsze zamawiał sprzęt do nurkowania i firmowe zaczepy do harpunów. Na wystawie prezentowano nowoczesne stroje surfingowe. Widziałam podobne w „Woman’s Weekly”. Nie zamierzałam wchodzić do środka, a jednak zatrzymałam się przed otwartymi drzwiami. Z wewnątrz płynęło chłodne powietrze, czułam je na nogach. Za ladą, wśród cieni, stał jasnowłosy sprzedawca i porządkował towary. Coś sprawiło, że mój oddech przyspieszył. Po kilku sekundach, nie pamiętam już po ilu, rozpoznałam melodię, która płynęła ze sklepu. Razem z chłodem wypływała na chodnik na zewnątrz, zderzała się ze słońcem i asfaltem i zamieniała w mgłę. Nie rozumiałam słów, ale znałam je na pamięć.

Gdybyś była morzem, ja byłbym falą

*Gdybyś była niebem, ja miałbym skrzydła
Gdybyś była deszczem, ja byłbym i morzem, i lądem
Gdybyś była muzyką, ja byłbym pieśnią
Gdybyś była stepem szerokim, ja byłbym wiatrem
Gdyby ciebie nie było, ja byłbym niczym*

*Chodź, chodź, moja kochana, księżyc jest w pełni
Dzisiejszej nocy wszystkie okna są
Otwarte na świat, w którym mieszka miłość
Chodź, nie daj mi zasnąć tej nocy
Jesteśmy tu
Jesteśmy czasem, który mija
Ty i ja
Kiedy nadejdzie rano, zrobimy to znowu*

Nigdy nie słyszałam tej melodii granej na instrumencie. Brzmiała krucho i delikatnie, ale w tle słychać było bardziej mroczne dźwięki. Głos wykonawcy był schrypnięty, brzmiał błagalnie.

Mężczyzna za ladą poczuł moją obecność i podniósł głowę.

– Mogę w czymś pomóc? – spytał. Słowa brzmiały tak, jakby to Erik je wypowiadał. Ta sama melodia zdania, ten sam akcent. Mężczyzna był Szwedem.

Odwróciłam się i odeszłam.

Jeśli Szwedzi mogli pracować i prowadzić interesy na Rarotondze, to ja też mogłam mieszkać wszędzie. Zwykle nie wypatruję żadnych znaków, ale właśnie to zdarzenie przekonało mnie, że postąpiłam słusznie.

Zrobiło się późne popołudnie. Poszukałam biura podróży, ustawiłam się w długiej kolejce i w końcu dotarłam do okienka. Powiedziałam siedzącej w nim kobiecie, że chcę kupić bilet lotniczy do Londynu. Dowiedziałam się, że nie jest to możliwe. Nie było bezpośrednich połączeń z Wielką Brytanią, musiałam się przesiąść w Los Angeles, w Stanach Zjednoczonych. Ale

bilety na najbliższe loty były wyprzedane, musiałam czekać pięć dni. Powinnam też zarezerwować hotel, poinformowała mnie kobieta, bo bez podania adresu nie zostaną wpuszczona do Stanów.

– Są jakieś tanie? – spytałam. Miałam co prawda dwadzieścia tysięcy dolarów, ale nie wiedziałam, na jak długo będą musiały mi starczyć.

Kobieta westchnęła i zerknęła na zegarek.

– Zamykamy – powiedziała. – Proszę przyjść jutro, wtedy zarezerwuję hotel.

Byłam zmęczona, więc kiedy wróciłam do domu, od razu zasnęłam, jeszcze zanim wrócił stryj. Następnego ranka obudził mnie i dał mi do zrozumienia, że oczekuje, iż przez czas, kiedy będę u niego mieszkać, zajmę się gotowaniem. Przeprosiłam i obiecałam poprawę.

Kiedy stryj wieczorami wracał do domu, podawałam mu jedzenie. Nie był chyba zachwycony moimi umiejętnościami kulinarnymi. Kiedy zapadał gęsty zmrok, na werandzie zjawiali się nieznani mi mężczyźni, rozmawiali o połowach i harpunach, ale też o ludziach, o których wcześniej nie słyszałam. Poruszano również inne tematy: mówiono o stawkach podatkowych, o infrastrukturze i opiece medycznej – na Manihiki szeptano, że Stryj Matini ma ambicje polityczne. Niekiedy prosił, żebym pozamykała wszystkie okna i drzwi, mimo że było duszno i gorąco. Przez ściany docierały do mnie ich szepty.

Na półkach z ciemnego drewna było mnóstwo książek. Powiodłam dłonią po ich grzbietach zdziwiona, że na świecie istniało tak wiele różnych opowieści. Prawie każdego wieczoru czytałam. Największe wrażenie zrobiła na mnie książka Andrew Mortona o księżnej Dianie. Przedstawiał ją jako kobietę głęboko nieszczęśliwą, chorą i samotną. Dziennikarze polowali na nią, dwór ją upokarzał, a mąż ją zdradzał. Próbowała nawet odebrać sobie życie. Nie wystarczało mieć wszystko.

Rarotonga pod wieloma względami bardzo się różniła od Manihiki, chociaż nie tak bardzo, jak się tego spodziewałam. Wyspa była oczywiście większa, poza tym była to wyspa wulkaniczna, nie atol. Góra z wygasłym wulkanem wystawała siedemset metrów ponad powierzchnię morza, podczas gdy najwyższy punkt na Manihiki miał raptem cztery metry. Pożyczyłam rower Vaiany i objechałam wyspę. Najpierw pojechałam starą drogą, która miała ponad tysiąc lat i prowadziła przez ląd, potem wybrałam trasę wzdłuż wybrzeża wybudowaną przez misjonarzy. Minęłam Ngatanigiia i Muri Beach i zatrzymałam się na chwilę przed rezydencją, w której mieszkał przedstawiciel królowej. Willa była położona w południowej części wyspy z dala od wszystkiego. Brama z ładną tabliczką była zamknięta. Stryj z żoną i z Vaianą byli tam raz, chyba w związku z jakimiś chrzcinami. Wypiłam łyk wody z plastikowej butelki i ruszyłam dalej, w kierunku Taktima i Vaimaanga. Było gorąco. Wilgoć lasu deszczowego skraplała się nad krawędzią wulkanu i spływała po zboczach małymi strumykami, ocean podchodził niemal do drogi. Zmrużyłam oczy i skierowałam wzrok ku horyzontowi: najbliższym lądem była Antarktyka. Minęłam niewielki hotel o nazwie Moana Sands Beachfront Villas i poczułam się niemal dumna, że moja siostra miała tu swój hotel.

Minęłam restaurację o nazwie Vaima i zatrzymałam się na widok wymarłej osady, miasteczka duchów.

U podnóża góry stał szereg nadgryzionych przez wilgoć betonowych szkieletów, ogromne niedokończone konstrukcje domów, niektóre częściowo zarośnięte deszczowym lasem. Nigdy dotąd nie widziałam czegoś podobnego.

Wieczorem spytałam stryja, co to takiego.

– To Sheraton – powiedział znad gazety, jakby to jedno słowo wszystko wyjaśniało.

– Sheraton?

Stryj westchnął i złożył gazetę.

– To jedna z największych sieci hotelowych na świecie. Chcieli zbudować tu pięciogwiazdkowy hotel z apartamentami i własnym polem golfowym, a nasz niekompetentny rząd obiecał im na to miliony dolarów.

Tego wieczoru siedziałam na werandzie sama ze stryjem. Padał deszcz, on palił papierosa, wydychając dym w ciemność.

– Budowa się rozpoczęła, ale wkrótce się okazało, że nasze miliony gdzieś zniknęły.

– Zniknęły? Jak to?

Stryj wzruszył ramionami.

– Ludzie zrobią wszystko dla pieniędzy. Ten projekt od początku miał wielu przeciwników i nie tylko dlatego, że był idiotyczny i nie miał żadnego zakotwiczenia w naszej kulturze.

Nachylił się do mnie, strzepnął popiół na kamienną posadzkę i ściszył głos.

– To jest przeklęte miejsce – powiedział szeptem. – Od tysiąc dziewięćset jedenastego roku. Spór o to, kto jest właścicielem placu, zakończył się morderstwem. Jakiś przedsiębiorca budowlany z Europy zastrzelił mężczyznę, a jego córka Metua rzuciła na to miejsce klątwę. Zapowiedziała, że dopóki działka nie wróci do prawowitego właściciela, nic na niej nie powstanie.

Stryj zaciągnął się papierosem.

– Kilka lat temu podczas uroczystości organizowanej niedaleko hotelu pojawił się jej wnuk i przebrany za kapłana powtórzył przekleństwo rzucone kiedyś przez jego babcię. Kilkaset ludzi widziało, jak rzuca strzałę, która przeszła tablicę odsłoniętą chwilę temu przez premiera.

Stryj pokiwał głową i poprawił się w fotelu.

– Nikt nie wie, ile dokładnie pieniędzy zniknęło z kasy państwa. W najgorszym razie podobno sto dwadzieścia milionów dolarów. Niewiele brakowało, a nasze państwo by zbankrutowało. Musieliśmy dobrze się nagłowić, żeby to wszystko przetrwać. Uciekaliśmy się do różnych

sposobów, walczyliśmy na międzynarodowych rynkach, co nie było łatwe.

Stryj wstał i spojrzął w deszcz.

Weszłam do domu i położyłam się w pokoju Vaiany.

Deszcz sprawił, że noc wydawała się chłodna. Naciągnęłam na siebie prześcieradło i poczułam się bardziej samotna niż kiedykolwiek.

Ludzie dla pieniędzy zrobią wszystko.

Amiria pewnie spała teraz z moimi dziećmi. Zapewne przenieśli moje łóżko do jej pokoju w Dużym Domu. Dzieci leżały w poprzek, spały z otwartymi buziami, miały wilgotne włosy.

Plakałam w poduszkę, żeby nie było mnie słychać.

Następnego dnia postanowiłam przejechać się autobusami, które kursowały wokół wyspy. Jeden jechał na wschód, drugi na zachód i spotykały się na środku wyspy. Cała tura trwała godzinę.

Po południu mój paszport był gotowy.

Dwa dni później wyjechałam.

Stryj, jadąc do pracy, podrzucił mnie na lotnisko. Pożegnaliśmy się pospiesznie i chłodno. Rodzina stryja ciągle była w rozjazdach, a ja planowałam wrócić za trzy tygodnie. Tak jednak się nie stało.

Chociaż nadal mam kartę pokładową.

Air New Zealand lot NZ18 z RAR do LAX, miejsce 48A.

Wylądowałam w sobotę, 9 kwietnia 1994 roku.

LOS ANGELES

SOBOTA, 9 KWIETNIA 1994

Dzisiaj Sknera w końcu wyjechał. Tukkuttok. Jak można się tak nazywać! Jak to brzmi! C zawiozła go na lotnisko. Nie chciał taksówki, nie, nie. C wciąż jeszcze nie wróciła do domu.

Richard Dawkins o teorii ewolucji Darwina – to po południu: argument Kimura, że jedynie mniejszość zmian, jakie się pojawiły w wyniku ewolucji, ma zastosowanie = zapewne słuszny. Dawkins dodaje: *Tylko mniejszości się liczą!*

Rosyjski pedał ugotował barszcz (*zaskoczenie!!*). Niemal niezjadliwy. Pedał zwałił na grzybicę jamy ustnej.

Dwie laski B zmyły naczynia.

Gówniany wieczór.

* * *

NIEDZIELA, 10 KWIETNIA 1994

Spokój w domu po Inuicie?

Big ERROR!

C przywlokła do domu potłuczonego Stracha na wróble. Znalazła go w rowie na łączniku z 405. Strach na wróble: pozszywany i w bandażach. Zajął miejsce Sknery na kanapie (MODELKA *bizi bizi* = nikt nie zrobił prania).

Ciekawa myśl Dawkinsa: stopy, które wędrują na bosaka, mają twardą skórę/sztucznie wyprodukowane maszyny z czasem tracą na objętości. *Jak to wytłumaczyć??*

Odpowiedź, Darwin, dostosowanie.

Żart dnia: Strach na wróble wierzy w *Boga!!!*

Niemal się udusiłem ze śmiechu.

C = esencja politycznej poprawności. Wywiązała się dyskusja o Bogu, musiałem uciec do łazienki, wziąłem prysznic, żeby nie musieć tego słuchać (zimny, nie dlatego, że sknerzę, tylko dlatego, że jestem mężczyzną). Miałem spokój, aż nagle B zachciało się sikać. Chciałem porozmawiać z C o Darwinie, ale nie była w nastroju. Pół dnia i całą noc spędziła ze Strachem na wróble w szpitalu. Facetka jest nieźle świrnięta. Przyleciała gdzieś z prowincji. Na lotnisku jacyś faceci zgarnęli ją do samochodu. Zabrali jej kasę i dali w łeb. Facetka zostawiła swoje bachory na jakiejś południowej wyspie i teraz leci szukać swojego faceta, który dał nogę. Powodzenia, baby.

MODELKA pojawiła się na obiedzie, nie zarezerwowała czasu na pranie. Przeżuwała, po czym zamknęła się w Garderobie z działką.

B ugotowała zupę z ciecierzycy, niewiarygodnie obrzydliwa.

Strach na wróble poryczał się.

Gówniany wieczór = jak zwykle.

* * *

PONIEDZIAŁEK, 11 KWIETNIA 1994

B poszły wszystkie do szkoły, pranie mózgów. MODELKA na przesłuchanie, *my ass*. Pedaly wzięły ręczniki kąpielowe i ruszyły do Will Rogers, na pedalską plażę. C wyszła. Został tylko Strach na wróble. Dałem jej do zrozumienia, że nie odpowiada mi jej towarzystwo. Okazała się na tyle inteligentna, że się zamknęła.

Przypadkowa ewolucja: de Vries, W. Bateson i inni „Mutacjoniści”, którzy uważali, że selekcja służy jedynie usunięciu złych nawyków, a prawdziwą siłą napędową jest...

Wybacz, King, że wyrwałam te strony z twojego dziennika. Nie mogłam zostawić go u Clay, znają jej adres, na pewno już dawno przeszukali jej mieszkanie. Zakładam, że byłeś w ośrodku pomocy, kiedy się zjawili (ze względu na ciebie, ale szczerze mówiąc, głównie ze względu na moje dzieci). Mam nadzieję, że cię nie dorwali. Clay nie zdążyła nic powiedzieć, wiem, widziałam to.

King, nie zamierzam ściemniać: nie byłeś miłym znajomym. Rozumiem, co tobą powodowało, ale nie należy ulegać każdej złej myśli, która przyjdzie człowiekowi do głowy, nawet jeśli ciało tego człowieka jest tak zdeformowane jak twoje. Kiedy tamtego popołudnia po raz pierwszy pojawiłam się w mieszkaniu Clay, nie zauważyłam cię wśród cieni. Tors z głową i jedną ręką na elektrycznym wózku – widywałam takie rzeczy wcześniej na zdjęciach, ale nigdy w rzeczywistości. Wiem, że byłeś pierwszy, że uważałeś, że Clay jest twoja i tylko twoja. Przypuszczam, że masz do tego prawo, ale wiedz, że się mylisz. Clay nigdy do ciebie nie należała. (Ona nie należała nawet do siebie. Z rozmysłem używam słowa „ona”, nawet jeśli formalnie nie jest to właściwe. Nie znam jednak innego słowa, którym mogłabym ją określić. Mówić o niej „ono” to jakby mówić o rzeczy, o przedmiocie, pajacu, a to na pewno nie odpowiada prawdzie).

Lot Air New Zealand NZ18 z Rarotongi do Los Angeles odbył się zgodnie z planem.

Babcia Vaine twierdziła, że latanie samolotem jest bluźnierstwem. „Jeśli Pan Bóg chciałby, żebyśmy latali, to wyposażyłby nas w skrzydła”, mawiała. A ja, prawdę mówiąc, miałam wręcz odwrotne uczucie. Unosząc się w powietrzu, miałam wrażenie, że jestem bliżej Niego niż kiedykolwiek wcześniej. Miałam miejsce przy oknie i niemal przez cały lot przez nie wyglądałam. To niebywałe uczucie: znaleźć się nagle ponad chmurami. Jakbym zanurkowała, tylko odwrotnie. Słońce było ostrzejsze, niebo nieopisanie błękitne. W dole między chmurami widać było Ocean Spokojny, jeszcze głębszy odcień błękitu. Lecieliśmy na wschód, prosto w nadciągający zmrok.

W końcu, kiedy ciemność zgęstniała, kapitan poinformował nas, że mamy zapiąć pasy bezpieczeństwa, ponieważ podchodzimy do lądowania. Wlecieliśmy nad ląd i zabrakło mi tchu.

Światła w dole zdawały się nie mieć końca. Sięgały po horyzont, niekończące się rozgwieżdżone niebo na ziemi. Cieszyłam się, że mogłam tego doświadczyć.

Kiedy wylądowaliśmy, miałam problem ze słuchem i lekkie mdłości.

Kolejka do kontroli paszportowej była jak niekończące się miasto wokół nas. Stałam w niej niemal godzinę.

– Interesy czy przyjemności? – spytał celnik.

– Prawdę mówiąc, ani jedno, ani drugie – odpowiedziałam. – Jestem w drodze do Londynu.

Lekko drżącą ręką podałam bilet lotniczy British Airways na lot na Heathrow za pięć dni.

Urzędnik wziął go i chwilę mu się przyglądał, następnie zaczął studiować formularz, który wypełniłam, starając się o wize.

– Nie podała pani adresu w Stanach.

Otworzyłam usta, chciałam powiedzieć, że nie mam żadnego adresu, ale

w tym momencie przypomniałam sobie niezadowoloną kobietę w biurze podróży w Avarua, która sprzedała mi bilet lotniczy. Nie wróciłam do niej, żeby zarezerwować hotel. Jak mogłam o tym zapomnieć? Czy teraz nie wpuszczą mnie do Stanów? Odeślą do domu najbliższym samolotem?

– Ojej. Nie wypełniłam tej rubryki? – usłyszałam, jak mówię. – Zatrzymam się w hotelu.

– W jakim?

Boże, nigdy nie zatrzymywałam się w żadnym hotelu, nie miałam pojęcia, co powiedzieć, ale przypomniałam sobie porzuconą betonową konstrukcję w lesie równikowym.

– W Sheratonie – powiedziałam. – Zatrzymam się w Sheratonie.

– W centrum czy w tym przy lotnisku?

– Tutaj, przy lotnisku... – powiedziałam i przełknęłam ślinę.

Urzędnik uzupełnił formularz.

– Ma pani coś do oclenia?

– Nie wiem, co to miałyby być?

– Pieniądze, próbki towarów, produkty rolne...?

Pomyślałam o perłach w plecaku i osiemnastu tysiącach dolarów w walizce i pokręciłam przecząco głową.

– W jakim celu udaje się pani do Londynu?

Czytałam w jakiejś książce – nie pamiętam w jakiej – że kłamiąc, należy trzymać się możliwie najbliższej prawdy.

– Mój mąż tam obecnie pracuje. Jadę go odwiedzić.

Urzędnik podstemplował paszport, rozległ się głośny stuk. Przyznano mi trzymiesięczną wizę turystyczną do Stanów Zjednoczonych.

Większość walizek na taśmie była błyszcząca i nowoczesna, ale niektóre wyglądały jak walizka Mamy Evelyn. Moja pojawiła się jako jedna z ostatnich, a przynajmniej miałam takie wrażenie. Wzięłam ją, przesłałam przez odprawę celną i znalazłam się w nowej rzeczywistości.

Miss? Potrzebuje pani taksówki?

Jakiś mężczyzna chwycił rączkę mojej walizki i wskazał na czekający obok samochód. Wyszarpnęłam mu ją. Ruch na ulicy był potężny, samochody hałasowały, można by pomyśleć, że gdzieś szalała burza. Ciemność była zimna i cuchnąca, spaliny, cukier i frytura.

– Taxi? Miss?

Powiesiłam plecak z przodu na piersiach i obiema rękami złapałam walizkę. Ludzie mijali się napędzani jakimś dziwnym, wszystko ogarniającym pośpiechem, niewidocznym dla nikogo poza nimi samymi. Zaczęłam się rozglądać za kimś, kogo mogłabym spytać o drogę do Sheratona.

Zestresowana kobieta z firmy wynajmującej samochody poinformowała mnie, że jeden z hoteli znajduje się na West Century Boulevard, i dała mi mapę lotniska. Zobaczyłam, że jest autobus, który kursuje między hotelem a lotniskiem, ale ponieważ nie mogłam znaleźć przystanku, ruszyłam na piechotę.

Na chodniku było zimno i wilgotno, poczułam gęsią skórę na moich nagich rękach. Latarnie wzdłuż ulicy były żółto-czerwone i nie dawały żadnego światła. Budynki oświetlały neony w jaskrawych kolorach, niektóre firmy rozpoznawałam z ogłoszeń w „Woman’s Weekly”. Już z daleka zobaczyłam hotel, wysoki budynek, nazwa świeciła się w ciemności. Droga była dłuższa, niż się spodziewałam, walizka ciążyła mi, musiałam się zatrzymać i odpocząć chwilę przy drodze.

Kiedy w końcu dotarłam na miejsce, byłam zmarznięta i zmęczona. W hotelowym holu panował tłok, było dużo turystów z Azji, musiałam stanąć w długiej kolejce.

– W czym mogę pomóc, miss? – spytał w końcu recepcjonista, który też sprawiał wrażenie wykończonego.

– Chcę wynająć pokój – powiedziałam. Nie obchodziło mnie, ile będzie kosztować.

– Na jakie nazwisko jest rezerwacja? – spytał mężczyzna, nie patrząc na mnie. Stukał w klawiaturę.

– Na pięć nocy – powiedziałam.

Mężczyzna podniósł głowę.

– Nie ma pani rezerwacji?

Niestety nie miałam.

– Przykro mi, ale dzisiaj nie mamy żadnych wolnych pokoi. Jutro tak i na następne noce także, ale dzisiaj wszystkie są zajęte.

Rozejrzałam się po ogromnym holu.

– Coś chyba się znajdzie?

– Przykro mi – powiedział mężczyzna, zerkając przez moje ramię na parę stojącą za mną w kolejce.

Dźwięki wokół mnie nagle się zmieniły, czułam, jak stres przejmuje kontrolę.

– Więc co mam ze sobą zrobić? – spytałam.

– Chce pani zarezerwować pokój na jutro?

– Mogę zostać tu na noc?

Mężczyzna był coraz bardziej poirytowany.

– Jeśli nie ma pani rezerwacji, miss, to proszę odejść od recepcji i pozwolić mi załatwić gości, którzy mają rezerwację. W okolicy są inne hotele, proszę się tam dowiedzieć.

Wymamrotałam, że oczywiście i że przepraszam, wzięłam walizkę i ruszyłam do wyjścia. Hotel miał automatyczne szklane drzwi; za każdym razem, kiedy się otwierały, do środka wpadał chłodny, czarny wiatr. Stałam obok, z walizką przy nogach, mając poczucie nierzeczywistości. Zacisnęłam dłonie i zamknęłam oczy, odcięłam się od światła i hałasu, dobry Boże, gdy patrzę na świat, który stworzyłeś...

Przełknęłam ślinę i wyszłam w ciemność. Jeśli Sheraton nie chciał moich pieniędzy, to na pewno znajdzie się jakiś inny hotel, który je zechce. Wyszłam na bulwar i ruszyłam przed siebie, niektóre z pobliskich

budynków na pewno były hotelami, tylko nie wiedziałam które.

– A dokąd to, panienko?

Jadący obok mnie samochód był długi i ciemny, mężczyzna, który wychylił się z okna miał kręcone rude włosy i bardzo białe zęby. Chwyciłam mocniej walizkę i przyspieszyłam kroku. Samochód też nieco przyspieszył, teraz mnie wyprzedził. Na tylnej szybie była jasnoniebieska nalepka z białymi literami: UNICEF.

– Hej, panienko, podoba mi się twój strój. Przyleciałaś z Hawajów?

Zatrzymałam się w pół kroku i patrzyłam na naklejkę. UNICEF to przecież Fundusz Narodów Zjednoczonych na rzecz Dzieci.

– Hej, ty, hulahula, dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać?

Oderwałam wzrok od naklejki i znów zaczęłam iść.

– Idę do hotelu – powiedziałam. Kawalek dalej widać było oświetlony parking.

– W którym hotelu mieszkasz, panienko? Słyszysz, co mówię?

Kiedy nie odpowiadałam, samochód podjechał do krawężnika, mężczyzna o białych zębach otworzył drzwi, wysiadł i stanął przede mną. Zatrzymałam się, czułam w gardle pulsujące tętno.

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć – odezwał się już spokojniej. – Przepraszam.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza, zerknęłam na naklejkę.

– Pracujecie na rzecz praw dzieci?

Białe Zęby skinęły głową.

– Cały czas! Dokąd idziesz?

Wskazałam głową przed siebie. Mijały nas pędzące samochody, duży samolot pasażerski przeleciał nad naszymi głowami, podchodząc do lądowania.

– Ta walizka wygląda na ciężką, możemy cię podrzucić, jeśli chcesz.

Spróbowałam się uśmiechnąć.

– Dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby. Jestem już prawie na miejscu.

Mężczyzna spojrzął na ulicę, minęła nas ciężarówka, przejechała tak blisko, że ciąg powietrza niemal mnie przewrócił.

– Marriott? Tam się zatrzymałaś? To gówniany hotel, drogi i kiepski. To nie jest miejsce dla ciebie!

Uśmiechnął się do mnie, widziałam jego białe zęby.

– Znam znacznie lepszy hotel.

Teraz otworzyły się też przednie drzwi od strony pasażera i z wozu wysiadł kolejny mężczyzna, znacznie niższy od tego pierwszego. Zrobiłam krok do tyłu, zaczęłam rozglądać się w ciemności.

– Na serio? – spytały Białe Zęby. – Właśnie przyleciałaś z Hawajów?

– Z Rarotongi – wyszeptalam.

– Z Tonga? – powtórzył niski facet. – To tam mają tego tłustego króla?

– Masz daleko do domu – powiedziały Białe Zęby, robiąc kilka kroków w moją stronę. – Masz przyjaciół, którzy na ciebie czekają? W Marriocie?

Skinęłam głową i przełknęłam ślinę, nie byłam w stanie nic powiedzieć. Mężczyzna odetchnął, jakby mu ulżyło.

– To dobrze. Już się martwiłem, że jesteś sama. Naprawdę możemy cię podwieźć, to dobry kilometr stąd. Widzę, że marzniesz.

– Walizka wygląda na ciężką – dodał Niski.

– Zwykle w kwietniu nie jest tak zimno, ale kwiecień plecień i tak dalej.

Białe Zęby roześmiały się. Nie wiedziałam, co to znaczy kwiecień plecień ani co w tym było śmiesznego. Wiatr targał *pareu*, odsłaniając moje gołe nogi. Mężczyzna zrobił kolejny krok w moją stronę, wciąż szeroko się uśmiechając.

– Byłaś już kiedyś w Stanach?

Pamiętam, że pomyślałam, że muszę być pewna siebie i udawać bywałą w świecie, ale tylko pokręciłam głową.

– Biedaczka – powiedział współczująco. – Świeżynka.

Spojrzął za ramię w kierunku samochodu i roześmiał się. Dwóch kolejnych mężczyzn wyszło na zewnątrz i ruszyło w naszą stronę. Białe

Zęby wyciągnęły do mnie rękę.

– Przepraszam, zachowałem się niegrzecznie. Nazywam się Clark Kent, a to mój kolega Bruce Wayne.

Wskazał na Niskiego, po czym pomachał mężczyznom, którzy przed chwilą wysiedli z samochodu.

– To doktor Robert Bruce Banner i Peter Parker, miło nam cię poznać.

Mężczyźni unieśli dłonie w geście pozdrowienia. Patrzyłam na Roberta Bruce'a Bannera, który chwiał się na nogach wyraźnie pijany i wcale nie wyglądał jak doktor, chociaż przecież nigdy jeszcze nie spotkałam prawdziwego doktora.

– Miło mi – wymamrotałam.

– Zawsze staramy się okazać gościnność turystom, którzy przyjeżdżają do naszego kraju – powiedział Clark Kent lekko urażony. – Gdybyśmy nie pomogli młodej damie, która marznie, poczulibyśmy się jak ostatni łajdacy. A tego chyba nie chcesz? Żebyśmy poczuli się jak łajdacy?

Pozostali dwaj mężczyźni, doktor i Peter Parker, obeszli nas i stali teraz za mną.

– Hotele wokół lotniska są do niczego i cholernie drogie. Możemy podzucić cię do jakiegoś tańszego i znacznie lepszego. Ale jeśli będziesz się upierała przy Marriocie, to też cię tam zawieziemy. To naprawdę żaden problem.

– Pozwól, że pomogę ci z walizką – powiedział Bruce Wayne.

Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego to zrobiłam, ale puściłam rączkę, pozwoliłam, żeby zabrał mi walizkę i włożył do bagażnika długiego samochodu.

– Mądra dziewczynka – pochwalił mnie Clark Kent i z zębami błyszczącymi w uśmiechu otworzył drzwi wozu. Doktor Robert Bruce Banner położył dłoń między moimi łopatkami i delikatnym, ale zdecydowanym ruchem pchnął mnie w stronę samochodu. Bruce Wayne usiadł z przodu na miejscu pasażera, Peter Parker okrążył samochód

i wskoczył za kierownicę, pozostali usiedli z tyłu.

– Za dwie minuty będziesz w ciepłym hotelu – zapewnił mnie Clark Kent.

Usiadłam na tylnym siedzeniu, czując pod stopami stertę śmieci i pustych butelek.

Z piskiem opon samochód włączył się do ruchu, uderzyłam głową w boczną szybę.

– Cieszę się, że możemy cię podwieźć – powiedział Clark Kent. Wcisnął jakiś guzik i usłyszałam ciche kliknięcie przy zamku drzwi.

Objął mnie ramieniem.

– Powiedz mi, jak masz na imię.

– Kiona – wyszeptałam.

– Co powiedziałaś? Key Houna?

Mężczyźni roześmieli się radośnie. Samochód przyspieszył. Plecak nadal miałam z przodu, Clark Kent sięgnął po niego i zaczął go otwierać.

– No proszę. Co ja widzę? – powiedział, wyjmując mój bilet do Londynu.

Podał go Waynowi, który siedział z przodu. Wyciągnęłam rękę, żeby im go zabrać, ale nie zdążyłam.

– Jesteś w drodze do Wielkiej Brytanii? Po co? – spytał Wayne.

– Mój mąż tam pracuje – odpowiedziałam. – Jadę się z nim spotkać.

– Ach tak. A więc jesteś mężatką, masz doświadczenie w łózkowych sprawach.

Wayne położył dłoń na moim udzie. Obserwując, co Wayne robi z moim biletem, sięgnęłam do plecaka, żeby go zamknąć. Kent złapał moją dłoń i powstrzymał mnie, wyjął z plecaka portfel i podał go Parkerowi. Zaczerpnęłam powietrza, chciałam zaprotestować, ale on otworzył go i zaczął przeliczać pieniądze – nowozelandzkie; dolary amerykańskie leżały w walizce.

– No proszę, proszę!

Kent wziął do ręki pudełko Amirii, pokrywka nieco się przekrzywiła,

więc ją zerwał. Spojrzał na perły i pokiwał głową ze współczuciem. Wziął w palce tę zieloną, którą wybrałam sobie zeszłej jesieni, i przekrzywił głowę.

– Kobieto, nie jesteś za duża na Toys „R” Us?

Puścił perłę i pudełko, upadły na podłogę, wdeptał je w pozostałe śmieci.

Po drugiej stronie ulicy zobaczyłam neon hotelu Marriott. Kent znów położył dłoń na moim udzie. Próbowałam ją zdjąć, ale wtedy chwycił mnie mocniej za ramię i wsunął drugą rękę między moje nogi. Mężczyźni wrzeszczeli i dopingowali go. Clark zerwał moje *pareu* i chwycił ręką moje majtki. Szybkim ruchem próbował je rozerwać, ale nie udało mu się, więc zaczął wkładać mi palce w krocze.

Woda zamknęła się nade mną, jakbym była na głębokości czterdziestu metrów. Nie mogłam zawołać Papy, nie miałam noża, który pomógłby mi się wyswobodzić. Samochód znów przyspieszył. Mężczyźni nadal krzyczeli. „Lubisz to, prawda?”, wrzeszczeli. I „Pokaż jej, pokaż!”. Palce docierały coraz wyżej, mężczyzna próbował nimi poruszać, wkładał je, wyjmował. Czułam, jak zimna metalowa klamka drzwi napiera mi na żebra, próbowałam ją namacać, ale drzwi okazały się zamknięte. Zbliżaliśmy się do monstrualnej autostrady, za szybą migają światła milionów samochodów, dojechaliśmy do wjazdu i wtedy udało mi się chwycić niewielką klamkę i pociągnąć. Przekreśliłam się na bok, kopnęłam w drzwi z całych sił i wypadłam z samochodu głową do przodu. Światła stopu świeciły złowrogo w ciemności, opony zapiszczały, kiedy samochód zahamował, a potem ogarnęła mnie litościwa cisza.

Nocne niebo było pozbawione gwiazd. Patrzyłam w niekończącą się pustkę, żarzącą się, szaroczerwoną. Nie mogłam się poruszyć. Leżałam okryta kocem, był ciepły i drapał mnie.

– Karetka jest w drodze – rozległ się głos gdzieś w przestworzach.

Próbowałam powiedzieć, że wszystko mnie boli, ale nie wiem, czy ktoś mnie usłyszał. Czyjaś ręka podłożyła mi coś miękkiego pod głowę.

– Wyjdiesz z tego – powiedział głos. – Rany się zagoją i będziesz jak nowa.

Kiedy się obudziłam, leżałam w szpitalnym łóżku z postrzępionymi prześcieradłami i czułam się nieprzyzwoicie dobrze. Śpiewały dla mnie wszystkie anioły niebios, otaczały mnie promienie światła. Chciałam odlecieć na chmurach, ale jakiś niezadowolony głos zmusił mnie do powrotu do rzeczywistości.

– Proszę wracać, miss. Nie wolno pani zasnąć.

Kobieta z maseczką na ustach nachylała się nade mną, mierząc mi ciśnienie.

Odwróciłam głowę, ostre noże przeszły mi mózg. Owalna twarz z małymi czarnymi oczami i dużym nosem uśmiechała się do mnie.

– Miło cię widzieć – powiedziała Twarz. – Jak się czujesz?

– Świetnie – odparłam i zamknęłam oczy.

– Korzystaj z tego, póki możesz. Wkrótce będzie gorzej. Gdzie mieszkasz?

– W Tukao – odpowiedziałam.

– Gdzie?

– Na Manihiki.

– Na Nowej Zelandii?

Manihiki miałyby leżeć na Nowej Zelandii? Pomysł był tak głupi, że zaczęłam się śmiać. Szybko jednak przestałam, bo poczułam ból.

– Jest tu dużo lamp – powiedziałam, patrząc na sufit.

– Nazywam się Clay – powiedziała Owalna Twarz. – Znalazłam cię przy

wjeździe na czterystąpiatkę i dopilnowałam, żebyś tu trafiła. Gdzie mieszkasz w Los Angeles?

Byłam w Los Angeles? No tak, ciągnące się w nieskończoność światła.

– W Sheratonie nie było nic wolnego.

– Bardzo cię przepraszam, ale przeszukaliśmy twoje rzeczy i nie znaleźliśmy żadnych kart kredytowych. Chodzi o rachunek za szpital.

– Rachunek?

W lecznicy nigdy nie pobieraliśmy żadnych opłat. Mama dostawała pensję, którą wypłacał jej rząd, a ja tylko jej pomagałam.

– Może masz gotówkę?

Jasne, pieniądze Erika!

– W walizce – powiedziałam. – Pieniądze są w walizce.

– W jakiej walizce?

Wtedy znów odplynęłam, a kiedy odzyskałam przytomność, bolało mnie dokładnie wszystko. Zaczęłam wymiotować. Próbowałam wstać z łóżka, ale miałam zabandażowaną rękę i klatkę piersiową i nie mogłam się ruszać. Osoba o imieniu Clay siedziała na krześle przy moim łóżku. Po drugiej stronie stał mężczyzna w białym fartuchu i z brodą.

– Kiona – odezwał się. – Jestem doktor Lewis. – Masz wstrząśnienie mózgu i sporą ranę na potylicy. Masz też pękniętą miednicę, przez jakiś czas będzie cię boleć, ale to nic groźnego. Wstawiliśmy ci tytanową płytkę z siedmioma śrubami. Nie patrz na mnie z takim przerażeniem, dojdiesz do siebie. Ramię było zwichnięte, ale nastawiliśmy je, no i masz też złamane dwa żebra. Przepiszę środki przeciwbólowe, które będziesz mogła brać, kiedy ból stanie się trudny do wytrzymania.

Doktor zniknął z mojego pola widzenia, osoba o imieniu Clay nachyliła się nade mną.

– Jeśli nie masz dużych środków, to lepiej się stąd wypisz. Pobyt tu kosztuje majątek.

Spojrzałam na padające przez okno światło, szukając drogi ucieczki.

Światło było białe i ostre.

– Gdzie jestem?

– Na pogotowiu w Los Angeles County General. Pora wracać do domu.

Ktoś może się tobą zająć?

Czułam, jak ból przeszywa moje ciało. Wszystko sprawiało mi ból: myślenie, oddychanie, mówienie.

Clay wstała, położyła mi na piersiach kartkę papieru.

– Mój adres i numer telefonu – powiedziała. – Zapłaciłam za twój pobyt w szpitalu, licząc, że przy okazji mi oddasz. Powodzenia.

Wyszła przez drzwi, patrzyłam na jej dużą, dobrze zbudowaną sylwetkę. Miała rude włosy zebrane w kucyk. Lewą ręką dotknęłam kartki: 1336 North Citrus Avenue # 7, Hollywood, CA 90028 i długi numer telefonu.

– Ktoś po panią przyjedzie czy mam wezwać taksówkę? – spytała pielęgniarka z maseczką na ustach.

Nie byłam w stanie iść samodzielnie, więc odwieziono mnie do drzwi na wózku. Siedziałam i przypatrywałam się ludziom, którzy wchodzili i wychodzili, niekończący się ludzki strumień. Przypominali ławicę ryb w morzu po zewnętrznej stronie rafy, niepoliczalni i nieprzewidywalni w swoich ruchach. Raz poruszali się w jedną, raz w drugą stronę, razem lub pojedynczo, i wszyscy jedli coś z różnego rodzaju opakowań. Sama byłam sobie winna, że tu siedziałam. Powiedziałam pielęgniarce, że ktoś się po mnie zjawi, ale kto miałby to być? Jak, do licha, w ogóle się tu znalazłam?

Walizka Mamy Evelyn zniknęła, podobnie jak wszystkie moje rzeczy i pieniądze Erika. Na kolanach miałam plecak, próbowałam przeszukać go lewą ręką, żeby sprawdzić, co w nim zostało. Bilet lotniczy do Londynu zniknął, ale to już wiedziałam. Miał go Bruce Wayne. Portfel miał Peter Parker. Perły z pudełka Amirii leżały rozsypane wśród śmieci na podłodze długiego, ciemnego samochodu z naklejką UNICEF-u na tylnej szybie. W plecaku zostały mój nowy paszport nowozelandzki i karta pokładowa z lotu na międzynarodowe lotnisko w Los Angeles, kanapka z wieprzową konserwą, którą wzięłam z samolotu, koperta z dziwnym kluczykiem Erika i moja książka, *Filary ziemi*.

Otworzyłam ją, litery tańczyły: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego”; nie, to nie była jednak ta książka.

– Czeka pani na kogoś, miss?

Potężnie zbudowany mężczyzna w mundurze i z pałką nachylił się nade mną. Na kieszeni na piersi miał wyszyty napis „OCHRONA”, wszystko wokół mnie się zakołysało, jakbym była na morzu.

– Nie wiem – powiedziałam.

– Nie może pani tu zostać.

Wszystko mnie bolało.

– Taksówka. Potrzebuję taksówki.

– Okej, zaraz załatwię jakąś bryczkę.

Odszedł kilka kroków, odpiął od paska radio, powiedział coś, czego nie

zrozumiałam, ale słyszałam, że dostał odpowiedź.

– Trudno mi iść, może mi pan pomóc?

Ochroniarz podjechał ze mną do taksówki i razem z kierowcą usadowili mnie na przednim siedzeniu.

– Dokąd jedziemy? – spytał kierowca, młody mężczyzna azjatyckiego pochodzenia.

– 1336 North Citrus Avenue w Hollywood – powiedziałam. – Apartament numer siedem.

Dom z jasnożółtego betonu nie wyglądał na świeżo pomalowany, był to dwupiętrowy blok z fasadą od ulicy i galerią łączącą kilka budynków. Jedna z trójek w numerze 1336 poluzowała się i zwisała krzywo. Obok stały podobne bloki, między nimi widać było zakurzone drzewa i uschnięte palmy. Krajobraz przypominał widoki znane mi z Manihiki, tyle że susza była tu większa. Wszystko pokrywały asfalt i trawniki. Hollywood, miasto marzeń.

– Czterdzieści dwa dolary i dwadzieścia centów – powiedział kierowca.

Poczułam, jak mdłości podchodzą mi do gardła.

– Nie mam pieniędzy. Proszę pomóc mi zadzwonić do drzwi, to być może będę mogła zapłacić.

– Do diabła... – Mężczyzna westchnął głęboko. – Podam cię do sądu, masz to jak amen w pacierzu.

Byłam bliska płaczu, co chyba zauważył, bo uderzył rękoma w kierownicę i wyłączył silnik.

– No dobrze, jaki numer mieszkania? – spytał.

– Siedem – wyszeptałam.

Zdecydowanym ruchem otworzył drzwi samochodu i ruszył w stronę budynku. Przyglądał się chwilę wejściu, po czym ruszył na górę po schodach. Widziałam, jak puka do trzecich drzwi na górnym piętrze, nad jego głową świeciła żółta lampka. Po dość długiej chwili drzwi uchyliły się. Taksówkarz zaczął z kimś rozmawiać, wskazując na mnie i na samochód. W drzwiach pojawiła się głowa, nie głowa Clay, tylko młodego blondyna o szerokich barach. Nie wyglądał na zadowolonego. Pomachałam lewą dłonią. Blondyn zniknął, a kierowca zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę. Po chwili na galerię wyszła Clay, zbiegła po schodach, podeszła do taksówki i otworzyła drzwi.

– No proszę, przyjechałaś uregulować rachunek za szpital?

– Możesz zapłacić kierowcy? Będę ci bardzo wdzięczna.

Przekrzywiła głowę.

– Mieszkaś tu w pobliżu?

Spojrzałam na swoje ręce, Clay zarechotała.

– Vladi, skarbie – zwróciła się do mężczyzny o szerokich barach. –
Potrzebujemy twojej pomocy.

Clay zapłaciła kierowcy, wyjmując pieniądze ze zniszczonego portfela. Blondyn chwycił mnie pod kolanami, podparł mi plecy i zaniósł na górę. Zostałam posadzona na kanapie przykrytej prześcieradłem w żółte plamy i odpłynęłam.

Moje miejsce zajmował poprzednio mężczyzna pochodzący z Grenlandii o imieniu Tukkuttok, co – jak podkreślał – w języku Inuitów znaczyło „hojny”. Wieczorem w dniu, w którym przybyłam do Stanów, on wyjechał do domu, do Kangerlussauq; wiem, że tak się to miejsce nazywało, bo znalazłam nazwę na kopii kwitu między poduszkami kanapy.

Kiedy doszłam do siebie, zdążyło się już zrobić późne popołudnie. Niewielka lampka gdzieś w głębi rzucała słabe, rozproszone światło, ból barwił wszystko na krwistą czerwień. Odgłosy telewizora raniły mi mózg, z głębi mieszkania dochodziła monotonna muzyka. Czułam okropne parcie na pęcherz. W gardle mi wyschło, schrypniętym głosem poprosiłam o wodę. Wokół kanapy pojawili się nagle ludzie: Clay, barczysty blondyn i mężczyzna na elektrycznym wózku inwalidzkim, z jedną ręką i bez nóg. Dostałam szklanekę wody do lewej ręki, wypiałam ją łapczywie.

– Potrzebujesz do toalety? – spytała Clay. – Vladi?

Barczysty mężczyzna chwycił mój tułów i postawił mnie na nogi.

– Żebra będą cię boleć jeszcze przez kilka dni, miednica nieco dłużej. Na ból ręki i głowy wystarczą zwykłe środki przeciwbólowe – powiedziała Clay. – Toaleta jest tam – dodała.

Pokazała na coś, co chyba było kuchnią. Spróbowałam zrobić krok i omal nie upadłam. Clay chwyciła mnie, zaprowadziła do toalety i posadziła na sedesie. Ulga, jaką poczułam, oddając mocz, złagodziła nieco ból.

– Przy wypisie dostałam tabletki. Są w mojej torebce – powiedziałam.

Clay wzięła torebkę, zaczęła w niej szukać i znalazła brązowo-żółty plastikowy słoiczek.

– Opiaty to trucizna – oświadczyła i odłożyła słoik gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku.

Uniosłam zabandażowaną prawą rękę i spróbowałam ją ostrożnie obrócić.

– Co się stało? Jest złamana?

Clay zmaterializowała się przede mną.

– Miałaś tyle złamań, że darowali sobie liczenie.

– Dlaczego ręka nie jest w gipsie?

– Skarbie, wstawili ci tytanową płytkę, cała ręka od nadgarstka do łokcia jest ześrubowana, nie potrzebujesz gipsu. Twój szkielet trzyma się dzięki śrubom. Dosłownie.

Blondyn, który miał na imię Vladimir, zniknął w sąsiednim pokoju, zamykając bezdźwięcznie za sobą drzwi. Poruszający się na wózku mężczyzna podjechał do dużego stołu jadalnego, odwrócił się do nas plecami i zaczął czytać książkę. Rozejrzałam się ostrożnie: troje drzwi, każde prowadzące do innego pomieszczenia, było zamkniętych, poza tym była też kuchnia i łazienka.

Clay wyszła z okolic kuchennych i usiadła na krześle obok kanapy.

– Kiona Matavera z Tukao – zaczęła. – Możesz zdradzić, dlaczego tu przyjechałaś?

– Jestem w drodze do Londynu – powiedziałam ledwie słyszalnym głosem. – Szukam mojego męża.

– Więc co robisz tu, u mnie?

Spojrzałam na swoją rękę i owiniętą bandażem klatkę piersiową i zaczęłam się zastanawiać, jak ja teraz dotrę do Londynu. Bóg zapewne miał jakiś plan, ale co miało znaczyć to, co się stało?

– Jak mnie znalazłaś? – spytałam.

Clay zaczęła opowiadać. Odwiozła Tukuttoka na międzynarodowe lotnisko w Los Angeles i wracała do domu. Jechała wjazdem na autostradę czterysta pięć, kiedy w samochodzie przed nią – twierdziła, że był to cadillac – otworzyły się drzwi i coś wypadło.

– Najpierw pomyślałam, że to jakaś torba w kwiaty, ale potem zobaczyłam nogi. Potwornie mnie przestraszyłaś. Myślałam, że nie żyjesz – powiedziała.

Przerwała i podeszła do mnie. Cadillac dodał gazu i zniknął wśród

samochodów na autostradzie, więc nie zdążyła zanotować numeru. Z komórki wezwała karetkę.

Spróbowałam usiąść na kanapie i napić się wody.

Kobieta obok mnie wydawała się dziwnie bezwiekowa, miała nieco obwisłą skórę na szyi, ale twarz gładką jak u dziecka, ciemną i błyszczącą. Rysy miała neutralne, ale na pewno nie była ładna. Zwróciłam uwagę na jej ogromne dłonie, którymi teraz poprawiała bandaż na mojej głowie.

– Rozumiem, że twój mąż zaginął. Jak to się stało?

Było raczej mało prawdopodobne, że Clay miała coś wspólnego z pracodawcą Erika, ale zbyłam jej pytanie milczeniem.

– Wierzysz w Boga? – spytałam po chwili.

Mężczyzna na wózku parsknął głośno.

– W którego? – spytała Clay, dotykając bandaża na mojej klatce piersiowej.

– Pana Naszego, Jezusa Chrystusa i Ducha Świętego.

– Pytasz, czy wierzę, że istnieje? Oczywiście, że istnieje. Mnóstwo ludzi codziennie z nim rozmawia.

Wstała i podeszła do szafki, na której stał sprzęt medyczny różnego rodzaju: ciśnieniomierz i opakowanie strzykawek.

– Więc oczywiście istnieje – rzuciła przez ramię. – Jak najbardziej. Pytanie tylko, k im jest i kto go stworzył, dlaczego istnieje i dlaczego jest potrzebny. O ile to jest o n.

Sięgnęła po strzykawkę, przygotowała ją, podeszła do mężczyzny na wózku inwalidzkim i wbiła mu igłę w dolną część kręgosłupa. Może insulinę? Następnie wymieniła worek stomijny na jego brzuchu (w Tukao nikt nie miał stomii, ale miał ją jeden mężczyzna w Tauhunu, imieniem Patuki). Zrobiła to z dużą wprawą, mężczyzna nawet nie zareagował. Widziałam, że dla obojga była to rutynowa czynność, a jednak odwróciłam wzrok: od nich, od tego cuchnącego mieszkania (a może to tylko prześcieradło tak cuchnęło), od telewizora i monotonnej muzyki.

Przeniosłam się do kościoła w Tukao, pozwoliłam, by promienie słońca wpadające przez kolorowe witrażowe okna ogrzały moje stopy. Zatopiłam się w grzmiącym głosie pastora Boyda, próbowałam obronić się przed namolnym wzrokiem Fete Jensena i pozwoliłam, by pieśń pochwalna uniosła mnie pod samo sklepienie. Oddychałam z otwartymi ustami, by nikt nie słyszał moich łez.

Potem poczułam, jak kobieta siada obok mnie na kanapie i delikatnie zaczyna gładzić mnie po włosach. Jej serdeczny gest sprawił, że jeszcze mocniej zacisnęłam powieki.

– Już dobrze – szeptała. – To wszystko minie.

Wiedziałam, że nie ma racji. Bóg odwrócił się ode mnie. Nie mogłam polecieć do Londynu. Moje pieniądze zniknęły, miałam złamaną rękę, szwy na głowie.

– Bóg mnie porzucił – powiedziałam cicho.

– Nie przejmuj się Nim tak bardzo. Mam wrażenie, że On nie ma nic wspólnego z twoim wypadkiem.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza, wzięłam chusteczkę higieniczną, którą mi podała, i wytarłam nos.

– On ze wszystkim ma coś wspólnego. Stworzył cały świat na swoje podobieństwo.

King wydał z siebie gulgoczący dźwięk, usłyszałam, jak zawraca wózek i jedzie do łazienki. Clay wzięła moją zdrową dłoń w swoją.

– Albo jest odwrotnie. To człowiek stworzył Boga, by w ogóle móc żyć czy raczej poradzić sobie z myślą o śmierci. Świadomość, że jesteśmy tu po to, żeby przeżyć nasze życie, jest trudna do zniesienia. Dlatego szukamy jakiegoś innego sensu. Inaczej byśmy zwariowali. Jesteś głodna?

Pokręciłam głową. Clay wstała i zniknęła w kuchni.

– Beverly! Bianca! Britney! Zmywanie! – krzyknęła. Monotonna muzyka zamilkła, ale dźwięk z telewizora przybrał na sile. – Dziewczęta, czekam! – zawołała Clay. – Wiecie, o co chodzi.

Wróciła do pokoju z miseczką płatków w jednej ręce i kartonem mleka sojowego w drugiej. Usiadła przy stole i zaczęła jeść. Nagle drzwi się otworzyły i pokazała się w nich dziewczyna, młoda nastolatka, która wolnym krokiem ruszyła do kuchni. Przypominała mi Amirię, tyle że miała jasne włosy, niemal białe. Była najładniejszą dziewczynką, jaką kiedykolwiek widziałam, przypominała porcelanową laleczkę.

– Dziękuję, Bianca – zawołała Clay, przełykając płatki.

Nastolatka zaczęła demonstracyjnie stukać naczyniami.

– Ile osób tu mieszka? – spytałam.

Clay wskazała łyżką na drzwi, przez które weszła nastolatka.

– Dziewczęta: Britney, Beverly i Bianca. Chodzą do szkoły. Do liceum – powiedziała, po czym wskazała łyżką na drzwi obok. – William i Vladimir. Obaj mają HIV. – Następnie skinęła głową w stronę łazienki, do której jakiś czas temu udał się mężczyzna na wózku. – King – powiedziała. – On jest tu najdłużej. Laura zajmuje mały pokój, ale w tej chwili jej tu nie ma. Ja śpię w kuchni – zakończyła.

Przez chwilę leżałam w milczeniu, Clay jadła.

– Myślisz, że uda mi się odzyskać walizkę? – spytałam. – Leżała w bagażniku samochodu.

– Przykro mi, ale nie zanotowałam numeru rejestracyjnego.

– Może policja będzie mogła mi pomóc?

Clay spytała, dlaczego walizka jest dla mnie taka ważna, a ja odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że było w niej dużo pieniędzy.

– Sumę powyżej dziesięciu tysięcy dolarów należy zgłosić na cle. Wypełniłaś formularz CF 4790?

Nie, nie wypełniłam.

– Więc nie możesz zgłosić policji, że ktoś ukradł ci pieniądze. Wtedy przyznałabyś się do przemytu, a przemyt podlega karze.

Przełknęłam ślinę.

– Wiem, jak nazywali się mężczyźni. Przedstawili mi się. Clark Kent,

Bruce Wayne, doktor Robert Bruce Banner i Peter Parker.

Clay przestała jeść.

– Skarbie, i nic ci to nie mówi?

Nie wiedziałam, o co jej chodzi.

– Superman, Batman, Hulk i Człowiek Pająk – powiedziała.

Czułam, jak krew napływa mi do twarzy. Boże, Nikau kolekcjonował komiksy. A więc mężczyźni zadrwili sobie ze mnie, przedstawiając się jako superbohaterowie. Nic dziwnego, że tak świetnie się bawili. Spojrzałam na swoje dłonie, policzki pały mi ze wstydu. Clay odstawiła miseczkę, wstała, podeszła do mnie i zmartwiona zaczęła mi się przyglądać.

– Co oni ci zrobili? – spytała w końcu cicho.

Zagryzłam zęby.

– Jeśli nie chcesz, nie musisz nic mówić.

– Wsiadłam do ich samochodu dobrowolnie. Jestem największą kretynką na całej kuli ziemskiej.

– Kiona, może jednak jest ktoś, do kogo mogę zadzwonić i powiedzieć, co się stało?

Pokręciłam głową. Stryj Matini miał co prawda telefon w swojej firmie, ale w niedzielę wieczorem nie było tam nikogo, poza tym nie chciałam, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

– Jak komunikujecie się ze światem na tej twojej wyspie?

Zabrzmiało to, jakbyśmy żyli gdzieś na krańcu świata w epoce kamienia łupanego.

– Mamy oczywiście radio – powiedziałam.

– Znam kogoś, kto ma krótkofalówkę. Zadzwonię do niego i poproszę, żeby...

– Dziękuję, ale nie.

Miałam zamknięte powieki, ale i tak czułam na sobie jej wzrok.

– A więc szukasz męża?

– Nie jesteśmy małżeństwem – wyszeptałam. – Nie tak naprawdę.

– Co on, u licha, robi w Londynie?

– Powiedział, że musi tam wrócić. I coś dokończyć. Mam adres jego biura.

– Myślisz, że chce, żebyś go znalazła?

Zaczęłam głośno oddychać. Wiedziałałam na pewno, że nie chciał zostawić mnie samej. Gdyby mógł, na pewno by już wrócił.

Drzwi najbliższej sypialni znów się otworzyły i do pokoju weszła kolejna nastolatka. Była ciemna i miała dredy. Podeszła do kanapy i podała mi rękę.

– Cześć, jestem Beverly – przedstawiła się.

– Cześć – odpowiedziałam, podając jej lewą rękę. – Kiona.

Jej wzrok wędrował od mojej zabandażowanej głowy do ręki.

– Co ci się przytrafiło, do cholery?

– Język, Bev – zainterweniowała Clay.

– Wskoczyłam z samochodu – powiedziałam.

Dziewczyna myślała chwilę, po czym skinęła głową z uznaniem.

– Kto jest w toalecie? – spytała.

– King. Obraził się – powiedziała Clay.

Dziewczyna z dredami wstała, podeszła do drzwi łazienki i zapukała.

– Ludzie postępują tak, jak postępują, a nie tak, jak mówią – powiedziałam.

Clay spojrzała na mnie, nic nie rozumiejąc.

– „Język, Bev”.

Roześmiała się głośno.

– Nie jesteś taka głupia, na jaką wyglądasz – oświadczyła i wstała.

S tukanie naczyń wyrwało mnie ze snu, a może był to odgłos otwieranych drzwi. Za oknami było ciemno, do pokoju wpadło chłodne powietrze, podciągnęłam koc. Nagły ruch sprawił, że poczułam ból w żebrach i miednicy.

– Zarezerwowałaś pralnię? – spytał King kobietę, która weszła do mieszkania.

Kobieta trzasnęła drzwiami równie mocno, jak je otworzyła, i rozkraczając szeroko nogi, stanęła przed mężczyzną na wózku. Była tak samo chuda jak ja, ale miała bardzo duże piersi, można by pomyśleć, że to dwa orzechy kokosowe.

– „Witaj, Laura. Jak miło cię widzieć! Jak ci minął wieczór?”

Jej angielski brzmiał inaczej niż angielski innych, szczególnie samogłoski „a” i „o”.

– Prześcieradła cuchną – stwierdził King. – Nie myśl, że się wywiniesz.

– I co zamierzasz z tym zrobić? – spytała schrypniętym głosem, po czym podniosła wzrok i spojrzała na mnie. – Kto to jest?

Odkasznęłam, ale King mnie uprzedził.

– Coś, co C znalazła przy autostradzie.

Kobieta, która najwyraźniej miała na imię Laura, westchnęła głośno i ruszyła do drzwi, które wcześniej wzięłam za drzwi do garderoby.

– Cześć, Laura – zawołała Clay z kuchni. – Witamy w domu! Przychodzisz w samą porę. Za pięć minut jest kolacja.

Kolejna młoda dziewczyna, tym razem z ogoloną głową, licznymi kolczykami i błyszczącymi ćwiekami na twarzy, weszła do pokoju, niosąc stos talerzy i sztućców.

Skinęła mi szybko głową i bardzo starannie nakryła do stołu.

Do pokoju weszła Clay z dużym, parującym garnkiem w ręce.

– Kiona, to jest Britney. Britney, to jest Kiona. Poznajcie się.

Poprawiałam się na poduszkach i podałam jej zdrową rękę. Dziewczyna zawahała się i spojrzała na Clay.

– Ma AIDS?

– O ile mi wiadomo, to nie – powiedziała Clay i wtedy dziewczyna wzięła moją dłoń. Jej ręka była cała w bliznach.

– Mówią na mnie Bongo.

– Bongo – powtórzyłam i poczułam się trochę głupio.

Dziewczyna odwróciła się i poszła po szklanki.

– Chłopaki – zawołała Clay w stronę sypialni. – Jedzenie!

Jedne z drzwi otworzyły się, dobiegło zza nich monotonne dudnienie, po chwili usłyszałam, jak jeden z mężczyzn mówi: *bitches in the living room*.

– Wyłącz, Snoop! – krzyknęła Clay i dudnienie ustało. – Kiona, nie dasz rady siedzieć przy stole, więc na razie będziesz jadła na kanapie, dobrze? Chcesz iść do toalety?

Skinęłam lekko głową.

– Vladi? – zawołała Clay.

– Nie ma AIDS – oznajmiła dziewczyna z bliznami, która chciała, by mówiono do niej Bongo.

Barczysty mężczyzna ponownie pomógł mi wstać z niskiej kanapy. Ból był tak silny, że się zachwiałam.

– Spróbuj iść, nawet jeśli ci trudno – odezwała się Clay. – Użyj chodzika.

Dziewczyna z jasnymi, niemal białymi włosami minęła mnie. Miała błyszczące czerwone usta, pachniały mocno truskawkami. Podała mi konstrukcję na kółkach, o którą mogłam się oprzeć i powoli przesuwać. Na Manihiki niczego takiego nie mieliśmy. Podłoga zakołysała się, jak podczas pierwszych dni po rejsie „Lady Moaną” na Rarotongę. Przełknęłam ślinę i małymi krokami ruszyłam w stronę łazienki. Vladimir siedł tuż obok, a potem zczekał, aż wyjdę. Asekurował mnie, kiedy wracałam, odprowadził do kanapy i podłożył mi pod plecy poduszkę, żebym mogła przyjąć pozycję pólężącą. Podał mi też talerz z czymś gęstym i żółtym, a do tego ciepły chleb z masłem.

Kiedy wszyscy usiedli do stołu, zrobiło się ciasno. Wózek Kinga zabierał

dużo miejsca. Trzy nastolatki siedziały obok siebie, Clay przy krótszym boku stołu, kobieta z piersiami jak orzechy kokosowe, Vladimir i jeszcze jeden młody mężczyzna, którego wcześniej nie widziałam, chudy, z rudymi włosami, po drugiej stronie dłuższego boku stołu.

– To William – powiedziała Clay, wskazując widelcem na rudego mężczyznę. – Nie podaje nikomu ręki, ma AIDS. Nie sądzę, żeby zarażał, ale Britney boi się szpitali i chorób. Jedźmy.

Mężczyzna uśmiechnął się i pomachał mi ręką.

– Witamy – powiedział.

Spróbowałam się uśmiechnąć.

– To prawda, że Clay znalazła cię przy czterystapiątce? – spytała Bongo. Mówiła z pełnymi ustami.

– Przy autostradzie – powiedziałam, usiłując jeść kaszę.

– Britney – odezwała się Clay. – Możesz podać pieczywo? Dziękuję! Kiona pochodzi z Wysp Cooka, jest w drodze do Londynu i zostanie u nas, aż jej rany się zagoją.

Jej słowa przyniosły mi ulgę. A więc jednak nie zamierzała mnie wyrzucić.

– Jakie wyspy? Kokosowe? Coś jak Hawaje? – spytała Bianca. Po raz pierwszy słyszałam, jak mówi.

– Tańczysz hula-hula? – dopytywała się Bongo.

– Nie za dobrze – powiedziałam. – Moja kuzynka Vaiana jest w tym świetna. Jest właśnie na tournée w Australii...

Zamilkłam, nie chciałam, żeby pomyśleli, że się chwale.

– Kiedy będzie mogła sprzedawać?

– Jak tylko zacnie chodzić – powiedziała Clay, po czym zwróciła się do Kinga: – Czego dzisiaj dowiedziałeś się o Darwinie? – spytała.

– Żadne zwierzęta się nie modlą – powiedział, zerkając na mnie. – A ludzie tak i co z tego za pożytek? Z darwinowskiego punktu widzenia jest to niepojęte.

– Doprawdy – powiedziała Clay. – Mam nadzieję, że znalazłeś odpowiedź na swoje pytanie?

– Dawkins pisze o „hierarchii dominacji”. O agresji i podporządkowaniu się. To epidemia, która nie ma nic wspólnego z genami.

Przeżuwałam papkę, którą miałam na talerzu, jakiś rodzaj warzywa, którego nigdy wcześniej nie jadłam, przypominało surowe *taro*.

– Jaką działkę dostanie? – spytała Laura, przeciągając jak zwykle samogłoski. Skinęła głową w moją stronę.

– Może Tukuttoksa? – zaproponował ktoś.

– Umiesz naprawiać samochody? – spytał William.

– Ja... nie – odpowiedziałam.

– Może przejmie pranie? – rzuciła Laura z nadzieją w głosie. Wyglądała na chorą, miała podkrążone oczy i krople potu na czole.

– Co potrafisz robić? – drażył William.

Przełknęłam głośno ślinę, zastanawiając się, co rzeczywiście potrafię. Mogłabym szczepić małże, gdybym miała certyfikat, ale nie miałam. Potrafiłabym ocenić zawartość tlenu w wodzie i ocenić odległość pod wodą niemal co do centymetra, nie posługując się żadną miarką.

– Potrafię nurkować – powiedziałam w końcu i odłożyłam sztućce.

Wszyscy przestali jeść, osiem par oczu zwróciło się w moją stronę.

– Nurkować? – spytała Bianca. – Jesteś nurkiem? Takim z bąbelkami i gumowymi płetwami?

– Mniej więcej, tylko bez bąbelków. Potrafię zejść na głębokość czterdziestu metrów, nie na długo oczywiście, ale na głębokości dziesięciu metrów mogę zostać pod wodą nawet siedem minut...

– Dobra umiejętność – stwierdziła Clay. – Niestety w naszym gospodarstwie mało przydatna. Potrafisz gotować?

Zaczęłam się intensywnie zastanawiać.

– Potrafię sprzątać ryby – odezwałam się w końcu. – Potrafię też podać kroplówkę, zszywać rany, mierzyć ciśnienie...

– Doskonale. Kiedy wyzdrowiejesz, zajmiesz się Kingiem, kiedy ja będę się uczyć.

Mężczyzna na wózku niemal przestał oddychać.

– Ależ C!

– Dlaczego jesteś taka połamana? – spytała Bongo, w jej błyszczących oczach malowała się ciekawość.

– Wskoczyłam z samochodu.

– Słyszeliście tę historię? – spytała Bianca. – Pewien chłopak podróżował po Brazylii. Pewnej nocy zadał się z superlaską. Uprawiali seks, oralny, analny, na wszystkie możliwe sposoby. Rano, kiedy się obudził, laska zniknęła, a kiedy poszedł do łazienki, zobaczył, że napisała coś na lustrze. Zgadnijcie co?

King jęknął.

– Skarbie, powtarzasz plotki – powiedziała Clay.

– „Witaj w klubie AIDS” – powiedziała Bianca z lubością.

– To prawda? – Bongo patrzyła na nią wielkimi oczami.

Beverly wzniosła oczy do nieba, Clay wstała.

– Britney, ty dzisiaj zmywasz – orzekła.

Wszyscy zanieśli swoje talerze do kuchni, z wyjątkiem mnie, oczywiście. Mój wziął William.

Wspomnienie laguny na Manihiki sprawiło, że poczułam, jak coś dusi mnie za gardło, coś mnie uciskało, dokuczało. Położyłam się z twarzą wciśniętą w poduszkę, odgradzając się od całego świata.

Zimne noce z kolorowymi snami bez drzwi. Zielone żarzące się spirale na tle jaskrawego fioletu, krzyki dobywające się z oceanów pozbawionych tlenu. Ręce, które wdzierały się w moje otwory. Potknęłam się i upadłam.

– Spokojnie – powiedziała cicho Clay.

Siedziała obok mnie na brzegu kanapy i dotykała dłonią mojego czoła. Chyba ją obudziłam.

– Nic ci nie będzie. Wyzdrowiejesz – zapewniała mnie.

Nie odpowiedziałam.

– Miałaś pecha, że trafiłaś akurat na tych mężczyzn.

Wiedziałam, że to nie miało nic wspólnego z żadnym pechem, więc odwróciłam się do niej plecami.

– Bóg cię nie karze. Musisz mi uwierzyć.

– Dlaczego miałabym wierzyć tobie, a nie Bogu?

Clay poprawiła się.

– To fantastycznie, że wierzysz, że posiadasz tę zdolność. Że wszyscy ją mamy. To ona sprawiła, że dzisiaj jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. Możemy korzystać z odkryć innych ludzi, budować dalej na ich dokonaniach, ponieważ wierzymy, ufamy temu, co inni nam mówią, i nie musimy powtarzać ich błędów. To ma decydujące znaczenie dla naszego rozwoju, odróżnia nas od innych gatunków.

Nie odpowiedziałam.

– Na przykład nauka – ciągnęła Clay. – Akceptujemy wcześniejsze odkrycia, nie musimy powtarzać wszystkich eksperymentów. Przyjmujemy wypowiedane słowa za prawdę i budujemy na nich. Ktoś coś powie, a my mu wierzymy. Religia jest skutkiem ubocznym tej umiejętności.

Zamknęłam oczy.

– W dzieciństwie nauczono cię, że Bóg istnieje, prawda? – ciągnęła Clay.

– W moim przypadku tak właśnie było. Zrobiono to dość podstępnie, bo razem z wieloma innymi rzeczami, które były prawdą, na przykład że trzeba

uważać, żeby nie przejechał nas samochód, i że lody są smaczne. A ja oczywiście wszystko to kupowałam, jak wszystkie dzieci.

– Może jednak się mylisz – powiedziałam wtulona w poduszkę. – Może Bóg jednak istnieje, a ty uwierzyłaś nie tym ludziom, którym powinnaś?

– Jest taka możliwość.

Spojrzałam na nią przez ramię. Uśmiechnęła się.

– Ja wierzę naukowcom, którzy mówią, że współczesne chrześcijaństwo jest wypadkową szeregu wcześniejszych wierzeń religijnych.

Nie bardzo rozumiałam, co ma na myśli, więc się nie odezwałam.

– To pierwsza zasada logiki – powiedziała. – Wyjdź od tego, co wiesz.

Przeciągnęła z lubością swoje duże ciało.

– Na początku, kiedy polowaliśmy i zajmowaliśmy się zbieractwem, wierzyliśmy, że miejsca, zwierzęta i rośliny mają świadomość i czują. Potrafiliśmy komunikować się z nimi poprzez pieśni i taniec. I ceremonie. Nikt nie decydował za innych, żyliśmy razem w harmonii. Pewne rzeczy przetrwały do dzisiaj pod postacią duchów i aniołów, elfów i demonów.

Pomyślałam o archaniele Gabrielu, o nieczystych duchach, które opętały mężczyznę mieszkającego wśród grobów, i o niebiańskich chórach głoszących cześć Pana.

– A Duch Święty? – spytałam. – To też pozostałość pradawnego rytuału?

Słyszałam sceptycyzm w swoim głosie.

– To świetny przykład – podchwyciła Clay. – Kiedy zaczęliśmy prowadzić osiadły tryb życia, zmieniły się nasze potrzeby. Zaczęliśmy posiadać rzeczy, ziemię, zwierzęta, a przecież nie modlimy się do rzeczy, które posiadamy. Istotne było, żeby zwierzęta i rośliny nas słuchały. Rozwiązano tę kwestię w ten sposób, że zaczęto się modlić do poszczególnych bogów. Był bóg deszczu, wojny, pogody i urodzaju... A właśnie, nie jesteś głodna? Zrobić ci kanapkę?

Pokręciłam głową, ale Clay wstała.

– Zrobię sobie jedną – powiedziała.

– Thor i Freja, i Odyn, w mitologii wikingów – powiedziałam.

Clay zatrzymała się w drzwiach.

– Właśnie. Składaliśmy zwierzęta w ofierze, ofiarowaliśmy bogom rzeczy, obiecywaliśmy im wierność w zamian za powodzenie w wojnie i obfite plony, a wszystkim rządził Bóg Ojciec, który był ojcem wszystkich pozostałych bogów.

Clay zniknęła w kuchni. Po kilku minutach wyszła z dwoma dużymi kawałkami pszennego chleba posmarowanymi czymś brązowym, może masłem orzechowym.

– Ta struktura jest w dużej mierze obecna w chrześcijaństwie, tyle że tych mniejszych bogów nazywamy dzisiaj świętymi.

Usłyszałyśmy odgłos spuszczonej wody, ktoś był w toalecie.

– Jakieś trzy tysiące lat temu żył kapłan Zaratustra. Słyszałaś o nim?

Szukałam w pamięci i nagle usłyszałam głos Moany, kiedy mówiła: „Tako rzecze Zaratustra...”.

– Chyba Nietzsche o nim pisał.

– Zgadza się, tyle że jego Zaratustra był postacią fikcyjną. Ten, o którym ja myślę, twierdził, że świat jest areną, na której toczy się walka między dobrym bogiem i złym bogiem. Zadaniem ludzi na ziemi jest pomóc dobremu bogu wygrać tę walkę.

Clay ugryzła duży kęs chleba i rozkoszowała się smakiem.

– Mit ten był państwową religią w Persji, to wtedy upadło cesarstwo rzymskie. Walka z złym z dobrym była tak fascynująca, że włączyliśmy ją do naszej religii.

Zrozumiałam, że Clay miała na myśli Boga i szatana.

Żółta lampka na korytarzu rzucała żółte cienie na ścianach, poczułam się prawie jak w kościele w Tukao. King siedział obok drzwi i spał. Clay jadła w milczeniu.

– Wiara w jednego, prawdziwego boga nie była charakterystyczna jedynie dla chrześcijaństwa – powiedziała, oblizując palce. – Jeden

z egipskich faraonów tysiąc trzysta pięćdziesiąt lat przed Chrystusem zdecydował, że bóg Aton włada całym wszechświatem. Niestety Aton odszedł w zapomnienie razem ze swoim faraonem, pewnie miał kiepski PR – dodała. – Żydzi też mieli podobne przemyślenia. Właściwie trudno powiedzieć, dlaczego udało się to naprawdę dopiero chrześcijaństwu. Pewnie możemy podziękować za to Szawłowi z Tarsu.

Clay miała zapewne na myśli Świętego Pawła.

– Koncepcja czy też teoria o jednym bogu, który od wszystkich ludzi na ziemi wymaga bezwzględnego podporządkowania się, sprawdziła się na tyle dobrze, że kilkaset lat później inni ludzie postanowili ją powielić, no i pojawił się islam...

Clay ziewnęła i wstała. Jednak już po chwili ciągnęła dalej:

– Tak czy inaczej, czcisz boga i religię, która jest wynikiem wierzeń ludów pierwotnych, czcisz świętych politeistów, diabła dualistów i żydowskiego Jahwe.

Clay wstała i ruszyła do kuchni.

– Ale nie jestem katoliczką – powiedziałam do jej pleców.

Jeszcze długo potem leżałam, nie mogąc zasnąć.

Słońce prażyło przez okna, powietrze w pokoju stało.

– Laura – powiedziała Clay. – Musisz dzisiaj uprać prześcieradła. Cuchną.

– Mam dzisiaj casting – oświadczyła Laura, poprawiając makijaż.

King parsknął.

– Ja mogę to zrobić – rzuciła Beverly.

– Ty masz inne zajęcia. A teraz idźcie już, żebyście znów się nie spóźniły.

Nastolatki wymamrotały coś niezadowolone, ale zebrały talerze i zniosły je do kuchni. Podobna scena mogła równie dobrze rozegrać się w naszej kuchni w Tukao w pierwszy lepszy dzień podczas roku szkolnego. Minutę później były już na zewnątrz, wszystkie z plecakami, tylko Bongo miała czarną torbę z materiału.

– A ty nie wychodzisz? – spytała Clay Laureę, która zaczęła pakować przybory do makijażu do niewielkiego kuferka.

– Stragan z kokainą jest już otwarty, pospiesz się! – zawołał za nią King.

On i Clay siedzieli przy stole i czytali gazetę. Nie spieszyli się, komentowali wybrane artykuły, a sposób, w jaki to robili, wskazywał, że robią to od zawsze. Tego ranka dyskutowali między innymi o nowej książce poświęconej artyście, który nazywał się Francis Bacon i który malował fioletowe pawie wrzeszczące w swoich złotych klatkach, co King uznał za zabawne. Chwilę potem Clay zawołała w stronę drzwi pokoju obu gejów:

– Vladi, Gretzky doznał urazu. Zwichnął kolano w sobotnim meczu z Jetsami.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł mężczyzna trzymający w ręce torby plażowe.

– Wiem – powiedział blondyn z dziwnym akcentem, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałam. – Wayne próbował uniknąć zderzenia i wylądował na kiju Shannona.

– Przegrali cztery do trzech – poinformowała go Clay.

Mężczyźni wyszli.

Wiedziałam sporo o AIDS. Mama Evelyn dostała informacje z Ministerstwa Zdrowia w Wellington, kiedy epidemia dotarła do Nowej Zelandii, ale na Manihiki nigdy nie mieliśmy takiego przypadku.

– Są leczeni? – spytałam.

– Teraz już nie – odpowiedziała Clay. – Wcześniej dostawali AZT, ale źle się po tym czuli. William ma kiepskie wyniki, nie wygląda to dobrze. Już dwa razy miał zapalenie płuc, teraz doszła jeszcze grzybica przełyku. Vladi jest silniejszy, to były zawodnik NHL, ale bardzo się martwi stanem Williama.

Zaczęłam się zastanawiać nad stanem zdrowia obu młodych mężczyzn. Zapalenie płuc zawsze jest niebezpieczne, ale przy obniżonej odporności bywa śmiertelne. Wiedziałam, że Freddie Mercury z Queen, ulubionego zespołu Nikau, miał AIDS i zmarł na zapalenie płuc, kiedy Johan był niemowlakiem.

Clay wstała i podeszła do mnie.

– Kiona, chciałam cię o coś prosić.

Spróbowałam usiąść.

– W naszym domu wszyscy się wspieramy. Sprzedajemy gazety, czy raczej prenumeratę, mieszkańcom okolic Los Angeles. Każdy musi wykonać swoje zadanie. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Chodzi o pieniądze na dom?

– Jeśli chcesz zostać, musisz jak najszybciej coś sobie znaleźć. Poza tym masz do spłacenia rachunek za szpital, a to bynajmniej nie jest mała suma.

Przełknęłam ślinę i skinęłam głową. Clay poklepała mnie po ramieniu i wstała.

– Wieczorem zmienię ci opatrunek. Będziesz miała bliznę, pewnie zostanie ci już na zawsze – powiedziała, jakby chciała mnie uprzedzić. – Idę już, muszę się uczyć. Wzięłaś antybiotyk? – spytała, po czym zwróciła się do Kinga: – Poradzisz sobie, King?

Kiedy Clay wyszła i zamknęła za sobą drzwi, zaległa cisza gęsta jak cement. Wypiłam trochę wody ze szklanki, którą Clay postawiła obok mojego łóżka, wygładziłam prześcieradła, poprawiłam poduszkę pod plecami. Słyszałam, jak na zewnątrz przejeżdża samochód, gdzieś szczekał pies, gdzieś ktoś się śmiał.

– Jak długo mieszkasz u Clay? – spytałam nieco zbyt różnym głosem.

– Nic tobie do tego – odpowiedział King, przerzucając jedną ręką strony gazety.

Leżałam nieruchomo na kanapie. Nagle poczułam, że muszę iść do łazienki. Pomyślałam, że King i tak nie zechciałby mi pomóc, nawet gdyby mógł, więc równie dobrze mogłam spróbować sama się ruszyć. W lecznicy uczyłam pacjentów, którzy mieli problemy z kręgosłupem, że mają położyć się na boku, spuścić nogi na podłogę i unieść się do pozycji siedzącej. Postanowiłam tak zrobić, nieważne, ile czasu miałyby mi to zająć. Kilka razy musiałam przeczekać ból, ale w końcu udało mi się stanąć na nogach. Trzymając się chodzika, ruszyłam do łazienki.

– Wiesz, gdzie Clay położyła moje leki? – spytałam Kinga, kiedy wróciłam do pokoju.

– Opiaty to straszliwe gównno – odpowiedział, nie podnosząc głowy. Odłożył na bok gazetę, teraz miał przed sobą ołówek i notes.

– Więc powiedz, gdzie jest moje gówniane lekarstwo.

Oderwał oczy od notesu i wskazał głową regał na książki, zrobiony z desek i betonowych bloczków.

– W zielonym pudełku.

Pudełko stało wysoko, ale ja nie należałam do niskich. Było w nim kilka słoiczków owiniętych brązową folią, kilka par okularów i kilka amerykańskich paszportów. Położyłam pudełko na niewielkiej półeczce chodzika i drobnymi kroczkami podreptałam do kanapy, znalazłam słoiczek z moim imieniem i wysypałam garść tabletek, które popiłam resztką wody w szklance. King bardzo starał się nie zwracać na mnie uwagi, siedział

i w skupieniu wpatrywał się w notes. Położyłam się, bo kiedy siedziałam, bolała mnie miednica. Wzięłam do ręki pierwszy paszport. Należał do Clay lub do kogoś, kto bardzo ją przypominał. Na zdjęciu miała czarne włosy i nazywała się Frank Hollingworth. Frank urodził się w 1932 roku. Odłożyłam paszport i sięgnęłam po kolejny. Otworzyłam go. Podobnie jak pierwszy też należał do Clay, która tym razem nazywała się Rita Miller, także ona urodziła się w 1932 roku. Miała długie, jasne, kręcone włosy i okulary z mocnymi szklami (znalazłam takie w pudełku). Trzeci paszport Clay wystawiony był na Franka Millera, czwarty na Ritę Hollingworth. Fala ciepła przeszła przez moje ciało. Włożyłam paszporty do stojącego na podłodze pudełka. Leżałam, wpatrując się w plamę wilgoci na suficie, której wcześniej nie zauważyłam. Przypominała zarysem Manihiki. Zaczęłam się zastanawiać, co teraz robiła Amiria, pewnie była w szkole, Babcia Vaine zajmowała się dziećmi, opowiadała im historie z przeszłości, o Atim, który uprawiał warzywa na zboczach nad Arorangą, o perłach, które Moana otrzymała w prezencie od niebios, o morzu, i nagle poczułam, że się duszę. Nie mogłam pozwolić sobie na rozmyślania o Johanie i Ivie. Jeśli to zrobię, przepadnę.

Zasnęłam otoczona zapachem obcego ciała.

Śniłam o Hikaharze. Padał deszcz, grzmiało, ale ja się nie bałam. Szłam boszo po lagunie, jak kiedyś Chrystus po jeziorze Genezaret, laguna była ciepła i mokra, śmiałam się do wiatru. Gdzieś daleko ktoś wołał moje imię, chciałam odpowiedzieć, ale zaczęłam śpiewać. Biegłam do Hikahary, która była w połowie kobietą, a w połowie mężczyzną, stała na środku laguny, a ja wychwalałam jej imię.

– Kiona! Kiona, do cholery, ile wzięłaś tych tabletek?

Takueta, wyspa za Atiu, obszar zabroniony, wszystkie kolory zniknęły, została *makatea* i jałowe niebo, niech szczeną w piekle.

– Szybko, Vladi, mamy jeszcze adrenalinę?

Otworzyłam oczy, zobaczyłam pochyloną nade mną twarz Clay. Nic mnie nie bolało, cudownie, wyzdrowiałam!

– Clay, jesteś Bogiem?

– Policz, ile tabletek zostało w słoiczku – zwróciła się Clay do kogoś. – Niech to szlag, trzeba ją umyć. Zsikała się.

– Hikahara – powiedziałam. – To ty? Ty mnie...

I wtedy poczułam, że robi mi się niedobrze. Nagle znikąd pojawiło się wiadro i zwymiotowałam. Potem wypilałam trochę wody i wszystko znów było piękne, a potem zapadłam w sen i nic nie śniłam.

Kiedy obudziłam się następnym razem, w mieszkaniu było ciemno. Marzłam, nigdy wcześniej nie było mi tak zimno. Moje ciało drżało, bolało mnie wszystko, od koniuszków włosów po palce u stóp. Chciałam krzyknąć, ale nie potrafiłam. Prześcieradła były czyste, ale wilgotne, musiałam się spocić. Krzyk odbijał się echem w mojej głowie.

Leżałam tak całą noc i nasłuchiwałam urwanych dźwięków. Zrozumiałam, że samotność wszędzie wygląda tak samo.

Nikt się mną nie przejął. Zajęci porannymi obowiązkami pozwolili mi leżeć na kanapie. Dziewczęta poszły do szkoły, Laura się malowała, Clay i King czytali gazetę. Vladimir zniknął, a William zamknął się w pokoju.

Po jakimś czasie podeszła do mnie Clay. Usiadła na brzegu kanapy. Miała poważną minę i wyglądała na zmęczoną.

– Wiedz, że wyrzuciłam wszystkie twoje tabletki. Na ból możesz brać paracetamol i aspirynę i to wszystko.

Wstała, położyła jakieś tabletki obok szklanki z wodą, wzięła torebkę i wyszła. King został przy stole i czytał książkę. Wydawał się dziwnie zadowolony, ale może się myliłam.

Dzień był deszczowy, krople deszczu bębniły o blaszany dach, powodując, że mapa Manihiki na suficie stawała się coraz większa.

Czarne chmury wypełniały mi piersi, ale nie walczyłam z nimi. Poszłam do łazienki, tym razem było mi nieco łatwiej. Dzień mijał, wkrótce miały przyjść inne.

Po południu zdrzemnęłam się. Kiedy się obudziłam, obok mnie na podłodze siedziała Bongo.

– Znasz Paula Cooka? – spytała.

Język miałam wysuszony, miałam wrażenie, że zrobił się dwa razy większy.

– Jest jeszcze trochę wody? – spytałam schrypniętym głosem. Bongo podała mi szklankę.

– Poznałaś go? Na Wyspach Cooka?

Oczy dziewczyny błyszczały, podobnie jak różne metalowe przedmioty na jej twarzy.

– Kogo?

Rozłożyła ręce w geście, który miał dać mi do zrozumienia, że jestem idiotką.

– Cookie! Perkusista z Sex Pistols! To prawda, że jesteś w drodze do

Londynu?

Zamknęła oczy i westchnęła tęsknie. Zauważyłam, że miała kilka blizn na głowie i jeszcze kilka na twarzy.

– Kiedyś też pojedę do Londynu: The Marquee Club, Saint Martin's College, 100 Club, te wszystkie miejsca, gdzie... – Urwała, otworzyła szeroko oczy i powiedziała: – Mam mapę Londynu. Chcesz zobaczyć?

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, zerwała się na nogi i zniknęła. Po kilku sekundach wróciła, trzymając w ręce arkusz papieru wielkości blatu dużego stołu.

– Spójrz – powiedziała, wskazując palcem na 430 King's Road. Sklep Vivianne Westwood i Malcolma McLarena. Nadal tam jest!

Wodziłam wzrokiem po ogromnej mapie i nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Miasto było niewyobrażalnie duże. Gdzie miałam zacząć szukać?

– Lombard Street. Wiesz, gdzie jest taka ulica?

– Charing Cross Pier – powiedziała Bongo, pokazując inną część mapy. – Patrz, stacja metra Embankment. Zespół wynajął łódź i przepływając obok budynku, w którym zebrani byli wszyscy politycy, grali *Anarchy in the UK*. Zajebicie.

– Super – potwierdziłam.

– Laura stamtąd pochodzi. Nie pojmuję, że w ogóle chce być w Stanach.

Pomyślałam, że to zapewne tłumaczy nieco inny akcent Laury. Bongo zaczęła składać mapę.

– Jak długo mieszkasz u Clay? – spytałam.

– Cholernie długo. Od dziecka. King już wtedy tu był, pedały też. Zjawili się tu, jak Vladi został wykopany z drużyny hokejowej. Rodzina Williamsa jest zajebicie bogata, ale kiedy dowiedzieli się, że jest gejem, wyrzucili go z domu. Laura dołączyła jakieś pół roku temu, ma okropnego chłopaka. Bije ją.

– Co się przydarzyło Kingowi? – spytałam, wskazując głową na zdeformowanego mężczyznę. Nie przejmowałam się tym, że zapewne mnie

słyszcy.

– Pierwszego dnia w Wietnamie wszedł na minę. Miał wtedy osiemnaście lat.

– Dziewiętnaście – poprawił ją King zza stołu.

– Tuttie był z nami zaledwie kilka miesięcy. Pochodzi z bieguna północnego i nie czuł się dobrze w ciepłym klimacie. Poza tym kiepsko mu szło sprzedawanie. Ale wrócił już do domu.

Do Kangerlussuaq, tyle już wiedziałam.

– Sprzedawanie? – zainteresowałam się. – On też sprzedawał gazety?

– Magazyny – powiedziała Bongo. – Ja, Vev i Bi sprzedajemy pisma młodzieżowe, ale tylko w soboty, bo w tygodniu mamy szkołę. Najlepsi są Clay i King. Zawsze wygrywają.

Spojrzałam na okaleczonego mężczyznę. Nie wydawał się uosobieniem idealnego sprzedawcy.

– Traktujemy weteranów jak gówno. Wszyscy mają wyrzuty sumienia – powiedział, przewracając kartkę w książce.

– Co Clay robi w bibliotece? – pytałam dalej.

Dziewczyna westchnęła i przewróciła oczami.

– A jak myślisz, skąd ona to wszystko wie?

– Jesteście spokrewnione?

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Jak to?

Nie wiedziałam, czy określenie *tamariki angai* ma jakiś odpowiednik w angielskim. Chodziło o to, że czasem dzieci wysyła się na wychowanie do krewnych, jak Babcie Vaine.

– Gdzie jest twoja rodzina? – spytałam.

Bongo wstała szybko, wzięła mapę i wyszła do swojego pokoju. King prychnął. Zrozumiałam, że zachowałam się niewłaściwie.

Pozostali mieszkańcy zaczęli wracać do domu, słyszałam trzaskanie drzwiami, głosy. Leżałam odwrócona plecami do wszystkich i czułam

palący wstyd. Niczego nie rozumiałam, nie potrafiłam ocenić sytuacji, zajmowałam miejsce, nie dając nic z siebie.

– Wstawaj – powiedziała Clay, kiedy podano do stołu. – Dostyc tego uzalania się nad sobą – stwierdziła i pomogła mi dźwignąć się na nogi.

King bez przerwy mówił coś o „czarnych dziurach”, jakimś zjawisku grawitacji w kosmosie, o którym wcześniej nie słyszałam. Perorował o równoległych wszechświatach. Podobno właśnie w tym momencie siedzieliśmy wszyscy przy innym stole, w innym Los Angeles, w innym wszechświecie, w którym wszyscy podjęliśmy inne decyzje życiowe. Z każdą chwilą coraz bardziej się nakręcał, po jakimś czasie na jego czole i torsie pokazały się krople potu. Clay wyraźnie się zaniepokoiła, próbowała mu przerwać, ale bez powodzenia.

Skończyło się tym, że Vladimir i Clay wynieśli Kinga do samochodu i Clay zawiozła go do ośrodka pomocy dla weteranów w Santa Monica. Dwie dziewczyny zajęły się zmywaniem. Laura, Vladimir i William pojechali do Hollywood Hills sprzedawać czasopisma.

Po obiedzie położyłam się, ale nie mogłam zasnąć. Czekałam na powrót Clay. Kiedy w końcu pokazała się w drzwiach, poprosiłam o rozmowę. Usiadła ciężko obok mnie, żółte światło lampy podkreślało zmarszczki i niepokój na jej twarzy.

– To nie może zaczekać do jutra? – spytała.

– Chcę jak najszybciej zacząć pracować – oświadczyłam. – Muszę zarobić pieniądze, żeby móc pojechać do Londynu. Chcę sprzedawać w okolicach lotniska.

Patrzyła na mnie w milczeniu.

– Wiesz, jak wyglądasz?

Nie bardzo rozumiałam, co ma na myśli.

– Nikt nie kupi czegokolwiek od mumii. W niedzielę minie tydzień i wtedy zdejmę ci szwy. Dam ci kaszkiet, żebyś mogła zakryć plamy na głowie.

– Plamy?

– Masz plamy z tyłu głowy. Wygolone miejsca wokół rany. Poza tym chyba przeceniasz nasze zarobki. Ledwie starczą na pokrycie wydatków.

Clay wstała.

– Dlaczego zależy ci na okolicy wokół lotniska? – spytała.

Wzięłam głęboki oddech.

– To nie był przypadek, że ci faceci się tam pojawili. I nie po raz pierwszy jakaś głupia dziewczyna wsiadła do ich samochodu. On czatują tam wieczorami na swoje ofiary.

– I co z tego? Zamierzasz krążyć tam, aż znów cię zaczepią?

– Zamierzam poszukać samochodu.

– Ciemnego cadillaca? Wiesz, ile takich jeździ po Los Angeles?

– Muszę go znaleźć. Na podłodze pod tylnym siedzeniem są rozsypane perły.

Clay wstała i wyszła do kuchni, słyszałam, jak rozkłada swoje łóżko polowe. Spojrzałam na padające z korytarza żółte światło. Wiedziałam, że żaden z czterech mężczyzn nie pracował w organizacji walczącej o prawa dziecka, ale pamiętałam, że na tylnej szybie cadillaca widniało logo tej organizacji.

Laura została moją mentorką. Tak postanowiła Clay. Laura uznała, że to bardzo męczące zadanie, jednak zacisnęła zęby i zaczęła mnie przygotowywać. Pokazała mi spis magazynów, które można prenumerować. Nie miałam pojęcia, że jest ich aż tyle, chociaż „Woman’s Weekly” wśród nich nie było.

– Nie możesz oczywiście powiedzieć, że jesteś splukaną turystką z Wysp Kokosowych. W ten sposób nic nie sprzedasz. Przygotuj sobie jakąś wzruszającą historię o tym, że jesteś studentką i zbierasz pieniądze na jakiś charytatywny cel, coś, co łapie za serce: biedne dzieci w Biafrze czy coś podobnego. I nigdy nie podawaj swojego prawdziwego nazwiska. Wybierz jakąś ksywkę pasującą do okolicy, w której działasz.

Sprzedając w Dzielnicy Łacińskiej, Laura nazywała się Juanita, jeśli otwierał jej ktoś, po kim widać było, że jest Żydem, przedstawiała się jako Judith, w bogatszych dzielnicach lub gdy potencjalny klient wydawał się mieć duże aspiracje, przedstawiała się jako Jacqueline.

– Rozumiem, nieważne, jak naprawdę się nazywam, jestem po prostu Jacqueline – powiedziałam, dając jej do zrozumienia, że wiem, o co chodzi.

Laura westchnęła.

– Nie możesz też nazywać się Jacqueline. Musisz znaleźć sobie coś innego. Ubierz się porządnie, zdejmij te bandaże i ruszamy.

Włożyłam spodnie, które znalazła dla mnie Clay, i T-shirt z długim rękawem, który dostałam w szpitalu. Rękaw zakrywał opatrunki na rękę. Włożyłam też tenisówki, których Beverly już nie nosiła – były różowe, więc uznała je za zbyt dziecinne. Zdjęłam bandaż z głowy, w kilku miejscach przykleił się do skóry i kiedy mocniej pociągnęłam, rana zaczęła lekko krwawić. Ale miałam czarny kaszkiet Vladimira, więc nie powinno być nic widać. Laura, nie czekając na mnie, zeszła na dół. Siedziała w małym czerwonym samochodzie Clay i dawała mi znać, że mam się pospieszyć. Wiatr na ulicy był zimny i szary od spalin.

Laura niecierpliwiła się i cały czas miała tendencję do zjeżdżania na

przeciwległy pas ruchu – twierdziła, że tak naprawdę to Amerykanie jeżdżą po niewłaściwej stronie drogi. Dzień był pochmurny, wiatr targał suchymi liśćmi palm. Po krótkiej chwili zaparkowałyśmy w zacienionej willowej uliczce.

– Nie odzywaj się i słuchaj – powiedziała. – Ja będę prowadziła rozmowę.

Przytaknęłam, mamrocząc coś pod nosem.

Laura wysiadła, biorąc ze sobą torbę z materiałami reklamowymi, podeszła do najbliższego domu i zadzwoniła do drzwi. Trawnik był soczyście zielony. Dreptałam za nią, utykając. Potwornie mnie wszystko bolało. Kiedy podeszłam do schodów, drzwi się otworzyły i ukazała się w nich twarz starszej kobiety.

– Tak? – spytała lekko zaniepokojona.

Laura uśmiechnęła się promiennie.

– Dzień dobry – zaczęła. – Tak się cieszę, że panią zastałam! Mam wyjątkową propozycję, którą...

– Niczego nie potrzebuję – powiedziała kobieta i trzasnęła drzwiami.

Twarz Laury odzyskała swój normalny, niezadowolony wyraz, ale nic nie powiedziała, tylko obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę kolejnej willi.

– Co za zgorzkniała baba... – zaczęłam, ale Laura natychmiast mi przerwała.

– Żadnych negatywnych emocji. Są zaraźliwe. Opuść sobie i już do tego nie wracaj.

Przeszliśmy kilkadziesiąt metrów betonowym chodnikiem. Laura zadzwoniła do następnych drzwi, stałam za nią zdyszana. Ból jakby trochę odpuścił. Nikt nie otworzył, więc ruszyliśmy dalej. Dopiero w dziesiątym czy może nawet jedenastym domu zostałyśmy wpuszczone do środka. Przyjęła nas para starszych ludzi z kudłatym psem.

– Jaki słodziak! – zaczęła Laura. Usiadła na podłodze, pozwoliła, by pies wylizal jej twarz. Drapała go za uchem, śmiejąc się perliście. Starsi państwo

uśmiechali się szeroko. Kiedy pies zaczął gwałcić jej nogę, odsunęła go łagodnie i wyjęła materiały reklamowe. Była dobra. Najpierw skupiła się na czasopiśmie o psach, szybko zorientowała się, że kobieta interesuje się robótkami ręcznymi, a jej mąż motorami, i doprowadziła do tego, że każde z nich wybrało swoje pismo. Jak tylko drzwi się za nami zamknęły, dobrotliwy uśmiech zniknął z jej twarzy. Wyjęła mapę i postawiła krzyżyk przy ulicy, na której byliśmy.

– Tam dalej byli już Vladi i Will. Pojedziemy na Crescent Heights.

Z mapą w ręce przemierzałyśmy kolejne uliczki. Wiele osób nie otwierało, chociaż widziałyśmy, że w domu są ludzie. Większość z tych, którzy nam otworzyli, nie wpuszczała nas do środka.

– Dzień dobry. Nazywam się Sarah i mam dzisiaj wyjątkowo korzystną ofertę. Nasza firma obchodzi swoje dziesięciolecie, więc może uda mi się zachęcić...

Oczywiście żadna wyjątkowo korzystna propozycja nie istniała, ale niewiele brakowało, a sama skusiłabym się na prenumeratę jednego czy dwóch pism.

W pewnym momencie Laura spojrzała na zegarek.

– No dobrze – powiedziała. – Teraz twoja kolej, a potem wracamy do domu.

Powiesiła mi na lewym ramieniu torbę z materiałami.

– Zaczekam tutaj – oświadczyła.

Podeszłam do ostatniego domu na ulicy. Serce biło mi jak fale cyklonu o rafy, zadzwoniłam do drzwi, były pomalowane na zielono i nieco już zniszczone. Modliłam się do Boga, żeby nikt nie otworzył, ale akurat tego dnia Bóg postanowił mnie nie wysłuchać. Drzwi otworzyły się, na progu stanął facet z papierosem w ustach i puszką piwa w ręce.

– O co chodzi? – spytał.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Cześć – powiedziałam. – Mam na imię Bianca. Jesteś zajęty?

Oczy mężczyzny zabłyszczały.

– To zależy – powiedział i oparł się o framugę. – Co sprzedajesz?

Powiódł wzrokiem po moim ciele. Zrobiłam krok w jego stronę.

– Jestem studentką, uczę się na pielęgniarkę. Sprzedaję prenumeratę czasopism. Cały dochód idzie na ośrodek pomocy dla weteranów w Santa Monica. Znasz go? Mam świetną ofertę, dużo pism związanych z motoryzacją...

– Ośrodek pomocy dla weteranów? – powtórzył mężczyzna.

Zrobiłam wielkie oczy i skinęłam głową. Podeszłam bliżej.

– To straszne, jak ich traktujemy – powiedziałam. – Że trzeba w ten sposób pozyskiwać potrzebne środki. Ale przynajmniej robię, co mogę. Mogę wejść i pokazać, co mam?

Mężczyzna zrobił krok do tyłu i przytrzymał drzwi. Przez chwilę znów byłam na ulicy obok lotniska, a Superman trzymał mi drzwi. Ale wiedziałam, że Laura jest w pobliżu i jeśli coś się stanie, to przynajmniej będzie wiadomo, gdzie jestem.

W domu panował bałagan. W salonie królował wielki telewizor. Mężczyzna, który przedstawił się jako Jim, zgasił papierosa w popielniczce. Pokazałam, jakie pisma mam w ofercie; okazało się, że rzeczywiście interesuje się sportowymi samochodami. Wykupił prenumeratę na sześć miesięcy.

– Jak nazywa się ten ośrodek pomocy? – spytał, kiedy już podpisał umowę.

– Ośrodek pomocy? – powtórzyłam niczym echo.

– Tak. Dom Weterana?

Przez moment oddychałam przez otwarte usta.

– Klinika Tukao – powiedziałam. – Została nazwana tak ku czci Kinga Tukao, bohatera wojennego z Wietnamu. Pierwszego dnia trafił na minę, ale przeżył. Zabił mnóstwo wrogów.

– Niezły facet – powiedział Jim, prowadząc mnie do drzwi.

Na Laurze nie zrobiło to wrażenia.

– Tylko na pół roku?

Ręce mi drżały, spojrzałam na stojący przed domem wypielegnowany samochód sportowy i na naklejkę na tylnej szybie: „Wspieraj naszych weteranów”.

– Wiesz, że dzisiaj wszystko idzie na mój rachunek – powiedziała Laura. Odniosłam wrażenie, że jednak była zadowolona.

Clay i pozostali sprzedawali prenumeratę przez pół dnia. Druga połowa była do ich dyspozycji. Mogli się uczyć, pracować, robić cokolwiek tylko chcieli. Clay podkreślała, że nie jesteśmy żadną *mag crew*, czyli sprzedawcami bez uprawnień. Nadszedł czwartek. Tak naprawdę powinnam teraz lecieć samolotem do Londynu z osiemnastoma tysiącami dolarów w torbie. A ja siedziałam z ręką poskręcaną tytanowymi śrubami i przeglądałam materiały z torby Laury, która właśnie brała udział w castingu na rolę w filmie. Próbowałam zapoznać się z tematyką poszczególnych pism, uczyłam się na pamięć cen i warunków prenumeraty, by móc polecić każdemu klientowi odpowiedni magazyn. Powietrze w pokoju stało. W domu nie było nikogo. Cisza odbijała się echem od ścian. W oddali czekał pies, gdzieś kręciły się skrzydła wiatraka.

Poszłam do kuchni i wypijałam szklankę wody. Łóżko polowe, na którym spała Clay, było złożone i oparte o ścianę. Na plastikowym stojaku stały umyte talerze. Na parapecie tłoczyły się duże donice z zielonymi roślinami i owocami w różnych odcieniach, od ciemnozielonego do jaskrawej czerwieni. Podeszłam bliżej i zaczęłam się im przyglądać. Krzaki uginały się pod ciężarem pomidorów. Zerwałam jeden i ugryzłam kęs. Miał mdławy, lekko słodkawy smak.

Mieszkanie Clay niczym się nie wyróżniało. Pokój dzienny był urządzony dość spartańsko, w każdym razie w porównaniu z domami, które odwiedzałam z Laurą. Podłogę pokrywał dywan z długim włosiem, który kiedyś był biały albo jasnoszary. Były też stół jadalny i krzesła, kanapa, stolik do kawy, regał na książki i kredens z medykamentami. Pokój nie był wysoki. Zamontowane w oknach wąskie żaluzje były brudne. Podeszłam do jednego z okien i wyjrzałam przez listwy. Na zewnątrz, kilka metrów dalej, widziałam jasnożółtą fasadę budynku; przypominał ten, w którym byłam. Wąski chodnik w dole oddzielony był płotem. Po drugiej stronie znajdowało się wyjście na galerię, drzwi wyjściowe zabezpieczone były siatką na owady, przed domem rosło duże drzewo, którego nazwy nie znałam.

Miasto marzeń.

Na regale w pokoju stały książki i różne drobiazgi, ustawione dość przypadkowo, przynajmniej takie odniosłam wrażenie. Pierwszą książką, na którą zwróciłam uwagę, była Biblia, obok stało ilustrowane wydanie Koranu. Nigdy nie widziałam świętej księgi islamu. Z dużym nabożeństwem wzięłam ją do ręki i zaczęłam przeglądać.

...to On, w dawnych czasach, by wskazywać ludziom drogę, wytyczył miarę, według której należy odróżniać dobro od zła. Sroga kara czeka tych, którzy będą zaprzeczali słusności Jego przesłania – bo Bóg jest wszechwładny i zemsta należy do Niego...

Zadrżałam. Ten bóg był najwyraźniej równie wszechwładny i stanowczy jak mój. Szybko zamknęłam książkę i odłożyłam na miejsce. Zaczęłam przeglądać pozostałe. Były to powieści i książki naukowe, autorem kilku z nich był niejaki Richard Dawkins, były również książki autorstwa fizyka Stephena Hawkinga. Znalazłam też sporo czasopism o urządzaniu wnętrza oraz czterotomową encyklopedię. Tytuł jednej z powieści brzmiał znajomo, było to *Mniej niż zero* Breta Eastona Ellisa. Powieść opisywała dość nieprzyjemne zdarzenia związane z Bożym Narodzeniem, które pewien młody mężczyzna spędzał w Los Angeles; dziwnym trafem bohater miał na imię Clay. Obok leżał zeszyt Kinga.

Stałam i wpatrywałam się w niego. Wiedziałam, że nie powinnam tego robić, a jednak sięgnęłam po niego i zaczęłam czytać.

Był to dziennik.

Niepełnosprawny mężczyzna opisywał ludzi, wśród których żył, pisał o posiłkach, o pogodzie, zapisywał argumenty naukowe. Na ostatnich kartkach kilkakrotnie wspominał o mnie. Nazywał mnie „strachem na wróble”, co niestety odpowiadało prawdzie.

Odłożyłam zeszyt dokładnie tam, skąd go wzięłam, chociaż domyślałam się, że King sam go tam nie położył, nie był w stanie sięgnąć tak wysoko.

Ktoś musiał zrobić to po tym, jak King trafił do szpitala. Wzięłam do ręki jedną z książek, powieść *Co się wydarzyło w Madison County* Roberta Jamesa Wallera. Położyłam się na kanapie, ale nie mogłam się skupić na lekturze.

Na Manihiki była teraz pora lunchu. Amiria pewnie czeka, aż ktoś przyniesie jej *uto* – zawsze potrafiła tak wszystko ustawić, że ludzie robili różne rzeczy za nią, żeby sama nie musiała się wysilać. Johan i Iva siedzą pewnie na grobie, a Babcia Vaine daje im do jedzenia resztki z poprzedniego dnia. Potem będzie pora drzemki. Zastanawiałam się, czy Iva mnie jeszcze pamięta. Tęskni za mną? Dopytuje, co się ze mną stało? Nie myśl o nich, nie myśl o nich, powtarzałam sobie.

King zwykle sypiał w pokoju dziennym, siedząc w swoim wózku inwalidzkim. Było mi wstyd, ale musiałam przyznać, że jego nieobecność przyjąłam z ulgą. Jakby nagle łatwiej było mi oddychać.

Po chwili wahania, z sercem w gardle, postanowiłam zajrzeć do pokoju dziewcząt. Zaczerpnęłam głęboko powietrza i pchnęłam drzwi. Łóżka, biurko, komoda, szafa. Na jednej z półek zauważyłam mapę Londynu, należącą do Bongo. Na ścianach wisiały zdjęcia i plakaty przedstawiające młodych mężczyzn z włosami sterczącymi na wszystkie strony, z rzemieniami nabitymi ćwiekami na szyjach, obok nich były konie i psy, i piękne kobiety, i mężczyźni, zapewne aktorzy – rozpoznałam Jennifer Grey, która grała Baby w *Dirty Dancing*. Nie weszłam do środka, tylko stojąc na progu z ręką na klamce, przyglądałam się pokojowi. Doszłam do wniosku, że tak właśnie wyglądałby pokój Amirii, gdyby mieszkała w Los Angeles. Pokój dziecka, które otworzyło już drzwi do świata dorosłych, ale jeszcze do niego nie weszło. Nieosiągalne marzenia i bezgraniczna naiwność miały w sobie jakąś niewinność. One nadal myślały, że wszystko jest możliwe. Ostrożnie zamknęłam drzwi, starając się nie robić hałasu, tylko serce biło mi głośno.

Teraz w zasadzie mogłam już iść na całość. Kulejąc, podeszłam szybko

do pokoju facetów i otworzyłam drzwi. Zobaczyłam przed sobą duże podwójne łóżko, a przed nim kolorowy telewizor. Po obu stronach łóżka stały szafki nocne, na każdej było mnóstwo różnych słoiczków z lekarstwami. W głębi znajdowały się drzwi prowadzące do niewielkiej łazienki. W „Woman’s Weekly” takie sypialnie nazywano *Master Bedroom en-suite*, co znaczyło, że była to najelegantsza sypialnia w domu. A więc tu mieszkali ci dwaj, którzy się kochali. Może mi się tylko zdawało, ale miałam wrażenie, że panuje tu spokój, że czuje się tu miłość, ale może wynikało to po prostu z tego, że panował tu porządek, narzuta była starannie wyprasowana, na łóżku leżały dekoracyjne poduszki.

Pokój Laury był maleńki. Mieścił wąskie łóżko i niewielkie okno pod sufitem. Pierwotnie miała tu zapewne być garderoba albo magazynek. Na podłodze obok łóżka leżały małe lustro, zwinięty banknot jednodolarowy i resztki jakiegoś białego proszku. Widok tego niewielkiego pomieszczenia sprawił, że przeszedł mnie dreszcz, jakbym zaplątała się w linę w lagunie.

Znów zaczęła boleć mnie miednica, tak bardzo, że połknęłam wszystkie tabletki, które Clay mi zostawiła. Kiedy byłam na siódmej stronie powieści, świat wokół mnie rozplątał się i zasnął.

Dziewczęta zniknęły w swoich pokojach, Laura pozwoliła się pochłonać nocy, widziałam, jak wychodzi: usta miała pomalowane jaskrawoczerwoną szminką, dekolt niemal do pępka. Zawołałam Clay. Usiadła na brzegu kanapy, sprawiała wrażenie zmęczonej.

– Chcę tylko powiedzieć, że jestem ci bezgranicznie wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Żyłam w wielu różnych życiach – powiedziała. – Co zapewne wiesz, bo przecież przeglądałaś moje paszporty, i jednego się nauczyłam: sens naszego pobytu na ziemi tkwi w tym, że powinniśmy starać się czynić życie znośnym dla nas samych, ale też dla innych.

Jak zwykle nie do końca ją rozumiałam. Pomyślałam o Eriku i jego różnych tożsamościach, jego różnych życiach.

– Jeśli dobrze się zastanowisz, zrozumiesz, że życie to bezlitosny eksperyment, któremu wszyscy jesteśmy poddani. Wszystkie istoty na ziemi zostały zaprogramowane na przeżycie za wszelką cenę, bez względu na koszty. I wszyscy poniesiemy porażkę. Wszyscy bez wyjątku: zwierzęta, rośliny, ludzie. Całe życie walczymy jak głupcy, robimy wszystko, żeby nie umrzeć. A przecież nie mamy szans. Czy nie jest to niewiarygodnie cyniczne?

– Masz dzieci? – spytałam.

– Rozumiem, co masz na myśli. I masz rację. Potrzeba rozmnażania się jest niezwykle silna. Walka o przetrwanie gatunku skazuje nasze pojedyncze dążenia na porażkę. Jedyne, co mogę robić, to próbować pomóc tym, którzy staną na mojej drodze.

Clay poszła do kuchni, a ja zapaliłam latarkę i dokończyłam lekturę. *Co się wydarzyło w Madison County* to wzruszająca opowieść o fotografii Robercie Kincaidzie, który spotyka Francescę Johnson, żonę rolnika z Iowa. Akcja rozgrywa się w latach sześćdziesiątych. Rodzina Franceski wyjechała na targi rolnicze. Podczas tych czterech dni ona i Robert przeżywają miłosną

przygodę, którą będą wspominać przez resztę życia. Nigdy później już się nie spotkali.

Mnie i Erikowi dane były cztery lata.

Potem zaczęłam czytać inną książkę, *Firmę* Johna Grishama. Wydała mi się dziwna, szybko się nią zmęczyłam i zasnęłam.

Wśrodku nocy obudził mnie jakiś nieznany mi dźwięk. Jakby coś drapało w szybę czy raczej w ścianę pod oknem wychodzącym na galerię. Położyłam się na boku, spuściłam nogi na podłogę, usiadłam, podpierając się rękami, przytrzymałam się chodzika i podniosłam. Skrobanie zastąpiło lekkie stukanie. Nagle poczułam powiew chłodnego powietrza. Ktoś uchylił okno. Ktoś wszedł do środka.

Moje ciało utraciło zdolność poruszania się. Nie byłam w stanie krzyknąć. Poczułam na sobie czyjś rękę, na moich ramionach, we mnie, wszędzie.

To była Laura.

– Boże, ale mnie przestraszyłaś – powiedziała, kiedy zobaczyła mnie przed sobą. – Mogłam dostać zawału!

Wzięłam głęboki wdech.

– Myślałam, że ktoś...

Roześmiała się w nieco wymuszony sposób.

– Nie mogłam znaleźć klucza. Nie zgubiłam go, tylko leżał głęboko w torbie – tłumaczyła mi, machając torebką. Zaczęła chichotać. – Wiedziałaś, że to okno można otworzyć od zewnątrz? Trzeba lekko wcisnąć ramę i jednocześnie pchnąć nieco szybę...

Nagle zapaliło się światło i w drzwiach kuchni pojawiła się Clay.

– Znów zgubiłaś klucz? – spytała zmęczonym głosem.

Laura zamrugała i lekko się zachwiała.

– Nie, nie, ja tylko...

Clay westchnęła i zgasiła światło.

– Idź i się połóż. I zamknij okno.

Laura zniknęła w swojej garderobie i już po chwili usłyszałam, jak chrapie.

Stałam przed oknem jeszcze chwilę, nie mogąc pozbyć się wspomnienia obcych rąk na moim ciele.

Laura nie wstała na śniadanie. Powiedziała, że ma migrenę. Zdobyłam się na odwagę i spytałam, co z Kingiem.

– Nie za dobrze – powiedziała Clay. – To skomplikowany przypadek. Ma wiele urazów, a do tego jeszcze cukrzycę.

Czekałam na dalszy ciąg, ale nie doczekałam się. Wszyscy jedli w milczeniu.

– Kiedy wróci?

– Słyszałam, że dobrze sobie poradziłaś ze sprzedażą – odezwała się nagle Clay. – Masz ochotę iść jutro z Vladimirem?

– Jasne.

Po śniadaniu dziewczęta i Vladimir zniknęli, a William poszedł odpocząć.

Clay udała się do pokoju Laury, zapukała, ale nie dostała odpowiedzi. Po chwili otworzyła drzwi, weszła i zamknęła je za sobą. Co niewiele pomogło, bo zawsze słyszałam, co tam się dzieje.

– Laura, musisz mnie wysłuchać... – zaczęła.

– Naprawdę nie zgubiłam klucza, ja tylko...

– Nie chodzi o klucz. Tak naprawdę nie potrzebujemy żadnych zamków, tu nie ma nic, co warto byłoby ukraść. Ale swoim sposobem życia narażasz nas na niebezpieczeństwo...

– Mówisz jak mój mąż!

– Pozwól mi dokończyć. Wiesz, jak bardzo jesteśmy narażeni. Nie zamierzam cię oceniać, ale...

– Ale to robisz!

– Możesz żyć, jak chcesz, nic mi do tego, ale narażasz nas na duże ryzyko.

– Chcesz, żebym się wyprowadziła?

– Muszę myśleć o wszystkich. Jeśli nie jesteś w stanie zrezygnować z narkotyków, będziesz musiała znaleźć sobie inne miejsce do spania.

Potem Laura zaczęła chyba płakać, Clay ściszyła głos. Po chwili wyszła,

wzięła torebkę i opuściła mieszkanie.

Siedziałam na kanapie, kiedy doszło mnie chrapanie Laury.

W pokoju Williama i Vlada ktoś włączył telewizor, usłyszałam śmiech, oklaski. Wstałam i podeszłam bliżej, zapukałam do drzwi, bardzo ostrożnie.

– Tak? – usłyszałam zdziwiony głos Williama.

Uchyliłam drzwi. Leżał w piżamie na poślanym łóżku, był uczesany, w zasięgu ręki miał szklanekę z wodą i pilota.

– Przepraszam, mogę wejść?

Sięgnął po pilota i ściszył dźwięk.

– Jasne, proszę – powiedział, wskazując mi miejsce obok siebie.

Utykając, podeszłam do łóżka i usiadłam obok chorego mężczyzny. Był chudy, jego skóra wyglądała jak pergamin, oczy miał niebieskie, jak Erik, tylko bardziej matowe. Oddychał, charcząc.

– Jak się czujesz? – spytałam.

– O takich rzeczach nie rozmawiamy – powiedział cicho.

– Dlaczego?

Milczał chwilę. Na ekranie telewizora młoda kobieta wprowadziła w ruch wielkie koło, a publiczność krzyczała i klaskała bezgłośnie.

– Tak się umówiliśmy. Nie rozmawiamy o śmierci, chorobach i różnych strasznych historiach. Boimy się, że jeśli zaczniemy, to nas to pochłonie. Bogowie wiedzą, że w tym domu jest tego w bród!

Roześmiał się, ale śmiech szybko przeszedł w atak kaszlu. Zaczekałam, aż minie, po czym zmieniłam temat na bardziej neutralny.

– Skąd znasz Clay? – spytałam.

– Z Wall Street – powiedział William. – Z giełdy. Clay pracowała u naszego konkurenta, chociaż wtedy była mężczyzną i miała na imię Frank. Była bardzo inteligentna, ale nie dość bezwzględna, żeby osiągnąć sukces – stwierdził i się roześmiał. – To samo można powiedzieć o mnie. Tylko że ja, w przeciwieństwie do Clay, nie byłem aż tak oddany pracy. Na Manhattanie w tamtych czasach było dużo znacznie ciekawszych zajęć...

Siedziałam cicho, a William najwyraźniej dał się ponieść wspomnieniom.

– To wszystko działo się, zanim wyzbyła się płci i wieku – powiedział po dłuższej chwili.

Kolejny atak kaszlu niemal pozbawił go życia.

– Nie powinieneś zgłosić się z tym do lekarza? – spytałam, kiedy atak minął.

William spojrzał na mnie łagodnie.

– Nie ma lekarza, który mógłby mi pomóc.

– W sobotę byłam w szpitalu, zoperowali mi rękę i całą pozszywali, było tam wielu...

– Clay obiecała mi, że umrę w swoim łóżku.

Przyglądałam mu się chwilę. Wydawał się przytomny i pozbierany.

– Na pneumocystozowe zapalenie płuc?

– Najprawdopodobniej.

William zamknął oczy, miałam wrażenie, że drzemie.

– Domyśliłem się, że wierzysz w Boga – powiedział po chwili. Otworzył oczy i spojrzał na mnie.

Skinęłam głową i poczułam się głupio. Może podobnie jak King miał mnie za leniwą kretynkę.

– Mam własną wiarę, chociaż chyba nie wierzę w Boga Ojca, który jest gdzieś tam w niebie – ciągnął William. – Jestem przekonany, że nasza obecność tu na ziemi ma jakiś cel, tyle że nie wiemy jaki. Skoro jednak ta wiedza nie została nam dana, to widocznie tak ma być. Czyli nie ma sensu się nad tym zastanawiać.

Prawdę mówiąc, brzmiało to racjonalnie.

– Być może jesteśmy tu tylko po to, by zebrać doświadczenie. Ziemia jest ośrodkiem edukacyjnym. Mamy się tu nauczyć różnych rzeczy, a kiedy wrócimy do domu, gdzieś tam po drugiej stronie, będziemy zastanawiać się nad tym, co przeżyliśmy. Narodziny są istotne, ale jeszcze większe znaczenie ma doświadczenie śmierci.

W milczeniu zastanawiałam się nad znaczeniem jego słów. To, co mówił, było bardzo smutne.

William uśmiechnął się.

– Żyłem w miłości – powiedział. – Czystej i szczerzej. To nie długość życia jest najważniejsza. Realizowałem swoje marzenia, a teraz umieram otoczony ludźmi, którzy mnie kochają.

Siedziałam obok niego, aż jego oddech się uspokoił, widziałam, jak opadła mu broda.

Wyszłam z pokoju, zamykając ostrożnie drzwi. Pustka po Eriku była niczym cień.

Wieczorem dziewczęta i Clay poszły do kina. Na kolację Laura przygotowała danie z dużych prostokątnych kawałków makaronu z tłustym sosem, które nazywało się lasagne.

Po ich wyjściu ja, Laura, William i Vladi siedzieliśmy i oglądaliśmy telewizję w pokoju mężczyzn. Program nazywał się *Family Matters* i opowiadał historię rodziny Winslowów, która wydawała się niemal równie skomplikowana jak nasza, o ile można było nazwać nas rodziną. Co jakiś czas program przerywały reklamy. Pokazywano słodkie napoje albo kremy, które miały sprawić, że kobiety staną się młodsze, szczuplejsze czy piękniejsze – albo wszystko naraz. Młode dziewczęta prężyły się na ekranie, smarując się kremami, jednak żadna z nich nie dorównywała urodą Biance.

Niedługo po wyjściu Laury – poszła kupić colę, tak twierdziła – wróciła Clay z dziewczętami. Mężczyźni wyłączyli telewizor, a Clay usiadła na kanapie obok mnie. Zanim zdążyła zaczerpnąć powietrza i cokolwiek powiedzieć, odezwałam się:

– Wiem, że nie chcesz rozmawiać o śmierci i innych nieszczęściach, ale pracowałam w lecznicy z Mamą Evelyn, od kiedy skończyłam dwanaście lat, i widzę, że William będzie wkrótce potrzebował respiratora. Można mu go załatwić?

Clay milczała chwilę.

– Rozumiem, że chcesz dobrze, ale ja i William rozmawialiśmy już o tym. Mieszka tu już prawie osiem lat i tutaj umrze. Vladi i ja będziemy przy nim, gdy będzie odchodził. Obiecaliśmy mu to.

Widziałam, jak ludzie umierali na zapalenie płuc, i wiem też, że niekiedy śmierć bywała gorsza – ale w lecznicy mieliśmy jednak respirator. Niektórzy nazywali zapalenie płuc „przyjacielem starego człowieka”. Płuca napełniały się płynem i coraz trudniej czerpały tlen, pacjent tracił powoli przytomność i w końcu zasypiał – na zawsze.

– Utopi się od wewnątrz – powiedziałam.

– Być może śmierć będzie najważniejszą rzeczą, jakiej doświadczy

w tym życiu – powiedziała Clay.

– Co stanie się z jego ciałem?

– Nic spektakularnego. William Rockford jest tu zameldowany. Władze wiedzą, że jest chory.

– Gdzie zostanie pochowany?

– Jego rodzina chce, żeby wrócił do Nowego Jorku. Mieszkają na Manhattanie. Pewnie ogłoszą, że zmarł na raka. Zwykle tak się dzieje.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Tak powiedzieli? Za życia nie chcą się do niego przyznawać, a potem już mogą?

– Kiona, uważam, że pewne sprawy powinnaś sobie odpuścić – powiedziała Clay. – Czasem tak jest lepiej. Świat jest pełen zła i niesprawiedliwości. Wszystkiego nie damy rady naprawić. Uwierz mi, że poczujesz się lepiej, jeśli pewne rzeczy po prostu zaakceptujesz.

– A co dokładnie masz na myśli?

– Skarbie, uważam, że powinnaś spróbować zdystansować się do tej historii z samochodem. Jutro pójdziesz sprzedawać prenumeratę z Vladim w The Hills. Tam jest dobry rynek, lepszy niż wokół LAX czy El Segundo.

Nie odpowiedziałam. Clay poklepała mnie po ręce, poszła do kuchni i zgasiła światło.

Dziewczeta zaczęły się bić. Krzyczały na siebie, nie wiedziałam, o co im chodzi, docierały do mnie tylko pojedyncze *fuck* i *bitch*. Clay musiała wkroczyć do akcji i mediować. Skończyło się tym, że Bianca wybiegła z mieszkania, trzaskając drzwiami tak mocno, że zadrżały żaluzje w oknach. Vladimir pojechał po Kinga. William powiedział dziewczętom, że mają iść sprzedawać prenumeratę – była sobota – po czym poszedł się położyć. Laura pojechała sprzedawać do The Hills, a niedługo po tym wrócił Vladimir.

– Musimy znaleźć dla Kinga coś z długim rękawem – oświadczyła Clay, przeglądając ubrania w torbie stojącej obok komody z lekami. – Po pobycie w szpitalu ma pokłutą całą rękę, ludzie wezmą go za narkomana.

Zanim wyruszyliśmy wielkim, czarnym wozem Vladimira, słońce stało już wysoko na niebie. Vladimir prowadził, obok niego siedział King.

– Możemy pojechać na lotnisko? – poprosiłam.

Vladimir spojrzał na Clay.

– Proponuję kompromis – powiedziała. – Venice Beach.

W radiu leciał tegoroczny przebój, jakiś facet śpiewał *Life is demanding without understanding*. Piosenka opowiadała o dziewczynie, która otrzymała znak. Zostawiała wszystko za sobą i od tej pory była szczęśliwa. Zaczęłam się zastanawiać, czy może chodziło o Boga. Clay nuciła zadowolona: *I saw the sign, and it opened up my mind, and I am happy now living without you, I've left you Oh, oh-oh-oh...*

Jechaliśmy dużą, szeroką ulicą, prawdę mówiąc, najszerszą, jaką w życiu widziałam. Po obu stronach stało mnóstwo tablic reklamujących różne produkty. Z czasem jednak ulica stała się węższa, bardziej kręta, a wokół pojawiła się zieleń. Często zatrzymywaliśmy się na światłach.

A potem zobaczyliśmy morze.

To samo morze, moje morze. Pamiętam, jak stałam w warsztacie i patrzyłam na lagunę. To przed nami też było niebieskie i zdawało się ciągnąć w nieskończoność.

Przez jakiś czas jechaliśmy drogą wzdłuż wybrzeża, po czym

zatrzymaliśmy się niedaleko plaży. Clay i Vladimir wystawili wózek inwalidzki na chodnik i posadzili w nim Kinga. Było dość chłodno, cieszyłam się, że mam na sobie długie spodnie. Razem ruszyliśmy przed siebie nadbrzeżną promenadą, gdzie było dużo dziwnych ludzi. Muskularnych mężczyzn ćwiczących podnoszenie ciężarów, żonglerów i połykaczy ognia, jakiś mężczyzna w ogromnym turbanie jeździł na wrotkach, grając na gitarze. Wszędzie było mnóstwo sklepów, w których sprzedawano ubrania, okulary przeciwsłoneczne i dmuchane gumowe zabawki plażowe.

Usiedliśmy w restauracji i zamówiliśmy kawę u młodej kelnerki. Chcieliśmy uczcić wyjście Kinga ze szpitala. Kiedy wypiliśmy kawę, wstałam i poszłam nad brzeg. Reszta została przy stoliku. Zdjęłam buty i stanęłam na piasku, pozwalając, by fale omywały moje bosc stopy.

Woda była zimna, znacznie zimniejsza niż woda w lagunie, ale pachniała tak samo. Pieściła moją skórę. Stojąc przy brzegu, czułam jej głębię i moc. Słońce ciepło jej powierzchnię nożami promieni, tak samo jak na Manihiki, a wiatr śpiewał tę samą pieśń, chociaż w nieco innej tonacji.

– Wracaj, Kiona! – zawołała Clay. – Pora ruszać do pracy.

Przyglądałam się naklejkom na szybach wszystkich ciemnych samochodów, które mijaliśmy.

„SHIT HAPPENS” było napisane na wielu z nich. Na innych były inne napisy:

„Założę się, że Chrystus używa migacza” albo „Moja druga zabawka ma cycki”.

Na żadnym nie zauważyłam naklejki z logo UNICEF-u.

Vladimir i ja pracowaliśmy razem. On niósł walizkę, ja szłam, utykając, obok niego. Niestety nie był dobrym sprzedawcą. Wydawał się zażenowany sytuacją, więc kiedy zaczynał się jąkać, przejmowałam pałeczkę.

– Cześć. Jestem Bianca, a to mój mąż Jimmy. Studiujemy w UCLA. Mamy dzisiaj fantastyczną ofertę...

Wiele osób zamykało nam drzwi przed nosem, ale niektórzy wpuszczali nas do środka. Vladimir wyjmował wtedy materiały reklamowe, ja rozprawiałam o pieniądzach, o tym, ile można zaoszczędzić, zamawiając prenumeratę w ł a ś n i e d z i s i a j. Kiedy jakiś facet zaczynał się interesować pismami o sporcie, oddawałam głos Vladimirowi.

– Czy ja ciebie już gdzieś nie widziałem? – spytał długowłosego mężczyzna z brodą i okularami przeciwsłonecznymi. Mieszkał w różowym domu niedaleko plaży. – Nie grałeś kiedyś w Anaheim Mighty Ducks?

Vladimir zbladł.

– Mylisz mnie z kimś – powiedział, zebrał materiały i wyszedł.

Z południowego zachodu nadciągały chmury. Mieliśmy pracować do piątej, zostały nam jeszcze trzy domy. Vladimir zadzwonił do drzwi, a kiedy nikt nie otwierał, zadzwonił jeszcze raz. Cofnęłam się i zaczęłam przyglądać się oknom.

– Tam ktoś jest – powiedziałam. – Zadzwoń jeszcze raz.

W tym momencie drzwi otworzyły się i w progu stanął mężczyzna z bronią w ręku.

– Wynocha z mojej posiadłości! – wrzasnął w stronę Vladimira. – Strzełę

ci w brzuch, jeśli nie posłuchasz!

Zawróciłam i zaczęłam biec, Vladimir wycofywał się nieco bardziej dystyngowanie.

– Jeśli ktoś macha ci pistoletem przed nosem czy tylko ostrzega, że ma broń, to lepiej się wycofać – powiedział, kiedy znaleźliśmy się w bezpiecznym miejscu na chodniku. – Nie wspominaj o tym Clay – dodał jeszcze.

Skinęłam głową, serce biło mi tak mocno, że nie byłam w stanie mówić. *Odpuść i idź dalej.*

Ja i Vladimir sprzedaliśmy cztery prenumeraty. Clay z Kingiem osiemnaście.

Beverly pojechała spotkać się z matką. Wzięła plecak z ubraniem, bo zamierzała u niej przenocować.

– Dzwon, gdyby coś było nie tak – powiedziała Clay, zanim Beverly wyszła.

Wieczór upłynął spokojnie. Na dworze padał deszcz, gdzieś w oddali grzmiało. Laura i mężczyźni byli w swoich pokojach, Bingo nastawiła magnetofon na cały regulator: *God save the Queen, the fascist regime*. Clay była w kuchni, gdzie zajmowała się swoimi krzakami pomidorów. Wszystkie wyhodowała sama z nasion. Podobno wszystkie rośliny owocowały, wystarczyło włożyć je do ziemi, podlewać i nawozić. Słyszałam, jak rozmawiała w kuchni przez telefon, niekiedy w językach, których nie rozumiałam.

Pomyślałam o Eriku, o jego ciepłych dłoniach i kanciastej twarzy. Czas sprawił, że jego rysy zaczęły tracić wyrazistość. Czy można zapomnieć, jak ktoś wyglądał? Ktoś, kogo się kochało?

Wytarłam łzy i podniosłam głowę znad książki. *Firma* jest opowieścią o młodym adwokacie zatrudnionym w skorumpowanym przedsiębiorstwie, gdzie szefowie popełniają przestępstwa. Czy coś podobnego przydarzyło się Erikowi? Z powieści wywnioskowałam, że w tym środowisku liczyło się tylko to, by mieć samochód właściwej marki, mieszkać w dużym domu i zarabiać dużo pieniędzy. Czy to była także historia Erika?

– Czy sytuacje, które opisuje *Firma*, zdarzają się naprawdę? – spytałam.

Clay usiadła przy stole z kubkiem kawy w ręce, wypila łyk i zaczęła się zastanawiać.

– Powieść Grishama to fikcja, ale sytuacje, które opisuje, są zaczerpnięte z rzeczywistości: ambicje, chciwość, raje podatkowe...

– Zanim na Wyspy Cooka przybyli biali ludzie, w ogóle nie mieliśmy pieniędzy.

Clay wydawała się równie zdziwiona jak Erik, kiedy mu to powiedziałam.

– Więc czego używaliście jako waluty?

To samo pytanie zadał mi Erik. Najwyraźniej ludziom Zachodu trudno było pojąć, że może istnieć społeczeństwo, w którym ludzie nie mają obsesji na punkcie pieniędzy.

– Wszystko było wspólne. Każdy miał to, czego potrzebował.

– Oryginalne – skwitowała Clay, popijając kawę.

Cieszyłam się, że nie nazwała nas komunistami.

– Erik zajmował się pieniędzmi. Był bankowcem.

Zauważyłam, że mówiąc o nim, używam czasu przeszłego, jakby już nie żył, a przecież tak nie było: on żył. Clay nic nie powiedziała, patrzyła na mnie i czekała.

– Był bardzo dobrze wykształcony. Miał tytuł doktora. Napisał pracę naukową o amerykańskim banku centralnym.

Clay postawiła kubek na stole.

– Zajmował się Systemem Rezerwy Federalnej?

Tak, tak to się chyba nazywało.

– Bardzo ciekawy temat – stwierdziła Clay. – Nazwa sugeruje, że nasz bank centralny jest bankiem federalnym, czyli państwowym, a to nieprawda. To bank prywatny.

Jak zwykle nie do końca rozumiałam, co Clay ma na myśli. Poczułam się zmęczona.

– Nigdy nie opowiadał o swojej pracy – powiedziałam.

– Ale pracował w Londynie, nie w Stanach? To wiesz na pewno?

– Mam adres jego miejsca pracy. Yinhang Dengi Finance w Londynie.

– Yinhang Dengi Finance? Co to za firma? Pralnia pieniędzy? Nigdy nie słyszałam o takim banku.

Byłam coraz bardziej poirytowana. Czy Clay sądziła, że zna wszystkie instytucje finansowe na świecie?

Wstałam z kanapy, wzięłam plecak i wyjęłam z niego kopertę z logo firmy. Podałam ją Clay.

Yinhang Dengi Finance
71 Lombard Street
London EC3V 9AY
Wielka Brytania

– Bardzo dziwne – stwierdziła. Studiowała kopertę, obracając ją na wszystkie strony.

Nie odzywałam się.

– Nazwa jest mieszanką rosyjskiego i chińskiego – powiedziała w końcu.
– *Yinhang* znaczy po chińsku „bank”, a *dengi* to po rosyjsku „pieniądze”.
Kiedy twój mąż tam pracował?

– Był tam zatrudniony, zanim przybył na Manihiki. To musiało być pod koniec lat osiemdziesiątych.

Clay targała swoje ciemne włosy.

– Przed upadkiem muru? Rosyjsko-chińska instytucja finansowa? Mało wiarygodne. Czym się tam zajmował?

Wytarłam spocone dłonie o nogawki spodni.

– Dokładnie nie wiem – powiedziałam. – A w ogóle to nie nazywa się Erik Bergman, tylko Sebastian Andersson.

Znalazłam szwedzkie prawo jazdy Erika i podałam je Clay, która długo mu się przyglądała.

– I masz dwójkę dzieci z tym mężczyzną?

– Ivę i Johana.

(Nie wolno mi o nich myśleć!)

– Miałaś kiedykolwiek wrażenie, że nie jest z tobą szczery?

Zamknęłam oczy i poczułam powiew wiatru znad laguny wpadający przez okna pokoju nad warsztatem: *gdybyś była morzem, ja byłbym falą, gdybyś była niebem, ja miałbym skrzydła.*

– Był ze mną szczery. Zawsze.

– Ale pewnego ranka obudziłaś się, a on zniknął, tak...?

– Przyszli po niego.

- Przyszli?
- Na polecenie jego pracodawcy.
- Yinhang Dengi Finance?
- Przyłączyli się jachtem na Manihiki.
- Miał z nimi taką umowę?

Poczułam, że łzy płyną mi po policzkach.

– Nie. Był przestraszony, kiedy się pojawili. Powiedział, że mam się nie przyznawać, że go znam. Że mam się schować, ukryć dzieci, a przede wszystkim Ivę. Ma jasne włosy i niebieskie oczy.

- I po prostu z nimi poszedł?
- Mieli broń.

Clay patrzyła na mnie w milczeniu. Po chwili wstała i przyniosła mi chusteczki higieniczne.

– Skąd masz ten adres? – spytała.

Wzięłam chusteczkę, wydmuchałam nos, otarłam łzy.

– Znalazłam go w jego teczce, którą schował wśród podręczników Moany. Były w niej pieniądze i prawo jazdy.

– Pieniądze? Te osiemnaście tysięcy dolarów, z których cię okradziono?

– Było w niej dwieście dwadzieścia tysięcy dolarów – powiedziałam. – Większość wpłaciłam na dwa konta bankowe, które założyłam dzieciom, no i kupiłam bilet do Londynu w obie strony.

Clay wstała.

– Trzeba się zastanowić, o co chodzi z tym Yinhang Dengi Finance – powiedziała i wyszła.

Siedziałam chwilę w milczeniu. Czekałam. Ale Clay nie wróciła. Podeszłam więc do regału i sięgnęłam po kolejną książkę. Była to *Smilla w labiryntach śniegu* duńskiego autora Petera Høega. Okazało się, że jest to książka o Skandynawii i Grenlandii. Poczułam się nieco dziwnie: szukałam mojego skandynawskiego męża, śpiąc w pościeli Grenlandczyka – co prawda już upranej, ale zawsze.

Śniły mi się Venice Beach, broń i ciemność za drzwiami.

Wielkanoc w tym roku przypadała na początek kwietnia. Właśnie obchodziliśmy drugą niedzielę po Zmartwychwstaniu Chrystusa. Dokładnie to pamiętałam, bo czytanie tego dnia było moim ulubionym. Tego dnia bowiem czytano psalm *Pan jest moim pasterzem*:

Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.
Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach.
Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć:
orzeźwia moją duszę.
Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach
przez wzgląd na swoje imię.
Chociażbym chodził ciemną doliną,
zła się nie ulękne,
bo Ty jesteś ze mną.
Twój kij i Twoja laska
są tym, co mnie pociesza.

Podczas gdy pozostali jedli śniadanie, ja czytałam psalterz i modliłam się. To musiało zastąpić mi słowa pastora Boyda.

W niedzielę nie sprzedawaliśmy: wszyscy mieli wolne. Bongo i Bianca, które znów były przyjaciółkami, wybierały się po śniadaniu na zakupy do galerii handlowej Beverly Center. Wiedziałam już, że mimo świątecznego dnia wszystkie sklepy są otwarte. Kiedy spytałam, co chcą kupić, powiedziały, że nie wiedzą. Laura miała iść z nimi.

Dokończyłam książkę o Smilli. Czytałam o rodzinnych stronach Erika. Moja tęsknota za nim była niemal fizyczna, poczułam, że boli mnie żołądek.

Wieczorem wróciła Beverly.

Clay zdjęła mi szwy z głowy i z rany na ręce. Wszystko ładnie się zagoiło, ale długa blizna po wewnętrznej stronie ręki była niebieskoczerwona. Można by pomyśleć, że próbowałam odebrać sobie

życie.

– Będziesz musiała chodzić w bluzkach z długim rękawem – stwierdziła Clay.

Zbliżał się koniec roku szkolnego i dziewczęta miały po kilka klasówek w tygodniu. Wieczorami często krzyczały na siebie i płakały zrozpaczone. Zaproponowałam, że im pomogę, ale okazało się, że największym problemem jest matematyka, a matematyka nie była moją mocną stroną. Laura chodziła na castingi, o ile nie sprzedawała prenumeraty. Ja chodziłam po domach razem z Vladimirem, a po lunchu wsiadałam w autobus i jechałam na lotnisko. Miałam nadzieję, że w końcu uda mi się wyjechać z Los Angeles. Chciałam szukać Erika w Londynie. Ale najpierw musiałam znaleźć perły, i to szybko. Na ulicach Los Angeles było pełno myjni, więc podejrzewałam, że prędzej czy później któryś z supermanów postanowi z nich skorzystać. Wtedy perły przypadną już na zawsze. Poza tym martwiłam się o Erika, o to, co może mu się stać. Ludzie z Yinhang Dengi Finance mieli najwyraźniej powód, żeby go szukać. Nie miałam pojęcia jaki, ale wiedziałam, że mam coraz mniej czasu, zegar tykał.

Clay miała rację. W Los Angeles były miliony samochodów, w większości duże i ciemne. „A ty nie odróżniasz nawet opla od cadillaca” – powiedziała Clay – nie bardzo rozumiałam, o co jej chodzi. Natomiast zderzaki samochodów i tylne szyby wyglądały niemal tak samo. Na naklejkach można było przeczytać „BABY ON BOARD” czy „KLUB TENISOWY HOLLYWOOD”. Były też zabawne naklejki albo takie, które próbowały być zabawne.

„CO BY SIĘ STAŁO, GDYBY WSZYSCY NA ŚWIECIE W TYM SAMYM CZASIE PIERDNEŁI?” – przeczytałam na szybie zardzewiałego minibusa.

„NASRAM CI DO GĘBY” – chwalił się właściciel jaskrawoczerwonego samochodu sportowego.

Chodziłam tak długo, aż rozboleła mnie miednica. Usiadłam na ławce przed Sheratonem, hotelem, w którym tego pierwszego wieczoru nie było dla mnie miejsca. Tłum ludzi płynął asfaltowym chodnikiem, wszyscy dokądś się spieszyli. Nad moją głową przelatywały samoloty, kilka razy

instynktownie się schyliłam. Wiem, że w tym miejscu supermani na pewno byli. Może przyzwyczajali się do miejsc, może wracali tam, gdzie łup był największy – chociaż osiemnaście tysięcy dolarów w walizce na pewno nie trafiało się im codziennie. Wszyscy czterej byli elegancko ubrani, dobrze ostrzyżeni, na pewno mieli duże domy i dobrą pracę. Może za dnia studiowali...

Wyprostowałam się na ławce.

Mnie namierzili w sobotni wieczór. Może w tygodniu rzeczywiście pracowali albo studiowali? I wyruszali na łowy w weekendy? W tygodniu byli uprzejmi wobec kobiet, zapewne w ogóle wobec wszystkich, a w sobotnie wieczory zasadzali się na naiwne cudzoziemki, okradali je i gwałcili. W czwartkowy wieczór z pewnością mieli co innego do roboty.

Zastanawiałam się, dlaczego wybrali akurat to miejsce. Było mnóstwo innych, gdzie także kręcili się podróżni: lotniska, dworce kolejowe, terminale autobusowe. Musiał być jakiś powód, że wybrali akurat to. Może mieszkali w pobliżu? A może wręcz przeciwnie?

Autobus do Hollywood odchodził z przystanku obok Terminala I. Nie musiałam długo czekać, autobusy kursowały co dziesięć minut. Całą drogę wypatrywałam samochodów z biało-niebieską naklejką na szybie. Nie zauważyłam żadnego.

Tego wieczoru Laura wróciła do domu rozanielona. Dostała niewielką rólkę w spocie reklamującym pastę do zębów – rzeczywiście miała idealnie białe zęby. King nie potrafił ukryć pogardy.

W piątek zachorował William.

Clay i Vladimir spędzili z nim cały weekend, za zamkniętymi drzwiami. Nikt nie sprzedawał. Wszyscy mówili cicho i poruszali się powoli. Magnetofon w pokoju dziewcząt milczał.

W niedzielę modliłam się za Williama tak mocno, że zbiełały mi knykcie. Czytaniem dnia była *Droga do życia*. Uznałam to za znak. Zaczęłam czytać Księgę Izajasza, rozdział 54, wers 7–10:

Na krótką chwilę porzuciłem cię,
ale z ogromną miłością cię przygarnę.
W przystępie gniewu ukryłem
na krótko swe oblicze,
ale w miłości wieczystej
nad tobą się ulitowałem,
mówi Pan, twój Odkupiciel.
Dzieje się ze Mną tak, jak za dni Noego,
kiedy przysiągłem, że wody Noego
nie spadną już nigdy na ziemię;
tak teraz przysięgam, że się nie rozjątrzę na cię
ani cię gromić nie będę.
Bo góry mogą ustąpić
i pagórki się zachwiać,
ale miłość moja nie odstąpi od cię
i nie zachwieje się moje przymierze pokoju,
mówi Pan, który ma litość nad tobą.

William zmarł w poniedziałek rano, tuż przed wschodem słońca.

Clay zapaliła świece, a ja pomogłam jej go umyć i przygotować. Ubrałyśmy go w czystą piżamę, uczesałyśmy i pocałowałyśmy jego chłodne czoło. Potem pożegnaliśmy się z nim wszyscy po kolei. Vladimir siedział ze spuszczoną głową i trzymał w dłoni jego rękę.

– Miłość do kogoś martwego jest z punktu widzenia ewolucji całkowicie nieracjonalna i pozbawiona sensu – oświadczył King.

– Że też ty nigdy nie wiesz, kiedy powinienes się zamknąć – powiedziała Clay, a King się obraził.

Dziewczęta poszły do szkoły, Bongo miała czerwone oczy od płaczu. Potem Clay poinformowała władze o zgonie.

– Vladi, skarbie, najlepiej będzie, jak teraz na jakiś czas nas opuścisz. Wy, dziewczęta, wyjdźcie. Laura, rusz się.

– Dlaczego King może zostać? – wymamrotała Laura.

– Bo on jest tu zameldowany. No już, idźcie, zanim was tu znajdą.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że Vladimir – po tym jak musiał odejść z drużyny hokejowej – przebywał w Stanach nielegalnie. Pewne rzeczy docierały do mnie z opóźnieniem.

Samochód Vladimira stał naprzeciwko pobliskiego bloku. Usiadłam z tyłu.

– Dokąd jedziemy? – rzuciłam lekko. Zabrzmiało to, jakbyśmy wybierali się na piknik.

Vladimir nie odpowiedział, siedział i wpatrywał się w drzwi mieszkania numer siedem, 1336 North Citrus Avenue. Nie zamierzał nigdzie jechać, chciał się pożegnać ze swoim partnerem. Laura westchnęła, wyjęła z torby przenośny odtwarzacz CD, włożyła słuchawki i zaczęła się kołysać w rytm muzyki, której ja nie słyszałam.

W samochodzie szybko zrobiło się duszno, opuściłam nieco szybę. Siedzieliśmy w milczeniu, skrępowani.

– Będziemy tak siedzieć całą pieprzoną wieczność? – narzekała Laura.

– Tak, to właśnie jest pieprzona wieczność – powiedział Vladimir.

Po dłuższym czasie pod drzwi mieszkania podjechał długi czarny samochód. Vladimir zastygł i wyprostował się. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn w jasnoniebieskich garniturach, wyjęli składane nosze i ruszyli schodami na drugie piętro. Po kwadransie, który wydał się nam godziną, mężczyźni wyszli, niosąc na noszach ciało Williama owinięte w białe prześcieradło. Ramiona Vladimira trzęsły się. Laura żuła intensywnie gumę do żucia o ostrym owocowym zapachu. Z sąsiednich mieszkań wychyliły się głowy sąsiadów, ciekawych, co się wydarzyło.

Samochód odjechał. Minął nas w odległości kilku metrów, przez przydymione szyby widać było nosze. Miałam wrażenie, że Vladimir przestał oddychać.

Zostaliśmy w samochodzie do czasu, aż Clay wyszła do nas i zapukała

w szybę. Powiedziała, że możemy wracać i że obiad jest gotowy.

Nastrój w domu się zmienił. Dziewczęta odzywały się do siebie ostrzej niż zwykle. Zrozumiałam, że William, zanim jego stan zrobił się poważny, był tą osobą, która łagodziła obyczaje, poza tym pomagał im w matematyce – pracował przecież na giełdzie razem z Clay. Vladimir, który wcześniej też nie należał do rozmownych, poinformował Clay, że opłacił czynsz za cały kwartał, po czym zamknął się w swoim pokoju. Nie wychodził nawet na posiłki. King wyglądał jak chmura gradowa. Clay była smutna i pogrążona w żałobie. Tylko Laura zdawała się niczym nie przejmować. Malowała się i biegła na swoje spotkania, mając nadzieję, że przemysł filmowy w końcu ją odkryje.

Beverly, afroamerykańska dziewczyna, wyraźnie do mnie lgnęła. Spytała, czy może siedzieć obok mnie na kanapie, pokazywała mi swoje rysunki, opowiadała o matce.

– Pije – powiedziała mi. – I nie tylko. Ćpa. Najczęściej kryształki i metę. Chociaż zdarza się, że jest trzeźwa, jeśli trafi na porządnego faceta albo kiedy ma pracę. Miałam braciszka, który umarł, utopił się w wannie. Znalazłam go po powrocie ze szkoły. Chociaż to akurat nie była wina mamy. Była w pracy. Tata miał go pilnować, ale zasnął przed telewizorem. Potem porzucił nas, nie widziałam go, odkąd skończyłam jedenaście lat.

Nagle poczułam w głowie pustkę, po chwili zaczerpnęłam powietrza i powiedziałam jej, że miałam starszą siostrę, która też utonęła. Mówiłam, że próbowałam ją ratować, ale nie udało mi się, bo nie miałam przy sobie noża i nie mogłam odciąć jej od lin, w które się zaplątała. Beverly słuchała mnie uważnie.

– Kto miał jej pilnować? – spytała.

– Ja. Miałam się nią opiekować. Miałyśmy pilnować się nawzajem.

– Byłaś pijana?

– Nie. Tylko zmęczona. Nurkowaliśmy cały dzień, zabrakło mi powietrza i musiałam wypłynąć na powierzchnię. Nie zauważyłam, że zaplątała się w liny, a powinnam była.

– Nie macie mamy ani taty?

Wytłumaczyłam jej, że tego dnia oboje pracowali na łądzie.

– Uważam, że rodzice powinni pilnować swoich dzieci – stwierdziła Beverly. – Chociaż mama Bongo jest psychiczna. Widziałas jej blizny?

Tak, zauważyłam blizny na głowie Bongo, na twarzy i na rękach.

– To wina jej mamy. Lubiała, kiedy Bongo była w szpitalu. Zawoziła ją tam i mówiła, że Bongo się potknęła i upadła. Clay pracowała wtedy na izbie przyjęć i po jakimś czasie zorientowała się, co jest grane. Poinformowała władze, ale nikt się tym nie przejął. W końcu wzięła Bongo do siebie.

Wiedziałam, że istniało zaburzenie, które polegało na tym, że rodzice krzywdzą własne dzieci, chcąc w ten sposób zwrócić na siebie uwagę. Nie mogłam sobie przypomnieć, jak się nazywał ten syndrom, ale na Pukapuka też mieliśmy taki przypadek.

– Matka Bongo różnymi patykami i gwoździami dziurawiła jej bębenki w uszach. To chore. Kiedy Clay zabrała Bongo do siebie, kobieta była już w ciąży z kolejnym dzieckiem. Domyślasz się, co z nim robiła? Ludzie się nie zmieniają.

Beverly wstała i poszła do swojego pokoju. Siedziałam na kanapie poruszona. Sam pomysł, żeby matka świadomie krzywdziła własne dzieci, by zwrócić na siebie uwagę, był trudny do zaakceptowania. Ta historia poruszyła mnie bardziej, niż się spodziewałam.

O kolicca wokół międzynarodowego lotniska w Los Angeles nazywała się El Segundo. Pojechałam autobusem na skrzyżowanie Hollywood Boulevard z Orange Drove, wysiadłam przed kinem, przed którym były odciski dłoni i stóp gwiazd uwiecznione w betonie. Podróż do Terminala I zajęła mi kolejne pół godziny. Tak często, jak mogłam, sprzedawałam tam prenumeratę, również w soboty i niedziele, niekiedy też wieczorami. Gdy zapadał zmrok, przenosiłam się na West Century Boulevard, gdzie spotykałam supermanów. Nie szłam chodnikiem, tylko krążyłam po parkingach i przed hotelami. Często potykałam się w ciemności o wystające kamienie czy nierówne betonowe płyty chodnikowe. Teraz już wiedziałam, że wszystkie budynki przy ulicy były hotelami należącymi do różnych sieci. Mogłam wejść do każdego z nich, gdzieś na pewno znalazłabym nocleg.

Patrząc tam z góry, lepiej rozumiemy Jego drogi.

Przed powrotem do domu często siadałam przed Denny's Diner i zjadałam swoją kanapkę. Clay pożyczała mi pieniądze na autobus, ale nie stać mnie było na jedzenie w restauracjach. Mijały mnie kobiety w szerokich spódnicach i w szpilkach, idące pod rękę ze swoimi chłopakami. Wszyscy głośno rozmawiali, śmiali się. Znikali w ciepłym świetle restauracji. Lokal wydawał się przyjemny, personel w eleganckich mundurkach uprzejmie traktował klientów, słychać było brzęk szkła, sztucce błyszczwały. Pieniądze umożliwiały łatwiejsze życie, zapewniały przestrzeń naszym myślom.

Spojrzałam na neon Sheratonu jaśniejący na ciemnym nocnym niebie. Było zimno, wiał wiatr.

Właściwie powinnam była już być z powrotem w Rarotondze. Stryj Matini znał datę mojego powrotu. Umówiliśmy się, że dam znać, kiedy wyląduję. Zaczęłam się zastanawiać, kiedy moja rodzina na Manihiki zacznie się niepokoić. Zapewne minie jeszcze trochę czasu. Ludzie, którzy płynęli statkiem, często wracali dopiero po wielu miesiącach. Nikogo to nie

dziwiło. Zastanawiałam się, ile potrwa mój pobyt w Los Angeles, jeśli nie znajdę samochodu i pereł. Ile prenumerat muszę sprzedać, żeby móc polecieć do Londynu i wrócić.

Wrzuciłam do kosza torebkę po kanapce, wstałam i ruszyłam w stronę Terminala I. Uznałam, że czas nie gra roli. Na szczęście miałam pracę i miałam gdzie mieszkać.

Zasnęłam w autobusie.

Clay i King zmywali w kuchni po obiedzie, chociaż prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałam, co właściwie robił King. Laura wróciła do domu radosna i podniecona, w ręce miała torby z zakupami. Znalazła producenta, który ponoć dał jej szansę, by spróbowała swoich sił w branży filmowej. Nie jako aktorka, ale asystentka przy castingach. Dostała zadanie wyszukiwania aktorów do filmów. Rozpakowując zakupy, nuciła zadowolona, po chwili poszła do pokoju dziewcząt. Otworzyła drzwi i stanęła w progu.

– Dziewczyny, która z was chce zostać gwiazdą filmową?

Bianca usiadła na łóżku, stało najdalej od drzwi. Nie widziałam Beverly, ale słyszałam, jak cmoknęła.

– Wyluzuj, Laura! Masz na myśli jakiegoś pornosa?

Laura skrzyżowała ręce na piersiach.

– Zamknij się, Bev. Bianca, co ty na to?

Dziewczyna o srebrnych włosach wstała, patrzyła na nią podejrzliwie swoimi wielkimi oczami.

– Jak to gwiazdą filmową?

– Poznałam dzisiaj pewnego producenta i dostałam zadanie do wykonania. Szuka nastolatek, które chciałyby zagrać w filmie o życiu szkoły.

– Co takiego? – spytała Bianca.

Laura przeniosła ciężar z jednej nogi na drugą. Clay pojawiła się w pokoju z talerzem w ręce, King został w drzwiach kuchni.

– Film rozgrywa się w szkole. To znaczy tam zaczyna się akcja. Aktorki mają nosić szkolne mundurki, podkolanówki, wstążki we włosach. Z tornistrami w rękach będą biec w stronę kamery, podskakując. Potem pojawią się chłopcy i...

– Czyli pornos – stwierdziła Beverly.

– Co ty opowiadasz? – zachnęła się Laura. – To nie pornos, żadnego seksu. Dziewczyny mają co prawda ściągnąć majtki i dostają klapsa, mają krzyczeć, jakby je to bolało, ale to wszystko jest udawane, jak to na

filmach...

Clay puściła talerz, który upadł na kanapę, podeszła do Laury i chwyciła ją za włosy.

– Kretynko! – wywrzeszczała jej w twarz. – Nie masz w ogóle oleju w głowie?

Laura zaczęła krzyczeć, Beverly i Bianca też, King śmiał się. Clay chwyciła Laurę za ramiona i rzuciła ją na kanapę. Laura wylądowała na talerzu i mojej wzmocnionej tytanem ręce. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby Clay tak szybko się ruszała. Okazało się, że jeśli tylko chciała, to jej potężne ciało potrafiło być niesamowicie szybkie. Pochyliła się nad Laurą i znów chwyciła ją za ramiona. Przycisnęła ją do ściany tak mocno, że z regału spadło kilka książek. Vladimir wyszedł ze swojego pokoju sprawdzić, co się dzieje. Laura krzyczała, a Clay wrzeszczała. Nie sądziłam, że mogła się aż tak zdenerwować. Wszystko skończyło się tym, że Laura wybiegła z mieszkania, trzymając w ręce torbę i kurtkę, którą udało jej się wyciągnąć z jednej z toreb z zakupami.

Clay wzięła do kuchni dziewczynę ze srebrzystymi włosami i zaczęła z nią rozmawiać. Mówiła tak cicho, że niczego nie słyszałam.

Tej nocy Laura nie wróciła do domu.

Dziwna historia z tą Biancą – powiedziała Beverly, która według mnie była najrozsądniejsza z trzech przyjaciółek. – Clay walczyła jak szalona, żeby zabrać ją z ulicy, ale minął rok, zanim całkowicie zrezygnowała z pracy.

– Z pracy?

Beverly cmoknęła i pokręciła głową, jak zawsze, kiedy uznała, że coś jest po prostu niewarte komentarza.

– No tak – powiedziałam, bo prawdę mówiąc, doskonale rozumiałam, o co chodzi.

– Jej matka była aktorką, przedawkowała i umarła, kiedy Bi była dzieckiem. Ojciec zniknął dawno temu. Kiedy miała dziewięć lat, uciekła od rodziny zastępczej, w której ją umieszczono.

Pomyślałam o plakatach w pokoju dziewcząt, o podziwie Bianki dla aktorów. Jednak nawet nieprzeciętna uroda niczego nie gwarantowała.

– Moja mama jest czysta od czterech miesięcy – oznajmiła nagle Beverly.

– Rozważasz powrót do domu? – spytałam.

Dziewczyna skinęła głową.

– Może po zakończeniu roku szkolnego – powiedziała.

King wrócił z łazienki, gdzie Clay pomogła mu wziąć prysznic. Beverly poszła do siebie.

Minął miesiąc od mojego przyjazdu do Los Angeles, a ja miałam wrażenie, że był to rok.

Nadeszło święto Wniebowstąpienia, obchodzone na pamiątkę czterdziestu dni, które Jezus spędził, wędrując po ziemi po ukrzyżowaniu – czy może po zmartwychwstaniu, nie byłam tego pewna – opowiadając o krainie Bożej i czekając, aż nadejdzie pora, by udał się do nieba i zasiadł po prawicy Ojca, by sędzić żywych i umarłych.

– Chociaż ty pewno też nie wierzysz w Chrystusa, prawda? – spytałam Clay.

Było późne popołudnie, w dusznym mieszkaniu panował spokój. Przez szpary w żaluzjach wpadało słońce, w powietrzu wirowały drobinki kurzu, co nawet ładnie wyglądało. Clay siedziała przy stole i wypełniała jakieś formularze, chyba urzędowe. King siedział obok niej. Reszta domowników gdzieś się rozpierzchnęła: Beverly była u matki, dwie pozostałe dziewczyny poszły po lody, Vladimir też zniknął – nigdy nie mówił, dokąd się wybiera. Laury niemal już nie widywaliśmy, przestała też sprzedawać prenumeratę.

– Jezus z Nazaretu był najprawdopodobniej postacią historyczną, a może nawet połączeniem kilku postaci – powiedziała Clay, podając jakiś papier Kingowi do podpisu. Sprawiała wrażenie roztargnionej.

– Więc to mit, że był synem Bożym?

Clay pochyliła się nad stołem i zaczęła wypełniać kolejny dokument.

– Pocieszamy się, że Jezus umarł za nasze grzechy, jednak najbardziej prawdopodobne jest, że został stracony, bo psuł handel przed obchodami Wielkanocy w Jerozolimie.

Przypomniałam sobie scenę, do której nawiązywała: kiedy Jezus oczyszczał świątynię z kramarzy.

– Ach tak. Więc jednak coś w Biblii jest prawdą – stwierdziłam prowokacyjnie.

– To zdarzenie opisują wszystkie cztery ewangelie – powiedziała Clay, nie przestając pisać. – Więc pewnie taka sytuacja rzeczywiście miała miejsce – dodała. Odłożyła pióro i podniosła głowę. – Biblia to rodzaj antologii czy zbiór esejów, jeśli ktoś woli. Bardzo ciekawy dokument

historyczny. Opisuje czasy i sposób myślenia, który inaczej pewnie uszedłby naszej uwadze. Tylko musimy nauczyć się interpretować opisane tam zdarzenia, próbować dotrzeć do tego, co kryje się za słowami...

Rozpoczęła się dyskusja o tym, czy Jezus istniał, czy nie. Dziewczyny wróciły z lodami w rożkach i włączyły się do rozmowy, chociaż ich wypowiedzi nie zawsze były sensowne. Poczulałam się jak przy ognisku na Manihiki, gdzie też dyskutowano o wszystkim: o kobiecie, która straciła nogę zaatakowana przez rekina, o tym, jak najlepiej przyrządzać kraby palmowe i kiedy papugoryby są najtłustsze. Mieszkanie Clay zamieniło się w Tukao. Wszędzie na świecie toczono podobne dyskusje.

Tego wieczoru Laura wróciła do domu chora, przedawkowała. Clay była zła, ale nie tak bardzo jak wtedy, kiedy Laura namawiała Biancę do zagrania w filmie, w którym uczennice miały dostawać w tyłek. Rozmawiały cicho w garderobie, Laura głośno płakała i zaczęła wymiotować. Clay przyniosła wiadro.

Nazajutrz, zanim ktokolwiek wstał, Laura opuściła mieszkanie. Wróciła dopiero po tygodniu.

Następnego dnia Vladimir oświadczył podczas obiadu, że zamierza wrócić do Nowosybirsk. Przy stole zapadła cisza, wszyscy siedzieli i przyglądali się mu w milczeniu. Zrozumiałam, że nie miał szans na legalny pobyt w Stanach, ponieważ miał HIV.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytała w końcu Beverly.

– Jak tylko sprzedam samochód – odpowiedział i odszedł od stołu.

– W Rosji jest teraz demokracja – powiedziałam, ale nikt nie zareagował.

Beverly przeprowadziła się do matki. Rok szkolny się skończył, zostały tylko uroczystości związane z zakończeniem roku. Beverly radziła sobie całkiem dobrze. Jesienią miała zacząć naukę w Crenshaw High School, położonej blisko miejsca zamieszkania jej matki.

– Chodził tam Ice-T – powiedziała Bianca. Była pod wrażeniem, bardzo lubiła tego piosenkarza.

– I Johnny Gray – dodał King.

Miał na myśli gwiazdę sportu. Johnny zdobył brązowy medal w biegu na osiemset metrów podczas igrzysk olimpijskich w Barcelonie.

Beverly nas opuściła, ale naprawdę smutno zrobiło się, kiedy wyjechał Vladimir.

W poniedziałek po wyjeździe Beverly King rozpoczął sześciotygodniowy pobyt rehabilitacyjny w ośrodku pomocy w Santa Monica. Lekarzy martwiła jego cukrzyca, która mogła prowadzić do kolejnych amputacji. Prawdę mówiąc, trudno mi było sobie wyobrazić, co jeszcze można mu amputować: zostały mu tylko tors, głowa i jedna ręka.

Po wyjeździe Kinga rozdzieliliśmy na nowo pokoje. Bongo nie chciała spać w dawnym pokoju mężczyzn – bała się AIDS. Do pokoju wprowadziła się więc Laura, zadowolona, że będzie miała własną łazienkę. Mnie zaproponowano jej dawny pokój, czyli garderobę, ale odmówiłam. Polubiłam kanapę. Przenieśliśmy telewizor do pokoju dziennego. Do garderoby przeniosła się Clay.

To, że ubyło lokatorów, powinno złagodzić nastroje, ale tak się nie stało. Bardzo odczuliśmy zmniejszone dochody. Vladimir zwykle wypełniał stawiane mu zadania, mimo że nie przychodziło mu to łatwo, pracował sam, bez Williama. Beverly udawało się od czasu do czasu sprzedać prenumeratę jakiegoś pisma młodzieżowego, ale najbardziej odczuliśmy brak Kinga.

– Sprzedawanie z nim to była łatwizna – oświadczyła Laura kwaśno, kiedy Clay zmyła jej głowę, bo przez kolejny tydzień nie sprzedała ani jednej prenumeraty. – Ludzie zwykle są tak zszokowani, że gotowi są kupić wszystko, byle tylko go nie oglądać – tłumaczyła.

Clay nie podobało się, że ciągle jeżdżę na lotnisko; sama podróż w obie strony zajmowała kilka godzin, nie mówiąc o tym, że bilety też nie były za darmo.

– Są znacznie lepsze okolice i znacznie bliżej – mówiła, i to była prawda.

Wiedziałam jednak, że Clay nie zdawała sobie sprawy z tego, jak kosztowne były perły, szczególnie ta duża – zielona. Nadal więc jeździłam trzęsącym się autobusem na południe, mijając pałace w Beverly Hills, studia filmowe w Culver City i niezliczone tanie domy towarowe.

Powoli odhaczałam na mapie Laury kolejne ulice w El Segundo i w końcu musiałam przenieść się do Westchesteru. Często wsiadałam do autobusu wcześniej rano, żeby zdążyć odwiedzić klientów, zanim wyruszą do pracy. Sprzedawałam więcej, kiedy próbowałam naśladować sposób mówienia Clay. Kiedy klienci pytali, skąd jestem, odpowiadałam, że z Hawajów. Wielu uważało, że brzmi to egzotycznie – poza tym było to bliskie prawdy: rdzenni mieszkańcy Hawajów byli Polinezyjczykami – jak

my.

Pewnego wietrznego, chłodnego popołudnia szłam jedną z wielu anonimowych ulic w Westchesterze. Bolała mnie miednica, zerwały mi się sznurówki. Nie liczyłam na to, że znajdę tu wielu potencjalnych klientów. Jeśli ktoś miał pracę, to nie było go w domu, ci, którzy byli w domu, najczęściej nie mieli pracy, więc nie mogli sobie pozwolić na prenumeratę. Zbliżałam się do budynku, który miał fasadę z niepomalowanego betonu, od strony ulicy wyglądała jak mur. Otworzyłam furtkę i podeszłam do drzwi. Nie było dzwonka, więc zapukałam. Drzwi otworzyła mi starsza kobieta. Uśmiechnęłam się przyjaźnie.

– Dobry wieczór – zaczęłam. – Mam na imię Bianca. Zadzwoiłam do pani, bo mam dzisiaj specjalną ofertę prenumeraty. Zna pani magazyn „Reader’s Digest”?

Kobieta miała dobrze ułożone siwe włosy, ładne okulary, świeżo wyprasowaną bluzkę. Zrobiła krok do tyłu.

– Wejdz, proszę.

Weszłam, kobieta zamknęła drzwi na klucz.

– Mam kilka bardzo korzystnych ofert...

Weszłyśmy do salonu, było tu ciemno i duszno. Kobieta odwróciła się i spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Jak się nazywasz? – spytała.

– Bianca – powiedziałam, uśmiechając się.

– A naprawdę?

Dalej się uśmiechałam, zza szkieł okularów nie widziałam jej oczu.

– Rockford – powiedziałam. – Bianca Rockford. (Po Williamie, który był co prawda kochany, ale umarł na AIDS).

– Skąd pochodzisz?

Nagle w pokoju pojawił się kot i zaczął się ocierać o moje nogi. Nie było to przyjemne, przeszedł mnie dreszcz.

– Z Hawajów. Cudowne miejsce, była pani tam?

– Z jakiej wyspy?

Jak nazywały się te wyspy? Nie miałam pojęcia, ale wiedziałam, jak nazywa się stolica.

– Urodziłam się i dorastałam w Honolulu – powiedziałam, starając się uśmiechać.

– Pokaż swoją licencję.

Jaką licencję? Miałam pustkę w głowie.

– Mój szef ją ma.

Rozejrzałam się po pokoju, jakbym go szukała.

– Jest tu gdzieś w pobliżu.

Kobieta zrobiła krok w moją stronę, była znacznie niższa ode mnie.

– Chcę zobaczyć twoją licencję – powtórzyła. – Teraz. Albo zadzwonię na policję i cię zgłoszę. Całe życie pracowałam w prokuraturze, więc zapewniam cię, że nie ujdzie wam to na sucho.

Miała rację? Naprawdę mogła mnie o coś oskarżyć? Poza tym, że nie miałam pozwolenia na pracę w Stanach.

– Dokładnie wiem, czym się zajmujecie – mówiła kobieta podniesionym głosem. – *Mag crews*. Jeździcie z miasta do miasta, skaczeecie jak koniki polne, zostawiając za sobą zepsucie i narkotyki. Oszukujecie ludzi, kradniecie, a nocami pieprzycie się jak króliki! Bydło! – krzyczała.

Cofnęłam się, ale ona podążyła za mną, wymachując mi palcem przed nosem.

– Won stąd! Zadzwonię na policję i dopilnuję, żeby was zatrzymali i natychmiast wydalili z miasta. Rozumiesz?

Wycofałam się do drzwi. Jeśli ktoś macha ci przed nosem bronią albo mówi, że ją ma, to trzeba robić to, co ci każe, przypomniałam sobie słowa Vlada.

Kobieta otworzyła drzwi, a kiedy wyszłam, zamknęła je za mną z hukiem. Ruszyłam w stronę Terminala I i przystanku autobusowego. Serce waliło mi jak młot.

– Wcześniej wróciłaś – powitała mnie Clay. – Może przygotujesz obiad?

Ugotowałam zupę z ciecierzycy i mleka kokosowego, oczywiście z puszki, bo innego nie było. Nie była smaczna.

W nocy spałam niespokojnie, i nie tylko z powodu niesmacznej zupy. Długo leżałam w ciemności i nie mogłam zasnąć. Wpatrywałam się w plamę wilgoci na suficie.

Może rzeczywiście powinnam odpuścić? Posłuchać Clay i przestać dążyć. Dać sobie spokój. Poczekać, aż zagoi się ręka, i modlić się do Boga, żeby nie wystąpiły jakieś komplikacje. Poprosić stryja o pieniądze i wrócić na Manihiki. Pozwolić Erikowi żyć w spokoju w Londynie i wrócić do dzieci. Nauczyć je nurkować i oceniać wartość czarnych pereł, zabierać na plac każdej soboty i pokazać, jak zbiera się paprocie. Pozwolić, by duch Pana przepęłniał ich duszę każdej niedzieli, być przy nich i nie pozwolić Babci Vaine ich indoktrynować: prowadzić życie spokojne jak powierzchnia laguny przed zachodem słońca, gdy wiatr ustaje. To nie było złe życie.

Ale to było niemożliwe. Nie potrafiłabym. Powierzchnia pękła, była poszarpana jak koszula Bongo. Nie da się zawrócić nadchodzącego tsunami.

Następnego dnia nie pojechałam na lotnisko, tylko wysiadłam w View Heights. Bałam się sprzedawać prenumeratę w Westchesterze. Zastanawiałam się, czy spytać Clay, czy kobieta rzeczywiście mogła nam jakoś zaszkodzić, ale nie zrobiłam tego. Bardziej niż brakiem licencji martwiłam się brakiem pozwolenia na pracę. Nie miałam pewności, czy kobieta rzeczywiście zadzwoniła na policję, ale nie chciałam kusić losu. Na samą myśl, że mogła zatrzymać mnie policja, krople potu występowały mi na czoło.

Stopniowo zaliczałam kolejne ulice i zaznaczałam je na mapie Laury. Nie szło mi dobrze. Byłam roztargniona, nienaturalna, mój uśmiech nie był dostatecznie serdeczny. Przez cały dzień sprzedawałam dwie prenumeraty, co można uznać za swoisty rekord. Kiedy zapalono latarnie, postanowiłam pojechać na lotnisko i spróbować szczęścia w okolicach West Century Boulevard. Wiedziałam, że tam supermani pojawiali się na pewno, to były ich tereny łowieckie.

Wieczór był deszczowy i wietrzny. W różowych tenisówkach przemierzałam bezszelestnie parkingi, kryjąc się wśród cieni przed jasno oświetlonymi wystawami sklepowymi. Samochody przemieszczały się z hałasem. Co mi strzeliło do głowy? Byłam głodna i zmarznięta. Nigdy ich nie znajdę. Wiedziałam, że Erik wolałby, żebym została z naszymi dziećmi nad laguną. To, co teraz robiłam, było pozbawione sensu. Szum samochodów narastał, mieszał się z rykiem silników startujących i lądujących samolotów. Usiadłam na betonowej podmurówce budynku pralni chemicznej na Sepulveda Boulevard. Po co to wszystko? Nie mogłam dalej tego ciągnąć. Ale jaki miałam wybór?

Dwadzieścia metrów dalej zobaczyłam młodą kobietę w bardzo krótkiej spódniczce. Stała i paliła papierosa przed seksklubem. Zaczepiała mężczyzn wchodzących do środka lub wychodzących z lokalu. Podchodziła do samochodów i zagadywała kierowców, chwiejąc się na wysokich szpilkach. Spódniczka była nieco za obcisła, od czasu do czasu obciągała ją, żeby

zakryć pośladki. Sprzedawała nie prenumeraty, ale samą siebie. Była młoda, może nie miała jeszcze dwudziestu lat. Czy sama wybrała sobie takie zajęcie? Co sprawia, że człowiek dokonuje takiego wyboru?

Jeden z samochodów zatrzymał się. Wysiadł z niego mężczyzna, podszedł do niej, zamienili kilka słów w języku, którego nie znałam, pewnie po hiszpańsku. Kobieta otworzyła niewielką torebkę i wyjęła z niej plik banknotów. Mężczyzna przeliczył je, wyraźnie niezadowolony, zaczął coś krzyczeć, w końcu wyrwał jej torebkę, znalazł w środku jeszcze kilka banknotów – i uderzył dziewczynę w twarz. Dziewczyna krzyknęła i zachwiała się, mężczyzna wrzasnął i pchnął ją tak, że upadła na jezdnię. Przejeżdżający obok samochód zahamował gwałtownie, kierowca zaczął trąbić. Mężczyzna chwycił dziewczynę za włosy i wciągnął ją na chodnik. Zauważyłam, że miała zakrwawione nogi. Mężczyzna kopnął ją w brzuch, splunął na nią, po czym wsiadł do samochodu i odjechał.

Stałam jak sparaliżowana i zastanawiałam się, co mogę zrobić. Dziewczyna leżała na chodniku. Z seksklubu wyszło kilku mężczyzn, przeszli obok, udając, że jej nie widzą. Podeszłam do niej, rozejrzałam się: mijaly nas samochody, ale nigdzie nie widziałam ludzi.

– Miss, potrzebuje pani pomocy? – spytałam, pochylając się nad nią.

Zerknęła na mnie, z rozciętej wargi leciała krew, oczy miała zamglone.

– Nic mi nie jest – powiedziała, dotykając ostrożnie językiem rozciętej wargi.

Usiadła z trudem, odtrąciła moją wyciągniętą rękę.

– To mój róg – rzuciła agresywnie, próbując wstać.

– Mam po kogoś zadzwonić? – spytałam.

– Spadaj, suko, zanim rozwalę ci łeb!

Odwróciłam się i ruszyłam w kierunku, z którego przed chwilą przyszłam. Adrenalina sprawiła, że przestałam czuć głód. Kiedy jednak zobaczyłam rozświetlony neon In-N-Out Burger, wyglądający w ciemności jak statek kosmiczny na pustyni, zawahałam się, czy jednak nie dać się

skusić. W kolejce do kasy stało dwóch mężczyzn. Jeden był wysoki i rudy, drugi zdecydowanie niższy. Rudy coś mu powiedział i obaj zaczęli się głośno śmiać. Białe zęby rudego lśniły w ciemności.

Clark Kent i Bruce Wayne.

Nogi ugięły się pode mną.

To rzeczywiście byli oni. Stali i czekali na swoją kolejkę. Poczulałam mdłości. Znowu dotykały mnie obce palce: *Odpuść, nie drż, nie wracaj do tego, zastanów się!*

Byłam pewna, że nie przyszli tu na piechotę. Jeśli tu stali, to gdzieś w pobliżu musiał być ich samochód.

Odwrociłam się, ledwie mogłam oddychać. Przed oczami stanęły mi dwa miliony czarnych samochodów. Gdzie mogli zaparkować? Starłam się myśleć logicznie.

Na pewno jak najbliżej, żeby nie musieć daleko chodzić.

Ruszyłam biegiem w stronę wejścia do hotelu, nogi znowu mnie niosły. Na nieoświetlonym parkingu stało kilkanaście pojazdów: motory, furgonetki i samochody osobowe. I nagle zobaczyłam naklejkę z logo UNICEF-u. Była ledwie widoczna w ciemności, ale wiedziałam, że tam jest. Podeszłam do ciemnego samochodu, chwyciłam za klamkę tylnych drzwi i pociągnęłam.

Zamknięte.

Cholera, cholera, cholera!

Spróbowałam otworzyć przednie drzwi, ale też były zamknięte. Zerknęłam w stronę baru. Clark Kent i Bruce Wayne stali przy samej ladzie i najwyraźniej zamawiali jedzenie. Rozejrzałam się dookoła, obok zepsutej latarni leżała kostka brukowa. Podeszłam bliżej, chwyciłam największy kawałek i rzuciłam nim w boczną tylną szybę samochodu. Szkło rozsypało się na milion drobnych kawałków ostrych jak igły, a ze środka dobył się wrzask:

– Co, do cholery...!

Doktor Robert Bruce Banner rozglądał się dookoła przerażony.

Szarpnęłam za klamkę, drzwi się otworzyły, usiadłam z tyłu. Pod pośladkami czułam kawałki szkła.

– Ani słowa. Mam broń – ostrzegłam. – Strzelę ci w brzuch, jeśli nie będziesz mnie słuchał.

– Co, do diabła...?

Cuchnął jak Tanga po jednej ze swoich męczących nocy.

– Zamknij się! – rzuciłam, patrząc na podłogę. Dzięki Bogu nie zdążyli sprzątnąć samochodu! Zaczęłam macać palcami pod przednim siedzeniem i natychmiast się skaleczyłam. Wokół było pełno pustych butelek po alkoholu i puszek po piwie, i chyba też kilka zużytych prezerwatyw.

Doktor Robert Bruce Banner spojrzął na mnie, po czym odwrócił głowę w stronę baru: niebieskiego światełka w oddali. Podążyłam za jego spojrzeniem i zobaczyłam, że Clark Kent i Bruce Wayne odebrali już zamówione dania i ruszyli ku wyjściu. Boże, spraw, żeby nie wyszli, niech zjedzą tam na miejscu!

Doktor Robert Bruce Banner spojrzął na otwarte tylne drzwi samochodu i na odłamki szkła na swoich ramionach.

– Co, do cholery...? Co stało się z szybą?

Wyrzuciłam z samochodu stertę śmieci i kilka butelek, doktor Robert patrzył na mnie zdziwiony, jakby dopiero teraz mnie zauważył.

– Kim jesteś, do cholery?

– Jedną z waszych zabawek – powiedziałam, zerkając w stronę restauracji. Clark Kent i Bruce Wayne siedzieli przy stoliku przy oknie i jedli zamówione hamburgery.

– Posłuchaj, cipo – odezwał się doktor Robert, chwytając mnie za włosy. W tym momencie moje palce trafiły na kostkę brukową, której użyłam do wybicia szyby. Chwyciłam ją moją wzmocnioną tytanem prawą ręką i walnęłam nią siedzącego z przodu drania. Oczy niemal wyszły mu z orbit, próbował coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo osunął się na podłogę.

– Będziecie smażyć się w piekle – powiedziałam, chociaż nie sądzę, żeby

mnie usłyszał.

Clark Kent i Bruce Wayne wypili resztę napoju z papierowych kubków i zaczęli zbierać swoje rzeczy ze stolika. Metodycznie przeszukiwałam podłogę kawałek po kawałku, brałam do ręki każdy niedopałek, każdą nakrętkę, ale nie znalazłam ani pereł, ani pudełka Amirii. Niech to szlag! Gdzie są moje perły? Czyżby jednak sprzątnęli samochód, tylko znów zdążyli go zaśmiecić? Sięgnęłam ręką pod przednie siedzenie, macałam wszędzie, gdzie tylko mogłam, znów się skaleczyłam. A może w ferworze wyrzuciłam pudełko i perły? Może powinnam przejrzeć rzeczy leżące na ziemi obok samochodu? Niech to szlag! Zaraz, zaraz. Coś błysnęło. Tak, to była moja zielona perła: zimna, okrągła, twarda. Trzymałam ją z trudem, bo palce miałam we krwi, ale tak, to była ona. Clark Kent i Bruce Wayne zatrzymali się zaraz po wyjściu z restauracji, wdali się w rozmowę z dwiema dziewczynami. Musiałam szybko znaleźć pudełko, bez certyfikatu perły były niewiele warte. Zaczęłam przerzucać śmieci, które wcześniej wyrzuciłam z samochodu: opakowania po hamburgerach, stare pornosy. I wtedy je zobaczyłam: pudełko Amirii, lekko zgniecione, brudne, ale całe. Potrząsnęłam nim i usłyszałam stukające o siebie perły. Nie traciłam czasu, żeby je policzyć lub sprawdzić, czy w środku rzeczywiście są certyfikaty, tylko szybko włożyłam je do torby z pismami. Odwróciłam się i spojrzałam w zasnute mgłą oczy doktora Bannera. Pochyliłam się nad nim i wytarłam zakrwawione palce o jego włosy i twarz.

– Witaj w klubie AIDS – wyszeptałam.

Jego przerażony krzyk dźwięczał mi jeszcze długo w uszach. Biegłam przez ciemny parking, obok zamkniętych myjni samochodowych i stacji benzynowej. Kierowałam się w stronę lotniska i dworca autobusowego, skąd odchodził autobus do Hollywood.

Zastanawiałam się, czy doktor Robert Bruce Banner mnie rozpoznał. Raczej nie. Czy będzie mnie szukał? Na pewno, ale to nie miało już żadnego znaczenia.

Nie zamierzałam wracać w okolice międzynarodowego lotniska w Los Angeles.

Clay przyglądała się perłom z niedowierzaniem. Było ich jedenaście.

– Dostaniesz za nie tyle pieniędzy, że będziesz mogła opłacić szpital i kupić bilet do Londynu?

Zabandażowanymi palcami wskazałam na wystawione przez ojca certyfikaty, leżące na dnie pudełka. Były pogniecione, lekko przybrudzone, ale to nie miało żadnego znaczenia.

– Perły są najlepszej jakości – zapewniłam Clay. – Pieniądze, które dostanę tylko za tę zieloną, starczą na opłacenie pobytu w szpitalu i jeszcze sporo mi zostanie.

Trzymałam ją na dłoni: idealna osiemnastomilimetrowa perła. Tej wielkości perły bez żadnej skazy zdarzały się niezwykle rzadko. Dokładnie pamiętałam, gdzie ją znalazłam.

Clay wstała.

– Jutro pójdziesz do miasta, do dzielnicy jubilerów. Teraz zabiorę Kinga na spacer, a ty przypilnuj, żeby dziewczęta poszły spać o przyzwoitej porze.

Spakowałam perły, zawinęłam je w chusteczkę higieniczną, którą dostałam od Clay. Poczułam wielką ulgę, do dziś pamiętam to uczucie. I smak zupy z ciecierzycy, i przekomarzania się dziewcząt w pokoju obok, i niekończące się reklamy w telewizji. Pieniądze, które zwrócę Clay, pozwolą jej nie tylko opłacić czynsz, ale też przetrwać kolejny kwartał, i może jeszcze następny. Zbliżały się wakacje, dziewczęta będą miały więcej czasu na sprzedaż. King wróci do domu, od czasu do czasu będzie można pojechać na Venice Beach, opalać się na plaży i pluskać w falach – które były też moimi falami.

– Dziewczęta, wkładajcie piżamy!

– Możemy obejrzeć telewizję? – spytała Bongo.

Spojrzałam na zegar na ścianie.

– Dobrze, ale tylko chwilę.

I rzeczywiście, dokładnie tak mogło wszystko się potoczyć: dziewczęta oglądałyby telewizję, przekomarzały się, sprzedawały prenumeraty i od

czasu do czasu spędzały leniwe chwile na plaży. Gdyby nie Laura.

L edwie dziewczyny zdążyły się przebrać w piżamy, kiedy zjawiała się policja. Siedziałyśmy i czekałyśmy na serial, którego akcja rozgrywała się wśród młodzieży w Beverly Hills, w pobliżu Hollywood – co najwyraźniej miało znaczenie, bo w tytule był kod pocztowy: 90210.

Policjanci zapukali i nie czekając na odpowiedź, od razu weszli do środka. Okazało się, że drzwi były otwarte. Spojrzałam na nich zdziwiona, ale nie przestraszyłam się, spytałam, po co przyszli. Pokazali legitymacje i przedstawili się: James Galway i Emma Lance, oboje z wydziału narkotyków. Po raz pierwszy miałam do czynienia z kobietą policjantką. Mieli broń i walkie-talkie, ale nie mieli na sobie mundurów. Dziewczęta siedziały na kanapie i wyglądały jak małe dziewczynki.

– Co się stało? – spytałam.

– Siadaj – upomniała mnie kobieta niezbyt uprzejmie.

Usiadłam, a ona pokazała mi dokument, który okazał się nakazem przeszukania. Powiedziała, że chcą się trochę „rozejrzeć”.

– Podobno mieszka tu obywatelka brytyjska, Laura Branningham. Gdzie jest jej pokój?

Wskazałam pokój Laury. Bongo wstała z kanapy, ale policjant natychmiast zareagował:

– Masz siedzieć!

Siedziałyśmy więc na kanapie jak przerażone myszki, a policjant i policjantka krążyli po mieszkaniu. W telewizji leciała reklama proszku do prania, Bongo sięgnęła po pilota i wyłączyła telewizor. Zapadła gęsta cisza.

– Co mamy robić? – wyszeptała.

– Musimy ich słuchać – odpowiedziałam cicho.

Moje dłonie rosły, aż zrobiły się duże jak deski klozetowe. Nie wiedziałam, jak je ukryć. Miałam wrażenie, że dziewczęta w ogóle przestały oddychać.

– Czego szukają? – wyszeptała znów Bongo.

– Koki – odpowiedziała Bianca.

Policjanci otwierali wszystkie drzwi, sprawdzali w szafach, w szufladach, przeglądali ubrania, książki. Nie wiem, czego szukali, ale najwyraźniej tego nie znaleźli.

– Możemy zobaczyć wasze dowody? – poprosił w końcu policjant.

– Ja jestem tu tylko w odwiedzinach – powiedziałam.

– Co się stało z twoimi rękami? – Policjant wskazał głową na moje zabandażowane dłonie.

– Wypadek samochodowy – powiedziałam, co z czysto technicznego punktu widzenia było prawdą.

– Masz jakiś dowód tożsamości?

Sięgnęłam do plecaka i wyjęłam paszport.

– Nowa Zelandia? – spytał policjant.

– Jestem w drodze do Londynu – odpowiedziałam spokojnie. Moja wiza była ważna jeszcze pięć tygodni.

– Jak tu trafiłaś?

– Clay jest moją kuzynką – powiedziałam. Było to jedyne w miarę neutralne wytłumaczenie, które w tym momencie przyszło mi do głowy.

– A wy, dziewczęta?

Dziewczyny spoglądały to na mnie, to na siebie. Policjantka, która zdążyła już przeszukać kuchnię, wróciła do pokoju.

– W mieszkaniu są zameldowane trzy osoby – powiedziała. Spojrzała na kartkę, którą trzymała w ręce. – William Rockford, King Smith i Frank Hollingworth. Gdzie są te osoby?

– William nie żyje – powiedziałam. – Zmarł na AIDS kilka tygodni temu. King ma cukrzycę i jest na badaniach, a Clay... to znaczy Frank, pojechał go odwiedzić.

– Kto to jest Clay?

– Ona, to znaczy... Tak mówimy na Franka.

– Czy w tym mieszkaniu odbywa się sprzedaż narkotyków? – spytał policjant.

- Niczego takiego nie zauważyłam.
- Nie wpadają tu różni dziwni ludzie, o dziwnych porach dnia i nocy?
- Bardzo rzadko ktoś nas odwiedza.
- Jak dobrze znacie Laure Branningham?

Dziewczyny patrzyły na swoje dłonie.

- Nie wiedziałam, że ma Branningham na nazwisko – powiedziałam.
- Ale wiesz, że jej mąż zgłosił jej zaginięcie?

Nie odpowiedziałam, bo nie miałam pojęcia, że Laura ma męża.

- A co wy, dziewczęta, tu robicie? – spytała policjantka.
- Mieszkamy tu – odezwała się cicho Bongo.
- Macie jakieś dowody tożsamości?

Obie pokręciły głowami.

- Ile macie lat?
- Czternaście – powiedziała Bongo.
- Trzyście – wyszeptała Bianca.
- Kto jest waszym opiekunem?

Żadna nie odpowiedziała.

– Czy któraś z osób tu zameldowanych jest waszym formalnym opiekunem?

Bianca zerknęła na Bongo, żadna z nich się nie odezwała.

- Ale obie tu mieszkacie?

Dziewczyny przytaknęły, policjantka westchnęła głęboko.

– W porządku – powiedziała, wkładając kartkę do kieszeni spodni. – Pójdziecie z nami. Musimy ustalić waszą tożsamość. Weźcie szczoteczki do zębów i idziemy.

- Chwileczkę – weszłam jej w słowo.
- Jeszcze nie odrobiłam lekcji – zmartwiła się Bongo.
- Weź ze sobą podręczniki – doradził policjant. Wydawał się miłszy niż jego koleżanka.

Policjantka razem z Bongo i Biancą poszły do pokoju dziewcząt.

Słyszałam, jak otwierają i zamykają szuflady, ktoś przesunął krzesło.

– Co zamierzacie? – spytałam, ale nie dostałam odpowiedzi.

– Proszę nie wstawać – powiedział policjant.

Po kilku minutach policjantka wyszła z pokoju, prowadząc przed sobą obie dziewczyny. Każda miała trzymać pakunek: Bianca plecak, Bongo swoją torbę z czarnego materiału. Na piżamy włożyły kurtki.

Wstałam i stanęłam przed nimi, blokując drzwi.

– Dzieci tu mieszkają. Chodzą do szkoły. Są zadbane, mają co jeść, mają ubrania. Dlaczego chcecie je stąd zabrać?

– Odsuń się – rzuciła policjantka.

– Dokąd je zabieracie? Gdzie będą spały? Jaką mam pewność, że ktoś się nimi zajmie?

Policjantka zrobiła krok w moją stronę.

– Ostrzegam po raz ostatni. Odsuń się albo ciebie też zabierzemy ze sobą. W kajdankach – dodała.

Kiedy wyjęła kajdanki z kieszeni przy pasku, cofnęłam się odruchowo. Policjant chwycił mnie za ramiona i wcisnął w kanapę, zabolęła mnie ręka. Bongo zaczęła płakać.

– Kiedy wrócą? – zawołałam.

Policjant zamknął drzwi, a ja czułam, jak narasta we mnie panika. Przez listwy żaluzji zobaczyłam idącą galerią Bongo i jej wykrzywioną strachem twarz.

Kiedy tłumaczyłam Clay, co się stało, głos wiązał mi w gardle.
Clay nie zezłościła się.

Usiadła przy stole. W pokoju było ciemno – tylko z kuchni dochodziło słabe światło – więc nie widziałam jej twarzy. Siedziała w milczeniu dobrą minutę.

– Ile warte są twoje perły? – spytała w końcu cicho.

Podalam jej cenę rynkową.

– Za tę dużą zieloną mogę dostać pięć tysięcy, za mniejsze tysiąc za każdą. Martwisz się o Bongo?

Clay wstała, podeszła do okna wychodzącego na galerię i przez firanki wyjrzała na zewnątrz.

– Spakuj swoje rzeczy – powiedziała. – Weź ze sobą wszystkie ubrania, które są na ciebie dobre. Pod łóżkiem Laury stoi walizka, weź ją.

– Naprawdę uważasz, że...

– Jak najszybciej – powiedziała i ruszyła do swojego niewielkiego pokoiku.

Wstałam i zrobiłam, co mi kazała. Clay wzięła dużą torbę sportową, włożyła do niej kilka książek z regału, po czym z zielonego pudełka wyjęła jeden ze swoich paszportów.

Laura miała mnóstwo ubrań, niektóre były w moim rozmiarze: głównie spodnie i spódniczki, bluzki były na ogół na mnie za duże.

– Co z rzeczami dziewcząt?

– Nie będą ich potrzebowały – stwierdziła Clay. Podeszła do drugiego okna i znów wyjrzała na zewnątrz.

Włożyłam rzeczy do walizki Laury. Wzięłam też T-shirt Bongo z namalowanym drutem kolczastym, a do plecaka wrzuciłam jej mapę Londynu.

Kiedy wróciłam do pokoju dziennego, Clay stała już przy drzwiach, w ręce miała dużą torbę, mniejszą przewiesiła przez ramię.

– Dokąd jedziemy? – spytałam.

– Dzisiaj przenocujemy w motelu. Podejmę pieniądze z konta. Nie jest ich dużo, więc sprzedamy twoje perły.

– A potem?

Clay uchyliła drzwi, nasłuchiwała głosów z ulicy, ale słychać było jedynie podmuchy wiatru – i ciszę. Otworzyła drzwi i spojrzała na mnie przez ramię.

– Rozumiem, że byłeś w drodze do Londynu?

LONDYN

Sklepienie katedry unosiło się nade mną niczym powierzchnia wody. Przez pryzmy szkła wpadały promienie słońca, wprawiając powietrze w drżenie. Byłam na dnie i patrzyłam do góry, miałam wrażenie, że jestem w stanie absolutnej nieważkości, mogłam jednocześnie nurkować i szybować w powietrzu. Poruszałam się, nie napotykając żadnego oporu, oddychałam, słyszałam, jak moje kroki odbijają się echem od ścian, jak fale od rafy.

Wszystko było tak, jak to sobie wyobrażałam. Tyle że większe. Lżejsze. Potężniejsze. Czułam wokół powietrze, chłodne powiewy jasności.

Byłam tu. Byłam tu. Byłam tu.

Po raz pierwszy usłyszałam bicie katedralnych dzwonów, będąc w toalecie schroniska turystycznego, w którym się zatrzymałyśmy. Dźwięki docierały do mnie przez kilkusetletnie mury niczym dalekie echo, stłumione, a jednocześnie kruche i delikatne, jak fale laguny. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, by mnie pochłonęły: były we mnie, oddychałam nimi, czułam je w płucach. Tak właśnie brzmiała pieśń czarnych pereł. Stałam się nią, stałam się muzyką, otoczona dźwiękiem dochodzącym z katedry wróciłam do miejsca, w którym dorastałam.

Tym razem zarezerwowałam pokój z wyprzedzeniem – nie chciałam popełnić błędu, który popełniłam, przyjeżdżając do Los Angeles. Schronisko turystyczne należało do sieci schronisk młodzieżowych YHA, a wybrałam je z jednego powodu: było oddalone zaledwie o przecznicę od katedry Świętego Pawła w Londynie. Budynek schroniska przy Carter Lane był stary i bogato zdobiony. Pierwsze zabudowania powstały w tym miejscu już w XII wieku. Pierwotnie mieścił się tu internat dla chłopców z chóru, na niektórych drewnianych ścianach nadal widniały zostawione przez nich bazgroły. Clay i ja miałyśmy wspólny pokój z dwoma oddzielnymi łózkami. Pościel była wliczona w cenę, ale ręczniki musiałyśmy wypożyczyć. Katedra czuwała nad nami niczym potężny cień, przerażająco potężna i zapierająca dech w piersiach.

Chodzenie po Londynie przypominało pływanie w lodowatym prądzie morskim, całkowicie innym niż ten w Los Angeles. Potężna ludzka fala unosiła mnie, a nacisk na klatkę piersiową był porównywalny z tym, co czułam, nurkując.

– Wcale nie jest zimno – upierała się Clay. – Jest czerwiec, do cholery. I wcale nie ma takiego tłoku, to znaczy kiedy już minie poranny szczyt.

Była zmęczona i kapryśna. Twierdziła, że nie zmrzyła oka podczas lotu, ja natomiast przespałam całą podróż. Z lotniska jechałyśmy najpierw kolejką, a potem autobusem i metrem. Zameldowałyśmy się w schronisku, pokazując nasze paszporty – w podróży towarzyszył mi nie Frank, tylko Rita Hollingworth.

Dostałyśmy pokój na pierwszym piętrze. Clay położyła się na plecach na łóżku i w milczeniu wpatrywała się w sufit. Ja zostawiłam w pokoju walizkę Laury, poszłam zrobić siku i ruszyłam do katedry. Przez pierwsze pół godziny stałam na środku nawy, lekko się chwiejąc, bo po podróży ledwie trzymałam się na nogach. Potem zapaliłam świeczkę i pomodliłam się, by Pan czuwał nad moimi dziećmi, a także nad Beverly, Bongo i Biancą, żeby sprawił, by władze w Los Angeles zrozumiały, ile dobrego Clay zrobiła dla tych dzieci. Modliłam się o pokój dla duszy Moany i Erika, jeśli nie żył, a jeśli żył, to modliłam się, by Bóg zlitował się nad nim, niezależnie od tego, kim Erik był i co zrobił.

Kiedy dzwony wybrzmiły po raz trzeci, wróciłam do schroniska. Clay nadal leżała na łóżku, nie spała, ale nie odezwała się, kiedy weszłam do pokoju. Prawdę mówiąc, w ogóle niewiele mówiła od chwili, kiedy opuściłyśmy mieszkanie przy Citrus Avenue. Usiadłam na łóżku i sięgnęłam po mapę Londynu: ledwie się na nim mieściła. Powiodłam wzrokiem po ulicach Londynu, mając w trzewiach głuchy dźwięk dzwonów katedry.

Miasto Erika. Jego świat, ten prawdziwy.

Znalazłam Lombard Street numer 71. Tuż obok stacji metra Bank, co wydało mi się bardzo odpowiednią nazwą. Wodziłam palcem po płataninie

ulic i zaułków.

Clay odwróciła głowę, spojrzała na mapę i spytała:

– Dlaczego Erik tam pracował? Rozmawialiście o tym?

Pokręciłam głową i złożyłam mapę.

– To bardzo dziwne. Właściwie nie wolno mu było tu pracować. Szwecja nie należy do Unii. Prowadzą rozmowy o członkostwie, ale to jeszcze nic konkretnego. Jak on się tu znalazł?

Clay usiadła na łóżku, postawiła swoje wielkie stopy na drewnianej podłodze.

– Pracował dla rosyjsko-chińskiego banku w Wielkiej Brytanii. Mówił po rosyjsku? Albo po chińsku?

– Nie sądzę, ale nie wiem na pewno.

– Pewnie pracował jako ekspert. W dziedzinie, która przypuszczalnie miała coś wspólnego z tematem jego doktoratu, czyli amerykańskim Systemem Rezerwy Federalnej, lub mówiąc wprost, z centralnym bankiem Stanów Zjednoczonych.

Clay wstała.

– Muszę coś zjeść – oświadczyła.

W schronisku można było zjeść śniadanie i lunch, ale teraz w Londynie był środek dnia, a dla nas była jeszcze noc. Postanowiliśmy wyjść i znaleźć jakiś lokal.

Było w czym wybierać.

Clay zażyczyła sobie *fish and chips* – zdarzało się, że czasem jadała ryby. Weszliśmy do ciemnego pubu z długim barem, gdzie podawano rybę gotowaną w tłuszczu z kawałkami ziemniaków, też gotowanymi w tłuszczu, i z gęstym sosem, który miał lekko kwaśny smak. Clay wypila dużą szklankę piwa, bo, jak twierdziła, do tego dania pasowało tylko piwo. I przestała się tak bardzo smucić.

– Dokąd zmierzał Erik? – spytała. – Kiedy rozbił się na Manihiki.

Dotarło do mnie, jak niewiele o nim wiedziałam, ale musiałam się z tym

pogodzić.

– Kupił jacht w Papeete na Tahiti. Płynął na zachód. Nie wiem, dokąd zamierzał dopłynąć, ale miał wiele miejsc do wyboru. W grę wchodziły Tonga lub Rarotonga, Samoa Amerykańskie, Fidżi, Niue czy Nowa Kaledonia, a nawet Wyspy Salomona.

– Twierdził, że płynął sam? Tak powiedział?

– Tak powiedział funkcjonariuszowi policji, Everestowi.

– A co ty o tym sądzisz?

Spuściłam głowę, wpatrywałam się w talerz.

– Myślę, że był w drodze dokądś, ale rozbił się na rafie.

Clay przeżuwała nerwowo, rozglądając się po lokalu.

– Dzisiaj niemal w każdej wsi jest lotnisko – powiedziała, przełykając. – Dlaczego nie poleciał samolotem? Dlaczego postanowił utrudnić sobie życie, wybierając ten cholerny jacht?

Spojrzała na mnie, jakby oczekiwała ode mnie odpowiedzi.

– Zapewne wiedział, że ci, którzy go szukają, mają dostęp do list pasażerów poszczególnych linii lotniczych. Nie chciał, żeby go namierzono. Czy kiedykolwiek przejawiał gwałtowne skłonności?

Chciałam zaprzeczyć, ale słowa ugrzęzły mi w gardle jak ości.

– Na Manihiki zabił człowieka. Napisano o tym w gazecie i pewnie dlatego go znaleźli.

Clay znieruchomiała z kuflem piwa w ręce.

– Zabił człowieka? – powiedziała. – Z a b i ł c z ł o w i e k a na Manihiki? – powtórzyła, odstawiając kufel z hukiem. – Powiedz, że to nieprawda.

– To nie tak, jak myślisz – weszłam jej w słowo. – Wiem, że tego nie chciał.

Clay zamknęła oczy.

– To nie tak, jak myślisz – powtórzyłam.

Clay westchnęła głęboko i rzuciła mi zmęczone spojrzenie, a jej

zmęczenie nie wynikało jedynie z długiego lotu samolotem.

– Nie jestem naiwna, nie aż tak – powiedziałam.

– Boże drogi – jęknęła Clay.

Piłyśmy kawę w milczeniu.

– Jak myślisz, co się stanie z Bongo i Biancą? – spytałam ostrożnie, kiedy Clay odstawiła już filiżankę.

Zgarnęła kilka okruchów z blatu stolika i wyjrzała przez okno. Padał deszcz, szara mżawka wisiała w powietrzu.

– Nie mogę wrócić do Stanów. Obie dziewczynki zostały wiele lat temu zgłoszone władzom jako zaginione. Britney zabrałam ze szpitala, kiedy miała siedem lat. Frank Hollingworth jest obecnie poszukiwany we wszystkich stanach. Oskarżają mnie o porwanie.

Zrobiło mi się smutno, zamilkłam. Clay spojrzała na mnie i uśmiechnęła się niepewnie.

– W porządku, Kiona. Nikt nie jest wieczny – stwierdziła i wstała. –

W Aldermanbury jest biblioteka – dodała po chwili. – Pójdę tam. Wrócę koło szóstej.

Wzięła moją mapę, czy raczej mapę Bongo, znalazła ulicę, przy której był pub, gdzie siedzieliśmy, przesunęła palcem po mapie.

Lombard Street była pięć centymetrów dalej. Pomyślałam, że bez problemu dotrę tam na piechotę.

Miałam wrażenie, że płynę między martwymi rafami koralowymi. Szare korpusy budynków sięgały powierzchni wody, pochłaniając całe światło. W mule na dnie pełzali ludzie i samochody, psy i motorowery. Deszcz jakby zawisł w powietrzu.

Musiałam chwilę poszukać, zanim dotarłam pod właściwy adres, pod numer siedemdziesiąt jeden.

Budynek był duży, masywny. Milcząca fasada z symetrycznie rozmieszczonymi oknami i strzelistymi kamiennymi detalami. Z okien nie wydostawało się żadne światło. Budynek pełen ciszy.

Minęłam go, idąc z opuszczoną głową. Rzuciłam okiem na fasadę.

Nie było tu żadnego banku.

W drodze z pubu minęłam kilka, wyglądały jak ARB w Avarua, więc wiedziałam, czego mam szukać.

Na 71 Lombard Street w Londynie nie było żadnych sklepów ani w ogóle żadnych punktów usługowych.

Zatrzymałam się przed restauracją kawalek dalej. Przeczytałam kartę dań: podawano tu ślimaki w sosie czosnkowym i pieczone żabie udka. Zawróciłam, tym razem szłam wolniej.

Nie, to na pewno nie był bank. Drzwi były z ciemnoszarego drewna i sprawiały wrażenie ciężkich. Zatrzymałam się, próbowałam uspokoić bicie serca. Po chwili wahania podeszłam bliżej i zaczęłam studiować umieszczone na drzwiach dyskretne tabliczki. Kancelaria adwokacka, firma zajmująca się transportem morskim, ale tabliczki z Yinhang Dengi Finance nie widziałam. Zauważyłam natomiast kamerę umieszczoną na kamiennym występie z lewej strony drzwi. Spojrzałam w błyszczącą soczewkę, po czym spuściłam wzrok i szybko odeszłam.

W drodze powrotnej zabłądziłam. Szłam, kierując się dźwiękiem dzwonów, które – jak się okazało – doprowadziły mnie do niewielkiego kościoła Świętej Małgorzaty.

Dziwnie się czułam, krążąc bez celu między kamiennymi pałacami.

W końcu zatrzymałam taksówkę i wróciłam na Carter Lane. Na brak pieniędzy nie mogłam narzekać. Znalezienie handlarza pereł w jubilerskiej dzielnicy Los Angeles było jak ustrzelenie papugoryby w lagunie, za każdą rafą kryła się jakaś. Dwóch pierwszych próbowało mnie oszukać, ale trzeci przyjrzał się dokładnie perłom i zrozumiał, że są dużo warte. Musiałyśmy spędzić jeszcze jedną noc w Los Angeles, podczas gdy kupiec negocjował z kimś cenę, w końcu jednak wziął je wszystkie.

– Miło było robić z panią interesy – powiedział na koniec, podając mi rękę.

– Kto kupi tę dużą zieloną? – spytałam. Wiem, że to nie była moja sprawa, ale nie potrafiłam się powstrzymać.

Handlarz zaczął się śmiać.

– Pójdzie tam, gdzie dzisiaj są pieniądze – powiedział. – Do Rosji.

Kiedy wróciłam do schroniska, nasz pokój był pusty. Clay jeszcze nie wrócił.

Położyłam się na łóżku i zasnęłam jak kamień.

Ciemność była gęsta i szara. Światło z ulicy w dole pulsowało rwanym rytmem na suficie i ścianach, pewnie były to światła samochodów w dole. Clay spała głęboko na łóżku obok mnie, zakryta kocem po nos. W pokoju było lodowato zimno, chłód ciągnął od okna. Drżąc z zimna, poszłam do łazienki na korytarzu. Piętro wyżej jacyś mężczyźni śmiali się i krzyczeli, ich głosy sprawiły, że poczułam nieracjonalny strach. Wróciwszy do pokoju, stanęłam przed wąskim podłużnym lustrem, przyglądałam się sobie, nie mogąc zrozumieć, co się stało.

Moje ciało było białe jak kreda. Poruszyłam rękami, żeby upewnić się, że to rzeczywiście moje odbicie. Włosy mi odrosły i znów były długie – z wyjątkiem plamy na potylicy – i czarne jak zawsze. Dwa miesiące chodzenia w długich spodniach i bluzkach z długim rękawem – co nigdy wcześniej mi się nie zdarzyło – zrobiło jednak swoje. Moja skóra była teraz równie jasna jak skóra Mamy Evelyn.

Nie przypominałam już mieszkanki Manihiki, pomyślałam, że być może nigdy tak naprawdę nią nie byłam. Kiedy sobie to uświadomiłam, poczułam smutek. Nie byłam na to przygotowana.

– Znalazłam Yinhang Dengi Finance w brytyjskim rejestrze firm – usłyszałam za plecami głos Clay.

Zagryzłam zęby, odwróciłam się i szybko wsunęłam z powrotem pod koc.

– I czego się dowiedziałaś?

– Informacje są na mikrofiszkach. Zamówiłam wszystko, co mają. Muszę poczekać kilka dni. Ale firma istnieje i ma siedzibę w Londynie.

– Byłam tam – powiedziałam. – Na pewno nie mają biura przy Lombard Street siedemdziesiąt jeden.

– Mają, tylko się tym nie afiszują. Yinhang Dengi Finance nie jest zapewne typową instytucją kredytową, udzielającą pożyczek czy prowadzącą konta. Z braku innego określenia można ją nazwać instytucją finansową lub przedsiębiorstwem inwestycyjnym.

Przyglądałam się grze świateł na suficie, gdzieś nad nami ktoś bez przerwy się śmiał. Clay usiadła na łóżku, wypła łyk wody z plastikowej butelki.

– Yinhang Dengi Finance najwyraźniej interesowało się amerykańskim Systemem Rezerwy Federalnej, skoro zatrudnili Erika. Zastanawiam się, co, do cholery, robią tu w Londynie.

Zamknęłam oczy i przełknęłam łzy.

– Dlaczego miałby tu nie być? – spytałam, a mój głos w chłodnym powietrzu brzmiał wyjątkowo słabo.

– Być może handlują dolarami.

– I co z tego wynika?

– To waluta światowa. Cały globalny handel się na niej opiera.

– Ale dlaczego...

– Ani rosyjskim, ani chińskim firmom nie wolno handlować amerykańskimi akcjami, natomiast mogą to robić firmy brytyjskie. Być może dlatego tu są.

Clay westchnęła i przetarła ręką czoło.

– Powinam była przywyknąć do jet lagu – powiedziała, stawiając butelkę na podłodze.

Na widok mojej zdziwionej miny odchrząknęła i wstała.

– Przez dziesięć lat pracowałam jako stewardesa na liniach międzykontynentalnych – powiedziała i poszła do toalety.

Zaczęłam się zastanawiać nad amerykańskimi dolarami w walizce Erika. Waluta światowa.

Clay wróciła do pokoju.

– Byłaś stewardesą, potem finansistą, a jeszcze potem pielęgniarką na izbie przyjęć – powiedziałam.

– A jeszcze wcześniej byłam w armii – uzupełniła moją wyliczankę Clay.

– Byłaś w Wietnamie?

– W Korei. Ósmy pułk kawalerii.

– Naprawdę? Zabiłaś kogoś?

– Walczyliśmy pięćset czterdzieści dziewięć dni bez przerwy – powiedziała krótko.

Przez chwilę leżałyśmy w milczeniu. Clay położyła ręce pod głowę i patrzyła w okno. Było wpół do trzeciej nad ranem, ale w Los Angeles był wieczór. Myśli kłębiły mi się w głowie, nie mogłam się skupić: nazwy różnych gatunków ryb przeplatały się ze zwitkami banknotów dolarowych i z czarnymi perłami, fragmenty piosenek – *gdybyś była falą* – Boże, przecież dałeś mi znak, jestem szczęśliwa.

– Dlaczego? – spytałam. – Dlaczego te różne wcielenia?

Clay znów głęboko westchnęła.

– Walczyłam – powiedziała. – Cholernie długo ze sobą walczyłam, ale nigdy nie czułam się dobrze w ciele mężczyzny.

Zamilkła, jakby się wahała, czy mówić dalej, czy nie. W końcu powróciła do swojej opowieści. Pierwszy zabieg zmiany płci przeprowadziła w Kopenhadze, ale to był – jak stwierdziła – „cholerny błąd”.

– Być kobietą to piekło. Urodziłam się czarna, więc sądziłam, że wiem, jak to jest być obywatelem drugiej kategorii, mniej wartościowym. – Roześmiała się. – Byłam w błędzie. Ludzie albo w ogóle się do mnie nie odzywali, jakbym była idiotką, albo przerywali mi, kiedy tylko próbowałam coś powiedzieć, ignorowali moje argumenty. Płacili mi za moją pracę mniej, niż gdybym była facetem, no i byli przekonani, że mogą się ze mną pieprzyć, kiedy tylko przyjdzie im ochota.

Zaczęłam intensywnie mrugać.

– Naszym atutem jest dziewictwo, nasza świeżość – ciągnęła Clay. – Mężczyźni z czasem „zdobywają doświadczenie”, a kobiety się „zużywają”. Chociaż wytrzymałam długo. Zwiedziłam świat. Potem jednak wróciłam do mojej dawnej płci.

Finansista na Wall Street, pomyślałam.

– I co było dalej? – spytałam.

Znów głębokie westchnienie. Przypomniałam sobie słowa Williama: „Była bardzo inteligentna, ale nie dość bezwzględna, żeby osiągnąć sukces”.

– Zaczęłaś bardziej doceniać mężczyzn? – spytałam.

Clay chwilę się zastanawiała.

– Świat finansów sprawił, że zaczęłam inaczej myśleć. Postanowiłam, że chcę po prostu być przydatna. Podjęłam wszystkie oszczędności i zapisałam się na studia pielęgniarskie. Ale kiedy wzięłam do siebie Britney, nie mogłam już potem wrócić do pracy w szpitalu.

– To było w Los Angeles?

– W Hoboken, w New Jersey.

Nie wiedziałam, gdzie leży New Jersey.

– Prawdę mówiąc, to właśnie tam zaczyna się historia Systemu Rezerwy Federalnej – powiedziała Clay. – Pewnego listopadowego wieczoru tysiąc dziewięćset dziesiątego roku na stacji kolejowej w New Jersey, a dokładnie dwudziestego drugiego listopada. Tego samego dnia wiele lat później zamordowano Kennedy’ego... – Clay urwała, spojrzała na mnie. – Wiesz, jak powstał System Rezerwy Federalnej? – spytała.

Pokręciłam głową, skuliłam się pod kocem, objęłam kolana rękami.

Clay poprawiła się na łóżku i zaczęła opowiadać, jak to pewnego wieczoru późną jesienią 1910 roku prywatny wagon kolejowy zatrzymał się na bocznym torze niedaleko Hoboken, tuż obok rzeki Hudson, gdzie ona siedemdziesiąt lat później zaczęła pracować jako pielęgniarka. Właścicielem wagonu był amerykański senator Nelson Aldrich, teść Johna D. Rockefellera juniora. Pod osłoną mroku do wagonu weszła grupa mężczyzn, wchodzili pojedynczo, bo spotkanie było tajne. Jego uczestnikami byli właściciele i szefowie kilku największych amerykańskich banków i przedsiębiorstw finansowych: dyrektor National City Bank, jeden z właścicieli J.P. Morgan, wicedyrektor Bankers Trust Co i wiceminister finansów. Wszyscy razem udali się na wyspę u wybrzeży Georgii, Jekyll Island, na spotkanie klubu zrzeszającego Morganów, Rockefellerów, Warburgów i Rothschildów.

Niektóre nazwiska były mi znane, chociaż nie bardzo wiedziałam, kto był kim.

– Mówimy tu o najbogatszych i najpotężniejszych ludziach świata zachodniego – podkreśliła Clay. – Ludzie ci postanowili stworzyć kartel i przejąć amerykańską gospodarkę. Dziewięć dni dyskutowali, jak to zrobić, aż w końcu powstał dokument ustanawiający System Rezerwy Federalnej, który określał zasady funkcjonowania rynku finansów.

Clay przerwała na chwilę, wypła łyk wody. Czekałam w napięciu.

– Wyobraź sobie, że udało im się zyskać poparcie dla wspomnianego dokumentu zarówno w Izbie Reprezentantów, jak i w Senacie. W Wigilię tysiąc dziewięćset trzynastego roku dokument ten stał się obowiązującym prawem.

– Prawem? – zdziwiłam się. – To znaczy, że...

– Najbogatsi finansiści Stanów Zjednoczonych określili zasady działania własnych przedsiębiorstw, ale to nie koniec. Ustawa dała im prawo kontrolowania i rozprowadzania amerykańskiej waluty.

– Dolara?

– Tak jest. Oficjalnie władze na pewno zaprotestowałyby przeciwko takiemu określeniu, ale efekt jest taki, że amerykańska waluta jest dzisiaj w prywatnych rękach.

Nie potrafiłam zrozumieć, jak to możliwe. Jak kilka pojedynczych osób może posiadać światową walutę?

– Dlaczego politycy się na to zgodzili? – spytałam.

– Finanse były pogrążone w chaosie. Istniała rzeczywista potrzeba uregulowania i zreformowania rynku finansowego, ale finansiści oczywiście nie rozgłaszali, że tak naprawdę to oni sami byli autorami ustawy o Systemie Rezerwy Federalnej. Spotkanie na Jekyll Island pozostawało przez dziesiątki lat tajemnicą. Nie wszystko udało im się przeforsować, ale większość tak. Podobno prezydent Woodrow Wilson, który podpisał ustawę, potem tego żałował, ale nie jestem przekonana, czy rzeczywiście tak było.

Clay usiadła i zapaliła lampkę przy łożku.

– System Rezerwy Federalnej wydaje się bardzo skomplikowany, ale tak naprawdę opiera się na trzech filarach. Istnieje zarząd składający się z siedmiu członków, jest dwanaście banków regionalnych i specjalny komitet zajmujący się walutą. W ten sposób wymieszano różne interesy, stwarzając pole do konfliktów.

Czułam, że zaczynają mi się zamykać powieki. Clay też to zauważyła.

– Poczytam sobie chwilę – oświadczyła.

Odwróciłam się plecami do lampki i zasnęłam.

C lay spała z otwartymi ustami, nie wydając żadnych dźwięków. Ubrałam się po cichu, starając się jej nie obudzić.

W schronisku można było zjeść śniadanie, które określano tu jako „kontynentalne”; składało się z bułki pszennej posmarowanej kolorową galaretką, o smaku błyszczyka Bianki.

W recepcji poprosiłam o numer telefonu schroniska. Dostałam wizytówkę z adresem i numerem telefonu.

– Chcesz mapę? – spytała kobieta w recepcji.

– Dziękuję, mam swoją – odpowiedziałam. – Czy wszystkie numery telefonów w Londynie składają się z dziewięciu cyfr? – spytałam, ale w tym momencie zadzwonił telefon i kobieta zajęła się rozmową.

Na ulicy kupiłam kawę w papierowym kubku i obeszłam dookoła katedrę. Z zewnątrz przypominała zwykłą rafę koralową, milczącą i nieco nieforemną, co mnie trochę uspokoiło.

Naprzeciwko apteki była ogólnie dostępna czerwona budka telefoniczna. Włożyłam monetę w odpowiednią szczelinę i wybrałam numer schroniska, pomijając ostatnią cyfrę. Nie dostałam połączenia. Odzyskałam monetę i ruszyłam w stronę Wood Street, gdzie zgodnie z mapą powinien być komisariat policji. Tak rzeczywiście było, tyle że komisariat okazał się zamknięty w soboty i święta – dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że przecież jest sobota. Następny komisariat był przy Snow Hill, ale też był otwarty od poniedziałku do piątku między 7.30 a 19.30. Zdążyłam zgłodnieć, więc kupiłam kanapkę w plastikowym pojemniku, którą zjadłam na ławce w parku. Mijali mnie ludzie, niekończący się strumień ludzi. Rozmawiali, śmiali się, jedni biegli, inni jechali na rowerze, niektórzy mieli w uszach słuchawki i słuchali muzyki, ludzie jedli, pili: samo życie.

Sprawdziłam, że na Bishopsgate był jeszcze jeden komisariat. Było to kilka kilometrów od miejsca, w którym się znajdowałam, ale postanowiłam pójść tam na piechotę.

Komisariat był otwarty.

Wzięłam kartkę z numerkiem i spokojnie czekałam na swoją kolejkę. Podeszłam do recepcji, gdzie za szklaną szybą, zapewne kuloodporną, siedział funkcjonariusz.

– Chce pani zgłosić zaginięcie? – spytał, kiedy przedłożyłam mu sprawę, z którą przyszłam; szkło tłumilo nieco dźwięk.

– Nie. Chcę się dowiedzieć, czy pewna osoba została zgłoszona jako zaginiona. To mężczyzna, Sebastian Andersson.

– Chce pani wiedzieć, czy mężczyzna ten zaginął?

– Tak, czy zostało zgłoszone jego zaginięcie.

Funkcjonariusz wysunął klawiaturę i zaczął coś wpisywać.

– To ktoś z rodziny?

– Nie. Przyjaciel – odpowiedziałam.

– Kiedy zaginął?

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku albo na początku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego.

Funkcjonariusz podniósł głowę znad klawiatury.

– To ponad cztery lata temu – powiedział. – W recepcji nie mam dostępu do tak starych akt. Jeśli zaginięcie zostało zgłoszone, to dokumenty trafiły do krajowego rejestru osób zaginionych, Police National Missing Persons Bureau, podlegającego policji metropolitalnej, The Metropolitan Police Service. Rozumiem, że mężczyzna mieszkał w tym okręgu, w okolicy Sankt Paul?

I znów to samo. Poczułam się głupio, wstydziłam się własnej niewiedzy. Ale szybko przełknęłam wstyd i spytałam, gdzie mieści się wspomniane przez niego biuro, które zajmuje się zaginionymi osobami. Funkcjonariusz podał mi adres: 27 Savile Row w Mayfair.

– Ale dzisiaj nie ma tam nikogo – uprzedził mnie. – Musi pani poczekać do poniedziałku. To znaczy jeśli pani „przyjaciel” się nie odnajdzie.

– Bardzo zabawne – skwitowałam i wyszłam.

Kiedy wróciłam, Clay siedziała na dole w holu i czytała książkę.

Wyszliśmy na miasto coś zjeść, mimo zjedzonej wcześniej kanapki byłam głodna. Tym razem wybrałyśmy indyjską restaurację, gdzie powietrze było aż gęste od intensywnie pachnących przypraw. Jedzenie paliło język i podniebienie.

Następnie pojechałyśmy metrem do Queensway, obejrzałyśmy pałac Kensington, w którym mieszkała księżna Diana. Pałac był ogrodzony, nie dało się podejść zbyt blisko. Miał szarobrazową fasadę, bardzo solidną, firanki w oknach były zaciągnięte. Słońce schowało się za chmury. Zastanawiałam się, dlaczego ludzie jeżdżą oglądać miejsca, w których kiedyś ktoś mieszkał czy przebywał. Sama poszłam na 71 Lombard Street tylko dlatego, że Erik kiedyś tam pracował. A może teraz też tam był? Czy gdzieś tam za firankami była księżna Diana? Jak wyglądało jej życie? Czy czuła się jak w akwarium?

– Wiesz, że próbowała popełnić samobójstwo? – spytałam.

– Andrew Morton tak twierdzi – powiedziała Clay. – Prawdę mówiąc, nie wiemy, z jakich źródeł korzystał.

Zrobiło mi się przykro, że zawsze kwestionowała moje wypowiedzi.

Wieczorem poszłyśmy do kina na *Cztery wesela i pogrzeb*. Była to opowieść właśnie o czterech weselach i o pogrzebie. W jednej ze scen ktoś powiedział, że był przekonany że miłość będzie trwać wiecznie, niestety mylił się. Te słowa zrobiły na mnie takie wrażenie, że niemal nie mogłam oddychać.

Vladimir – siedząc w samochodzie po śmierci Williama – powiedział: „Nic, do cholery, nie jest dane na zawsze”. Ale główni bohaterowie w końcu są razem i przyrzekają się kochać, dopóki śmierć ich nie rozdzieli. Na ostatnim ujęciu są z małym dzieckiem.

wtedy to się stało.

Poszłam do katedry Świętego Pawła, by przyjąć komunię.

Wszystko odbywało się mniej więcej tak, jak to sobie wyobrażałam, tyle że w środku było dość chłodno. Pieśń płynęła między ławkami, unosiła się, aż zawisała pod sklepieniem, ciało Chrystusa za mnie wydane, krew Chrystusa za mnie przelana, modliłam się do Pana o błogosławieństwo i litość, modliłam się, by czuwał nad ludźmi.

Wyznałam swą wiarę razem z innymi: „Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi. I w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedyne, Pana naszego: który się począł z Ducha Świętego; narodził się z Maryi Panny; umęczon pod Ponckim Piłatem, ukrzyżowan, umarł i pogrzebion.

Zstąpił do piekieł, trzeciego dnia zmartwychwstał. Wstąpił na niebios, siedzi po prawicy Boga Ojca wszechmogącego.

Stamtąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych.

Wierzę w Ducha Świętego, święty Kościół powszechny, świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny. Amen”.

Kiedy wróciłam, Clay już się obudziła. Zjadłyśmy lunch: chleb z cieciorką, wypiliśmy sok pomarańczowy i kawę.

Resztę dnia spędziłyśmy, chodząc po mieście.

Kiedy Clay pracowała w United Airlines, często bywała w Londynie, więc radziła sobie bez mapy. Poszłyśmy zobaczyć pałac Buckingham, gdzie mieszkała królowa Elżbieta. Królowej niestety nie zobaczyłyśmy. Przed bramą było tak dużo ludzi, że ledwie mogłyśmy przejść. Potem poszłyśmy na Downing Street 10, gdzie mieszkał premier. Dom nie był duży, ale premiera też nie udało nam się zobaczyć.

Wieczorem znów wybrałyśmy się do kina, tym razem na film rysunkowy, który niedawno miał premierę. Clay lubiła filmy rysunkowe. Ten opowiadał historię małego lwiatka w Afryce, które zostało królem swojego stada.

Pomyślałam, że Amirii spodobałaby się piosenka z filmu, miała tytuł *Krąg życia*.

W poniedziałek udałam się na komisariat Metropolitan Police Station w Mayfair, a potem nie miałam już odwrotu.

Byc może powinnam była zareagować natychmiast, domyśleć się, że coś jest nie tak, ale tak się nie stało. Przedstawiłam swoją sprawę w recepcji. Funkcjonariuszka w mundurze długo wpatrywała się w ekran komputera, po czym poszła do pokoju obok i zaczęła rozmawiać ze swoim kolegą. Po chwili wyszli oboje i poprosili, żebym poszła z nimi. Cały czas byli bardzo uprzejmi.

Wskazano mi pokój bez okna na trzecim piętrze. Na dworze padało i w drodze na komisariat zmokłam i zmarzłam. Inna kobieta spytała, czy chcę się czegoś napić: poprosiłam o filiżankę kawy. Kobieta zniknęła. Kawy nie dostałam.

Czekałam i czekałam. Poczułam dreszcze, coś było nie tak.

Po godzinie, może dwóch, do pokoju wszedł wysoki mężczyzna: w jednej ręce trzymał teczkę z dokumentami, w drugiej kubek z kawą. Wstałam, żeby się z nim przywitać, ale on zignorował moją wyciągniętą dłoń i oschłym tonem kazał mi usiąść. Przygotowałam się na zejście pod wodę.

– Inspektor kryminalny Steve Hammond – przedstawił się mężczyzna. Pochylił się nad stołem i zaczął przeglądać jakieś papiery. – Bianca Rockford, tak?

Skinęłam głową i uśmiechnęłam się. Miałam sucho w gardle.

– Ma pani jakiś dowód tożsamości?

Sięgnęłam po plecak, ale zastygłam w pół ruchu.

– Zostawiłam paszport w hotelu w sejfie.

Inspektor wypił łyk kawy.

– Jest pani *aussie*? – spytał.

– *Kiwi* – odpowiedziałam. – Pochodzę z Auckland, chociaż mieszkam w Los Angeles.

Podalam adres: 1336 North Citrus Avenue, Los Angeles, California 90028.

– Od jak dawna pani tam mieszka?

Policzyłam na palcach.

– Prawie od pięciu lat.

– Co sprowadza panią do Londynu?

– Zwiedzam katedry. Katedra Świętego Pawła jest niesamowita, najpiękniejsza ze wszystkich, które widziałam.

– A dużo ich pani widziała?

– Odwiedzam katedry, odkąd sięgam pamięcią.

Inspektor wypił resztkę kawy, odsunął kubek i spojrzał mi w oczy.

– Więc która jest druga najpiękniejsza? – spytał.

Powiesiłam plecak na oparciu krzesła, zastanawiałam się chwilę. Było dużo pięknych katedr.

– Świętej Marii – powiedziałam w końcu. – W Sydney. W stylu gotyckim, niezbyt stara, ale za to ogromna. Jest w środku miasta, widać ją z każdego miejsca.

– Hmm. – Inspektor nadal studiował leżące przed nim papiery.

W pokoju panowała cisza, słychać było jedynie szum wiatraka i szelest papierów, kiedy inspektor przewracał kartki.

– Dzisiaj rano przysłała pani tu i pytała o Sebastiana Anderssona. Dlaczego? – spytał, zamykając teczkę z dokumentami.

– Chciałam się dowiedzieć, czy być może został zgłoszony jako zaginiony – powiedziałam z udawaną lekkością.

– Dlaczego? – Inspektor się nie poddawał.

– Cztery lata temu spotkałam go w Los Angeles. Twierdził, że mieszka w Londynie, podobno pracował w banku. Mieliśmy się tu spotkać, ale numer telefonu, który mi podał, okazał się zły.

Inspektor odchylił się na krzesło.

– I dlatego uznała pani, że zaginął?

– Mówił, że być może będzie zmuszony zejść pod ziemię. Że ktoś go szuka. Uznałam, że przesadza, usiłuje być tajemniczy, ale już nigdy później nie udało mi się z nim skontaktować...

– Ma pani ten numer telefonu?

Wyjęłam z plecaka kartkę z zapisanymi ośmioma cyframi.

– Hmm. – Inspektor znów się zamyślił.

– Więc jak? – spytałam.

– Słucham?

– Zaginął?

Inspektor podał mi kartkę z błędnym numerem telefonu i wychylił się w moją stronę.

– Owszem. I bardzo nam zależy na tym, żeby go znaleźć. Chcielibyśmy się dowiedzieć, co pani wie o pewnej zbrodni sprzed czterech lat.

– Zbrodni? – powtórzyłam niczym echo.

– Podwójne morderstwo, niezwykle brutalne.

Zakręciło mi się w głowie.

– Proszę powiedzieć mi, co pani o nim wie.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza.

– Podwójne morderstwo? Czyli dwa morderstwa?

– Nie wspominał o tym?

Pokręciłam głową – przypominałam sobie huk, kiedy Ngaru upadł na ziemię.

– A wspominał kiedykolwiek o Isabel Sotnikovej? Albo Ivanie Grankinie?

– Mówił, że pracuje dla banku w Londynie, to wszystko. Jest o coś podejrzany?

– Miał dużo pieniędzy?

Tak, dwieście dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Chyba można tak powiedzieć. A o co chodzi?

– Jak się poznaliście?

Opowiedziałam o naszym spotkaniu w restauracji na nabrzeżu w Venice zimą 1990 roku, kiedy pracowałam w ośrodku pomocy dla weteranów wojennych w Santa Monica. Spotkaliśmy się kilka razy, kilka razy byliśmy

w kinie. Byliśmy na *Dirty Dancing*, to był mój wybór, i na *Szklanej pułapce* – jego wybór, rozmawialiśmy o książkach: ja o *Nieznośnej lekkości bytu*, on opowiadał mi o książce *Mniej niż zero*. Przyjechałam do Londynu zobaczyć katedrę Świętego Pawła. Umówiliśmy się, że odezwę się do niego, kiedy będę w Londynie. Dzwoniłam kilka razy, ale na próżno, więc skoro już tu przyjechałam, chciałam się dowiedzieć, czy nic mu się nie stało...

– Powiedział pani, że ktoś go ściga?

– Szuka.

– Powiedział może kto?

Milczałam chwilę.

– To miało coś wspólnego z jego pracą, ale nie powiedział co.

Inspektor sięgnął po pióro i teczkę i zaczął coś notować. Trwało to dłuższą chwilę.

– Rozumiem, że się „przyjaźniliście”? – powiedział na koniec, zamykając teczkę. – Blisko?

Spuściłam wzrok.

– Nie był moim chłopakiem, ale lubiłam go...

Inspektor westchnął głośno, nie próbując nawet tego ukryć.

– Kiedy ostatnio miała pani od niego jakieś wiadomości?

Jacht został zakupiony w Papeete 9 marca.

– Na początku lutego – powiedziałam, podnosząc wzrok. – To była sobota. Mieliśmy się spotkać, ale się nie pojawił.

– Pamięta pani datę?

– Trzeciego lutego – powiedziałam cicho. To był ten wieczór, kiedy upiłam się samogonem Tangi, nigdy tego nie zapomnę.

– A więc Sebastian Andersson był w Los Angeles trzeciego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku? – spytał policjant, rwąc sobie włosy z głowy.

Skuliłam się na krześle.

– Tego nie wiem. Możliwe, że wtedy już wyjechał. Mieliśmy się spotkać,

ale nie pojawił się...

- Jak długo się pani z nim spotykała?
- Jak zginęły ofiary?
- Kiedy spotkaliście się po raz pierwszy?

Ukryłam twarz w dłoniach.

- Dwa tygodnie wcześniej. To był sobotni wieczór.
- Dwudziestego pierwszego stycznia?

Wzruszyłam ramionami.

- Chyba tak...
- Jak nazywała się restauracja?

Wyprostowałam się, zaczerpnęłam głęboko powietrza.

– Dokładnie nie pamiętam. To taki niewielki lokal przy nabrzeżnej promenadzie, niedaleko jest sklep, gdzie sprzedają T-shirty, zaraz po drugiej stronie...

Pytania ciągnęły się bez końca. Z kim byłam? Ze znajomymi, z Laurą Smith i Kingiem Branninghamem. Sebastian przyszedł sam. Co robiliśmy? O czym rozmawialiśmy? Gdzie on mieszkał? Gdzie spotkaliśmy się po raz ostatni? Co wtedy robiliśmy? Czy podobała mu się książka *Mniej niż zero*?

W pewnym momencie spojrzałam inspektorowi w oczy i powiedziałam:

– Znakomicie lizał. Miałam orgazm za orgazmem. Wyobraża pan to sobie?

I wyszłam. Kiedy znalazłam się na ulicy, zauważyłam, że drżą mi ręce, ale dopiero kiedy dotarłam do pokoju, pozwoliłam sobie na płacz.

Clay nie przestraszyła się tak bardzo, jak się tego spodziewałam. Nic nie powiedziała, wzięła notes i zapisała wszystko, co jej powiedziałam, łącznie z nazwiskami, które wymienił funkcjonariusz.

– To musiało się wydarzyć przed dziewiątym marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, bo wtedy Erik był na Tahiti, gdzie kupił jacht – stwierdziła. Zamknęła notes, wstała i ruszyła do drzwi.

– Dokąd się wybierasz? – spytałam. Spanikowałam bez powodu.

– Biblioteka jest otwarta do ósmej – powiedziała Clay.

Nie chciałam siedzieć sama w chłodnym pokoju, więc poszłam do katedry, gdzie właśnie zaczynało się wieczorne nabożeństwo. Było dużo ludzi, usiadłam z tyłu i pozwoliłam pochłonąć się niebiańskim śpiewom. Dźwięki unosiły się pod złoconym sklepieniem, czyste jak kryształ. Ludzie zostali stworzeni do wiary, właśnie dlatego jesteśmy tu dzisiaj: bo wierzymy w to, co inni nam opowiadają. Książdz przeczytał opowieść o Kainie i Ablu z Pierwszej Księgi Mojżeszowej. Zabójstwo brata, pierwsze zabójstwo w historii ludzkości. Często rozmawiałyśmy o tym z Moaną. Moana miała studiować zarządzanie na uniwersytecie i jej zdaniem Bóg był kiepskim szefem. Kain i Abel harowali całymi dniami, Kain pracował w polu, Abel był pasterzem. Kiedy oddali swe plony Bogu, okazało się, że Bogu zależy jedynie na Ablu.

– To było bardzo niesprawiedliwe – stwierdziła Moana. – Kain orał i siał w pocie czoła, a Abel siedział na kamieniu i patrzył na owce. Jednak Bóg najwyraźniej bardziej cenił śliczne owieczki niż ziarno pod zasiew, więc zignorował Kaina, chwalać Abła.

Zwykle wtedy protestowałam, mówiłam, że tam z góry wszystko lepiej widać, ale Moana tylko parskała. Chór śpiewał chwałę Pana. „A łaska Jego niech spłynie także na tych, którzy się go lękają. Niech będzie pochwalony Bóg Ojciec, Syn Jego i Duch Święty, teraz i zawsze na wieki wieków, amen”.

Dozorca obudził mnie, mówiąc, że gasi światło i zamyka świątynię.

Szczałki Isabel Sotnikovej i Ivana Grankina znaleziono w Tamizie trzydziestego pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku – powiedziała Clay. Opadła na łóżko i zaczęła przeglądać notatki. – Ciała nosiły ślady tortur. Nie było informacji jakiego rodzaju. Przyczyną śmierci było uderzenie tępym narzędziem w głowę. Zostali zabici i wrzuceni do wody. To wszystko.

Na zewnątrz zrobiło się już ciemno, słabe promienie słońca nie docierały do naszego pokoju. Nie czułam się dobrze, miałam mdłości, wciąż nie zaadaptowałam się do zmiany czasu.

– Napisali, że Erik to zrobił?

– Mniej więcej. Policja podała, że o zbrodnię podejrzany jest znajomy pary.

Oddychałam z otwartymi ustami i robiłam wszystko, żeby nie zwymiotować. Clay spoglądała w lustro.

– Przez jakiś czas prasa rozpisywała się o zbrodni, ale potem zainteresowanie zmalało. To dziwne, bo tak spektakularne sprawy zwykle przyciągają znacznie więcej uwagi.

Przełknęłam ślinę i skuliłam się pod kocem.

– To chyba nie są angielskie nazwiska – powiedziałam. W pokoju nagle zrobiło się duszno.

– Nie, chyba rosyjskie, ale to nie byli szpiedzy, którzy kiedyś wybrali tu wolność. Gdyby tak było, zrobiłaby się wielka awantura. Najwyraźniej uznano to za wewnętrzne rozgrywki, a takie sprawy nie są medialne.

– Erik tego nie zrobił – powiedziałam.

– Policja jest innego zdania. Mam wrażenie, że wręcz są przekonani o jego winie.

Zamknęłam oczy.

– A co ty o tym sądzisz? – spytałam Clay.

– Nie mam podstaw, by sądzić cokolwiek.

– W ogóle?

– Wierzę, że zanim wyda się jakikolwiek osąd, trzeba sprawdzić fakty.
Takie jest moje zdanie.

Tej nocy wróciłam do pokoju nad warsztatem, byłam tam razem z Erikiem i dziećmi. Erik trzymał w ręku broń, a laguna była pełna martwych ryb.

Obudziło mnie bicie własnego serca.

Po raz pierwszy poprosiłam Clay o poranne gazety. Odstawiła filiżankę z kawą i podała mi plik gęsto zadrukowanych stron. Nie potrafię powiedzieć, co spodziewałam się znaleźć, może artykuł o Eriku lub jakieś informacje o Yinhang Dengi Finance, wzmiankę o morderstwie czy wręcz podwójnym morderstwie, ale to, co znalazłam, nie było interesujące.

– Kto ma siłę to wszystko czytać? – spytałam.

W Anglii było mnóstwo najróżniejszych gazet. Ludzie czytali je w kawiarniach, w parkach, nosili je ze sobą, szarawy zadrukowany papier wystawał z kieszeni i toreb lub używano go do ochrony przed deszczem.

– Media papierowe mają różne cele do spełnienia – oświadczyła Clay. – Niektóre pilnie śledzą wydarzenia w różnych istotnych obszarach naszego życia, informują czytelników na bieżąco i dogłębnie. Tego rodzaju gazety rozchodzą się na ogół w prenumeracie, czytelnicy dostają je do domów.

Pokazała mi gazetę ze stronami zapisanymi drobnym druczkiem.

– Japońscy socjaliści rozpoczęli rozmowy z premierem Tsutomu Hata na temat ewentualnej koalicji, Izrael i Organizacja Wyzwolenia Palestyny dyskutują kwestie związane z utworzeniem samodzielnego palestyńskiego państwa na Zachodnim Brzegu, na Ukrainie odbywają się wybory prezydenckie, uczestniczy w nich prezydent Leonid Krawczuk i były premier Leonid Kuczma... Ale spójrz na to. To są tabloidy. Nie mają ambicji pisania o polityce w dziwnych krajach, więc piszą o tym, co może skusić ludzi do kupienia numeru w kiosku.

Mój wzrok przykuł nagłówek:

KSIĄŻĘ KAROL: ZDRADZIŁEM DIANĘ

Dołączono zdjęcie pary książęcej, na którym Diana sprawiała wrażenie bardzo smutnej. Sięgnęłam po gazetę.

Tego samego wieczoru w telewizji miał być pokazany film dokumentalny poświęcony księciu. Pod koniec filmu pada pytanie, czy kiedy żenił się z Dianą, zamierzał być jej wierny. „Oczywiście”, odpowiedział. Na pytanie, czy mu się to udało, zawahał się chwilę, ale odpowiedział: „Tak”, po czym

dodał: „Aż – mimo wzajemnych starań – okazało się, że jednak się rozstajemy”.

Clay dopiła herbatę i wyszła do biblioteki.

Zapłaciłam za posiłek, złożyłam tabloid i schowałam do torby. Wyszłam na miasto. Po odwiedzinach na komisariacie w Savile Row unikałam policjantów i radiowozów. Ciągłe skupienie, ruch samochodowy i tłumy na ulicach i w sklepach sprawiły, że szybko poczułam się zmęczona. Tyle towarów, rzeczy, kto to wszystko kupuje? Ubrania, sprzęty gospodarstwa domowego, meble, sprzęt elektroniczny, po co tyle tego wszystkiego?

Poszłam do pałacu Kensington, gdzie mieszkała księżna Diana. Miała wszystko na wyciągnięcie ręki, a jednak normalne życie było poza jej zasięgiem. Zatrzymałam się i spojrzałam na zaciągnięte firanki. Byłam zdziwiona, że jej los tak mnie poruszył.

Weszłam do wielkiego parku tuż za pałacem i po chwili znalazłam się na Speaker's Corner. Tu każdy mógł stanąć, powiedzieć swoje zdanie i zostać wysłuchanym. I zawsze byli chętni. Moana z pewnością by to doceniła. Jakiś mężczyzna opowiadał właśnie o prawach górników. Starsza pani obok mnie słuchała go uważnie.

– Nie powiedział niczego zabawnego – stwierdziła, kiedy skończył.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, bo nie sądziłam, żeby mężczyzna zamierzał być zabawny.

– Wie pani, że widziałam tu Tony'ego Allena? I to dwukrotnie! – ciągnęła kobieta. Wyglądała jak kot, który pożarł papugorybę.

Wymamrotałam coś i odeszłam. Zastanawiałam się, czy Erik też tu czasem przychodził. A może był tak zapracowany, że nie miał na to czasu? Poza tym czy to miejsce w ogóle miało jakieś znaczenie? Czy przemowa górnika miała jakieś znaczenie? Zostawiła jakiś ślad? Czy też jedynym skutkiem było to, że wysłuchało go parę osób? Poczułam się dziwnie przygnębiona.

Na dużej ulicy niedaleko parku była księgarnia. Weszłam i zaczęłam się rozglądać. Dopiero po jakimś czasie zorientowałam się, że książki były też na górnych piętrach. Poczułam się oszołomiona, nie miałam pojęcia, że na świecie jest tyle książek. Bardzo dużo z nich opowiadało o przemocy i zabójstwach, o ludziach, którzy poczuli się Bogiem i uznali, że mają prawo decydować o życiu i śmierci. Wiedziałam, że Erik taki nie był.

Wiele godzin spędziłam wśród półek. Tyle słów, tyle opowieści, tylu bohaterów. Niektóre tytuły były mi znane. Miałam wrażenie, że nagle spotkałam starych znajomych z Manihiki. Początkowo brałam książki, które mnie interesowały, i wkładałam do koszyka. Kiedy się zapełnił, zaczęłam się zastanawiać, po co mi te wszystkie słowa. Gdzie je przechowam?

Wyszłam, nie kupiwszy żadnej książki.

Usiadłam na ławce w parku obok niewielkiego jeziora i zaczęłam czytać o Tomie, mistrzu budowlanym z *Filarów ziemi*. Przez ostatnie kilka dni padało, więc powietrze było czyste i ciepłe. Siedziałam tak, aż cienie zrobiły się długie. Zastanawiałam się, czy Erik tu czasem przychodził.

Niedaleko parku znajdowała się galeria sztuki. Pomyślałam, że zajrzę do środka, ale plakaty i rzeźby przy wejściu sprawiły, że poczułam się głupia, i zrezygnowałam. Nadal jednak stałam i obserwowałam galerię. Wokół budynku zaczęto ustawiać ogrodzenie. W pewnym momencie pojawił się strażnik i powiedział, że muszę się cofnąć. Część parku miała zostać zamknięta dla publiczności. Miała się tu odbyć impreza dobroczynna na rzecz Serpentine Gardens, tłumaczył strażnik. Dodał, że obecna ma być księżna Diana, która patronuje galerii.

Posłuchałam strażnika i odsunęłam się od barierek. Stałam kawałek dalej na niewielkim wzniesieniu. Dwie rzeczy nie dawały mi spokoju. Zastanawiałam się, czy księżna Diana rzeczywiście się zjawi i czy budynek naprawdę potrzebuje ochrony.

Wokół galerii zaczęło robić się tłoczno. Ustawiano kwiaty, nakrywano stoliki, jak podczas niedzielnych lunchów w Tukao. Nagle poczułam

tęsknotę tak silną, że aż zabrakło mi powietrza. W ustach miałam smak gotowanego okonia, owoców chlebowca, smażonej papugoryby, prosiaka gotowanego w wodzie morskiej, steku z *umata*, kokosowych naleśników i sałatki z makaronu.

W galerii zaczęli pojawiać się goście, a na wzniesieniu, gdzie stałam, zaczęło przybywać gapiów. Ludzie mieli ze sobą kanapki, niektórzy nawet krzesła, wszyscy rozmawiali, śmiali się, podobnie jak goście w galerii w dole. I wtedy zjawiała się o na. Wysiadła z błyszczącej czarnej limuzyny i szybkim, lekkim krokiem podeszła do niskiego mężczyzny – niższego od niej – podała mu rękę i ucałowała go w oba policzki. Miała na sobie krótką czarną sukienkę, gołe ramiona, na szyi naszyjnik z białych pereł, zastanawiałam się, skąd pochodzą. Ludzie bili brawo, i goście w galerii, i gapie obok mnie. W lewej ręce trzymała niewielką czarną torebkę, widziałam, jak wita się z gośćmi, śmieje się, rozmawia. Kobiety dygały przy powitaniu, jedna z nich wręczyła jej bukiet białych kwiatów, po chwili księżna weszła do galerii. Ludzie wokół mnie zaczęli głośno wymieniać uwagi: widziałaś, jaką ma sukienkę, Boże, jaka piękna, a ten cham, Karol, czy ona wiedziała, co on robi, i ta sukienka!

Powoli tłum zaczął rzednąć, ludzie zbierali swoje rzeczy i wracali do domów, zrobiło się ciemno, a ja nadal tam tkwiłam.

Księżna, wielka gwiazda, miała świat u swoich stóp, ale nie mogła widywać własnych dzieci, spotykała się z nimi zaledwie kilka razy w miesiącu. Jej mąż wyznał w wywiadzie telewizyjnym, że ją zdradzał, a ona śmiała się, rozmawiała z ludźmi, którzy ustawiali się w kolejce, by móc się z nią przywitać. Rzeczy nie były takie, jak nam się wydawały. Czasem rzeczywistość nam umykała.

Kiedy wróciłam, Clay już spała.

Następnego ranka obudziła się, zobaczyłam, że stoi nachylona nade mną, jej twarz tuż przy mojej twarzy.

– Wiem, gdzie mieszkał Erik.

45 Wilson Road, Camberwell, London SE5 8PE.

Kościół Świętego Idziego nie był katedrą. Była to stara i piękna świątynia na Wilson Road, dokładnie w miejscu, w którym ulica zmieniała nazwę z Camberwell Church Road na Peckham Road.

– Camberwell jest wymieniane w *Opowieściach kanterberyjskich* – powiedziała Clay z nosem w przewodniku. – Tysiąc lat temu była tu osada, dzisiaj jest to środek Londynu.

Spojrzała na mnie i zaczęła się rozglądać, jakby nie bardzo wiedziała, jak się tu znalazłyśmy. Jechałyśmy piętrowym autobusem przez miasto, które zdawało się nigdy nie kończyć. Trwało w tym miejscu od wieków, na samą myśl zakręciło mi się w głowie.

Clay nie marnowała czasu. W Companies House na 4 Abbey Orchard Street w Westminster poprosiła o wszystkie dostępne informacje na temat Yinhang Dengi Finance, w bibliotece zamówiła stare londyńskie książki telefoniczne z lat osiemdziesiątych i szereg innych materiałów. Nie wiem, jak to zrobiła, ale udało jej się znaleźć niejakiego S. Anderssona. Nie miałyśmy pewności, czy to był Erik, ale nie miałyśmy też nic do stracenia, więc postanowiłyśmy sprawdzić.

Ludzie byli w drodze do pracy, dzieci szły do szkoły, był wczesny ranek. Na głównych ulicach panował duży tłok, ale Wilson Road znajdowała się jakby poza czasem. Nad dachami unosiła się dziwna cisza.

Numer 45 okazał się dwupiętrową kamienicą z ładnymi kratami w oknach i ogrodzeniem. Gdzieś grało radio, z głębi dobiegał głos kobiety, ale nie mogłam rozróżnić słów.

– Zadzwonisz?

Serce biło mi tak mocno, że ledwie słyszałam własną odpowiedź.

– Lepiej ty to zrób.

Clay wcisnęła dzwonek. Wewnątrz dały się słyszeć czyjeś kroki, po minucie drzwi się otworzyły. W progu stała kobieta, pielęgniarka. Nie wyglądała sympatycznie. W głębi za nią zobaczyłam wózek elektryczny, podobny do tego, jaki miał King. Na wózku siedział chłopiec w wieku

szkolnym, miał zniekształcone nogi i ręce.

– O co chodzi? – spytała kobieta.

– Przepraszam, że przeszkadzamy o tak wczesnej porze, ale szukamy mężczyzny, który jakieś pięć lat temu mieszkał pod tym adresem. Czy mogłaby pani nam pomóc?

– Kim jesteście?

Kobieta trzymała rękę na klamce, drugą oparła o framugę, jakby chciała powstrzymać nas od wejścia do środka.

– Jestem Bianca Rockford – powiedziałam tak głośno jak potrafiłam.

Clay rzuciła mi zdziwione spojrzenie. Nie zdążyłam opowiedzieć jej o mojej rozmowie na komisariacie.

– Jestem Rita Hollingworth – przedstawiła się Clay. – Miło mi panią poznać.

– Nazywam się Christina Andersson. Kogo panie szukają? – spytała kobieta.

– Sebastiana Anderssona. Bankowca pracującego na Lombard Street – odpowiedziała Clay.

– Ach tak. No cóż, witam w klubie. Jeśli go znajdziecie, wspomnijcie mu o nas – powiedziała, wskazując głową na kalekiego chłopca.

Musiałam chwycić się poręczy.

– Czego od niego chcecie? – spytała Christina Andersson.

Moje gardło skurczyło się, ledwie byłam w stanie oddychać.

– Jesteśmy w Londynie przejazdem – zaczęła Clay. – Chciałyśmy go odwiedzić.

Zauważyłam, że kobieta chwyciła się mocniej framugi, chłopiec na wózku zaczął marudzić.

– Doprawdy? No cóż, tu nie było go od sylwestra tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Skąd znacie Seba?

– Spotkaliśmy się w Los Angeles – powiedziałam, zanim Clay zdążyła odpowiedzieć. – Dawno temu, ale skoro tu jesteśmy, to pomyślałyśmy, że...

– Dlaczego go szukacie? Kim jesteście?

Głos kobiety przeszedł w falset, chyba się bała.

– Nie chcemy zakłócać pani spokoju – odezwała się Clay, robiąc krok do tyłu.

Kobieta spojrzała na zegarek.

– Przykro mi, ale muszę już iść.

Spojrzałam na nią i na jej torebkę, leżącą na kolanach chłopca, chyba rzeczywiście szykowała się do wyjścia.

– Jest pani pielęgniarzką? – spytałam.

Kobieta wskazała na ulicę, poprawiła kosmyk włosów wpadający jej do oczu. Zauważyłam, że drży jej ręka.

– W King’s College Hospital – powiedziała. – Jeśli to wszystko, to...

Zanim zdążyła zamknąć drzwi, zrobiłam krok do przodu.

– „Gdybyś była morzem, ja byłbym falą. Gdybyś była niebem, ja miałbym skrzydła...” – powiedziałam.

Kobieta zamrugła oczami zdezorientowana.

– Słucham?

– „Przyszłaś do mnie, gdy wiosna była w rozkwicie. Pojechaliśmy na Lidingö...”

– Bardzo przepraszam, ale trochę się spieszę – rzuciła kobieta i zamknęła drzwi.

Clay wróciła autobusem do biblioteki, a ja zostałam w Camberwell. Zatrzymałam się przecznicę dalej i zza samochodów i wysokich drzew przyglądałam się, jak kobieta wychodzi z domu z chłopcem na wózku. Szli kawałek ulicą, po czym skręcili w prawo, a potem w lewo. Ruszyłam za nimi, uważając, żeby nie podejść za blisko. Dotarli do nowoczesnego budynku i kobieta pomogła chłopcu wjechać rampą na górę. Pewnie była to szkoła albo jakaś placówka opiekuńcza. Zniknęli wewnątrz. Po mniej więcej pięciu minutach kobieta wyszła – sama. Ruszyła przed siebie ulicą, minęła stację kolejki, Denmark Hill, po czym straciłam ją z oczu, zniknęła w tłumie ludzi wchodzących do gigantycznego budynku szpitala: King’s College Hospital.

Stałam tam dłuższy czas.

Szpital uniwersytecki.

Mogłabym zdobyć tam wykształcenie, zostać pielęgniarką, laborantką czy pediatrą. Mogłabym tu studiować, w Camberwell, w Londynie. Zdobyłabym zawód, uczyłabym się od najlepszych, by potem służyć innym swoją wiedzą.

– Jak się czujesz? – spytała Clay, kiedy wróciłam do naszego pokoju.

– W porządku – powiedziałam. – Ludzie się nie zmieniają. Postępują tak jak zawsze. Erik śpiewał mi tę piosenkę, więc przypuszczam, że jej też by ją śpiewał.

Clay popatrzyła na mnie, ale się nie odezwała.

Następnego dnia nadeszły zamówione przez Clay mikrofilmy zawierające informacje o Yinhang Dengi Finance. Wbrew oczekiwaniom Clay nie było ich dużo. Nie zawierały żadnych danych dotyczących obrotów czy właściciela firmy, jednak ostatnio wprowadzone zmiany w zarządzie dawały do myślenia.

Clay wzięła moje dłonie i spojrzała mi głęboko w oczy.

– Pierwsza zasada logiki: posłuż się tym, co wiesz. Informacja to podstawa!

Pokiwałam głową.

– Wiemy, że Erik Bergman w rzeczywistości nazywał się Sebastian Andersson. Wiemy też, że przed kimś uciekał, że zabił człowieka na Manihiki i że miał dużo pieniędzy. Londyńska policja jest pewna, że popełnił dwa brutalne morderstwa i ukradł kilkaset tysięcy dolarów swojemu pracodawcy. W jego domu mieszka jego żona z niepełnosprawnym synem, a ty nadal upierasz się, że mu ufasz?

Przełknęłam ślinę. Zrozumiałam, że moja odpowiedź jej nie zadowoli, nie spełni bowiem podstawowego wymogu logiki.

– Erik nie kłamał. Może nie mówił mi wszystkiego, ale na pewno mnie nie okłamał.

Clay przyglądała mi się chwilę, po czym powiedziała, że miesiąc wcześniej Yinhang Dengi Finance zarejestrowało spółkę córkę w Tanzanii, we wschodniej Afryce.

Biuro firmy mieściło się w Dar es-Salaam i było zarejestrowane na Sebastiana Anderssona.

DAR ES-SALAAM

Nie byłam na to przygotowana: kurz, ludzie, kolory, przyprawy, samochody, osły, odgłos bicia ludzkich serc. Po prawej stronie burzyło się morze, świeciło białe słońce, upał był jak gazowy płomień.

– Jakbym wróciła do domu – oświadczyła Clay. – Czujesz to? – zwróciła się do mnie. – To tu bierzemy swój początek. Tu jest kołyska ludzkości.

Taksówka trzęsała niemiłosiernie. Jechaliśmy główną ulicą, mijając ulicznych sprzedawców z zardzewiałymi wagami i kudłatymi psami, kobiety w burkach zakrywających całe ciało oprócz oczu, modnie ubranych młodych mężczyzn, raźnie kroczących przed siebie we flip floпах i ze wzrokiem skierowanym w przyszłość. Niewielkie busy były przepełnione, zawodziła muzyka, pachniały kasztany prażone w wielkich naczyniach. Z radia samochodowego dochodził egzaltowany, schrypnięty głos, opowiadał coś w języku, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. Chociaż – przyznaję – nigdy dotąd nie byłam w miejscu, gdzie wszyscy nie mówiliby po angielsku czy po maorysku. Clay rozmarzona wyglądała przez opuszczoną szybę.

– Klimat wschodnioafrykańskiej sawanny. To jest to. Zabieramy go ze sobą wszędzie i odtwarzamy w naszych domach.

Na tyle, na ile zdążyłam poczuć go w drodze do taksówki, mogłam stwierdzić, że przypominał mi ten na Manihiki, ale nic nie powiedziałam. Czułam się okropnie.

Moana często mówiła o Afryce. Martwiła się Afryką, bolała nad biedą i przeludnieniem, smuciły ją duża umieralność niemowląt i zła sytuacja kobiet, kolonialne rządy Europejczyków i późniejsze dyktatury. ONZ angażowała się w problemy tych krajów. Moana, w miarę swoich możliwości, starała się śledzić rozwój sytuacji. W soboty na *enaka* opowiadała o działaniach sił pokojowych, które stacjonowały w rejonach zagrożonych konfliktami. Sama nie miałam żadnej wiedzy na temat tej części świata. Pamiętałam jednak zdjęcia ze szkolnych podręczników i z gazet: kobiety z dziećmi na plecach i z dzbanami wody na głowach, zakurzone blaszane budy, okrągłe chaty ze stromymi dachami, głodujące

dzieci z muchami na twarzach i lwa z filmu Disneya.

– My, czarni, stąd pochodzimy – powiedziała Clay, zamykając oczy. – A wy, czyli cała reszta, pochodzicie od tych, którzy powędrowali stąd dalej.

Trzęsłyśmy się dalej przez dobrą minutę, zanim w końcu spytałam, co ma na myśli, mówiąc „wy, czyli cała reszta”.

– Sześćdziesiąt tysięcy lat temu trzysta osób opuściło Czarny Kontynent. Przeszli przez Afrykę do Jemenu na Półwyspie Arabskim, a potem rozproszyli się po całym świecie.

– Trzysta? – spytałam z niedowierzaniem. – Wszyscy ludzie, którzy nie są czarni, pochodzą od trzystu osób?

– W tamtych czasach były też inne rasy. Genetycznie na tyle do nas zbliżone, że mogły mieć wspólne potomstwo. Neandertalczycy w Europie, denisowianie w Azji, i może jeszcze kilka innych. Od nich pochodzicie. Może nie wszyscy, ale na pewno wielu.

– Homo sapiens mieli dzieci z przedstawicielami innych ras?

– Nie w jakiejś większej skali, ale zapewne zdarzało się, że jakiś neandertalczyk zgwałcił kobietę homo sapiens, urodziła im się córka i w ten sposób jakiś procent genów neandertalczyków przetrwał do dzisiaj.

– Dlaczego zakładasz, że ją zgwałcił?

Clay spojrzała na mnie zdziwiona.

– Naprawdę myślisz, że się w sobie zakochali?

Wieloryb nie całuje świni.

– Sądzę, że to możliwe. Poza tym mógł urodzić się im syn.

– Teoretycznie tak, ale męski potomek nie miałby prawa związać się z kobietą innej rasy. Chociaż oczywiście mógł ją pojąć. Zawsze tak było – powiedziała Clay. – Jesteśmy na miejscu – stwierdziła po chwili.

Samochód zatrzymał się przed różowym domem, z którego płatami schodziła farba. To był nasz hotel. Clay wymieniła pieniądze na lotnisku, więc zapłaciła kierowcy. Wilgoć, którą natychmiast poczułam, była znajoma, a jednocześnie wydała mi się obca: ciepła i gęsta jak ta na

Manihiki, ale o ostrym zapachu, który przypominał mi Londyn. Clay z walizką w ręce ruszyła szybkim krokiem w stronę recepcji. Była podniecona podróżą i pełna energii. Szłam za nią wąskim korytarzem: ściany miały brązowy kolor, nie było światła, potknęłam się o próg, którego nie zauważyłam.

Mężczyzna w recepcji zażądał opłaty za tydzień z góry, Clay zaczęła z nim dyskutować, ale przerwała rozmowę, kiedy zobaczyła, że wymiotuje do kosza na śmieci. Już po chwili poczułam się znacznie lepiej.

Dostałyśmy pokój na samej górze.

– Zjadłś coś nieświeżego? – spytała Clay. – Czy może jesteś w ciąży?

Nie byłam w ciąży, miałam regularną miesiączkę, ale pytanie sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać, jak długo trwała moja podróż.

Wyszliśmy kupić coś do jedzenia i do picia: Clay ostrzegła mnie, że w Afryce nie można pić wody z kranu, bo grozi to zemstą faraona, co jest naprawdę nieprzyjemne. Kupiłam widokówkę, żeby wysłać ją do stryja na Rarotondze. Na Manihiki nie było sensu wysłać czegokolwiek, bo poczta przychodziła bardzo nieregularnie.

„Kochany Stryju – napisałam. – Przepraszam, że nie odezwałam się wcześniej. Przesyłam Ci pozdrowienia z Dar es-Saalam w Afryce, żeby Cię uspokoić, że ze mną jest wszystko w porządku. Jestem tu, bo dostałam informację, że być może jest tu też Erik. Nadal nie wiem, kiedy wrócę, być może dopiero za kilka tygodni. Pozdrów rodzinę, Kiona”.

– Tam jest skrzynka pocztowa – powiedziała Clay.

– Jeszcze chwilę się wstrzymam.

Nigdy nie wysłałam tej kartki. Wciąż noszę ją w plecaku.

Według informacji z brytyjskiego rejestru spółek biuro Yinhang Dengi Finance miało się znajdować w Dar es-Salaam na 102 Mali Street. Zamierałam iść tam zaraz po tym, jak kupiliśmy jedzenie i wodę, ale Clay mnie powstrzymała. Zaproponowała, żebym została w hotelu, podczas gdy ona załatwi kilka spraw na mieście. Pomyślałam, że w Tanzanii też są biblioteki, więc nawet nie zaprotestowałam.

W pokoju było parno, ale inaczej niż na Manihiki. Być może wynikało to z tego, że kamienne budynki zatrzymywały ciepło. Klimatyzacji nie było, pod sufitem zamontowano jedynie wiatrak, którego skrzydła poruszały się powoli, mając bezskutecznie ciepłe powietrze.

Musiałam się chwilę zdrzemnąć, a kiedy się obudziłam, zobaczyłam nad sobą obcego mężczyznę. Wrzasnęłam i usłyszałam śmiech Clay.

– A więc to działa – powiedziała zadowolona.

Jej czarne włosy były ostrzyżone niemal przy skórze, miała na sobie garnitur w prążki z szerokimi klapami i okulary w żółtych oprawkach. Wyglądała – łagodnie mówiąc – dziwnie. Patrzyłam na nią i nie byłam w stanie wydobyć słowa.

– Musimy móc swobodnie się poruszać – powiedziała, podając mi torbę z ubraniami. – Yinhang Dengi Finance ma biuro przy jednej z bocznych ulic w dzielnicy finansowej. W pobliżu jest kawiarnia, ale dwie kobiety nie mogą tam siedzieć w nieskończoność. Co innego mężczyzna i jego młoda żona. Taka para nie zwraca niczyjej uwagi. Tym bardziej jeśli kobieta jest muzulmanką.

Położyła zawartość torby na łóżku: długą czarną sukienkę, czarną bluzkę z długim rękawem i czarną chustę, pod którą miałam ukryć włosy.

– Umrę z upału – zaprotestowałam.

– W tej części świata jest to duży problem – przyznała Clay. – Chodź, przejdziemy się, zanim zrobi się ciemno.

Włożyłam niewygodne ubranie i podążyłam korytarzem za Clay. Facet w recepcji spał, pochrapując cicho. Clay powiesiła nasz klucz w przegródce

za nim.

Słońce stało nisko na niebie, pomyślałam, że zapewne ciemność nastaje tu równie nagle jak na Manihiki. Clay szła szybko ulicą, a ja – w mojej niewygodnej sukni – starałam się za nią nadążyć.

– To nie będzie takie proste – zaczęła Clay. – Znam swahili, ale nie za dobrze, a angielski nie jest tu równie powszechny jak w innych krajach Afryki. Po francusku też nikt tu nie mówi.

Pokazała mi na mapie Mali Street, miałyśmy do przejścia mały kawałek drogi. Centrum Dar es-Salaam było mniejsze, niż sądziłam.

– Nie znalazłam żadnego rejestru zagranicznych firm. Być może taki istnieje, ale dotarcie do niego wymagać będzie czasu i pieniędzy.

Skręciliśmy w jedną z uliczek i naszym oczom ukazało się biuro Yinhang Dengi Finance. Budynek był dwupiętrowy i sprawiał skromne wrażenie. Na parterze mieścił się bank, górne piętra wyglądały na opuszczone. Nad wejściem znajdowała się solidna mosiężna tabliczka z nazwą banku, przez szybę widać było siedzącą przed komputerem kobietę. Była bardzo ładna, przypominała nieco Beverly. Poczułam, że zaczynają mnie swędzić i piec dłonie, co czasem mi się zdarzało, kiedy nurkowałam i zaczynało mi brakować tlenu. Clay chwyciła mnie za ramię.

– Przejdziemy obok i usiądziemy w kawiarni – powiedziała, wskazując na niewielki lokal po drugiej stronie ulicy z reklamą Coca-Coli i plastikowymi stolikami.

Szłam ulicą, czując, jak tętno mi przyspiesza. Yinhang Dengi Finance miało swoje biuro tutaj, a nie w Londynie?

Clay zamówiła herbatę i colę i podsunęła mi krzesło. Siedząc pod drzewem, mogłyśmy obserwować zarówno drzwi prowadzące do banku, jak i to, co działo się za szybą.

– Za budynkiem znajduje się wąski zaułek. Wybiorę się tam po zapadnięciu zmroku – oświadczyła Clay. – Jesteś głodna?

Pokręciłam przecząco głową. Clay niemal zawsze była głodna, teraz też

zamówiła duży talerz spaghetti. Siedziałam obok niej i w milczeniu przyglądałam się, jak je. Ludzie mijali nas, nie spiesząc się. Tuż obok przeszedł mężczyzna, kasłał, a na nogach miał okropne rany.

– Kobiety w Afryce są często jedynie narzędziem w rękach mężczyzn – powiedziała Clay. – Dlatego AIDS jest tu tak powszechne. Kobiety sypiają z mężczyznami, nawet jeśli tego nie chcą. Po śmierci męża jego żonę czy żony dziedziczy inny mężczyzna z rodziny.

– Do czego zmierzasz? – przerwałam jej.

Clay wskazała głową na chorego mężczyznę, poprosiła o rachunek i położyła na stole kilka banknotów.

– Gdyby kobiety w Afryce mogły same decydować, z kim chcą uprawiać seks, to epidemia AIDS byłaby już przeszłością.

Po chwili wskazała głową na bank po drugiej stronie ulicy. Młoda kobieta wstała od komputera i teraz kierowała się do drzwi. Opuściła aluminiowe żaluzje w oknach i zamknęła drzwi na dwa zamki, po czym ruszyła przed siebie szybkim krokiem.

– Najwyraźniej zamykają o szóstej – powiedziała Clay.

– Dlaczego mają tu biuro? – spytałam.

– Cholernie dobre pytanie – skwitowała Clay.

Kobieta siedziała przy biurku, nic nie robiąc. Przychodziła rano, otwierała drzwi i kłódkę mocującą żaluzje przy ziemi, podnosiła je i siadała za biurkiem. W biurze było pusto, nigdy nie pojawiali się tu klienci, nie było też żadnych innych zatrudnionych. O pierwszej wychodziła: zamykała drzwi, ale nie spuszczała żaluzji, po trzech kwadransach wracała. Dwa razy zauważyłam, że w lokalu są jeszcze inni ludzie, chociaż nigdy nie widziałam, żeby ktoś wchodził do środka. To mogli być Tanzańcy, widziałam, że mieli czapki i koszule khaki.

– Jest drugie wejście od strony zaułka – powiedziała Clay, która zdążyła już dokładnie zbadać okolicę. Nie udało jej się natomiast znaleźć urzędu, gdzie byłby przechowywany powszechnie dostępny rejestr tanzańskich spółek córek. Bardzo ją to frustrowało.

– Bank jest najwyraźniej jedynie fasadą, przykrywką, ale musi przecież pełnić jakąś funkcję. Musimy być cierpliwi!

Od czasu do czasu w zaułku pojawiały się samochody, ale przy wąskiej uliczce mieściły się też inne firmy. W samochodach było zwykle dwóch, czasem trzech mężczyzn, wszyscy mieli czapki z daszkiem i koszule khaki.

Było bardzo gorąco, na szczęście siedzieliśmy w cieniu pod egzotycznym drzewem, nazywanym płomieniem Afryki, więc mogłam jakoś wytrzymać mimo stroju, który kupiła mi Clay i który szczelnie otulał moje ciało. Godzinami wpatrywałam się w młodą kobietę za szybą, tak intensywnie, że chyba musiała to czuć.

– Jak ona tam wytrzymuje? – dziwiłam się. – Naprawdę płacą jej za to, żeby tam po prostu siedziała?

– Pewnie tak. Nie sądzę, żeby siedziała tam, bo sprawia jej to przyjemność.

– Więc dlaczego?

– Prawdę mówiąc, nie wiem – powiedziała Clay, wycierając pot z czoła.

– Nie wiem też, dlaczego wybrali Tanzanię. Jeśli chce się prowadzić działalność bankową, bardziej oczywistym wyborem byłaby na przykład

Kenia. W Nairobi wszystkie międzynarodowe organizacje mają swoje przedstawicielstwa, to kraj, w którym gospodarka rynkowa istnieje od dziesięcioleci. A tu? W dawnym kraju socjalistycznym, który niecałe dziesięć lat temu przeżył całkowite załamanie gospodarcze?

– Może właśnie dlatego – powiedziałam, nie spuszczać oczu z kobiety.
– O ile wiem, banki budują swoją potęgę, żerując na ludziach w trudnych sytuacjach.

Byłam wzburzona i sfrustrowana, wstałam.

– Pójdę i spytam, co ona tam robi.

Clay chwyciła mnie za nadgarstek.

– Jako miłośniczka tolerancji powinnaś kochać banki.

Dwóch młodych mężczyzn przy stoliku obok spojrzało na nas, usiadłam. Clay miała rację co do mojego ubrania. Kiedy szłam ulicą, nie zdarzyło się, żeby jakiś mężczyzna się obejrzał za mną, kobietą idącą pół kroku za osobą w garniturze.

– Nienawidzę banków – powiedziałam zdecydowanie.

– Niesłusznie – weszła mi w słowo Clay. – Historia pokazuje, że nic tak skutecznie nie buduje tolerancji jak właśnie pieniądze.

– Mylisz się. Pieniądze są źródłem wszelkiego zła.

– Wręcz przeciwnie – nie ustępowała Clay. – Ale nie dziwię się, że tak uważasz. Wielcy myśliciele od wieków winią pieniądze o całe zło świata. A tak naprawdę pieniądze nie znają przesądów, tylko one potrafią połączyć wszelkie kulturowe przeciwieństwa.

– Jak to? Dla pieniędzy ludzie gotowi są zrobić wszystko! – powiedziałam, bo przecież sama boleśnie tego doświadczyłam.

– Pieniądze nie są narzędziem dyskryminacji – upierała się Clay. – Dla pieniędzy nie ma różnicy, czy jesteś gejem czy prostytutką, czy masz czarną skórę czy białą, czy jesteś dzieckiem czy starcem. Bo czym tak naprawdę są pieniądze? Zastanów się!

– Papierkami? – powiedziałam niepewnie.

– Mają wartość, bo tak postanowiliśmy. My wszyscy. Te papierki, jak je nazwałaś, same w sobie nie mają żadnej wartości. Jak myślisz, dlaczego możemy siedzieć tu, w tym barze, jeść, pić? Bo mężczyzna, który jest jego właścicielem, ma do nas zaufanie? Oczywiście, że nie, ale ma zaufanie do naszych pieniędzy...

Clay wyprostowała się, zmrużyła oczy w słońcu i spojrzała w stronę banku.

– To nie tak – powiedziałam. – To, że możemy tu teraz siedzieć, dużo od nas wymagało. Ty musiałaś zmienić płęć, a ja wyznanie, żebyśmy w ogóle...

Clay wstała i osłoniła oczy dłonią. Popatrzyłam w tamtą stronę. Z zaułka wyjeżdżał właśnie samochód, za kierownicą siedział mężczyzna o zaciętym spojrzeniu, na miejscu pasażera kobieta o żółtych włosach.

– Ktoś siedzi na tylnym siedzeniu – powiedziała Clay.

Zanim zdążyłam wstać, wyciągnęła z kieszeni plik banknotów – tolerancyjnych, bez uprzedzeń – położyła je na stoliku i ruszyła w stronę banku. Pospieszyłam za nią tak szybko, jak potrafiłam w tym krępującym moje ruchy stroju. Samochód skręcił w lewo, Clay ruszyła przed siebie zdecydowanym krokiem i nie zatrzymała się, dopóki samochód nie skręcił w główną ulicę.

– Na tylnym siedzeniu było kilka osób. Pośrodku siedział biały mężczyzna – oznajmiła.

Nie miałam zdjęcia Erika, ale opisałam go jej dokładnie: szczupły, wysoki, niemal metr dziewięćdziesiąt wzrostu, wąski w ramionach. Brązowe włosy miał zebrane w kucyk, prawą nogę wyraźnie krótszą od lewej, utykał, idąc. Leworęczny, prawą rękę miał mniej sprawną. Oczy miały kolor morza o zachodzie słońca.

– Zaczekamy i zobaczymy, czy wrócą – orzekła Clay.

P postanowiliśmy zmienić lokal, Clay wybrała położoną nieco dalej kawiarnię, usiadłyśmy i zamówiłyśmy coś do jedzenia. Zaczęłam doceniać

jedzenie w Dar es-Salaam. Do wyboru było wiele różnych, nieznanym mi wcześniej rodzajów ryb gotowanych w mleku kokosowym, ale tego dnia nie byłam w stanie nic przełknąć. Ciemność zapadła nagle, jakby ktoś spuścił żaluzje. Zapaliły się latarnie, świeciły albo ostrym niebieskim światłem, albo ledwie widocznym, brudnożółtym. Po dwóch godzinach pojawił się samochód. Z przodu na miejscu pasażera siedziała żółtowołosa kobieta, nie widziałśmy, kto siedział z tyłu.

Clay zapamiętała numer rejestracyjny wozu, ale nie znalazła nikogo, kto udzieliłby nam informacji na temat jego właściciela. Taki rejestr najprawdopodobniej gdzieś istniał, ale dla nas był nieosiągalny.

Na pewno był to mercedes W140. Nowiutki, klasy S, chyba pięćsetka. Są dostępne w wersji opancerzonej.

Na cały następny dzień wynajęliśmy samochód z kierowcą, który nie miał nic przeciwko temu, żeby stać przecznicę od 102 Mali Street – płaciliśmy mu niezależnie od tego, czy jechał, czy stał, a w ten sposób oszczędzał na benzynie. Siedziałyśmy obie na tylnym siedzeniu, Clay pociła się obficie w źle dopasowanym garniturze.

Tuż przed jedenastą przed południem ponownie zobaczyłyśmy samochód. Wyjeżdżał z zaułka i podobnie jak poprzedniego dnia z przodu obok kierowcy siedziała kobieta, a pozostali pasażerowie z tyłu.

– Dzisiaj mają towarzystwo – zauważyła Clay.

Za mercedesem podążał inny samochód, w kolorze wojskowej zieleni, w środku było kilku mężczyzn w koszulach khaki.

– To jeep – stwierdziła Clay. – Spójrz na faceta na przednim siedzeniu.

Wychyliłam się do przodu i zobaczyłam starszego mężczyznę w czapce z daszkiem i koszuli z naramiennikami. Wyglądał na twardziela.

– To komendant – powiedziała Clay. – Szef ichniejszej ochrony. Poznajesz go? To on był na Manihiki po Erika?

– Nie. Mężczyźni na jachcie byli biali, mam wrażenie, że to byli Rosjanie.

– Rosjanie?

– Ich angielski przypominał angielski Vladimira.

Clay odwróciła się do kierowcy i powiedziała mu coś w swahili. Kierowca uruchomił silnik i ruszył za samochodem, utrzymując cały czas odpowiednią odległość. Wjeżdżaliśmy na coraz szersze ulice, a potem nagle zobaczyliśmy morze. Nie było to moje morze, ale miało taki sam intensywnie niebieski kolor. Sekundę później mercedes i jeep skrzyły

i zatrzymały się przed ogromnym hotelem Kilimandżaro.

Nasz samochód zatrzymał się przy krawężniku.

Z daleka patrzyliśmy, jak kobieta i Komendant wysiadają ze swoich samochodów. Mężczyzna był wysoki i potężnie zbudowany, kobieta miała na sobie ciemny kostium i wysoko upięte włosy. Tylne drzwi mercedesa otworzyły się, wysiadło z nich dwóch mężczyzn w koszulach khaki, rozejrzeli się, po czym z tylnego siedzenia wyciągnęli białego mężczyznę. Miał krótko ostrzyżone ciemnobrązowe włosy, w ręce trzymał brązową teczkę. Wyprostował się i zmrużył oczy w słońcu, jakby nie przywykł do tak ostrego światła. Zapiął marynarkę, przełożył teczkę do lewej ręki i ruszył powoli do dużego hotelowego holu, wyraźnie utykając na prawą nogę.

Miałam wrażenie, że moje mięśnie przestały słuchać poleceń wysyłanych przez mózg. Nie mogłam się ruszyć.

– To on? – spytała cicho Clay. – Kiona, czy to jest Erik?

Próbowałam przełknąć ślinę. Miałam lzy w oczach.

– Ostrzygli go – wyszeptałam. – I przebrali za bankowca.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza, poczułam przyływ adrenaliny, sięgnęłam do klamki. Clay chwyciła mnie za rękę.

– Kiona, zastanów się chwilę. Oni wiedzą, że go szukasz, wiedzą, jak wyglądasz.

– Skąd? – spytałam ostro.

– Kochanie, pytałaś o niego na policji, rozmawiałaś z pracownikami Yinhang Dengi Finance. Naprawdę myślisz, że nikt nie skontaktował się z kierownictwem banku? Nie mówiąc o tym, że byłaś u niego w domu i rozmawiałaś z jego żoną...

– To nie była jego żona. Z jakiegoś powodu kazali jej ją udawać. Ale to nie była jego żona ani jego dziecko.

– Tego nie wiesz.

– Owszem, wiem.

– Nagrała cię kamera monitoringu przed ich główną siedzibą w Londynie. Wiedzą, jak wyglądasz.

– Ale nie wiedzą, jak się nazywam. Nie wiedzą, że pochodzę z Manihiki. Nie widzieli mnie, kiedy się po niego zjawili. Słyszałam, jak rozmawiają, ale jestem pewna, że mnie nie widzieli.

– Nie możesz tam wejść – stwierdziła stanowczo Clay. – Zacznij myśleć! Oni doskonale wiedzą, że wiesz więcej, niż udajesz, że wiesz. Bo niby dlaczego nagle zaczęłaś go szukać, niedługo po tym, jak go tu przywieźli? Przyleciałaś z Los Angeles i od razu poszłaś tam, gdzie Erik pracował w Londynie. Nawet jeśli uznali to za mało prawdopodobne, to na pewno przyszło im do głowy, że tu też możesz się pojawić.

– Więc mam się poddać? Teraz, kiedy wiem, że on tu jest? – Ostatnie

słowa wykrzyczałam.

– Uspokój się. Ty nie możesz się tam pokazać, ale ja mogę.

Starłam się uspokoić oddech.

– Ciebie też widzieli – powiedziałam w końcu. – Jego rzekoma żona cię widziała. Na pewno im o tym doniosła.

– Widziała mnie, ale nie widziała Franka. – stwierdziła Clay. Otworzyła drzwi i wyszła na gotujący się asfalt.

Godziny spędzone na tylnym siedzeniu rozgrzanego samochodu stojącego przed hotelem Kilimandżaro wydawały się ciągnąć bez końca. Kierowca zasnął z głową odchyloną do tyłu, miał otwarte usta i głośno chrapał. Cały czas patrzyłam na wejście do hotelu, próbując dojrzeć w środku Erika. Ludzie wychodzili i wchodzili, krążyli po holu szklanego kompleksu z wieżyczkami i flagami na zewnątrz na podjeździe, gdzie zatrzymywały się limuzyny, by wypuścić pasażerów. Zarówno duży mercedes Erika, jak i jadący za nim mniejszy jeep odjechały. Dokąd, tego nie wiedziałam. Każdy biały mężczyzna, który wychodził z budynku, był nim, każda kobieta – jego żółtowłosą strażniczką. Czułam silne parcie na pęcherz, poszłam do leżącej kawałek dalej kawiarni i poprosiłam, by pozwolono mi skorzystać z toalety – w podziękowaniu zostawiłam banknot o wartości jednego szylinga; nie mam pojęcia, ile był wart. Kiedy wróciłam, byłam przekonana, że Erik zniknął z mojego życia już na zawsze.

Okazało się, że nie. Jakąś godzinę później Clay wróciła do samochodu.

– Gdzie byłaś? – zawołałam. – Co tam robiłaś tyle czasu?

Kierowca obudził się, odchrząknął, włączył silnik i wrzucił bieg. Clay powiedziała mu coś w swahili, po czym silnik został wyłączony.

– Mają apartament w części konferencyjnej. Pilnują go dwie grupy ochroniarzy: strażnicy bankowi w mundurach khaki i czapkach z daszkiem oraz grupa ochroniarzy wyposażona w sprzęt radiowy.

– Co to może znaczyć?

– Pewnie coś negocjują – powiedziała Clay. – Tylko nie wiem z kim – dodała.

– Kto negocjuje?

– Przypuszczam, że Erik. Kiedy gdzieś idą, on zawsze idzie między nimi.

– Widziałaś go?

– Nie po tym, jak zniknęli w apartamencie.

Na myśl o tym, że on rzeczywiście tam jest, tam, po drugiej stronie tej szklanej ściany, zakręciło mi się w głowie. Wyobraziłam sobie, jak siedzi

w sali konferencyjnej i rozmawia z innymi mężczyznami. Miałam go przed oczami.

– Możesz z nim porozmawiać, Clay? Jest szansa, że spotkasz się z nim w cztery oczy?

Clay zastanawiała się chwilę.

– Chyba że w toalecie. Ale dlaczego miały mi zaufać?

– Ja to zrobię! – wykrzyknęłam. – Schowam się w męskiej toalecie i porozmawiam z nim.

Dopiero się zdziwi, pomyślałam. Cudownie. Roześmiałam się głośno.

– Tam bez przerwy kręcą się ludzie. Personel stoi przed drzwiami i rozdaje czyste ręczniki. Nie wpuszczą cię do męskiej toalety.

Sfrustrowana zacisnęłam mocno dłonie.

– Pójdę i spróbuję się dowiedzieć, z kim negocjują – powiedziała Clay. – A ty czekaj tu. Obiecaj mi, że nigdzie się nie ruszysz.

Obiecałam.

Wiatr targał mi włosy dokładnie tak jak na Manihiki. Zostawiłam chustę w samochodzie. Kilka godzin obserwowałam ludzi wchodzących do hotelu i ani razu nie widziałam muzułmanki, która weszłaby do środka sama. Zbliżałam się więc do drzwi hotelu Kilimandżaro ubrana w długą ciemną spódnicę, w bluzce z podwiniętymi rękawami i z plecakiem: nieco ekscentryczna kobieta z Zachodu na wakacjach w egzotycznym raju, być może w towarzystwie zamożnego ojca czy starszego męża – raczej nie kochanka, bo wtedy byłabym ubrana bardziej elegancko.

Minęłam ochroniarzy w szarych garniturach. Mężczyzna w cylindrze i eleganckim zielonym garniturze witał gości obok szklanych drzwi. Kiedy ruszyłam w jego stronę, zrobił krok do przodu, lustrując mnie wzrokiem. Uśmiechnęłam się szeroko.

– Dobry wieczór! – rzuciłam, nie zwalniając kroku.

Mężczyzna zmarszczył brwi, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale ja byłam już w środku. W holu była klimatyzacja, ogromna posadzka lśniła niczym powierzchnia morza w bezwietrzny dzień. Szłam ostrożnie, bojąc się, że się poślizgnę i wyląduję na plecach. W życiu nie widziałam większego pomieszczenia, oczywiście wyjąwszy katedrę Świętego Pawła. Wysokość holu jeszcze wzmacniała to wrażenie. Wpadające promienie słońca tworzyły na posadzce jasne wyspy.

Szłam powoli wzdłuż ściany. Rzeczywiście roilo się tu od personelu. Jedni stali w recepcji, inni siedzieli przy błyszczących biurkach wyposażonych w duże aparaty telefoniczne. W jednym z korytarzy dojrzałam toalety, przed drzwiami stały kobiety w hotelowych mundurkach i rozdawały czyste ręczniki. W holu goście siedzieli na głębokich kanapach, czytali gazety i popijali drinki przy eleganckich stolikach. Gdzieś w kącie lśnił wypolerowany blat baru. Hol przechodził w korytarz prowadzący do basenu, wokół którego stały leżaki i parasole w wesołych kolorach. Ruszyłam w stronę wind, które rozwoziły gości do pokoi. Obok

znajdowały się niewielkie schody pożarowe, a tuż za nimi zaczynała się część konferencyjna.

– Mogę panię w czymś pomóc? – usłyszałam głos.

Za jednym z biurk siedziała kobieta i uśmiechała się do mnie. Na stole po prawej stronie rozłożone były broszurki turystyczne. Usiadłam na krześle dla gości po drugiej stronie biurka.

– Owszem – powiedziałam, odwzajemniając jej uśmiech.

– Jest tu pani z jakąś grupą? W ramach jakiegoś pakietu?

– Jestem tu z ojcem. Przyjechał tu służbowo, a ja mu towarzyszę.

– Ach tak. – Kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – To miło.

Pierwszy raz w Tanzanii?

– Ja tak, ojciec nie.

Kobieta klasnęła w dłonie zachwycona, zerknęłam jej przez ramię w stronę części konferencyjnej. Nic się tam nie działo.

– Czeka panią wiele fantastycznych przeżyć! Jaki rodzaj safari by państwa interesował?

– Safari?

– W swahili „safari” znaczy podróż, ale obecnie to słowo stało się synonimem podróży wśród zwierząt i przyrody.

Kobieta sięgnęła po kilka broszurek, podała mi je, nie przestając opowiadać.

– W Tanzanii mamy najlepsze i najbardziej znane parki narodowe na świecie. Serengeti może się pochwalić największą liczbą dzikich zwierząt w całej Afryce. Sawanna ciągnie się bez końca. Musicie państwo to zobaczyć. Mamy akurat okres migracji, jedynej w swoim rodzaju na naszej planecie: milion sześćset tysięcy zwierząt podąża za deszczem, stada antylopy gnu, które...

Pomyślałam o Królu Lwie, małym lwiątku z filmu rysunkowego, którego ojciec ginie stratowany przez antylopy gnu. Kobieta zapewne opowiadała tę historię wiele razy, bo nawet nie zauważyła, że przestałam słuchać.

Mechanicznie wzięłam od niej broszurki reklamowe, skupiając całą uwagę na części konferencyjnej hotelu.

– ...najwyższy szczyt Afryki to Kilimandżaro. Młoda, silna kobieta, jak pani, wejdzie na niego bez trudu. Najpierw trzeba polecieć do Aruszy, samo miasto też jest ciekawe...

Grupa mężczyzn weszła do holu, mieli na sobie ciemne garnitury, w uszach słuchawki, od których odchodziły liczne kabelki. Minęli mnie w drodze do wind, żaden z nich nie przypominał mężczyzn w samochodach, których widziałam, kiedy opuszczali Yinhang Dengi Finance. Wzięłam się w garść i wróciłam do wyводу kobiety.

– ...no i jest też Stone Town, Kamienne Miasto. Właśnie trwa dyskusja, czy należy zaliczyć je do pomników dziedzictwa narodowego. To tam urodził się Freddie Mercury, solista grupy Queen. Można zobaczyć dom jego dzieciństwa. Dzisiaj mieści się tam muzeum, na dole jest duży sklep z pamiątkami...

Kobieta podała mi broszurkę reklamującą Zanzibar. Wzięłam ją i wstałam.

– Chce pani od razu coś zarezerwować?

Odsunęłam krzesło i włożyłam broszurki do plecaka.

– Najpierw muszę porozmawiać z ojcem.

– Oczywiście. Jestem tu do wieczora, do dwudziestej drugiej.

Kupiłam powieść Ernesta Hemingwaya o zielonych wzgórzach Afryki i usiadłam na jednej z głębokich kanap. Próbowałam czytać, ale nie byłam w stanie. Co chwila, jak tylko widziałam jakiś ruch, spoglądałam w stronę części konferencyjnej.

– Ciekawy wybór – zauważył mężczyzna siedzący na kanapie naprzeciwko mnie. Mówił jak Laura, a wyglądał jak Clay, czy raczej Frank. Pewnie był z Wielkiej Brytanii, a przynajmniej mieszkał tam przez jakiś czas.

Spojrzałam na książkę, którą próbowałam czytać.

– Myślałam, że to powieść, a okazuje się, że to opis polowania, w którym kiedyś uczestniczył autor.

Mężczyzna pokiwał głową i złożył gazetę, którą przed chwilą czytał.

– Hemingway napisał też opowiadanie o tej wyprawie, *Śniegi Kilimandżaro*. Jest znacznie ciekawsze. To opowieść o mężczyźnie, który zenił się z bogatymi kobietami, ale nigdy nie spełnił się jako pisarz. Opowiadanie kończy się jego śmiercią. Umiera na gangrenę w obozie u stóp Kilimandżaro. Wiedziała pani, że tę górę nazywa się też Domem Boga?

Wstał, okrążył stolik i usiadł obok mnie na kanapie.

– Często bywa pani w Dar? – spytał.

Wymamrotałam coś i odsunęłam się od niego. Przeszedł mnie dreszcz, pod powiekami miałam znów obraz rudych włosów i białych zębów.

– Jak podoba się pani mój kraj?

A więc nie był Brytyjczykiem.

– Jest... ciekawy.

Mężczyzna westchnął.

– Można tak powiedzieć. Mamy wielkie problemy, czego nie ukrywamy.

Przysunął się bliżej mnie.

– A wie pani dlaczego? – ciągnął dalej. – W Afryce zawsze było nam trochę za dobrze. Nigdy nie musieliśmy współpracować. Nie mamy tradycji demokratycznej, ludzie nigdy nie musieli zawierać kompromisów. Wszystko zawsze było tuż za drzwiami: owoce, warzywa, zwierzyzna, nie trzeba było niczego uprawiać, robić zapasów.

Mężczyzna nachylił się nade mną.

– Pokażę ci jachtklub, jeśli chcesz – zaproponował. – Roald Dahl tam bywał. Wiesz, że to miejscowa fabryka cementu zainspirowała go do napisania książki *Charlie i fabryka czekolady*?

– Dziękuję – powiedziałam i wstałam. W jednej ręce trzymałam plecak, w drugiej książkę. – Przepraszam, ale jestem umówiona z mężem.

Kiedy Clay wróciła do samochodu, siedziałam i na nią czekałam – głowę

miałam zasłoniętą chustą. Byłam pewna, że nikt mnie nie zauważył. Clay była blada, dała mi znak ręką, żebym wstrzymała się z pytaniami.

– Wszystko ci wyjaśnię, kiedy wrócimy do pokoju.

Mężczyzna w recepcji zażądał zapłaty za kolejny tydzień. Tym razem Clay nie protestowała. Wyjęła plik banknotów i podała mu bez zbędnej dyskusji. Nie czekając na mnie, ruszyła po schodach. Jak tylko drzwi pokoju się za nami zamknęły, odwróciła się do mnie. Oczywiście miała jak spodki.

– Negocjują z Mobutu – powiedziała. Jakby to miało mi coś wyjaśnić.

Najwyraźniej wyglądałam jak znak zapytania, bo usiadła obok mnie na łóżku i spojrzała mi w oczy.

– To kongijski dyktator. Kongo Kinszasa... – dodała, wskazując ręką na zachód – sąsiaduje z Tanzanią. To drugi największy kraj w Afryce, posiadający bogate złoża miedzi, złota i ropy. Mobutu rządzi krajem od połowy lat sześćdziesiątych. Muszę się dowiedzieć, co on tu robi.

Clay wstała.

– Skąd wiesz, że to właśnie z nim negocjują? – spytałam.

– Widziałam, jak wchodził do sali, pilnowany przez ochroniarzy.

– Ale skąd wiesz, że to Mo... Mob...?

– Rozpoznałam go. Jego słynną czapkę z leoparda.

Moana na pewno wiedziałyby, o kogo chodzi. O tylu rzeczach nie miałam pojęcia.

– Nazywa się... Mobutu?

– Nazywa się Mobutu Sese Seko Koko Ngbendu Wa Za Banga. Mniej więcej, dokładnie nie pamiętam. To znaczy Wszechpotężny Wojownik, który dzięki swojej niezłomnej woli kroczy od zwycięstwa do zwycięstwa, zostawiając za sobą ślad ognia.

– Skromny człowiek – stwierdziłam.

– Kolegował się z Ceaușescu – dodała Clay.

Ponieważ to nazwisko też nic mi nie mówiło, Clay wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Zjadłam trochę owoców, które kupiliśmy – płuczac je w wodzie z butelki. Według mnie było to zbędne, ale zaufałam Clay, znała świat lepiej ode mnie.

Położyłam się na łóżku i czekałam. Książka o zielonych wzgórzach Afryki była dość nudna. W pierwszej części Hemingway wspominał amerykańskich pisarzy, o których nigdy nie słyszałam. Trudno było mi skupić się na tekście, podejrzewam, że nawet gdybym nie podskakiwała na każdy dźwięk w pobliżu. Drugą część też przekartkowałam pobieżnie – autor znów wracał do jakiegoś wcześniejszego polowania – w trzeciej jednak nawiązał do pisarzy, których znałam: Tołstoja – fantastyczny pisarz, uwielbiałam *Annę Kareninę*, Dostojewskiego – strasznie rozwlekle pisał, *Zbrodnię i karę* doczytałam do połowy i poddałam się. To wszystko mogło być ciekawe, gdybym tylko potrafiła skupić się na lekturze.

W końcu odłożyłam książkę i sięgnęłam po broszury, które dostałam w hotelu. Niewiarygodne, ile rzeczy można było robić, by przyjemnie spędzić czas. Najbardziej interesująca była reklama safari. Natura na sawannie pozostała nietknięta przez ludzi. Tam wszystko wyglądało tak jak miliony lat temu: to tam się narodziliśmy, to była kołyska homo sapiens.

Pomyślałam o zwierzętach żyjących na bezkresnych równinach, gdzie wszyscy walczyli o przetrwanie, tak jak my, i o tym, jak bezlitosna bywała przyroda. Antylopy wydawały na świat małe, kochały je i chroniły, lwy wydawały na świat małe i robiły wszystko, żeby je wykarmić. Żeby ktoś mógł żyć, ktoś inny musiał umrzeć. Jaki sens miały ich usiłowania? Przetrwanie gatunku, to prawda, ale jaki sens miały one dla poszczególnych zwierząt? Pracowaliśmy, harowaliśmy, rodziliśmy dzieci, robiliśmy wszystko, by zyskać akceptację i szacunek naszej grupy, znaleźć kogoś, kogo będziemy mogli pokochać i kto pokocha nas. A co potem?

Usiadłam na łóżku i spojrzałam na dachy domów Dar es-Salaam. Gdzieś tam był Erik, w tym samym mieście. Po drugiej stronie morza, tego i jeszcze następnego, były moje dzieci, moi rodzice, w miejscu, gdzie był mój dom.

Czy moje usiłowania były coś warte? Wszystkie moje doświadczenia, sukcesy, ale i porażki. Czy miały jakiś cel poza tym, czego doświadczałam w tym jednym ulotnym momencie? To było wszystko? Czy to naprawdę aż takie proste? *Jaki to miało cel?*

Patrząc tam z góry, lepiej rozumiemy Jego drogi. Tak, ale jednak chciałabym wiedzieć.

Nagle przyszło mi do głowy, że przecież mogło też być na odwrót: że gdybyśmy poznali Jego zamiary, nasze życie zamieniłoby się w istne piekło. Ledwie to pomyślałam, kiedy zasnęłam.

Obudziłam się, bo Clay stała nade mną i mną potrząsała.

– Ubierz się w zachodnie ciuchy. Idziemy do hotelu Kilimandżaro.

Nie wzięłyśmy taksówki. Clay uznała, że nie potrzebujemy walizek, więc zostawiłyśmy je w pokoju – w końcu za niego zapłaciłyśmy. Clay kazała mi też zostawić moją „brzydką” torebkę, mimo że już raz została wpuszczona do hotelu Kilimandżaro, o czym jednak nie poinformowałam Clay. Ona sama wzięła ze sobą jedynie niewielką czarną teczkę, w której miała paszport i portfel, to wszystko. Włożyłam plecak pod materac w nogach łóżka.

Kiedy szłyśmy pustymi ulicami miasta, zaczynało świtać.

– Widać inspirację Stalinem – stwierdziła Clay, kiedy zbliżyłyśmy się do gigantycznej szklanej fasady hotelu. – Pewnie został zbudowany w połowie lat sześćdziesiątych.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku – powiedziałam, jakbym przeczytała wszystkie broszury. – Ma sto osiemdziesiąt pokoi i apartamentów, z widokiem na miasto lub na morze.

Było dużo wolnych pokoi, poprosiłyśmy o taki z widokiem na miasto. Clay wylegitymowała się paszportem, w którym było napisane, że nazywa się Rita Hollingworth, ale późna czy raczej wczesna godzina sprawiła, że mężczyzna w recepcji chyba tego nie odnotował. Dał nam ciężki klucz i poranne gazety, po czym udałyśmy się windą na drugie piętro. Clay położyła teczkę na łóżku, podeszła do okna i chowając się za firanką, wyjrzała na zewnątrz.

– Idealnie – stwierdziła.

– Co?

– Mamy widok na podjazd i wejście – powiedziała zadowolona. Odeszła od okna i położyła się na podwójnym łóżku. – Nie możesz spotkać się z Erikiem ani w holu, ani w żadnym innym publicznym miejscu. Niczego nie mogę ci obiecać, ale jeśli w ogóle chcesz mieć okazję do porozmawiania z nim, to musi się to odbyć w jednym z hotelowych pokoi.

Clay rozłożyła ręce, wskazując na pokój, w którym byłyśmy. Poczułam, że serce zamiera mi w piersi.

– Myślisz, że to możliwe? – wyszeptałam.

– Nic nie myślę, ale na pewno warto spróbować. Napisz wiadomość dla Erika.

Zmieszana zaczęłam rozglądać się za piórem i kartką.

– Są na biurku – powiedziała Clay.

Papier listowy miał logo i adres hotelu. Pióro drżało mi w ręce, w głowie miałam pustkę.

– Co mam napisać? – spytałam.

– Napisz coś, żeby zrozumiał, że tu jesteś, ale nie wymieniaj żadnych imion.

Jasne.

Postanowiłam napisać po angielsku słowa szwedzkiej piosenki. Na zakończenie dodałam: „Zaufaj Clay, która przekaże Ci tę wiadomość. Jestem tu, muszę się z Tobą spotkać”.

Clay przeczytała szybko wiadomość i schowała kartkę do kieszeni, po czym sięgnęła po pióro i papier listowy i schowała je do drugiej kieszeni.

– Jeśli chodzi o Mobutu... – zaczęła i pokazała mi, że mam usiąść. – No więc co do Mobutu to zasięgnęłam języka u starego przyjaciela. – Uderzyło mnie, że wydawała się wszędzie mieć „starych przyjaciół”.

Clay wzięła moje milczenie za niewiedzę. Pomyślała, że zapomniałam, kim jest Mobutu.

– To kongijski dyktator – powiedziała. – Przejął władzę w kraju w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku, korzystając z pomocy amerykańskiego CIA. Od tego czasu układa się pod stołem ze wszystkimi. Wszystkie kraje i organizacje miały możliwość zawarcia z nim umowy.

– Pod stołem? Co to znaczy?

– Nie jest lojalny wobec Amerykanów, którzy wynieśli go na tron, wręcz przeciwnie: przyjął za punkt honoru kłócić się z nimi. Robi interesy i wspiera wszelkie polityczne ideologie, które są dla niego korzystne.

– Jakie interesy? I dlaczego to budzi kontrowersje?

– Jak już mówiłam, Kongo posiada wielkie bogactwa naturalne: rzadkie minerały, diamenty, ropę, złoto i miedź. Mobutu handluje ze wszystkimi. Nie przejmuje się sankcjami ONZ-etu i restrykcjami. Rządzi krajem jak własną firmą. Wszelkie dochody trafiają nie do państwowego skarbcza, tylko do jego prywatnej kieszeni, i tak już od prawie trzydziestu lat. Należy do najbogatszych ludzi na świecie, a w każdym razie do najbogatszych dyktatorów świata.

– Ale dlaczego Amerykanie się na to godzą?

– Wszystko odbywa się pod stołem. Na neutralnym gruncie, na przykład w hotelu Kilimandżaro w Dar es-Salaam.

Poczułam zawrót głowy.

– Jest tu i robi nielegalne interesy? Z Erikiem?

– Z Yinhang Dengi Finance.

– Dotyczące czego?

– To ma coś wspólnego z dolarem. Chodzi o coś, co wpłynie na amerykański bank centralny. Inaczej nie potrzebowaliby Erika. – Clay spojrzała na zegarek. – Mamy jeszcze trochę czasu. Zjawią się później.

Opadła na łóżko, zsunęła buty, położyła nogi na kapie, głowę oparła na poduszce. Wyjrzałam przez okno: świt pojawił się równie szybko jak zmierzch. Słońce już wstało, pewnie także w Kongu. Kraju, w którym zapewne mieszkali miliony ludzi oszukiwanych i wykorzystywanych przez swego przywódcę: co my sobie robiliśmy, my, homo sapiens.

Spojrzałam na Clay i zaczęłam się zastanawiać, co jej chodzi po głowie.

– Martwisz się o dziewczęta? – spytałam.

Długo się zastanawiała.

– Tak – powiedziała w końcu. – Lubiłam je. Mam nadzieję, że ktoś się nimi zajął.

– Myślisz, że to konieczne?

– Beverly sobie poradzi, ale pozostałe? Prawdę mówiąc, nie sądzę.

W jej głosie było coś nieznośnie lakonicznego. Powiedziała, że Bongo

została pewnie odesłana do swojej chorej matki, o ile ta nie siedziała w więzieniu za znęcanie się nad młodszym rodzeństwem Bongo. Bianca przypuszczalnie trafiła do rodziny zastępczej i zapewne z czasem wróci na ulicę.

– Ale lata spędzone z tobą na pewno zostawią swój ślad. Dałaś im poczucie własnej wartości, nie pozwolą się wykorzystywać.

– Miło, że to mówisz, ale to mało prawdopodobne.

Pomyślałam o Eriku. Może właśnie był w drodze do hotelu? Czy uda mi się z nim spotkać? Czy może to z mojej strony też było myślenie życzeniowe?

– A King? – spytałam. – Co stanie się z nim? I z Laurą?

– King zostanie w ośrodku pomocy w Santa Monica. Nie będzie zachwycony, ale takich jak on jest tam więcej. Jeśli będą mu dostarczać książki naukowe, to się z tym pogodzi i nie będzie się awanturował. Laura – jeśli nie doniesie na swojego sutenera – trafi do więzienia. Ale przypuszczam, że na niego doniesie. Jest zadziwiająco elastyczna. To cecha charakteru, która ją wyróżnia. No i narcyzm, oczywiście.

Pomyślałam o niezwykle trafnym opisie charakteru Laury, jaki przedstawiła Clay.

– Dlaczego pozwoliłaś jej u siebie zamieszkać? Dlaczego zajęłaś się nią, skoro wiedziałaś, jaka jest?

– Nie wolno odtrącać ludzi tylko dlatego, że ich nie lubimy. Możemy mieć swoje upodobania, ale powinniśmy akceptować i wspierać tych, którzy są inni od nas. Tylko wtedy można mówić o tolerancji.

Pomyślałam, że Babcia Vaine, która nie lubi białych, nigdy nie miała problemu z zaakceptowaniem Barbie czy innych chłopców-dziewczynek. Życie Mamy Evelyn zapewne też nie było takie, jakie sobie wymarzyła, ale pomagała wszystkim, którzy tego potrzebowali, a King poświęcił swoje ciało dla kraju, nie mając skończonych dwudziestu lat.

– Dlaczego to robisz? – spytałam Clay. – Dlaczego mi pomagasz?

Leżała na łóżku w źle dopasowanym garniturze.

– Na pewno nie jest to z mojej strony poświęcenie, raczej pretekst – powiedziała po dłuższej chwili milczenia. – Nie mogłam zostać w Stanach, a w żadnym zakładzie federalnym bym sobie nie poradziła. Nie potrafiłabym się przystosować. Dałaś mi powód, by pójść dalej.

Spojrzała na zegarek, usiadła na łóżku i zaczęła wiązać sznurowadła.

– Zejdę na dół, pójdę do męskiej toalety i będę czekać.

– Myślisz, że tam przyjdzie?

Clay zatrzymała się w drzwiach.

– Wczoraj był w toalecie raz. Towarzyszyli mu ochroniarze, ale nie weszli z nim do środka, tylko zostali na zewnątrz. Jeden z boksów jest przystosowany dla osób niepełnosprawnych, ma drzwi, które się nie zamykają, spróbuję go tam wciągnąć i z nim porozmawiać. Podam mu numer naszego pokoju i dowiem się, czy uda mu się tu przyjść.

– Musi mu się udać – powiedziałam cicho, niemal niesłyszalnie.

– Wezmę ze sobą klucz – oświadczyła Clay. – Otwieraj jedynie, jeśli usłyszysz, że ktoś puka mocno cztery razy – dodała i zniknęła na korytarzu.

Siedziałam przy biurku w hotelowym pokoju z widokiem na miasto i czekałam. Nikt nie zapukał. Obok biurka była lodówka z napojami i przekąskami; kiedy zgłodniałam, wypilałam butelkę wody i zjadłam torebkę orzeszków. Od wschodu nadciągały ciemne chmury, zanosiło się na burzę. Chciało mi się płakać, ale oczy miałam gorące i suche.

Jedna z gazet, które dostałyśmy, była po angielsku. Sięgnęłam po nią i zaczęłam ją przeglądać. Znalazłam długi artykuł o kraju sąsiadującym z Tanzanią, o którym nigdy wcześniej nie słyszałam: o Rwandzie. Nie śledziłam uważnie wiadomości ze świata, ale jednak powinnam była wiedzieć, co wydarzyło się w tym kraju w 1994 roku. A nie wiedziałam. Byłam całkowicie nieprzygotowana na informacje zawarte w artykule, na to, że grupa ludzi zmówiła się i wspólnie wymordowała swoich sąsiadów. Nie było wiadomo, ilu dokładnie ludzi zginęło, prawdopodobnie około pół miliona, ale równie dobrze mogło ich być dwa razy więcej. Dwa razy czytałam te dane, za pierwszym razem przekonana, że się pomyliłam. Wykorzystując audycje radiowe, rozniecono nienawiść między dwoma plemionami: nawoływano Hutu do zgładzenia Tutsi. Tak naprawdę byli to członkowie tego samego plemiona, mieszkali obok siebie, przyjaźnili się, ale polityka sprawiła, że stali się wrogami i rozpoczęli walkę o władzę i wpływy. Wszystko zaczęło się 6 kwietnia, trzy dni przed moim wylądowaniem w Los Angeles. Prezydent Juvénal Habyarimana negocjował umowę pokojową w Aruszy w Tanzanii – kobieta w recepcji twierdziła, że właśnie tam należało się udać, chcąc obejrzeć zwierzęta na sawannie. Samolot z prezydentem na pokładzie miał wylądować w Rwandzie, ale został zestrzelony i wszyscy zginęli. Rozpoczęły się masowe mordy. Jakaś kobieta o imieniu Elizabeth opowiadała, że ona i jej rodzina schronili się w kościele, myśleli, że w domu Bożym będą bezpieczni, ale zjawili się mężczyźni, którzy oblali ich benzyną i zaczęli zabijać ludzi maczetami i pałkami. Zginęło wówczas pięć tysięcy ludzi, ale ona ukryła się na plantacji bananów i przeżyła. Inna kobieta, Sarah, opowiadała, że śpiewała

w chórze kościelnym w swojej wsi. Pewnej niedzieli pastor zaczął mówić o Tutsi, jej plemieniu, nazwał ich karaluchami, twierdził, że to istoty pozbawione cech ludzkich. Kiedy Sarah wracała z kościoła, już na nią czekali. Odcięli jej rękę i zabili jej sześciomiesięczne dziecko. Jeszcze inna kobieta, Rebecca, miała dwie córki, jedna miała dziesięć, druga dwanaście lat. Obie już nie żyły, podobnie jak jej mąż. Ona sama została zgwałcona przez milicjanta, znęcał się nad nią tak długo, aż straciła przytomność. Zaszła w ciążę. Twierdziła, że zabije dziecko, jak tylko je urodzi. Odłożyłam gazetę. Jak to było możliwe? W domu Bożym, słudzy Boży, sąsiedzi, znajomi?

Deszcz bębnił o szyby, nikt nie zapukał do drzwi, ale nagle usłyszałam, że otwierają się z cichym jękiem.

Clay weszła do pokoju, była blada, ale skupiona. Wstałam, ręce zwisały mi bezwładnie wzdłuż ciała.

– Kiona – zwróciła się do mnie, wskazując na fotel obok biurka – twoja wiadomość zadziałała. Weszliśmy do toalety dla niepełnosprawnych, mieliśmy dla siebie trzy minuty. Niestety nie może się z tobą spotkać, to niemożliwe.

Próbowałam wstać, ale Clay położyła rękę na moim ramieniu.

– Siedź, kochanie. Erik ma gorączkę, mówił nieco niezbornie. Zapisałam jego słowa... – powiedziała Clay.

Wyjęła kartkę i zaczęła czytać:

– „Są przekonani, że akt założycielski zniknął, ale on jest w sejfie w banku. Konto i kody są w skrytce bankowej w lund”.

Spojrzała na mnie.

– Wiesz, co to jest? Ten lund.

Zamknęłam oczy.

– To miasto – powiedziałam. – Lund. Erik robił tam doktorat. Jest tam katedra. Powiedział coś jeszcze?

– „Nie mogą ruszyć kapitału na koncie. Myślą, że kody zniknęły”.

– Są przekonani, że wszystko poszło na dno razem z łodzią – powiedziałam.

– Z łodzią?

– Z jachtem Erika. Santaną.

– „Muszą zdobyć nowy kapitał, żeby zrealizować projekt, korzystając z innego konta. Dlatego przyjechał tu Mobutu”.

Clay podała kartkę, poszła do łazienki, wrzuciła kawałki papieru do sedesu i spuściła wodę.

– Mobutu zażądał dowodu na to, że są prawdziwym bankiem, stąd ta maskarada na Mali Street. Z zasady nie robi interesów z pośrednikami. Ponieważ poinformowano go, że Erik jest w posiadaniu aktu założycielskiego, dlatego uznał, iż on, czy raczej Sebastian Andersson, jest

osobą decyzyjną w firmie, z którą Mobutu robi interesy, a więc z Yinhang Dengi Finance Tanzania.

Nic z tego nie rozumiałam.

– O jaki projekt chodzi?

– Chcą kupić pięć dużych amerykańskich banków. To ma coś wspólnego z kontrolą FED-u, to wszystko, co Erik zdążył mi powiedzieć. Wiesz, jaki bank miał na myśli? Ten, w którym mogą być te kody.

Wstałam, zbierało mi się na płacz.

– Dlaczego Erik się na to zgadza? Dlaczego im pomaga?

– Zmuszają go do tego, Kiona. Erik nie ma rodziny, zabili jego matkę i jego ojca, ale są inni ludzie...

Wiatr szalał za oknami, chmury sunęły po niebie. Zabili jego matkę? I ojca? Chwyciłam się biurka.

– Pamiętasz wypadek tego samolotu w marcu? – spytała Clay. – Lecił z Frankfurtu do Moskwy. Rozbił się tuż przed lądowaniem. Nie wiadomo z jakiego powodu. Nigdy nie odnaleziono czarnej skrzynki.

Oparłam się o drzwi. Nie, nie słyszałam o żadnej katastrofie lotniczej, ani tej, ani tej drugiej, w której zginął prezydent Juvénal Habyarimana. Dlaczego Clay o tym wspomniała?

– Twierdzili, że to ich dzieło, i że to zależy od Erika, czy takich wypadków ma być więcej.

Zabrzmiało to tak absurdalnie, że zaczęłam się śmiać.

Clay zrobiła krok w moją stronę.

– Kiona, Erik powiedział, że mamy stąd wyjechać. Teraz, już.

Cofnęłam się, odsunęłam jej rękę.

– Nic tu po nas. Erik też wkrótce opuści Dar. Negocjacje się zakończyły, zostało tylko podpisanie dokumentów, Kiono, posłuchaj mnie...

Panika sprawiła, że pochłonęły mnie ciemności. Erik ma opuścić Dar?

– Dokąd go zabierają? – krzyknęłam. – Dokąd?

– Uspokój się, nie krzycz... Kiona!

Clay próbowała mnie powstrzymać, ale uwolniłam się i wybiegłam z pokoju. Ruszyłam przed siebie korytarzem, zbiegłam schodami pożarowymi do holu. Clay biegła za mną, ale ja byłam szybsza: minęłam windy, kobietę rozdającą broszurki turystyczne, kanapy i stoliki i nagle zobaczyłam ich: opuścili już hotel i byli w drodze do stojących na podjeździe samochodów: dużego mercedesa i jeepa. Pomyślałam, że Erik zaraz zniknie mi z oczu i że nigdy już go nie zobaczę. Byłam tego pewna, dlatego rzuciłam się w stronę drzwi i przez strugi deszczu zawołałam najgłośniej jak potrafiłam:

– Sebastian, Sebastian! Zaczekaj!

Ruch wokół samochodów zamarł, oczy wszystkich zwróciły się na mnie. Erik, który był już prawie w środku, zastygł w pół kroku, wyprostował się i spojrzał na mnie pustym wzrokiem.

– Sebastian – powiedziałam, stając przed nim. Byłam tak zdyszana, że niemal nie byłam w stanie mówić. – Nie pamiętasz mnie? Jestem Bianca Rockford z Los Angeles.

Erik zamknął na chwilę oczy.

– Kiona... – powiedział.

– Tak! Kiona Bar, Venice Beach! Tam się spotkaliśmy! Byłam pewna, że to ty. Co ty tu robisz?

Kątem oka zobaczyłam za sobą Clay. Co ta durna kobieta zamierzała? Dlaczego nie została w środku? Wracaj do hotelu! Oni nie wiedzą, że jesteś ze mną, i nie muszą się dowiedzieć!

– Wybaczcie Bianco – powiedziała Clay. Objęła mnie w pasie, uśmiechając się do wszystkich. – Ona nie czuje się dobrze. Jesteśmy tu ze względów medycznych.

Pojawiło się dwóch mężczyzn ubranych w koszule khaki, spoglądali niepewnie w stronę kobiety o żółtych włosach.

– Bardzo przepraszam – powiedziała Clay. – Nie będziemy zabierać wam więcej czasu. Bianca, wiesz, że nie wolno ci pić wódki, zaraz zamówimy

kawę...

Clay ruszyła do hotelu szybkim krokiem, a ja za nią na chwiejnych nogach. W pewnym momencie chwyciła mnie mocno i pchnęła w stronę holu. Zachwiałam się, potknęłam i o mało się nie przewróciłam. Wyszliśmy po drugiej stronie, przy basenie z kolorowymi parasolami, spojrzałam przez ramię i zobaczyłam idącą za nami kobietę o żółtych włosach i trzech mężczyzn. Clay wciągnęła mnie do męskiej przebieralni, gdzie w kącie przy pisuarze jakiś facet oddawał mocz. Poza tym w pomieszczeniu było pusto.

– Dlaczego poszłaś za mną? – wyszeptałam.

Clay zamknęła oczy, po chwili znów na mnie spojrzała. Jej oczy błyszczały, była w nich jakaś jasność.

– Skarbie, nie jesteśmy stworzeni po to, by żyć wiecznie.

W tym momencie drzwi do przebieralni się otworzyły i jeden z mężczyzn odciągnął ode mnie Clay. Inny chwycił mnie mocno za ramiona. Kobieta o żółtych włosach wskazała głową na Clay, a potem na drzwi, po czym zwróciła się po angielsku do mężczyzn:

– Zabierzcie go do banku. A ją... – Wskazała głową na mnie, a następnie na hotel.

Mężczyźni podnieśli mnie i siłą wnieśli do środka. Kątem oka widziałam, jak dwaj inni prowadzą Clay przez hol, po czym znikają w drzwiach. Chciałam zaprotestować, ale nie mogłam wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Zanim się zorientowałam, siedziałam już na krześle w pokoju bez okien w części konferencyjnej hotelu. Widziałam go przed sobą, równie wyraźnie, jakby stał przede mną oparty o biurko, widziałam jego oczy koloru morza, krótko ostrzyżone włosy, twarz, ręce, czułam, jak mnie obejmuje.

Drzwi otworzyły się, do pokoju weszła kobieta w towarzystwie mężczyzn. Włożyłam dłonie pod uda.

– Bianca Rockford – powiedziała kobieta, siadając na krześle po przeciwnej stronie stolika. – Tak się nazywasz?

Skinęłam głową.

– Znasz Sebastiana Anderssona?

– Tak, znam go – potwierdziłam.

Następnie kobieta zaczęła zadawać mi dokładnie te same pytania, jakie zadawał mi policjant w Savile Row w Londynie. Cała scena się powtórzyła, bo moje odpowiedzi brzmiały dokładnie tak samo jak wtedy – pomijając moją uwagę na temat seksu. Clay miała rację. Ludzie, którzy przetrzymywali Erika, kontaktowali się i z policją, i z kobietą w banku, ponieważ żółtowłosa, która zadawała mi pytania, znała moje odpowiedzi, zanim zdążyłam ich udzielić. W jej oczach widziałam, że wie o mnie wszystko. Opowiedziałam więc, jak cztery lata temu poznaliśmy się w barze w Venice Beach w Los Angeles, a potem spędziliśmy ze sobą kilka tygodni. Opowiedziałam o książkach, które czytaliśmy, i filmach, które razem oglądaliśmy. Kiedy pojechałam do Londynu obejrzeć katedry, przyszło mi do głowy, że go odwiedzę.

– Gdzie go szukałaś? – spytała kobieta.

– Najpierw poszłam tam, gdzie sądziłam, że pracuje, ale musiałam coś źle zrozumieć, bo tam nie było żadnego banku. Poszłam więc do domu, w którym mieszkał, co okazało się dość krępujące, bo okazało się, że facet jest żonaty i ma dziecko. Potem dowiedziałam się, że ma firmę w Dar es-Salaam, więc pomyślałam, że przyjadę tu i sprawdzę...

Sama słyszałam, jak idiotycznie to wszystko brzmi, ale siedziałam spokojnie na krześle i patrzyłam kobiecie w oczy.

– Kto ci powiedział, że Sebastian jest w Dar?

– Brytyjski urząd rejestru spółek – odpowiedziałam.

Kobieta przyglądała mi się dłuższą chwilę, nic nie mówiąc.

– Wiesz, czym Sebastian się zajmuje? – spytała w końcu.

– Wiem, że pracuje w banku. Yinhang Dengi Finance to instytut finansowy.

– A co konkretnie tam robi?

Przez chwilę kołysałam się na krześle.

– Nie znam się na ekonomii. Jestem pielęgniarką.

– Co ci mówił o swoim pracodawcy?

– Że go szuka. Pomyślałam, że może zrobił coś niezgodnego z prawem, może ukradł pieniądze.

– Często zadajesz się z gwałtownymi osobami?

Wzruszyłam ramionami.

– Pracowałam w ośrodku pomocy dla weteranów wojennych, miałam do czynienia z ludźmi, którzy byli szkoleni, żeby zabijać. I wszystkich ich kochałam.

Kobieta dała znać jednemu ze stojących za mną mężczyzn. Ten zrobił krok w moją stronę, chwycił mnie mocno za rękę i podniósł. Kobieta też wstała, wyszliśmy razem z hotelu i wsiedliśmy do stojącego przed nim samochodu. Kobieta usiadła z przodu, mężczyźni obok mnie na tylnym siedzeniu. Deszcz przestał już padać, w mroku ulice były czarne i błyszczące. Za szybą przemykali ludzie, jakaś para oczu, gest ręki, nogi wokół paleniska, niebieskie światło neonu, niewielki prostokątny szyld nad małym sklepikiem. Nie było świateł na skrzyżowaniach jak w Londynie, a przynajmniej ja żadnych nie zauważyłam. Samochód jechał szybko, nie zwalniając przed skrzyżowaniami. Nikt się nie odzywał. Radio też milczało. Od czasu do czasu samochód podskakiwał na nierównej nawierzchni.

Pojechaliśmy do lokalu banku Yinhang Dengi Finance na 102 Mali Street. Wjechaliśmy w zaułek za budynkiem i zatrzymaliśmy się obok pomalowanych na niebiesko drzwi. Kobieta wysiadła pierwsza, następnie wysiadł kierowca, okrążył samochód i otworzył tylne drzwi. Wyszliśmy z samochodu. Stojący obok mnie mężczyzna trzymał moje ramię w żelaznym uchwycie. Pomalowane na niebiesko drzwi otworzyły się i ktoś wepchnął mnie do środka, ktoś nacisnął jakiś przycisk i świat zalało niebieskobiałe światło elektryczne. Owady na ścianach rozpełzły się, szukając cienia. Pod lampą stał mężczyzna, którego Clay i ja nazwałyśmy

Komendantem. Rozmawiał w swahili z pozostałymi mężczyznami, wskazując ręką na coś po lewej stronie. Okazało się, że są tam schody prowadzące do piwnicy. Kazano mi zejść na dół. Schody kończyły się zamkniętymi drzwiami. Musiałam zaczekać, aż ktoś znalazł klucz do dużej kłódki przy drzwiach, co zajęło dobrych kilka minut. W końcu pojawił się chudy facet z rzadkim zarostem i rozpiętym rozporkiem, dostał burę od Komendanta, szybko otworzył drzwi i szybko się oddalił.

Mężczyźni wepchnęli mnie do środka i zamknęli za mną drzwi.

U sufitu świeciła słaba żarówka. Erik siedział na materacu oparty o ścianę. Clay siedziała na podłodze po drugiej stronie pomieszczenia. Było gorąco jak w piecu, oboje zdjęli marynarki i odpięli guziki przy kołnierzu. Erik patrzył na mnie, jakbym była przeźroczysta i pozbawiona konturów. Podeszłam do niego i zaczęłam mu się przyglądać. Wyostrzyły mu się rysy, postarzał się. Ostrożnie, jakbym się bała, że zaraz się rozplynie i zniknie, usiadłam na materacu obok niego i nagle znalazłam się w jego objęciach. Chłonełam zapach jego skóry pachnącej migdałami, czułam pod palcami jego śmiesznie miękkie włosy i chude, kościste ręce. Objął mnie i znów wszystko było jak dawniej.

– Nie powinnaś była przyjeżdżać – wyszeptał.

– Wiem.

Pocałowałam go i poczułam, że drżą mu wargi. Odwzajemnił mój pocałunek. Przesunęłam dłońmi po jego włosach, położyłam mu ręce na ramionach. Jego ciało było gorące.

– Myślałem o tobie – powiedział zmęczonym głosem. – Cały czas o tobie myślałem.

– Wiem – wyszeptałam.

– Dzieci? – powiedział tak cicho, że można było uznać, że to tylko podmuch wiatru.

– Nic im nie jest – wyszeptałam mu do ucha. – Amiria i Babcia Vaine się nimi opiekują.

Siedzieliśmy objęci, kołysząc się lekko. Zamknęłam oczy i znów byłam w pokoju nad warsztatem. Wokół nas rozpościerała się laguna, a w jej wodach odbijał się księżyc.

– Mają kopię, ale nie wiedzą, w której skrytce jest oryginał.

– W porządku – wyszeptałam. – To nie ma znaczenia. Nie myśl już o tym.

– Mobutu ma pieniądze – powiedział Erik. Uniósł głowę, spocone włosy kleiły mu się do czoła. – Pieniądze zostaną przelane, są już w drodze.

– Wiem, wszystko wiem. Już po wszystkim.

Jego oddech był łagodny i lekki jak piórko.

– Druga od dołu, po lewej stronie. Nie puszczą nas.

Trzymałam go tak mocno, że aż rozbolały mnie ręce, i chyba płakałam, bo wiedziałam, że ma rację. Otworzyły się drzwi, poczułam jego wargi przy moim uchu.

– Próbowałam ich powstrzymać. Ta sprawa cię nie dotyczy. Tak mi przykro.

– Skończyliśmy z nimi – rzuciła kobieta.

Chłonełam zapach Erika, czułam rozgrzaną skórę jego szyi i jego mokre włosy, czułam jego dłonie na moich plecach, staliśmy się jednością.

– Dokąd mamy ich zabrać? – Niski głos Komendanta wprowadził powietrze w drżenie.

– Pozbądźcie się ich – powiedziała kobieta. – Zabierzcie ich na zewnątrz i zastrzelcie.

Skuliłam się w objęciach Erika. Komendant westchnął.

– W Afryce nie można ot tak zastrzelić białych ludzi – powiedział. – Rozpęta się burza.

Jego głos dochodził gdzieś z daleka, a mimo to czułam zapach jego ciała: odór wilgotnego filcu.

– Więc zakopcie ciała – rozległ się głos kobiety.

– Wiesz, ile jest tu zwierząt? I jak szybko dokopąby się do ciał?

Migracje, milion sześćset tysięcy zwierząt podążających za deszczem.

– Ten jeden nie jest biały, prawda? Zróbcie coś!

Głos kobiety załamał się. Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam, jak Komendant podchodzi do Clay i przygląda się jej bezkształtnemu ciału. Po chwili usłyszałam, jak pyta:

– Jaka jest jego rola w tym wszystkim?

– Niewielka.

– Więc...

– Mają zniknąć! Wszyscy! – wrzasnęła kobieta.

Komendant skinął głową swoim ludziom, powiedział im coś w swahili. Mężczyźni ruszyli do Clay. Żółtowłosa kobieta odwróciła się i zaczęła iść na górę po schodach, słyszałam stukot jej obcasów i trzaśnięcie drzwiami.

– Sir, nie zamierzam z własnej woli udać się na górę – zwróciła się do Komendanta.

– Wstawaj. Jesteś za ciężki, żeby wnieść cię po schodach.

– Przykro mi, ale nie zamierzam ułatwiać wam zadania – oświadczyła Clay spokojnym głosem. Zwracała się do niego tym samym tonem, jakim mówiła do Bianki, że ma pozmywać naczynia.

Mężczyźni chwycili Clay za ręce i za nogi. Opierała się, wierzgała, kopała. Mężczyźni krzyczeli coś do siebie, ale w końcu musieli ją puścić. Komendant wrzasnął coś i mężczyźni się wycofali. Clay odwróciła się w moją stronę, nasze spojrzenia się spotkały. Nie wiem, czy próbowała mi coś powiedzieć, ale miałam wrażenie, że się uśmiechała. Czułam, że brakuje mi powietrza, tlen zaczynał się kończyć. Komendant wziął rewolwer i skierował go w jej stronę, położył palec na spuście – sekundy odbijały się echem od ścian – i pociągnął. Całe pomieszczenie eksplodowało. Strzał wprawił ściany w drżenie, krzyk zdawał się nie mieć końca, miałam wrażenie, że pękają mi bębenki. Głowa Clay przechyliła się, ręce opadły na podłogę. Jej oczy patrzyły przed siebie, w tym samym kierunku co dziura w jej czole. Krzyk w mojej głowie. Komendant pomachał bronią, widziałam, jak poruszają się jego wargi, po chwili zjawilo się dwóch mężczyzn w koszulach khaki, teraz mogli już sobie z nią poradzić: słodycz wygranej. Wyciągnęli ją z pomieszczenia, słyszałam, jak jej kręgosłup uderza o betonową posadzkę, pokonanie schodów nadal wymagało sporo wysiłku. Krzyk złagodniał, wypełnił mnie płacz.

– A tych dwoje wrzucicie do morza – powiedział Komendant, wskazując na nas.

Szliśmy przez nikogo niepoganiani, trzymając się blisko siebie. Czułam, jak Erik drży, może miał malarię, a może dengę. Clay nigdzie nie widziałam. Samochody czekały w zaułku. Komendant schował już rewolwer, stał i rozmawiał cicho z mężczyznami, po chwili wskazał na nas dłonią.

– Wy dwoje... – zaczął po angielsku – wsiadajcie do jeepa – powiedział spokojnie, ale zdecydowanie.

Posłusznie wsiedliśmy do środka. Komendant i kobieta o żółtych włosach wsiedli do mercedesa i odjechali. Zastanawiałam się, co stało się z Clay.

Jechaliśmy przez miasto, siedzieliśmy pośrodku, obok nas z obu stron siedzieli ochroniarze. Było ciasno. Erik próbował mi coś powiedzieć, ale ochroniarz wrzasnął *ilikuwa kimya* i uderzył go pięścią w twarz. Potem już milczeliśmy.

Nie wiem, jak długo jechaliśmy, może kwadrans, a może całą wieczność. Mężczyźni obok nas stracili czujność: przytuliłam się do Erika, trzymaliśmy się za ręce. Na wyboistej polnej drodze prowadzącej wzdłuż Oceanu Indyjskiego podskakiwaliśmy we wspólnym rytmie, jego ciało przy moim. Oczy Erika były matowe jak morze podczas zachodu słońca. Patrzyliśmy na siebie i byliśmy tylko my. Noszę ten obraz ze sobą: droga – ciemność – ocean.

Nagle samochód zahamował i zatrzymał się na pustym kamienistym brzegu, silnik zakaszał i zgasł. Ciemny, gęsty mrok. Noc. Mężczyźni rozmawiali ze sobą w swahili, nie miałam pojęcia o czym.

Oczy Erika były wielkie ze strachu, włosy mokre od gorączki. Być może było coś, co wówczas mogłam mu powiedzieć, ale nie zrobiłam tego. Obejmowałam go, głaskałam po policzkach, chyba płakał, ale tylko trochę. Może mówił, że mnie kocha.

Umieścili nas w łódce i podpłynęliśmy do rybackiego kutra, wyposażonego w sieci i kotwicę. Na pokładzie czekał już na nas mężczyzna z młodym chłopakiem, w jego szeroko otwartych oczach widziałam strach,

a może fascynację. Usłyszałam, jak śruba zaczyna się kręcić, i kuter ruszył.

Obejmowaliśmy się. Oparłam głowę o pierś Erika i chłonełam jego ciepło.

Noc była ciepła i wilgotna. Wiatr targał falami, silnik ryczał, płynęliśmy na wschód z prędkością około dziesięciu węzłów. Na małej wysepce gdzieś na południu świeciła latarnia, wkrótce znaleźliśmy się na otwartym morzu. Erik zamknął oczy i trawiony gorączką zapadł na chwilę w sen.

Po niecałej półgodzinie kapitan zatrzymał się i zawrócił kuter pod wiatr, pozwalając, by silnik pracował na jałowym biegu. Kuter jęczał, kołysząc się na falach. Mężczyźni podeszli do nas, odciągnęli mnie od Erika i zaczęli owijać mnie łańcuchem. Erik obudził się i zaczął krzyczeć, przekrzykując szum fal i wycie silnika, wołał coś do mnie, ale wtedy jeden z mężczyzn uniósł rękę i uderzył go w głowę tępym narzędziem, chyba kluczem francuskim. Szukałam wzrokiem jego oczu, jakbym w ten sposób chciała go zatrzymać, ale upadł na pokład, a z rany na głowie poleciała krew. Wszystko widziałam jakby w tunelu, nie byłam w stanie się ruszyć, czułam rękę mężczyzny na moim ciele. Mężczyzna, który uderzył Erika, zamachnął się na niego ponownie, pozostali krzyczeli coś do niego wściekli, próbowali go powstrzymać, co w końcu im się udało, ale było już za późno. Widziałam, jak Erik odchodzi od nas na pokładzie kutra. Miał roztrzaskaną czaszkę, widać było mózg. W słabym świetle widziałam, jak uchodzi z niego życie, dusza zadrzała i rozplynęła się w powietrzu, a świat stał się już na zawsze innym miejscem. Wiedziałam, że już nic nigdy nie będzie takie jak dawniej.

Mężczyźni byli wyraźnie zestresowani, kuter kołysał się na falach, dwóch straciło równowagę i upadło. Nieco niechlujnie przyczepili kotwicę do łańcucha i wyrzucili mnie za burtę.

Przechyliłam się do tyłu, odwróciłam plecami do wody, jak zawsze: łokcie blisko ciała, kolana pod brodą. Pozwoliłam, by morze wzięło mnie w swoje jedwabiste gładkie objęcia, i podążyłam w ciemność. Po kilku sekundach zobaczyłam, jak ciało Erika przebija powierzchnię i spada

w głębinę, owinięte pozostałym kawałkiem łańcucha.

Nic nie mogłam dla niego zrobić.

Zeszłam na głębokość dziesięciu metrów, wystarczająco głęboko, żeby nie było mnie widać z powierzchni, nawet gdyby szukali mnie, używając do tego silnych szperaczy. Zaczęłam machać nogami, by wprowadzić ciało w rotację i w ten sposób pozbyć się kajdan. Tak też się stało: łańcuch poszedł na dno i został tam już na zawsze.

Ciało Erika minęło mnie i zniknęło mi z oczu. Poczułam jakby lekki przeciąg, jakbym zanurzyła się w morzu łez.

Zniknął, zniknął, zniknął.

Przez krótką chwilę unosiłam się bezwolnie, pozwalając, by morze wokół mnie krzyczało, po czym uznałam, że muszę wracać. Zatrzymałam się sześć metrów przed powierzchnią. Mężczyźni na pokładzie nie mieli szperaczy, jedynie latarki, widziałam słabe światło raz z jednej, raz z drugiej strony burty. Przypuszczam, że coś do siebie mówili, ale nie słyszałam głosów. Minęły cztery minuty, może pięć. Silnik nadal pracował na jałowym biegu, wysyłając drżenia w głębinę. Ciemność była wszechogarniająca, ale ciepła, więc nie marzłam. Sześć minut, siedem. Świadomość zaczęła mnie zawodzić, adrenalina sprawiała, że zużywałam więcej tlenu. Czułam drętwienie, widziałam gwiazdy, życie uciekało. A potem nagle znów byłam w lagunie, włosy Moany na moich piersiach, harpun Ngaru przedziurawił moje płuca, ale nie przejęłam się tym, niebo błyszczało, było tuż nade mną.

Nagle dźwięk silnika się zmienił, poczułam jakiś prąd w wodzie i straciłam przytomność: światła na górze zgasły, kuter zawrócił w stronę lądu.

Resztkami sił, niemal nieprzytomna, zaczęłam płynąć do góry.

Kiedy wynurzyłam się na powierzchnię, byłam żywym trupem.

HADES

Świat spowiła czern. Księżyc był w ostatniej kwadrze, chmury skrywały gwiazdy.

Światła miasta unosiły się na horyzoncie gdzieś na zachodzie niczym żarząca się poświata, pozwalając mi obrać właściwy kierunek.

Docierał do mnie słaby odgłos pracującego silnika, ale nie widziałam światła, kuter płynął do portu z wygaszonymi światłami.

Poczekalam, aż wszystkie dźwięki zamilkną: zostałam sama na świecie, bez Erika.

Fale były duże, ale unosiły mnie w stronę lądu. Odczekałam, aż poziom tlenu w moim organizmie się ustabilizuje, a kiedy to się stało, zaczęłam płynąć.

Kuter płynął pół godziny z prędkością dziesięciu węzłów, a więc byłam jakieś dziewięć, dziesięć kilometrów od brzegu – mniej więcej tyle, ile wynosiła odległość między *motun* Porea a Tukao. Od czasu do czasu kładłam się na plecach i odpoczywałam, pozwalając obmywać się falom i prądom. Płynąc trzy kilometry na godzinę, powinnam być w Dar o świcie.

Moje ciało unosiło się nad grobem Erika. Gdzieś w głębinie słyszałam jego śpiew. Jego głos brzmiał błagalnie, był lekko schrypnięty, jak głos mężczyzny, który śpiewał wtedy w sklepie na Rarotondze. *Przyszłaś do mnie, gdy wiosna była w rozkwicie. Pamiętam, jak stałaś w oknie, tego ostatniego ranka. W nocy coś się między nami wydarzyło, a rano było już po wszystkim...*

Nade mną kłębiły się chmury, nie widziałam gwiazd, ale czułam je nad sobą, gdybym miała siłę krzyczeć, zawołałabym: *Pan jest moim pasterzem, niczego mi nie braknie.*

Wyszłam na brzeg niedaleko kancelarii premiera, kilkaset metrów od cieśniny i portu. Chmury rozstąpiły się, jasna piaszczysta plaża żarzyła się lekko w świetle gwiazd. W głębi na tle nocnego nieba widziałam górne piętra hotelu Kilimandżaro. Nogi i ręce miałam ciężkie jak ołów; idąc, bez przerwy się potykałam. Kiedy doszłam do pierwszych budynków,

położyłam się na chwilę, żeby odpocząć. Ciepły wiatr smagał łagodnie moje nogi. Czarna suknia Laury zniknęła w morzu, ale T-shirt Bongo nadal miałam na sobie. Spojrzałam na gwiazdy, zastanawiając się, czy jest tam ktoś, kto też na mnie patrzy, jakaś druga Kiona w świecie równoległym, która całkowicie inaczej ułożyła sobie życie. Może obok niej leżał Erik, bo przecież pojechali razem do Londynu, gdzie Kiona studiowała medycynę, żeby zostać pediatrą w szpitalu King's College, teraz ona i Erik spędzali egzotyczne wakacje w Dar es-Salaam, a jutro mieli lecieć do Aruszy oglądać zwierzęta na sawannie.

Nic nie jest dane na zawsze. Nawet miłość.

Nie mogłam dłużej odpoczywać, za dnia nie będę mogła spacerować po mieście w majtkach i T-shircie. Kręciło mi się w głowie, uświadomiłam sobie, że dawno niczego nie jadłam ani nic nie piłam. Postanowiłam trzymać się z daleka od hotelu Kilimandżaro.

Boso i ze wzrokiem wbitym w ziemię ruszyłam szybkim krokiem w stronę różowego budynku, gdzie Clay i ja się zatrzymałyśmy.

Młody mężczyzna w recepcji spał, głośno chrapiąc. Pochyliłam się nad blatem i sięgnęłam po wiszący na tablicy klucz do naszego pokoju, mężczyzna nie obudził się. Ruszyłam po schodach, nogi miałam odrętwiałe, jak z betonu.

Mój świat przestał istnieć, ale pokój wyglądał dokładnie tak jak wtedy, gdy Clay i ja opuszczałyśmy go dwadzieścia cztery godziny temu. Nikt tu nie sprzątał, było gorąco jak w piecu. Położyłam się na łóżku w pozycji embrionalnej, podciągnęłam kolana pod brodę i oddychałam ciężko, leżąc na twardym materacu, martwa, pogrzebana za życia. Utonęłam, nie było mnie.

Nie istniałam.

Yinhang Dengi Finance usunie wszystkie ślady. Ciało Clay zostanie porzucone w jakimś zaułku, pozbawione wszelkich cech charakterystycznych: kolejny trup w mieście na kontynencie, gdzie kapłani

nazywali ludzi karaluchami. Na pewno trafią też do naszego pokoju w hotelu Kilimandżaro, gdzie została teczka Clay z paszportem i pieniędzmi. Paszport wystawiony był na Ritę Hollingworth. Dowiedzą się, gdzie mieszkała, na pewno dotrą do mieszkania na 1336 North Citrus Avenue w Los Angeles i przeszukają wszystkie szafy i komody, znajdują dziennik Kinga...

Zamarłam.

Zostawiła swoje bachory na jakiejś południowej wyspie i teraz leci szukać swojego faceta, który dał nogę.

Usiadłam na łóżku, Boże!

Domyślą się, że pisał o mnie. I że Erik miał dzieci. Przypomniałam sobie spanikowany głos Erika w naszym pokoju nad warsztatem: *Cokolwiek zrobisz albo powiedz, nie wolno ci się przyznać, że mnie znasz. I ukryj dzieci, a przede wszystkim Ivę.* I głos Clay w hotelu Kilimandżaro: *Erik nie ma rodziny. Zabili jego matkę i jego ojca.* I głos kobiety o żółtych włosach w pokoju pod biurem Yinhang Dengi Finance: *Nie może zostać żaden ślad! Nic!*

Ile miałam czasu?

Sięgnęłam po plecak schowany pod materacem i sprawdziłam, czy mam wszystko: pieniądze, które zostały mi ze sprzedaży pereł, kopertę z kluczem, paszport i bilet powrotny do Londynu, który już nigdy mi się nie przyda – bo przecież utonęłam, byłam trupem. Szybko zebrałam ubrania, które miałam ze sobą, i wpakowałam je do walizki Laury. Zabrałam też chustę i T-shirt Bongo, włożyłam na siebie zakrywające ciało ubrania, które Clay ostatnio mi kupiła. Jej walizka stała spakowana przy drzwiach. Resztką wody opłukałam owoce, które mi jeszcze zostały, i włożyłam je do plecaka razem z chlebem i kawałkiem spoconego sera. Plecak był pełen, jedna pomarańcza wypadła i poturlała się po podłodze, ale było mi wszystko jedno, musiałam przecież...

Zastygłam z ręką na kłamce.

Nie wolno panikować, wtedy można zaplątać się w liny i umrzeć.

Zamknęłam oczy, zaczerpnęłam głęboko powietrza, uspokoiłam tętno, opuściłam ramiona.

Co zrobiłaby Clay? Zawsze starała się dotrzeć do rzetelnych informacji, a dopiero potem działać. Tylko gdzie znajdę rzetelne informacje? Erikowi udało się przez cztery lata unikać Yinhang Dengi Finance. Jak to robił?

Puściłam klamkę, wyprostowałam się.

Gdzie byłam? W Dar. K im byłam? Trupem. Dokąd zmierzałam? Do domu.

Czego szukałam? Sprawiedliwości.

S p r a w i e d l i w o ś c i ?

Nie powinni byli zabijać Erika.

Czułam to całym ciałem, od palców u nóg po czubek głowy. Nie interesowały mnie ich dolary, ale nie powinni byli zabijać mojego męża.

Wróciłam do pokoju. Usiadłam na łóżku, serce nieco się uspokoiło, było teraz w rytmie fal uderzających o rafę.

Jak dojdę sprawiedliwości? Co to w ogóle znaczy?

Nie wiedziałam, co Erik tak naprawdę zrobił czy próbował zrobić, nie wiedziałam, dlaczego uciekł ani dokąd zmierzał. Jak mogłam się tego dowiedzieć?

Pierwsza zasada logiki: Wyjdź od tego, co wiesz.

Czy wiedziałam coś, co pozwoliłoby mi pójść dalej?

Clay rozmawiała z Erikiem. Powiedział jej, że w banku w Lund jest sejf. Wiedziałam, że Lund to miasto w Szwecji, w którym jest katedra. A w moim plecaku był dziwny kluczyk w kopercie z logo Yinhang Dengi Finance, które nie było bankiem, tylko instytucją finansową z siedzibą w Londynie i w Dar es-Salaam. Jaka była w tym logika?

Kluczyk był do skrytki w sejfie bankowym w Lund.

Wstałam. Czułam, jak krew buzuje mi w mózgu, usiadłam.

Co wiedziałam?

Zamknęłam oczy.

Czy ludzie z Yinhang Dengi Finance wiedzieli, jak naprawdę się nazywam?

Miałam nadzieję, że nie. Kiona Matavera. Wiedziałam, że nigdy nie słyszeli mojego imienia. Nie miałam jednak pewności, czy Papa Tane nie podał im naszego nazwiska, kiedy zjawili się po Erika, zapomniałam go o to spytać. Erik powiedział co prawda „Kiona”, kiedy zobaczył mnie przed hotelem, ale mało prawdopodobne, żeby ktoś to usłyszał. Kiona nie było popularnym imieniem, mężczyzna z białymi zębami w limuzynie w Los Angeles spytał, jak się nazywam: „Co powiedziałaś? Key Houna?”.

Kobieta o żółtych włosach nie wspomniała o tym, kiedy mnie przesłuchiwała. Ale powinnam być ostrożna. Lepiej będzie, jeśli znajdę sobie jakieś inne imię.

Poza tym wiedzieli, że mam nowozelandzki paszport. Niedobrze. Nie sądzę, żeby wielu obywateli Nowej Zelandii akurat w tej chwili podróżowało po wschodniej Afryce, chociaż na pewno nie byłam tu jedyna. Doszłam do wniosku, że powinnam zmienić narodowość.

Otworzyłam oczy, za oknem niebo zaczynało czerwienieć. Szukałam w pamięci fragmentów zdań.

Przypomniały mi się słowa Clay o przybyciu Erika na Manihiki – w restauracji w Londynie, gdzie jadłyśmy frytki: „Zapewne wiedział, że ci, którzy go szukają, mają dostęp do list pasażerów poszczególnych linii lotniczych. Nie chciał, żeby go namierzono”.

Głęboki wdech.

Okej.

A więc nie mogłam lecieć samolotem.

Ale czy Yinhang Dengi Finance rzeczywiście kontrolowało w s z y s t k i e lotniska i w s z y s t k i c h pasażerów na c a ł e j kuli ziemskiej? Wydało mi się to mało prawdopodobne.

Erik poleciał samolotem do Papeete na Tahiti, czyli zakładał, że Bank

kontroluje jedynie n i e k t ó r e lotniska. Ale jednak kupił jacht i ostatni kawałek drogi postanowił przepłynąć.

Jeśli to rozumowanie było słuszne, nie mogłam co prawda skorzystać z lotniska w Dar es-Salaam, ale mogłam udać się na jakieś inne, w sąsiednim kraju...

Podbiegłam do walizki Clay, otworzyłam ją i zaczęłam szukać wśród jej ubrań: żeby tylko go tu schowała, proszę, niech tu gdzieś będzie... Jest! Przewodnik po wschodniej Afryce!

Drżącymi palcami zaczęłam przeglądać spis treści i znalazłam to, czego szukałam.

Najwygodniej byłoby zdecydować się na lotnisko w stolicy Kenii. Kenyatta International Airport w Nairobi było jednym z największych w całej Afryce, codziennie odlatywało stamtąd wiele samolotów do najróżniejszych miast na całym świecie. Rozłożyłam mapę, powiodłam po niej palcem.

Nairobi leżało w głębi kraju, na północ od Aruszy – dokąd jeździło się oglądać zwierzęta na sawannie. Z Dar es-Salaam do Aruszy prowadziła droga, powiodłam palcem po żółtej kresce. Jeśli była droga, pomyślałam, to zapewne jeździły nią autobusy, a w autobusach nie wymagano chyba paszportów?

Oparłam głowę o dłoń i czekałam, aż uspokoi mi się oddech.

Następnie spakowałam walizkę Clay i zniosłam ją razem z moją do recepcji, po kolei, bo były dość ciężkie. Powiesiłam klucz do pokoju na tablicy za plecami śpiącego recepcjonisty. Kiedy zamykałam za sobą drzwi, usłyszałam szuranie krzesła po betonowej posadzce; zaspany mężczyzna wstał i poszedł do toalety.

Promienie słońca padały ukośnie na ulice miasta. Z kominów piekarni unosił się dym, szybkie kroki wybudzonych ze snu kobiet wzniewały lekkie drobinki kurzu. Hałas uliczny przybierał na sile, rozkręcał się powoli, jak traktor w Tukao.

Zostawiłam walizki w zaułku niedaleko hotelu, pewna, że nie zostaną tam długo. Następnie stanęłam pod egzotycznym czerwonym drzewem, Płomieniem Afryki, z mapą Clay w ręku i zaczęłam nerwowo szukać skrzyżowania, które, jak pamiętałam, mijałyśmy po drodze, a na którym aż roilo się od *daladala*, miejscowych minibusów kursujących po całym mieście – czytałam o nich w broszurach turystycznych. Rozejrzałam się, żeby ustalić strony świata, i w końcu ze spuszczoną głową ruszyłam w kierunku Morogoro Road. Miasto obudziło się na dobre, a kiedy dotarłam do dużego skrzyżowania z Bibi Titi Mohamed Road, tętniło już życiem. Rozpytując się, znalazłam w końcu minibus, który dowiózł mnie do dworca autobusowego, skąd odjeżdżały autobusy do Aruszy. Po półgodzinie kierowca uznał, że autobus jest pełen, i ruszył. Nikt nie pytał mnie o paszport. Wyjęłam jedzenie, po czym schowałam pod bluzą plecak z całą zawartością: T-shirtem Bongo, moim paszportem, pieniędzmi i kopertą z ciężkim kluczykiem do skrytki w sejfie bankowym w Lund.

Zostawiłam za sobą kołyskę ludzkości.

Wiatr spływał po zboczach Kilimandżaro lodowatymi podmuchami. Góra była olbrzymia, zasłaniała niebo i znikiała w chmurach. Nad chmurami wznosił się szczyt. I właśnie tam, na samej górze, dostrzegłam coś, czego nigdy wcześniej ani też nigdy później nie widziałam: błyszczący w słońcu śnieg.

Zatrzymaliśmy się na obrzeżach Moszi, żeby zatankować. Pasażerowie wykorzystali postój, żeby rozprostować nogi, wokół unosił się silny zapach benzyny. Droga była prosta, prowadziła ze wschodu na zachód i wydawała się ciągnąć w nieskończoność, samochody mijały nas, głośno hałasując. Trzech młodych mężczyzn próbowało zagadnąć do mnie po angielsku, na próżno: miałam dosyć rozmów z supermanami. Większą część drogi przespałam z plecakiem upchanym pod bluzą.

Ostatnie mile przed miastem jechaliśmy skąpani w promieniach czerwieniejącego słońca.

Kiedy dotarliśmy do Aruszy, cienie się wydłużyły. Arusza była miastem z niskimi domami i ulicami z ubitej ziemi. Powietrze było rześkie, ludzie poruszali się lekko w łagodnym wietrze. Na północy wznosiła się kolejna gigantyczna góra, wulkan Meru. Udałam się do niewielkiego hoteliku obok dworca autobusowego, miał podobną różową fasadę jak hotel, w którym zatrzymałyśmy się z Clay w Dar es-Salaam. Zapłaciłam gotówką i dostałam pokój od podwórza – mężczyzna w recepcji obejrzał mój paszport, ale nie wpisał mnie na listę gości hotelowych, pewnie włożył pieniądze do kieszeni.

Okno w pokoju nie dawało się zamknąć. Nocne powietrze było chłodne, niemal zimne. Na zewnątrz szalały koty, zawodziły przez całą noc, moją drugą noc jako trupa.

O świcie wsiadłam do *daladala* i pojechałam do Namangi, skąd na piechotę ruszyłam do Kenii. Na przejściu granicznym wzięłam formularz wizowy i niewyraźnym pismem wpisałam imię i nazwisko: Piana Nalauera. Urzędnik zmarszczył czoło, porównując formularz z moim paszportem, ale podstemplował oba dokumenty i oddał mi paszport.

W ten sposób otrzymałam półroczną kenijską wizę turystyczną, ale moje nazwisko nie trafiło do żadnego oficjalnego rejestru. Z podstemplowanym paszportem ruszyłam na dworzec autobusowy.

Z Namangi kursowały bezpośrednio autobusy do Nairobi. Najbliższy odchodził za niespełna godzinę. Wybrałam miejsce z tyłu przy oknie, patrzyłam przez szybę na spalone słońcem krajobrazy. Kilka razy widziałam, jak na suchej żółtej trawie pasą się żyrafy i zebry. Kilka razy przysnęłam na chwilę.

W Nairobi było duszno i pochmurnie. Przy dużym rondzie przesiadłam się na *matatu*, co było kenijskim odpowiednikiem *daladala*. Entuzjastyczny młody człowiek, który najwyraźniej pełnił funkcję konduktora, zappełnił pojazd do granic możliwości. Na moich kolanach wylądował trzyletni chłopiec i klatka z kurami, w końcu ruszyliśmy w stronę międzynarodowego lotniska. Pod koniec podróży zaczęło ubywać. Mama z chłopcem i klatką na kury wysiadła, zauważyłam, że mam bluzkę pobrudzoną kurzymi odchodami.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, zaczęło padać.

Z Nairobi można było polecieć do południowej Szwecji tylko z jedną przesiadką, ale pomyślałam, że jeśli Bank rzeczywiście ma wgląd w listy pasażerów, lepiej będzie wszystko nieco skomplikować.

W hali odlotów kupiłam bilet w jedną stronę do Auckland, z dwiema przesiadkami: w Amsterdamie i Hongkongu – chciałam uniknąć przesiadki w Los Angeles. Samolot do Europy odlatywał koło północy, miałam więc czas, żeby spokojnie zjeść i zrobić zakupy.

Lotnisko było duże, ciemne i zniszczone, zbudowane na planie koła, na ścianach i na podłodze mieszały się różne materiały. W pewnym sensie terminal przypominał dom Tangi niedaleko lądowiska w Tukao. Tanga zbudował go z materiałów, które sam znalazł: szczątków wyrzuconych przez fale na brzeg lub resztek pozostałych po budowie lądowiska.

Zaraz po przejściu przez kontrolę paszportową kupiłam w niewielkim sklepiku nową bluzkę i przebrałam się w toalecie. Starą, pobrudzoną kurzymi odchodami, wyrzuciłam do kosza. W księgarni na lotnisku znalazłam przewodnik po Europie, kupiłam go, po czym usiadłam w restauracji i zamówiłam cztery duże kanapki. Jedząc, studiowałam połączenia kolejowe w Europie. Z Amsterdamu mogłam pojechać pociągiem do Kopenhagi, stolicy Danii, skąd odchodziły promy do Szwecji: do miasta, które nazywało się Malmö. Stamtąd – pociągiem albo autobusem – mogłam dotrzeć do Lund.

Samolot nie był nawet w połowie zapełniony. Miałam dla siebie trzy miejsca, więc mogłam się położyć i spać całą drogę z Nairobi do Amsterdamu. Stewardesy podawały i kolację, i śniadanie, mogłam więc zaoszczędzić kanapki zabrane z restauracji. Jeśli bank rzeczywiście miał wgląd w listy pasażerów, stwierdzi, że Kiona Matavera miała bilet na kolejny lot. Zamiast jednak lecieć dalej, przeszłam przez kontrolę paszportową i wsiadłam do pociągu jadącego na dworzec w holenderskiej stolicy – podróż zajęła mi siedemnaście minut.

W pociągu do Kopenhagi było bardzo ciepło. Młodzi ludzie, niewiele młodszy ode mnie, pili alkohol w dużych ilościach i puszczali muzykę. Jedną z melodii rozpoznałam, słyszałam ją w samochodzie Vladimira, kiedy jechaliśmy nad morze: *I saw the sign and it opened up my mind and I am happy now, living without you, I've left you Oh, oh-oh-oh...*

Zamknęłam oczy i usłyszałam głos Clay obok mnie, czułam łagodne kołysanie samochodu, szum kół sunących po asfalcie. Vladimir nadal był w Stanach, a King nie trafił jeszcze do ośrodka dla weteranów wojennych w Santa Monica. *Life is demanding without understanding.*

Wieczorem dotarłam do stolicy Danii. Prom do Szwecji odbił dosłownie w momencie, kiedy na niego wsiadłam, i dwadzieścia minut później byłam już w ojczyźnie Erika.

W przewodniku napisano prawdę. W Szwecji wszystko działało. Autobus do Lund odchodził dokładnie z tego przystanku, z którego miał, i zgodnie z rozkładem. Nie było wielu pasażerów, oprócz mnie jeszcze dwie muzułmanki i kilku nastoletnich chłopców z torbami sportowymi w rękach. Średniej klasy hotel, który wybrałam z przewodnika, nie miał kompletu gości, zameldowałam się, podając swoje imię i nazwisko, nikt nie zażądał ode mnie zapłaty za następny tydzień. Dostałam darmową mapę miasta i poszłam do pokoju. Był duży i wygodny.

Spałam niespokojnie.

Rano czekał na mnie bufet śniadaniowy tak obfity, że w niczym nie ustępował niedzielnemu lunchowi w Tukao: miałam do wyboru kilka rodzajów pieczywa, sery, mięsa na zimno, soki w różnych kolorach, jogurty o różnych smakach, były dżemy, masło, sfermentowane ryby i jajecznicą, bekon i tłuste małe kiełbaski, grillowane pomidory, fasola w czerwonym sosie, smażone grzyby i gofry, a wszystko było wliczone w cenę pokoju.

Syta, chociaż lekko niewyspana, z plecakiem na piersi i kluczykiem do skrytki w bankowym sejfie w wewnętrznej kieszeni, postanowiłam poszukać miejskiej biblioteki. Znajdowała się w samym centrum miasta: niski, nowoczesny budynek przy starej brukowanej ulicy.

Bibliotekarka spytała cicho, w czym może mi pomóc, a kiedy spytałam, jakie banki w Lund mają sejfy, uniosła lekko brwi. Poprosiła, żebym usiadła, po czym poszła po książkę telefoniczną.

– Nie potrafię powiedzieć dokładnie, które mają sejfy, ale wszystkie te banki mają swoje siedziby w centrum miasta – powiedziała i zaczęła wymieniać ich nazwy: – Nordbanken, Skandinaviska Enskilda Banken, Svenska Handelsbanken, Sparbanken Skåne i Föreningsbanken.

Podła mi listę z nazwami banków i adresami.

– Są jeszcze jakieś inne na obrzeżach miasta? – spytałam, żeby się upewnić.

– Te na pewno mają swoje siedziby w całym kraju. Ma pani na myśli

jakiś konkretny bank?

Podziękowałam jej za pomoc, podeszłam do stolika przy wejściu i zaznaczyłam banki na mojej darmowej mapie miasta, po czym ruszyłam do tego, który leżał najbliżej. Był to Sparbanken Skåne.

Znajdował się dokładnie naprzeciwko katedry.

Stałam chwilę, wpatrując się w budynek, który miałam przed sobą. To była prawdziwa katedra, z podwójnymi wieżami wznoszącymi się ku niebu, długą nawą i łukowatymi oknami. I nagle znów usłyszałam, jak wokół mnie śpiewa laguna, mijający mnie ludzie byli jak ławica ryb, koralowce tańczyły, a fale rozbijały się z hukiem o rafy.

W pomieszczeniu panował chłód. Oświetlenie było stonowane. Pracujące tam kobiety miały buty, które nie hałasowały, i dyskretną biżuterię. Wszyscy mężczyźni nosili krawaty.

Dosyć długo czekałam na swoją kolejkę. Kiedy pokazałam kluczyk do skrytki, poczułam, jak przyspiesza mi tętno.

– To kluczyk do skrytki bankowej w Lund. Problem w tym, że nie wiem, w jakim ona jest banku.

Mężczyzna w krawacie spojrzał na mnie nieco podejrzliwie, wziął kluczyk i zaczął mu się dokładnie przyglądać.

– Dlaczego zakłada pani, że ta skrytka znajduje się właśnie u nas? – rzucił z udawaną obojętnością.

– Wasz bank był najbliżej – powiedziałam, nie precyzując najbliżej czego.

– Wolno spytać, jak ten kluczyk trafił w pani ręce?

„Trafił w moje ręce”?

Wy tłumaczyłam, że dostałam kluczyk od męża.

– A nie pomyślała pani, żeby spytać go, o jaki bank chodzi?

W jego głosie była pogarda.

– Mój mąż nie żyje – powiedziałam.

Mężczyzna w krawacie oddał mi kluczyk, jakby nagle zaczął go parzyć.

– Bardzo mi przykro, ale to nie jest kluczyk, który pasowałby do naszych skrytek – powiedział.

Wstałam i odeszłam bez słowa „dziękuję”. Gbur.

Następny na liście był: Nordbanken. Znajdował się w pobliżu, na ulicy pełnej sklepów z ubraniami, butami i różnymi innymi rzeczami. Tym razem postanowiłam rozegrać sprawę inaczej: będę wdową w żałobie.

– Mój mąż, umierając, wręczył mi ten kluczyk – powiedziałam, wycierając łzę w kącik oka.

Mężczyzna w krawacie był zadziwiająco podobny do tego w Sparbanken, miał równie niezadowoloną minę, przerzedzające się włosy, tyle że pachniał

papierosami.

– Powiedział, że to kluczyk do skrytki bankowej w Lund – powiedziałam, uśmiechając się smutno. – Mąż urodził się i studiował w Lund, doktoryzował się na tutejszym uniwersytecie. Zawsze bardzo serdecznie wspominał to miasto, chociaż przez wiele lat mieszkaliśmy w Los Angeles, w Stanach Zjednoczonych.

– Wiem, gdzie jest Los Angeles – przerwał Krawat Numer Dwa. Wziął kluczyk i przez chwilę ważył go w ręce. – Miałyby pasować do jednej z naszych skrytek?

Przeciągnęłam bezradnie dłonią po włosach.

– Podał mi nazwę banku, ale nie zapisałam jej. Bez sensu. Wiem jednak, że na pewno chodziło o Lund.

– Jak nazywał się pani mąż?

Spojrzałam Krawatowi prosto w oczy i postanowiłam darować sobie żalobę.

– To wasz kluczyk czy nie?

Mężczyzna oddał mi kluczyk, wstałam i wyszłam z banku.

W trzecim banku, Skandinaviska Enskilda Banken, nie było mężczyzny w krawacie, była kobieta w bluzce z żabotem. Słuchając mojej opowieści, patrzyła z obrzydzeniem na mój strój – akurat tego ranka miałam na sobie T-shirt Bongo z drutem kolczastym.

Tym razem też nie miałam szczęścia.

Zanim udałam się do kolejnego banku, postanowiłam się przebrać. T-shirt Bongo sprawiał, że nie traktowano mnie poważnie.

W białej bluzce koszulowej ze sklepu, nad którym widniał szyld H&M, i w dżinsach z mnóstwem kieszeni weszłam do Föreningsbanken, położonego przy ulicy pełnej kwaciarni i restauracji – T-shirt Bongo miałam w torbie.

Kolejny mężczyzna w krawacie okazał się bardziej przyjaźnie nastawiony. Ponownie postanowiłam udawać wdowę w żalobie, która

zapomniała zapisać nazwy banku. Mężczyzna złożył mi kondolencje, brzmiał szczerze, ale okazało się, że akurat ten bank w ogóle nie ma skrytek.

Został mi już tylko jeden bank: Svenska Handelsbanken. To musiał być ten, wiedziałam, że Erik na pewno mnie nie okłamał.

Kiedy zbliżałam się do wejścia, zdążyło się już zrobić popołudnie. Budynek był z betonu, miał wąskie okna. Nie pojmuję dlaczego, ale poczułam, że jestem głodna.

Z burczącym brzuchem dałam swoje ostatnie przedstawienie pod tytułem „Pogrążona w żałobie wdowa” i w pewnym momencie zaczęłam naprawdę płakać. Zamiast mężczyzny w krawacie była kobieta w bluzce z żabotem, próbowała mnie pocieszyć, podając mi perfumowaną chusteczkę higieniczną.

– Bardzo mi przykro, ale nasze skrytki nie mają tego rodzaju zamków. Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałam takiego klucza. Jest pani pewna, że to klucz do skrytki bankowej?

Płakałam z zawodu i ze stresu, wytarłam nos w pachnącą różami chusteczkę.

– Na pewno się nie mylę. Ale może to był inny klucz, muszę wrócić do domu i sprawdzić. Może jego ojciec będzie wiedział.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Bluzka z Żabotem. – Przepraszam, że pytam, ale w jaki sposób zmarł pani mąż?

– Zginął w wypadku samochodowym w Los Angeles – powiedziałam. – Przy wjeździe na autostradę numer 405. Wie pani, gdzie to jest?

Kobieta pokręciła głową.

– Niedaleko lotniska – powiedziałam i wstałam. – W pobliżu hotelu Marriott.

Podaliśmy sobie dłonie i wyszłam z banku. Ziemia zakołysała mi się pod nogami – jak wtedy na statku na otwartym oceanie, kiedy płynęłam do Rakahangi. Zrobiło mi się niedobrze. Śmiech i stukot obcasów docierały do mnie z opóźnieniem, jakbym była pod wodą. Wróciłam po swoich krokach,

minęłam banki i dotarłam do katedry. Drzwi były otwarte, weszłam, starając się nie robić hałasu. Usiadłam na ławce z tyłu nawy, słuchałam gry astronomicznego zegara.

Czy Clay mogła mylnie zrozumieć słowa Erika? Nie, wszystko dokładnie spisała na papierze listowym hotelu, przeczytała mi, a potem podała kartkę i spuściła w toalecie.

A może to ja coś źle rozumiałam? Może coś źle zapamiętałam?

Zamknęłam oczy, mocno, i wstrzymałam oddech: pokój w hotelu Kilimandżaro, Clay wchodzi, jest blada jak kreda, a ja przed chwilą przeczytałam o ludobójstwie w Rwandzie i czułam się jak sparaliżowana. Clay powiedziała, że Erik nie może się ze mną spotkać, że to niemożliwe. Potem zaczęła czytać z kartki: „Są przekonani, że akt założycielski zniknął, ale on jest w sejfie w banku. Konto i kody są w skrytce bankowej w Lund...”.

Otworzyłam oczy, spojrzałam na znajdujące się z przodu ołtarz i kazalnicę. Byłam pewna, że Clay tak właśnie powiedziała.

W sejfie bankowym w Lund były „kody i konto”, ale „akt założycielski”, cokolwiek to znaczyło, też był w sejfie bankowym, tyle że niekoniecznie w Lund. Może tak właśnie było? Może były dwie skrytki, jedna w Lund, i druga gdzie indziej, a ja miałam klucz do tej drugiej. Może połączyłam dwie informacje i wyciągnęłam błędny wniosek? Możliwe. Kluczyk, który miałam, był do skrytki w tym drugim sejfie, kluczyka do skrytki bankowej w Lund nie miałam.

Do katedry weszła grupa azjatyckich turystów, wszyscy mieli w rękach kamery, mówili szybko i głośno.

Jeśli tak było, to gdzie mógł być klucz do sejfu w Lund, zastanawiałam się. Na pewno nie było go w metalowej teczce, którą Erik miał ze sobą na jachcie i w której przechowywał wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. A więc Erik umieścił kluczyk do sejfu w Lund w jakimś innym miejscu. Gdzieś go zostawił.

Gdzie?

Czy był ktoś, komu Erik mógł się zwierzyć?

Komu?

Grupa turystów z Azji wyszła, cisza, która zapadła, była przytłaczająca. Erik nie kłamał.

Wiedział, że Yinhang Dengi Finance zadba o usunięcie wszelkich śladów, chciał chronić swoich bliskich. Nigdy nie wspominał o swoich rodzicach, powiedział tylko, że jego matka uczyła języków.

Powiedział też, że nic mu w Szwecji nie zostało: „Nie mam rodziny, niczego”. Zrobił to z troski o nas. Chciał, żebym wiedziała jak najmniej, tak było najbezpieczniej dla wszystkich, dla mnie, mojej rodziny, naszych dzieci.

Kiedyś Amiria spytała, dlaczego dał naszemu synkowi na imię Johan, a on – nie wiedząc, że go słyszę – odpowiedział: „To po moim bracie”.

Gdy później go o to spytałam, powiedział: „Ja nie mam brata”. Tak było bezpieczniej dla brata, który miał na imię Johan. Nikt nie powinien wiedzieć, że istnieje.

Pamiętam też, jak błyszczały mu oczy tej nocy, kiedy powiedział mi: „Tu jest wszystko. WSZYSTKO. Wszystko, czego możesz kiedykolwiek w życiu potrzebować, jest na tej farmie, w tym domu”.

Johan Andersson lub ewentualnie Johan Bergman.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza. Erik opowiadał mi o szwedzkim społeczeństwie, w którym wszystko było transparentne, wszystkie dane były jawne: informacje o tym, jak politycy wydają pieniądze obywateli, dane obywateli i firm, dochody, podatki, nawet oceny szkolne.

Jeśli Erik miał brata, to musiał on figurować w powszechnie dostępnych szwedzkich rejestrach.

Rodzeństwo? Nie, takiego rejestru nie mamy – powiedziała bibliotekarka.

Ta sama, która rano pomogła mi wyszukać adresy banków.

Nie potrafiłam ukryć zawodu, chwyciłam mocniej plecak, żeby nie uderzyć pięścią w stół.

– Myślałam, że szwedzkie społeczeństwo jest transparentne – powiedziałam, starając się brzmieć spokojnie.

Kobieta spojrzała na mnie przez szkła okularów.

– Mamy informacje o rodzicach i dzieciach, ale nie o dorosłym rodzeństwie. Oczywiście można spróbować szukać według nazwiska lub adresu, porównać wiek i wyciągnąć wnioski. Ma pani takie dane?

Kobieta sięgnęła do podłączonej do ekranu klawiatury, wpisała jakieś hasło i komputer zaczął świszcząć i gwizdać.

– Łączę się przez modem z Państwowym Rejestrem Osób i Adresów – powiedziała wyraźnie z siebie dumna. – Są w nim wszyscy szwedzcy obywatele. Jak nazywa się mężczyzna, którego pani szuka?

Czy Yinhang Dengi Finance mógł mieć wgląd w coś, czego szwedzka bibliotekarka w Lund szukała w szwedzkim rejestrze?

– Wszyscy mają do niego dostęp? Mogą się dowiedzieć, czego pani teraz szuka? – spytałam.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. A kogo mogłoby to interesować?

Odetchnęłam głęboko kilka razy.

– Johan Andersson – powiedziałam. – Lub Johan Bergman – dodałam po chwili.

Kobieta zastygła, jej palce przypominały szpony koparki zawieszony nad klawiszami.

– Johan Andersson? To jedna z najpopularniejszych kombinacji w Szwecji. Gdzie ta osoba mieszka?

– Nie wiem.

Kobieta rzuciła mi spojrzenie znad okularów i zaczęła coś wpisywać.

– Mamy w Szwecji cztery tysiące trzystu siedemnastu Johanów Anderssonów. Zna pani datę urodzenia?

Przecież ja nawet nie wiedziałam, czy on rzeczywiście ma Andersson na nazwisko.

– Może spróbuje pani wyszukać Johana Bergmana? – poprosiłam.

– Każde wyszukiwanie kosztuje dziesięć koron – uprzedziła mnie kobieta.

Przeniosłam ciężar z jednej nogi na drugą, żeby czegoś nie kopnąć.

– W porządku, zapłacę – powiedziałam.

Komputer znów zapiszczał.

– Takich jest mniej. Mamy trzystu dwudziestu sześciu Johanów Bergmanów. Przykro mi, ale dalej się nie posuniemy.

– Geronimo – powiedziałam. – Johan Geronimo Andersson albo Johan Geronimo Bergman. Może pani sprawdzić?

Kobieta znów zaczęła coś pisać.

– Nie ma nikogo, kto by się nazywał Johan Geronimo Bergman. Jest natomiast jeden Johan Geronimo Andersson, ma czterdzieści dwa lata, kawaler, nie ma dzieci. – Kobieta spojrzała na mnie znad okularów. – Mieszka na Föreningsgatan sześćdziesiąt jeden w Malmö – dodała.

Dom wyglądał jak zamek lub pałac. Ciężka fasada z brązowej cegły, misternie rzeźbione balustrady balkonów i wykusze z dużymi oknami, mnóstwo maleńkich szyb migoczących w wieczornym świetle.

Jeśli Johan Geronimo Andersson był bratem Erika i jeśli rzeczywiście tu mieszkał, to musiało mu się dobrze powodzić. Cała dzielnica sprawiała wrażenie dostatniej, były tu parki z drzewami dającymi cień, domy miały bogato zdobione fasady. Po przeciwnej stronie znajdował się kościół Świętego Pawła, przypominała mi się katedra w Londynie. Był też cmentarz, znacznie większy niż Miasto Umarłych na Rakahandze.

Brama domu była zamknięta.

Wsiadłam do autobusu na przystanku przed biblioteką w Lund, ale niestety w przeciwnym kierunku, niż powinnam, więc pokonanie niezbyt długiego odcinka między Lund a Malmö zajęło mi więcej czasu niż przewidywałam. Kiedy dotarłam na miejsce, słońce już zachodziło, od Sundu wiała łagodna bryza.

Co miałam powiedzieć?

Jeśli Johan Geronimo był bratem Erika i jeśli wiedział cokolwiek o jego pracy, to nie przyzna się do żadnego pokrewieństwa. Uzna, że to zbyt niebezpieczne. Pomyśli, że zapewne wysłano mnie z Banku, pozbędzie się mnie i ucieknie.

Jak mogłam temu zapobiec?

Rozejrzałam się. Był piątkowy wieczór, ale na ulicach było bardzo mało ludzi. Ta pustka wydała mi się dziwna. Czy ludzie nie powinni świętować? Wyjść z domu, rozmawiać ze sobą, pić, tańczyć? Miałam wrażenie, że świat wstrzymał oddech.

Nagle drzwi domu przy Föreningsgatan 61 otworzyły się. Zobaczyłam starszą panią pchającą przed sobą rodzaj krzeselka na kółkach, przytrzymałam jej drzwi, powiedziała coś do mnie, pewnie mi podziękowała, i po chwili byłam już na klatce.

Na drugim piętrze mieszkał niejaki J. Andersson.

Nie pojechałam windą, tylko weszłam po schodach. Na klatce pachniało jedzeniem i środkami czystości. Zza wielu drzwi dobiegały mnie odgłosy telewizorów, śmiech, brawa.

Drzwi prowadzące do mieszkania J. Anderssona były misternie zdobione, miały też szybkę z kolorowego szkła, jak szyby w kościele w Tukao – uznałam to za dobry znak. Czułam, jak pulsuje mi krew. Zadzwoiłam.

Nic się nie wydarzyło.

Zadzwoiłam ponownie.

Za drzwiami nie słyszałam żadnego ruchu, nic. Żadnych odgłosów telewizora, jedynie cisza.

Nie było go w domu.

Wzięłam głęboki oddech.

Co miałam teraz zrobić?

Przynajmniej byłam na klatce. Może mogłam tu zostać, ale przecież nie bardzo mogłam usiąść przed drzwiami i czekać tu na niego. To by go tylko przestraszyło. Na piętrze były jeszcze jedne drzwi, na tabliczce widniał napis: B. i R. Petersson. Nie chciałam, żeby jego sąsiedzi mnie zobaczyli.

Starając się nie robić hałasu, zaczęłam zwiedzać klatkę.

Pół piętra wyżej znajdował się podest, którego nie było widać ani z dołu, ani z góry. Wyszłam z założenia, że większość mieszkańców wyższych pięter korzysta z windy, pewnie rzadko ktoś chodził po schodach, zapewne mogłam więc – nieniepokojona przez nikogo – spokojnie zaczekać tu, aż pojawi się Johan Geronimo. Usiadłam na podłodze i oparłam się o tylną ścianę szybu windy.

O ile Johan wróci dzisiaj do domu, pomyślałam nagle. Był środek lata, mógł wyjechać. Może miał gdzieś dziewczynę, może nocował u niej. A może w ogóle tu nie mieszkał. Może nie był bratem Erika.

Położyłam się na podeście. Kamienna posadzka była chłodna i twarda. Wsunęłam plecak pod głowę, jak poduszkę.

Po chwili zasnęłam.

Białoniebieskie światło padło mi na twarz. Za plecami poczułam wibracje pracującego cicho elektrycznego silnika.

Ktoś zapalił światło na klatce i wjeżdżał windą na górę. Usiadłam, nagle rozbudzona. Wstając, poczułam ból biodra, od czasu złamania nadal czasem mnie bolało.

Wstrzymałam oddech, przywarłam plecami do ściany. Nie chciałam, żeby ktokolwiek z dołu mnie zauważył.

Winda zatrzymała się pół piętra niżej, na wysokości mieszkania Johana. Drzwi otworzyły się, skrzypiąc, usłyszałam pobrzękiwanie kluczy. Ktoś westchnął. Telewizor sąsiadów zamilkł, pewnie poszli już spać.

To był on. To musiał być on. Moje tętno oszalało.

Podniosłam się i zesłam trzy stopnie.

Stał odwrócony do mnie plecami, kołysał się lekko, próbując wcelować kluczem w zamek. Przez chwilę zobaczyłam przed sobą Tangę, byli trochę do siebie podobni. Półdługie włosy, przysadziści, z silnymi nogami i długimi rękami.

– Johan Andersson? – spytałam cicho.

Odwrócił się zaskakująco szybko, zobaczyłam jego druciane okulary i przestraszone, na wpół otwarte usta.

– Sebastian ma syna, który dostał imię po tobie – powiedziałam. – Johan Geronimo. Ma trzy lata i trzy miesiące.

Ręce mężczyzny drżały. Odwrócił się ponownie i już całkowicie trzeźwy włożył klucz do zamka, przekręcił go, otworzył drzwi i natychmiast je zamknął, z hukiem. Słyszałam, jak zakłada łańcuch.

Tej nocy już nie zasnęłam. Pozwoliłam myślom wędrować: wspominałam dzieci, trochę sobie popłakałam, a potem uśmiechnęłam się w mroku, przypominając sobie straszne opowieści Babci Vaine o pięknej dziewczynie, Inie, którą bóg Tinirau tak pokochał, że na grzbiecie dużego białego rekina udał się na tajemniczą wyspę Motu-Tapu, i legendę o rybaku Paikei, który popłynął z Rarotongi do Aotearoa, krainy długich białych

chmur, dzisiaj nazywaną Nową Zelandią, i opowieść o braciach Tangiia i Tutapu, którzy walczyli o władzę i wpływy, i o tym, jak Tangiia nauczył się kontrolować swoją złość i w nagrodę dostał za towarzysza zielonego morskiego żółwia.

Być może tuż przed świtem zasnęłam na krótko, a kiedy Johan po jakimś czasie zaczął poruszać się w mieszkaniu za drzwiami z kolorową szybką, ja już od kilku godzin nie spałam. Winda kilkakrotnie jeździła w dół i w górę, ale nikt nie zdecydował się iść po schodach, więc nikt mnie nie niepokoił.

Tuż przed dziesiątą usłyszałam, jak klucz w zamku drzwi do mieszkania Johana został ostrożnie przekręcony. Zaczekałam, aż otworzył drzwi, cicho i z pewnym wahaniem, a potem zamknął je, przekręcając klucz w zamku. Podeszłam szybko i stanęłam obok niego.

– Nie przychodzę z Banku – powiedziałam.

Spojrzał na mnie, jakby zobaczył ducha.

– Nie bój się – uspokoiłam go. – Mam wiadomość od Sebastiana, chociaż dla mnie jest on Erikiem.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko szybko zbiegł po schodach i zniknął, niech to szlag. Pomyliłam się. Założyłam, że będzie ciekaw tego, co Erik miał mu do przekazania. Ale być może w ogóle nie zależało mu na bracie. Może dla niego Erik oznaczał tylko kłopoty. Może myślał, że jest podwójnym mordercą, który ukradł pieniądze swojemu pracodawcy, porzucił żonę i upośledzone dziecko w Camberwell. Ludzie wierzyli w najróżniejsze rzeczy.

Wróciłam na podest, ale nie musiałam czekać długo. Po kwadransie mężczyzna wrócił, trzymając w ręce papierową torbę, z której rozchodził się zapach świeżego pieczywa.

– Uratowałeś Sebastiana przed utonięciem – powiedziałam do jego pleców. – Powiedział mi, że uratował go znajomy rodziców, ale to byłeś ty. W Mölle, nauczyłś go pływać. Miał cztery lata, może pięć. A ty miałeś dziewięć.

Johan otworzył drzwi i wszedł do mieszkania, nie patrząc na mnie. Szlag, szlag, szlag.

Przestępowałam z nogi na nogę, zdenerwowana. Z jakiegoś powodu pomyślałam o Laurze Branningham, o tym, jak w pogoni za prochami i akceptacją zniszczyła życie wszystkim, którzy mieszkali u Clay, o tym, jak przypadkowe bezmyślne działanie – w jej przypadku zakup kokainy od niewłaściwej osoby – spowodowało, że Bongo i Bianca zostały rzucone wilkom na pożarcie, King trafił do ośrodka pomocy, a Clay straciła życie. A może to nie bezmyślne działanie Laury, tylko moje przyczyniło się do śmierci Clay?

Wstałam i zaczęłam krążyć po podeście. Byłam tak zajęta własnymi myślami, że nie zauważyłam, kiedy nagle obok mnie stanął Johan.

– Kim jesteś? – spytał cicho.

Z wrażenia przestałam oddychać, zrobiłam krok do tyłu. Musiałam odczekać chwilę, aż moje serce się uspokoiło.

– Mam na imię Kiona. Jestem żoną Erika – powiedziałam.

Mieszkanie było duże, znacznie większe od mieszkania Clay, a Johan mieszkał w nim sam. Sufit, zdobiony sztukaterią, zawieszony był wysoko nad moją głową. Okna trzech pokoi wychodziły na ulicę, na bujną zieleń w parku i na cmentarzu, przez duże wykusze wpadało słońce i światło. Dawno nie były myte. Jeden pokój wychodził na podwórze, podobnie jak łazienka i duża kuchnia. Nie potrafiłam zrozumieć, po co mu tyle przestrzeni.

Johan spytał, czy napiję się kawy. Powiedziałam, że chętnie i usiadłam w bibliotece, gdzie ściany od podłogi po sufit były wypełnione książkami. Skórzana kanapa zatrzeszczała pode mną. Po chwili zjawił się Johan, niosąc tacę, na której stały dwie filiżanki i dzbanek z kawą.

– Mam też świeżo upieczone croissantsy z piekarni – powiedział.

– Widzę, że uwierzyłeś, że nie przychodzę z Banku. Dlaczego?

– Nie zabiłaś mnie – powiedział siadając w jednym z foteli.

Napięcie zelżało. O n w i e d z i a ł.

Johan poprawił okulary i spojrzał na mnie. Byli do siebie podobni? Raczej nie.

– Mów – powiedział. – Co Sebbe chce mi przekazać?

Oddychałam szybko, intensywnie.

– Sebastian nie żyje – zaczęłam. – Zabili go.

Przez kilka sekund siedział w milczeniu, potem zdjął okulary i schował twarz w dłoniach. Siedział nieruchomo, a ja patrzyłam na niego. Jego ramiona drżały. Na cmentarzu wiatr targał koronami drzew. Było bardzo ciepło. Po chwili westchnął głęboko, wytarł twarz rękawem koszuli i włożył okulary.

– Jak to się stało?

– Zabili go – powiedziałam. – Wrzucili do wody.

– Jak Ivana i Isabel.

Ludzi z Londynu, a więc znał ich. Skinęłam głową.

– Gdzie to się stało?

– Na Oceanie Indyjskim, u wybrzeży Tanzanii, niedaleko Dar es-Salaam.

Jego oczy zwięzły się, przyglądał mi się uważnie.

– Skąd to wiesz? – spytał.

– Byłam tam. Wrzucili mnie do wody razem z nim, tyle że mnie nie uderzyli najpierw w głowę, więc udało mi się dopłynąć do brzegu.

– Wiedzą, że żyjesz?

– Jeśli tak, to wkrótce będę martwa.

Siedzieliśmy w milczeniu. Nalał nam kawy.

– To prawda? – spytał, kiedy wypił łyk. – Sebbe ma syna? Który ma na imię Johan?

– I córkę. Iwę – powiedziałam. – Skończyła roczek.

Wtedy znów zaczął płakać.

– Gdzie one są? W Tanzanii?

– Na Manihiki.

A potem opowiedziałam mu o jachcie, który rozbił się o rafy tamtego ranka, kiedy poławialiśmy perły. O tym, że Erik był ranny, a ja i Mama Evelyn zaopiekowałyśmy się nim, i że w Tukao potrzebowaliśmy kogoś, kto znałby się na rachunkach, no i o tym, że urodziło nam się dwoje dzieci. Johan przyniósł atlas świata. Manihiki nie było na mapie, ale Wyspy Cooka były. Pokazałam mu, gdzie mniej więcej leżało Manihiki, opowiedziałam o Tukao. Próbowałam opisać perły i lagunę, kościół z oknami z kolorowego szkła i ludzi, którzy zapraszali wszystkich, wołając: „Dołączcie do nas! Mamy *ika mata*”. Powiedziałam też, że Erik zajmował się księgowością i wszystkim założył konta w banku.

– Miał smykałkę do liczb, ale był marnym żeglarzem – powiedziałam.

– Marnym? Przepłynął przez cyklon, sam. Musiał być świetnym żeglarzem.

Zamknęłam oczy. Erik miał smykałkę nie tylko do liczb, pomyślałam i po policzkach popłynęły mi łzy. Płynęły mi po twarzy, po szyi, musiałam otworzyć usta, żeby móc oddychać, łapałam powietrze chciwie jak ryba

wyrzucona na brzeg. Wrota rozpaczki otworzyły się, chyba krzyczałam, ale nie jestem pewna. Może ten krzyk był tylko w mojej głowie? Wołałam Erika, ale moje struny głosowe nie funkcjonowały. Wołałam mojego męża, którego kochałam. Boże, Panie mój, dlaczego mi go zabrałeś? Dlaczego nie pozwoliłeś mu żyć? Czy na świecie było za dużo miłości? Johan objął mnie, próbował ukoić moją rozpacz, płakał w moje włosy. Oboje kochaliśmy Erika, człowieka, który zmarł – z ewolucyjnego punktu widzenia było to całkowicie irracjonalne i bezsensowne.

Zjedliśmy croissanty, rodzaj pieczywa z maślanego ciasta, które okropnie się kruszyło. Johan zaparzył świeżą kawę, ta pierwsza zdążyła już ostygnąć.

– Byliśmy przyrodnimi braćmi. Mieliśmy tego samego ojca, ale ja dorastałem w Kopenhadze, u mojej duńskiej matki. Mimo to byliśmy sobie bardzo bliscy, Sebbe i ja. Może dlatego, że obaj byliśmy jedynakami. Lato zawsze spędzałem z Sebbem, z ojcem i z Kerstin w Mölle. Był tam wspaniały dom, nad samą wodą, z własnym pomostem. Wyglądał dokładnie tak, jak Sebbe ci opisał. Kiedy tamtego wieczoru wpadł do wody, wyciągnąłem go w ostatnim momencie. Naprawdę niewiele brakowało. Ale poradził sobie z traumą, nauczył się pływać i był świetnym żeglarzem.

Uśmiechnęłam się.

– Kerstin była mamą Erika?

– Była profesorem lingwistyki na uniwersytecie w Lund. Bergman to jej panięskie nazwisko. I nazwisko Sebastiana. Nasz ojciec, Einar, był ekonomistą, specjalistą od gospodarki. Mieszkali blisko uniwersytetu, w takiej ogromnej willi...

W jego głosie słyszałam nutkę tęsknoty czy może goryczy. Dowiedziałam się też, że pracował w dużej firmie budowlanej, Skanska. Pozwoliłam, by na chwilę zatopił się we własnych myślach i wspomnieniach o rodzinie, której tak naprawdę nigdy nie miał. Spojrzałam na piękny sufit: czy dlatego wybrał prywatną firmę, a nie naukę? By coś sobie zrekompensować?

– Skąd wzięło się nowe imię Erika? – spytałam.

Johan dolał nam kawy, po czym chwilę pił w milczeniu.

– To jest proste. Został ochrzczony jako Sebastian Erik Andersson. Potem wykreślił swoje pierwsze imię i zmienił nazwisko na panięskie matki, w Szwecji każdy może to zrobić, wystarczy zgłosić to władzom. Zjawił się u mnie przed wyjazdem do Londynu, wtedy też wystąpił o nowy paszport. Wszystko zajęło niecałe dwa tygodnie.

– Ale dlaczego?

Johan siedział chwilę z filiżanką w ręku.

– Co już wiesz? – spytał, nie patrząc na mnie.

– Niezbyt dużo. Erik niechętnie mi cokolwiek opowiadał. Pewnie chciał nas chronić. Wiem, że zrobił doktorat w Lund, specjalizował się w amerykańskim banku centralnym. Potem pracował dla Yinhang Dengi Finance w Londynie...

Zawahałam się, pomyślałam o tym, co powiedziała mi Clay, nie chciałam powtarzać czegoś, co mogłam źle zrozumieć.

– To wszystko jedynie przypuszczenia i hipotezy, nie wiem, czy prawdziwe. Yinhang Dengi Finance to nie jest zwykły bank, tylko instytut finansowy, który powstał po upadku muru, co czyni to wszystko dość nierzeczywistym...

Odchrząknęłam, oczyściłam gardło.

– Zatrudnili go, bo znał się na amerykańskiej walucie i amerykańskim systemie bankowym, a tego właśnie potrzebowali. Pewnie dlatego mieli siedzibę w Londynie, ze względu na dolara. Chcieli handlować dolarami, a chińskie i rosyjskie firmy nie mogą tego robić. Przynajmniej wtedy nie mogły, teraz być może się to zmieniło. Erik zrobił bądź odkrył coś, co spowodowało, że musiał zniknąć. Pod koniec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku opuścił Londyn, biorąc ze sobą dwieście dwadzieścia tysięcy dolarów amerykańskich. Nie wiem, skąd je miał. Dwoje jego znajomych zostało zamordowanych, wcześniej byli prawdopodobnie torturowani. Jego rodzice, Kerstin i Einar, też zostali zamordowani. Być może Bank chciał nastraszyć Erika albo zmusić go do czegoś, czego on nie chciał zrobić. Ty przeżyłeś, bo o tobie nie wiedzieli...

Próbowałam poukładać sobie myśli, Johan czekał cierpliwie.

– W tym czasie zmienił nazwisko. Stał się Erikiem Bergmanem, załatwił nowy paszport i poleciał do Los Angeles. Stamtąd udał się do Papeete na Tahiti. Nie mógł polecieć tam bezpośrednio z Londynu, bo Bank miał

dostęp do list pasażerów linii lotniczych. Na Tahiti kupił jacht i pożeglował na zachód, prosto w cyklon, a potem utknął na rafie na Manihiki...

– To wszystko brzmi szalenie nieprawdopodobnie – powiedział Johan. Znów spojrzął na mapę, na niebieską pustkę kryjącą w sobie Manihiki. –

Miał dla siebie cały ogromny ocean i wpadł na rafę w jedynym miejscu na świecie, gdzie miał szansę przeżyć wiele lat, gdyby te sukinsyny go nie znalazły.

Pokiwałam głową.

– Nie wierzysz w Boga – stwierdziłam.

– To prawda – przytaknął i spojrzął na mnie zdziwiony.

– Bóg miał w tym jakiś cel. Uratował Erika z jakiegoś powodu. Erik miał do wypełnienia jakieś ważne zadanie.

– Naprawdę w to wierzysz?

Kiedy to mówił, przypomniała mi się Clay. Uśmiechnęłam się.

– Wierzę, że Bóg stworzył świat na swoje podobieństwo i by czerpać z niego radość. Jeśli chodzi o Bank, to ucieczka Erika przysporzyła im mnóstwo problemów. Szukali go wszędzie. W jakiś sposób dowiedzieli się, że zmienił nazwisko, i w końcu znaleźli go, idąc tropem artykułu w lokalnej gazecie na Rarotondze...

– Na Rarotondze? – powtórzył Johan.

– To największa spośród Wysp Cooka – powiedziałam, wskazując na mapę.

Johan przyglądał się niebieskiemu Oceanowi Spokojnemu.

– Rarotonga – powtórzył. – Sukinsyny czytały lokalną prasę na Rarotondze. Miał jakąś szansę?

Nie bardzo wiedziałam, o co mu chodzi.

– Tam właśnie zmierzał. Chciał rozwiązać fundację. Tak, tam jest jej siedziba.

Johan wstał, twarz mu poczerwieniała.

– Nie wiedziałeś, gdzie ona się mieściła? – spytałam.

Pokręcił głową, zaczął krążyć po pokoju.

– Ale znam Wyspy Cooka. Mają problemy finansowe. Rząd postawił sobie za cel wzmocnić gospodarkę, przekształcając wyspy w raj podatkowy, by w ten sposób móc ukrywać dochody. O ile wiem, bez specjalnego powodzenia. Ale fundacja powstała i oczywiście działała. Niech to szlag...

I nagle przypomniałam sobie burzowy wieczór i Stryja Matniego siedzącego w deszczu na werandzie. Opowiadał mi historię hotelu widma: „Niewiele brakowało, a nasze państwo by zbankrutowało. Musieliśmy dobrze się nagłowić, żeby to wszystko przetrwać. Uciekaliśmy się do różnych sposobów, walczyliśmy na międzynarodowych rynkach, co nie było łatwe”.

Johan usiadł, widziałam krople potu na jego czole.

– Przepraszam, przerwałem ci. A więc Bank znalazł artykuł o Sebastianie czy Eriku Bergmanie w miejscowej gazecie na Rarotondze. Co było potem?

– Przyłączyli się do niego wielkim jachtem. Erik zdążył nas ostrzec. Mieliśmy się nie przyznawać do znajomości z nim. Ukryłam się z Ivą, nie widzieli nas.

– Więc nie wiedzą, że ma żonę i dzieci?

Pokręciłam głową przecząco.

– Cokolwiek zrobisz, zadbaj, żeby nigdy się o tym nie dowiedzieli – powiedział Johan.

Przełknęłam ślinę.

Zostawiła swoje bachory na jakiejś południowej wyspie i teraz leci szukać swojego faceta, który dał nogę.

– Potrzebowali kapitału – powiedziałam. – Stąd pomysł spółki córki w Tanzanii. Negocjowali z Mobutu...

Johan wzdrygnął się, otworzył szeroko oczy.

– Z Mobutu? Tym kongijskim dyktatorem? W Tanzanii?

– Kiedy Mobutu robi podejrzanе interesy, to zawsze na neutralnym terytorium. Spotkali się w hotelu Kilimandżaro w Dar es-Salaam. Poza tym

Mobutu nigdy nie negocjuje z pośrednikami.

Johan uniósł brwi, dokładnie tak, jak czasem robił to Erik.

– Co to znaczy? – spytał.

– Mój przyjaciel Clay spotkał Erika w hotelu Kilimandżaro, rozmawiali chwilę i Erik powiedział mu mniej więcej to... – Urwałam, zamknęłam oczy i spróbowałam się skupić. – „Są przekonani, że akt założycielski zniknął, ale on jest w sejfie w banku. Konto i kody są w skrytce bankowej w Lund. Nie mogą ruszyć kapitału na koncie. Myślą, że kody zniknęły. Muszą zdobyć nowy kapitał, żeby zrealizować projekt, korzystając z innego konta. Dlatego przyjechał tu Mobutu”.

Johan wstał zdenerwowany, poszedł po mapę i gumę do żucia. Wysypał kilka pastylek na dłoń i wrzucił je wszystkie do ust.

– Rzuciłem palenie – powiedział i zaczął zawzięcie żuć. – To guma nikotynowa. Człowiek uzależnia się od niej równie szybko jak od papierosów.

– Ach tak – powiedziałam, chociaż nie do końca go rozumiałam. Zastanawiałam się, czy mam mówić dalej. Johan siedział i żuł gumę w milczeniu.

– Sebbe był prokurentem banku w Tanzanii? – spytał po dłuższej chwili.

– Yinhang Dengi Finance Tanzania – powiedziałam.

– Dlaczego się na to zgodził?

– Samolot pasażerski lecący z Frankfurtu do Moskwy rozbił się tuż przed lądowaniem. Nigdy nie znaleziono czarnej skrzynki.

– To było w tym roku w marcu? Co sugerujesz? Że Yinhang Dengi Finance...

– Tego nie wiem, ale w jakiś sposób udało im się przekonać o tym Erika.

– Cholera, niech ich szlag – jęknął Johan.

– Celem był zakup pięciu dużych amerykańskich banków. To miało coś wspólnego z Systemem Rezerwy Federalnej.

Johan znów uniósł brwi, przyglądał mi się.

– Czytałaś pracę doktorską Sebastiana?

– Niby jak miałabym to zrobić?

Johan wstał, podszedł do regału, wyjął cienki tom i spojrział na zegarek.

– Pójdę przynieść nam coś do jedzenia. Wieczorem wszystko się rozstrzygnie. W Pasadenie. Pewnie też chcesz oglądać?

Wzięłam cienki tom zatytułowany: *Buying the Dollar – Scenario of a Hostile Takeover of the Federal Reserve System*. Kupowanie dolara – hipotezy dotyczące wrogiego przejęcia amerykańskiego banku centralnego.

Zaczęłam ciężiej oddychać: nagle Erik znów był obok mnie. Miałam w ręku jego pracę, poświęcił jej wiele lat swojego życia. Dociekał, badał, pisał, zderzał ze sobą różne hipotezy, dyskutował ze swoim promotorem. Kiedyś czytałam, jak powstaje praca doktorska.

– To mecz o trzecie miejsce – usłyszałam nagle głos Johana. – Szwecja ma szansę na brąz.

Oderwałam wzrok od okładki i spojrzałam na niego nieobecny wzrokiem.

– Mistrzostwa świata w Stanach Zjednoczonych – powiedział. – Nie oglądasz?

– W jakiej konkurencji? – spytałam.

Buying the Dollar – Scenario of a Hostile Takeover of the Federal Reserve System

–

Sebastian Andersson

PODSUMOWANIE

Ponieważ amerykański bank centralny, mylnie nazywany Systemem Rezerwy Federalnej, w zasadzie jest w posiadaniu osób prywatnych, istnieje hipotetyczna możliwość, że bank wraz z całym jego majątkiem może zostać nabyty przez silnych kapitałowo aktorów zewnętrznych. W pewnych okolicznościach mogłoby do tego dojść w ramach tak zwanego wrogiego przejęcia.

Celem niniejszego opracowania jest przedstawić, przeanalizować oraz ocenić ryzyko możliwych zdarzeń w ramach takiego scenariusza.

Po przestudiowaniu struktury Systemu Rezerwy Federalnej oraz dokonaniu oceny możliwych aktorów zdarzenia można wyciągnąć wniosek, iż amerykańska waluta może zostać kupiona i przejęta za około dwieście miliardów dolarów (opierając się na szacunkowej wartości rynkowej z 1988 roku).

ANALIZA I WNIOSEK KOŃCOWY

System Rezerwy Federalnej składa się z trzech części:

- Zarząd FED-u, który złożony jest z trzech członków, wybieranych przez prezydenta Stanów Zjednoczonych i akceptowanych przez amerykański Senat.
- Dwanaście regionalnych banków federalnych, będących w posiadaniu największych prywatnych banków amerykańskich i przez nie kontrolowanych.
- Federalny Komitet do spraw Operacji Otwartego Rynku, czyli Federal Open Market Committee, w skrócie FOMC. W jego skład wchodzi członkowie Zarządu FED-u oraz przedstawiciele pięciu banków regionalnych. Stanowisko wiceprzewodniczącego Komitetu

jest zarezerwowane dla prezydenta federalnego banku regionalnego w Nowym Jorku (czyli dla Wall Street). W tym kontekście funkcja ta ma decydujące znaczenie, bowiem wiceprzewodniczącemu wskazują zarządy reprezentujące najważniejszych właścicieli nowojorskiego banku federalnego.

Kontrola 51% akcji przez pięć największych amerykańskich banków daje im możliwość nominowania własnego kandydata na to stanowisko.

Wspomniane pięć największych banków to (według danych z 1988 roku): JPMorgan Chase, Bank of America, Citigroup, Wells Fargo oraz Goldman Sachs. W obecnym momencie wartość akcji w rękach tych banków to około czterdzieści miliardów dolarów. Połowa tej sumy wystarcza, by przejąć bank, a co za tym idzie – także stanowisko wiceprzewodniczącego Federalnego Komitetu do spraw Operacji Otwartego Rynku – najbardziej stabilnej i drugiej co do ważności pozycji w ramach globalnej polityki finansowej.

Takie przejęcie nie jest możliwe, gdy istnieje wgląd w transakcje banków.

Dlatego alternatywą jest wykup banków przez mniejszych aktorów podlegających aktorowi głównemu, w którego transakcje nikt nie ma wglądu. Na przykład fundacji działającej na terenie, który nie podlega kontroli Stanów Zjednoczonych. To wydaje się najbardziej logicznym rozwiązaniem...

Odłożyłam tekst. Trudno było mi to pojąć: wychodziło na to, że Erik w swojej pracy przedstawił, jak mogłoby dojść do tego, by ktoś z zewnątrz przejął kontrolę nad światową gospodarką. Ile by to mogło kosztować i jak miałyby przebiegać.

Zaczęłam przerzucać kolejne kartki, zatrzymałam się na kilku zawiłych sformułowaniach, których nie rozumiałam.

...FOMC ma wpływ na odsetki krótkoterminowe, na amerykański dług, decyduje także o docelowej podaży dolara na rynku, a więc pośrednio kontroluje rynek gospodarki międzynarodowej...

Inflacja, odsetki i zmiany kursów to narzędzia używane przez FOMC w celu...

Celem winno być stopniowe powiększenie wspomnianych wyżej dużych banków poprzez zakup mniejszych, a tym samym przejęcie kontroli nad coraz większą częścią amerykańskiego rynku finansowego...

Johan wrócił, niosąc dwa płaskie pudełka z pizzą.

– Jesz wieprzowinę? – spytał.

– Uwielbiam wieprzowinę – powiedziałam, wspominając *umukai* Papy Tanego.

Mecz piłki nożnej rozgrywał się na słonecznym trawiastym boisku niedaleko Los Angeles. Nigdy jeszcze nie oglądałam w telewizji meczu piłkarskiego, więc nie bardzo rozumiałam, co się dzieje na boisku. Wiedziałam jednak, że Szwecja gra z Bułgarią. Szwedzi wygrali cztery do zera. Johan bardzo się ucieszył, podskakiwał, wydając radosne okrzyki. Ulica za oknem wypełniła się samochodami, wszyscy trąbili i machali niebiesko-żółtymi flagami.

Johan przygotował mi posłanie na kanapie w pokoju telewizyjnym, z wykuszem od ulicy.

Następnego ranka obudził mnie, podając wyszukane kanapki, miał ze sobą kilka porannych dzienników. Wszyscy rozpisywali się o meczu. Pozwoliłam mu przeczytać wszystkie komentarze, po czym ostrożnie wróciłam do sprawy Yinhang Dengi Finance.

– Wiesz, co naprawdę się wydarzyło? – spytałam.

Johan złożył gazetę i ciężko westchnął.

– Sebbe dużo mi opowiadał. Powodem wszystkiego jest jego doktorat, scenariusz, który w nim opisał. Chiny i Rosja postanowiły wspólnie spróbować przejąć kontrolę nad amerykańską walutą.

– Chcą kupić dolara? Chiny i Rosja?

– Tak, pod przykrywką Yinhang Dengi Finance.

Sięgnęłam po doktorat Erika.

– Tu jest napisane, jak to zrobić?

– To nie było jego celem, ale tak.

– Możesz mi wytłumaczyć to tak, żebym zrozumiała?

Johan przetarł szkła okularów.

– Prawdę mówiąc, to wszystko jest stosunkowo proste, chociaż oczywiście wymaga czasu. Wszystko trzeba dokładnie zaplanować. Głównym aktorem w tym przypadku jest Yinhang Dengi Finance. Instytut utworzył szereg mniejszych funduszy inwestycyjnych, które na papierze wyglądają całkowicie niegroźnie. Chodzi o kilkaset, może pięćset takich

funduszy, o bardzo różnych strukturach, każdy z osobna wydaje się niepokąźny, ale razem mogą mieć wielką władzę...

– To możliwe?

– Urząd inspekcji finansowej w każdym kraju musi zgodzić się na ich działalność, no i każda fundacja musi mieć kapitał. Wiele krajów nie wymaga informacji o właścicielu czy zarządzie...

– Dlatego musieli zawrzeć umowę z Mobutu? – weszłam mu w słowo. – Żeby zdobyć kapitał dla swoich fundacji?

– Bardzo możliwe. Kiedy sprawa kapitału jest załatwiona, fundacje mogą ubiegać się o pożyczki w amerykańskich bankach, by następnie kupić banki za ich własne pieniądze.

Zakręciło mi się w głowie.

– Można kupić bank za jego własne pieniądze?

– Każdy, kto ma prawo kupować na amerykańskiej giełdzie, może kupić akcje amerykańskiego banku. Istnieją tak zwane kredyty lombardowe, czyli kredyty udzielane pod zastaw papierów wartościowych. Tak więc można kupić akcje banku, po czym użyć ich jako zastaw do wysokości siedemdziesięciu procent pożyczki, a niekiedy nawet więcej, bo przecież same banki twierdzą, że ich akcje to pewna inwestycja. W ten sposób zyskuje się kapitał, kupuje więcej akcji banków, zastawia je i tak dalej, i tak dalej. Akcje trafiają na nowojorską giełdę... Rozumiesz, jak to funkcjonuje?

– Lombard Street. Tam mieści się londyńskie biuro Yinhang Dengi Finance.

– Co takiego?

– Kredyty lombardowe. Ich nazwa pochodzi od nazwy ulicy?

– Nie mam pojęcia. Co to ma wspólnego z tą sprawą?

Poczułam, że mam czerwone policzki.

– Nic – powiedziałam, spuszcżając wzrok. – Mów dalej.

Johan nachylił się nade mną, spojrział mi w oczy, po czym wrócił do przerwanej wątku. Mówił powoli i wyraźnie:

– System Rezerwy Federalnej i jego Komitet do spraw Operacji Otwartego Rynku, FOMC, to najpotężniejsza instytucja finansowa na świecie. To oni decydują o oprocentowaniu, o tym, ile dolarów wpuścić na rynek, kierują operacjami na światowym rynku. Innymi słowy, kontrolują światową gospodarkę.

Powoli i dokładnie tłumaczył mi, jak to wszystko się odbywa. Prywatne banki w Stanach Zjednoczonych, będące w posiadaniu najbogatszych amerykańskich rodów, były właścicielami federalnych banków lokalnych. Ktoś, kto posiadał piętnaście procent akcji pięciu największych amerykańskich banków, mógł kontrolować komisję desygnującą reprezentantów banku do FOMC, Federalnego Komitetu do spraw Operacji Otwartego Rynku. Przewodniczący banku federalnego w Nowym Jorku zostawał z automatu wiceprzewodniczącym tego Komitetu.

– A wszystko polega na tym, że FOMC działa na zasadzie konsensusu – powiedział Johan.

Patrzył na mnie, jakby właśnie odpalił bombę.

– Tak?

– Wszyscy muszą być zgodni – powiedział. – Wszyscy członkowie Komitetu – powtórzył. – Jeśli ktoś się sprzeciwi, propozycja nie przechodzi.

– Ach tak.

– Poza tym pozostałe banki federalne zwykle zajmują kolejne cztery miejsca. Dlatego tak ważne jest, kto ma w nich wpływy.

– A więc trzeba zostać szefem banku federalnego w Nowym Jorku. Wtedy kontroluje się światową walutę?

– Pośrednio tak. Taka osoba ma decydujący wpływ.

Odgarnęłam włosy z czoła. Czyżby to naprawdę było takie proste? Zwykła reakcja łańcuchowa: decydował najbogatszy, to on wygrywał. Johan wyglądał przez okno, patrzył na potężne drzewa na cmentarzu.

– Sebbe przewidywał, że banki w przyszłości będą próbowały zgromadzić jak największy kapitał, by zapewnić sobie możliwie największe

dochody. Będą dążyły do wykupu mniejszych, lokalnych banków, będą się konsolidowały i rosły w siłę. Kapitał będzie coraz swobodniej pokonywał granice, powstaną nowe, duże struktury, nieopodatkowane, poza wszelką kontrolą. W przyszłości zastąpią kraje narodowe...

Johan spojrzał na mnie i uśmiechnął się zmęczony.

– Ale to już inna dyskusja – powiedział. – Jesteś głodna? – zmienił temat.

Najwyraźniej jadał równie często jak Clay.

– Niespecjalnie – powiedziałam.

Wstał.

– „T-bone” mają otwarte w niedzielę. Mam ochotę na antrykot.

Poszliśmy do restauracji obok kościoła. Podawano tu ogromne kawały mięsa w tłustych sosach. Dałam radę zjeść jedną trzecią porcji. Potem przeszliśmy się Kungsgatan, szerokim bulwarem, z ciągnącym się pośrodku parkiem z wielkimi drzewami liściastymi. Wiał suchy, ostry, ale ciepły wiatr. W parku były huśtawki i kolorowe drabinki do wspinaczek, dzieci biegały i bawiły się w cieniu drzew. Starsi ludzie spacerowali z psami na smyczy, nastolatki zjadały się lodami. Odgłosy samochodów docierały niczym daleki szum morza, było miło i spokojnie.

Mogłabym tu mieszkać z Erikiem. Mielibyśmy duże mieszkanie ze sztukaterią i parkietem ułożonym w jodełkę. Jedlibyśmy mięso i oglądali mecze piłki nożnej w telewizji. Nasze dzieci huśtałyby się na pomalowanych na zielono oponach samochodowych i zjeżdżały na zjeżdżalniach...

Przyspieszyłam kroku, na samą myśl zaczęłam mieć problemy z oddychaniem. W głowie słyszałam śmiech i krzyki dzieci, niewiele brakowało, a zderzyłabym się z rowerzystą. Usiadłam na ławce otoczonej kwiatami. Johan usiadł obok mnie i otarł pot z czoła.

– Cholernie gorąco, jest chyba ze trzydzieści stopni.

– Prawie jak w domu – powiedziałam. – Tyle że nie tak wilgotno.

Kobiety w chustach na głowach przeszły obok nas, pchając dziecięce

wózki, rozmawiały ze sobą w języku, który na pewno nie był szwedzkim. W Malmö było wiele muzułmanek. Pamiętam, że Clay powiedziała kiedyś, że ludzie nie patrzą na muzułmańskie kobiety. Można było odnieść wrażenie, że poruszają się gdzieś na obrzeżach społeczeństwa, niewidoczne dla innych. Na Manihiki wszyscy byli chrześcijanami: katolikami, adwentystami dnia siódmego, mormonami albo członkami Kościoła państwowego – jak ja.

– Nie chcę być nachalny, ale możesz powiedzieć mi, co się stało? – spytał Johan, wskazując na niebieskoczerwoną bliznę na moim prawym przedramieniu.

– Wypadek samochodowy – rzuciłam i szybko zmieniłam temat: – Jednej rzeczy nie rozumiem – zaczęłam. – Nie rozumiem, co wspólnego mają Wyspy Cooka z Yinhang Dengi Finance i Systemem Rezerwy Federalnej.

Johan spojrzał na czubki drzew w górze.

– Banki amerykańskie na pewno zrobiłyby wszystko, żeby nie zostać wykupione przez Rosjan czy przez Chińczyków.

Tyle też już rozumiałam.

– Przejęcie musiałyby się dokonać tak, żeby nie były tego świadome. Dlatego powstało pięćset fundacji. Dobrze byłoby, gdyby miały jednego głównego zarządzającego. Najlepszym wyjściem byłoby przekazanie kontroli trustowi, w którego dokumenty amerykańskie władze nie miałyby wglądu. W Szwecji takie organizacje nazywamy fundacjami, to nie dokładnie to samo co trust, ale coś bardzo podobnego. Na Wyspach Cooka istnieją najlepsze czy najgorsze, w zależności od tego, jak się na to patrzy.

Pomyślałam o Stryju Matinim, który znał się na finansach, o mężczyznach, którzy wieczorami rozmawiali z dużym zaangażowaniem na jego werandzie. Nic dziwnego, że nie mieli czasu zajmować się naszą księgowością.

– Dlaczego akurat na Wyspach Cooka?

Jakaś piłka poleciała w naszą stronę, Johan złapał ją i rzucił małemu

chłopcu z długimi włosami, w T-shircie w kolorze tęczy.

– Jak na Trzeci Świat macie wyjątkowo stabilny rząd i system prawny, oparty na brytyjskim ustawodawstwie.

„Trzeci Świat”? Co Johan miał na myśli? Nie byliśmy Trzecim Światem.

– Są też inne możliwości. Ilość rajów podatkowych stale rośnie, wyspy są popularne. Kajmany, Wyspy Marshalla, brytyjskie Wyspy Dziewicze...

Słuchając go, można by pomyśleć, że byliśmy jakąś republiką bananową.

Chłopiec z piłką podbiegł do drugiego chłopca w takiej samej koszulce, pewnie byli braćmi. Wołali coś do siebie, ale nie rozumiałam co. Moje dzieci z pewnością wiedziałyby, o co chodzi. Erik mówił do nich po szwedzku. Johan i Iva mogliby bawić się z tymi chłopcami.

– Czym dokładnie jest taka fundacja? – spytałam.

Chłopcy podbiegli do młodej kobiety, miała białą skórę i długie ciemne włosy – to mogłabym być ja.

– To jednostka prawna, która nie posiada właściciela, tak naprawdę posiada sama siebie. Jej celem jest kontrolowanie i zarządzanie dochodami. Na czele stoi zarząd bądź zarządca, cel zwykle jest podany w statucie fundacji, zapisanym w akcie założycielskim...

Są przekonani, że akt założycielski zniknął, ale on jest w sejfie w banku.

– A jeśli akt założycielski przepadnie, co wtedy?

Johan zwlekał z odpowiedzią, czekał, aż minie nas para starszych ludzi z psem na smyczy.

– Myślisz o Yinhang Dengi Finance? – spytał cicho.

Skinęłam głową.

– Sebbe mówił mi o tym. Akt założycielski fundacji podpisali przywódcy dwóch krajów, Chin i Rosji. Jeśli wyszłoby na jaw, że szefostwo Banku gdzieś go zgubiło, uznano by to za zdradę stanu.

– Co oznaczałoby...?

– W Chinach kulę w tył głowy. Rosja rozprawia się ze swoimi szpiegami w sposób bardziej formalny.

Słońce prażyło mnie w głowę, miałam wrażenie, że stoję w drzwiach jakiegoś lokalu gdzieś w Venice Beach i ktoś przystawia mi lufę pistoletu do głowy.

– Dlaczego Erik był dla nich taki ważny?

– Zarządzał fundacją. Tylko on znał kody, które umożliwiały dostęp do kont.

Johan wytłumaczył mi, że konta zostały założone zgodnie z zasadami tradycyjnego szwajcarskiego systemu, wymagającego znajomości numeru konta i kodu liczbowego. Nie były związane z żadną konkretną osobą czy jednostką prawną, zarządzała nimi osoba mająca dostęp do konta i kodów. Zmiany w statucie fundacji mogły być dokonywane jedynie przez osobę, która miała dostęp do aktu założycielskiego w porozumieniu z osobą zarządzającą fundacją lub jej przedstawicielem. To, że powierzono Erikowi tak wielką władzę, wynikało z niewiedzy członków zarządu Banku. Nikt z nich nie znał się na bankach komercyjnych, to byli politrucy funkcjonujący w dawnych reżimach komunistycznych. Jedyne, co potrafili, to wymuszać na ludziach posłuszeństwo. Erik był przekonany, że jest bezpieczny, skoro to on sporządził akt założycielski i ustanowił fundację. Sądził, że ma nad nią pełną kontrolę.

– Ale nie wiedział, z jak cholernie brutalnymi ludźmi ma do czynienia – powiedział Johan.

Przypomniałam sobie jego zamordowanych kolegów.

– Ivan i Isabel – ciągnął Johan. – Ivan miał żonę i niepełnosprawnego syna. Sebbe wspominał mi o nich.

– Żona ma na imię Christina i jest pielęgniarką?

Johan znów uniósł brwi.

– Po zniknięciu Erika Bank umieścił ją w jego domu w Londynie – powiedziałam. – Zapewne nie miała wyboru, musiała informować ich, czy Erik się odzywał lub czy ktoś go szukał.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego Erik tak się zachował. Dlaczego dał się w to wszystko wciągnąć? – zastanawiałam się głośno.

– Długo wierzył, że Yinhang Dengi Finance było wynikiem nowego otwarcia, że w ten sposób Chiny i Rosja próbują zbliżyć się do świata zachodniego. Kiedy uświadomił sobie, jaki naprawdę jest cel instytutu, postanowił wszystko wstrzymać. Może czuł się winny. Nawet jeśli nie zrobił tego świadomie, to jednak się do tego wszystkiego przyczynił.

Zaczął działać w święta Bożego Narodzenia 1989 roku. Europa była pogrążona w chaosie, żelazna kurtyna runęła, kierownictwo Banku prowadziło rozmowy w Pekinie i w Moskwie, Erik uznał, że lepsza szansa mu się nie trafi. Informacje dotyczące konta i kodów posiadało bardzo wąskie grono. Erik usunął dane ze wszystkich rejestrów, wziął klucz do sejfów, gdzie przechowywany był akt założycielski, i uciekł.

– A co z Ivanem i z Isabel...?

– Byli jego asystentami. Nic nie wiedzieli. Wiem, że nigdy sobie tego nie darował.

Przełknęłam ślinę.

– Sebbe był przekonany, że kierownictwo widziało stan konta, ale nie było w stanie ruszyć pieniędzy. Mieli numer konta – nie udało się go usunąć – ale nie znali kodów, nie wiedzieli, kto nimi zarządza, nie wiedzieli też, gdzie złożony został akt założycielski.

– Nie mogli po prostu założyć nowej fundacji?

– Mogli, ale wtedy musieliby się przyznać przywódcom swoich państw, że nie wiedzą, gdzie jest akt założycielski tej pierwszej.

Poczułam gorąco na karku.

– Tak więc nie pozostawało im nic innego, jak nadal działać w ramach pierwszej fundacji. Musieli tylko znaleźć zarządzającego i przekonać go, żeby założył kolejne konto z nowym kodem. Szukali go na całej kuli ziemskiej.

– Kiedy Erik trafił na Manihiki, był w drodze na Rarotongę, by uprzedzić

ewentualne działania Yinhang Dengi Finance?

– Sebbe zamierzał opróżnić konto, bo jeśli fundacja nie ma wpływów, to można ją rozwiązać.

Siedziałam chwilę w milczeniu, patrzyłam, jak mama z długimi ciemnymi włosami sadza synka w wózku, drugiego, starszego, bierze za rękę i rusza w stronę sklepu.

– Co musiałby zrobić? – spytałam.

– Żeby rozwiązać fundację? Cztery rzeczy: przedstawić dowód tożsamości zarządzającego fundacją, akt założycielski, podać numer konta i kod. Sebbe zapamiętał wszystkie numery, a dla pewności zapisał je na kartce, którą umieścił w sejfie bankowym w Lund. Dopiero po spełnieniu czterech wymienionych warunków pieniądze mogły zostać przelane na konto firmy czy organizacji podanej w akcie założycielskim.

A więc dlatego zachował swoje stare prawo jazdy, potwierdzające tożsamość Sebastiana Anderssona, pomyślałam.

– Gdzie miałyby zostać przelane pieniądze? Na jaką firmę? – spytałam.

Johan targał swoje rzadkie włosy.

– Sebbe sam napisał akt założycielski. Mimo że świadomie użył mało precyzyjnych sformułowań, akt został zaakceptowany przez rządy obu krajów. Jako cel fundacji podał, że trust ma wspierać pokój, demokrację i rozwój gospodarczy, skupiając się na przyszłości. Coś w tym stylu.

– Gdzie jest ten trust? I gdzie jest numer konta?

– W banku lub w jakimś instytucie finansowym na Rarotondze, o ile to właśnie tam zmierzał.

– Ale w jakim?

– Nie mam bladego pojęcia.

Próbowałam przypomnieć sobie, jak wygląda stolica wyspy – Avarua. Wiedziałam, że jest tam kilka banków, a nazwy większości z nich były skrótami dłuższych nazw. Nasz bank nazywał się Avarua Rarotonga Bank, w skrócie ARB. Niewykluczone, że były też instytucje finansowe, które nie

reklamowały się błyszczącymi tabliczkami.

– A więc pieniądze można przelać na konto firmy czy organizacji, która będzie na przykład wspierała postęp ludzkości?

– Można to tak ująć.

– Mam klucz do skrytki bankowej, ale nie pasuje do skrytek w żadnym banku w Lund.

– Zgadza się, bo ten kluczyk mam ja – powiedział Johan i wstał.

Wróciliśmy do mieszkania na Föreningsgatan. Gwar dziecięcych głosów i śpiew ptaków zostały za nami. Johan poszedł do kuchni i po chwili wrócił z niewielką torebką cukru.

– Pomyślałem, że ukryję go tu w środku – powiedział, po czym wyciągnął z torby kawałek metalu. I podał mnie. – Jedź i sprawdź, jeśli chcesz – powiedział. – Ja już to zrobiłem: to cyfry i kilka liter zapisanych na kartce, a sejf mieści się w Handelsbanken na Stora Södergatan. Bank otwierają jutro rano o dziesiątej.

Wstrzymałam oddech i wzięłam kluczyk.

– Skrytka bankowa numer jeden trzy trzy sześć – powiedział Johan.

Numer mieszkania Clay, pomyślałam i uznałam to za dobry znak.

– Jeszcze jedno. Erik miał ze sobą pieniądze. Dwieście dwadzieścia tysięcy dolarów – powiedziałam. – Wiesz, co to były za pieniądze?

– Jego prywatne oszczędności. Trzymał je na koncie w banku w Lund. Co się z nimi stało?

– Otworzyłam dwa konta na nazwisko dzieci. Przelałam po sto tysięcy na każde.

Johan pokiwał głową, poszedł do biblioteki i zamknął za sobą drzwi. Został tam już do końca dnia. Ja podeszłam do okna w pokoju telewizyjnym, usiadłam w wykuszu i patrzyłam na cmentarz: miejsce spoczynku zmarłych, zbudowane z myślą o żyjących.

Autobus odchodził z Värnhemstorget niedaleko mieszkania Johana. Po niespełna półgodzinnej jeździe zatrzymał się kilkaset metrów od budynku Svenska Handelsbanken w Lund, betonowego klocka z wąskimi oknami.

Przyjęła mnie ta sama kobieta w bluzce z żabotem, która w piątek po południu pocieszała mnie, podając mi perfumowaną chusteczkę.

– Miała pani rację. Pomyliłam kluczyki. To jest ten właściwy – powiedziałam i podałam jej ten, który dostałam od Johana.

– Ma pani jakiś dokument tożsamości właściciela?

Podałam jej prawo jazdy wystawione na Sebastiana Anderssona i wstrzymałam oddech. Okazało się, że słusznie przypuszczałam, iż Erik załatwił skrytkę, zanim zmienił nazwisko.

Kobieta przyglądała się chwilę dokumentowi, po czym spojrzała na mnie uważnie.

– Zna pani numer skrytki? – spytała wyczekująco.

– Jeden trzy trzy sześć – powiedziałam.

Odnotowała coś w dużej księdze.

Zeszliśmy po szarych kamiennych schodach. Poręcz błyszczała. Na dole powietrze było wilgotne, pod sufitem pracował wiatrak. Kobieta otworzyła drzwi do dużego sejfu.

– Proszę – powiedziała, ustępując mi pierwszeństwa.

Miałam wrażenie, że znalazłam się w grocie pod rafą koralową. Powietrze było zimne, ściany pokrywały niewielkie prostokąty: skrytki bankowe. Kobieta podeszła do skrytki z numerem 1336 i włożyła kluczyk do jednego z zamków.

– Proszę włożyć swój kluczyk do drugiego zamka – powiedziała i wskazała, gdzie dokładnie mam go włożyć.

Włożyłam kluczyk do dziurki po drugiej stronie prostokąta, przekreśliłam go i drzwiczki się otworzyły. Kobieta wyjęła ze ściany długą skrzynkę – sprawiała wrażenie dość lekkiej – i postawiła ją na stoliku, stojącym na

środku podłogi.

– Proszę się nie spieszyć – powiedziała i zostawiła mnie w wilgotnym pomieszczeniu.

Patrzyłam na skrzynkę z szarego metalu. Moje serce szalało. Spojrzałam na zawartość: kawałek papieru – to wszystko. Dwie linijki cyfr, na dole trzy litery. Wzięłam kartkę do ręki, obejrzałam dokładnie z obu stron, podniosłam i obejrzałam pod światło. Cyfry, dwie linijki cyfr. Trzy litery. I nic poza tym.

Wyjęłam z plecaka kartkę i ołówek, przepisałam cyfry, zachowując ich kolejność. Skopiowałam wszystko dokładnie: nawet wielkość cyfr, odstępy między nimi, wszystko. Sprawdziłam, czy się nie pomyliłam, dwukrotnie, i włożyłam kartkę z powrotem do skrzynki. Liter nie musiałam zapisywać, wiedziałam, co znaczą.

ARB. Avarua Rarotonga Bank. Erik dobrze go znał. Dlatego to w nim otworzył nam wszystkim konta.

– Skończyłam! – zawołałam do kobiety na zewnątrz.

Kobieta przyszła, włożyła metalową skrzynkę do skrytki, niepozorny prostokąt, jeden z wielu w grocie tajemnic.

Wyjechałam z Lund, nie wchodząc już do katedry.

Jak tylko wysiadłam z autobusu na Värnhemstorget w Malmö, natychmiast dobiegło mnie wycie syren. Kiedy dotarłam do klatki na Föreningsgatan, przybrało na sile.

Skrzyżowanie z ulicą, na której znajdował się kościół Świętego Pawła, było zamknięte, zobaczyłam karetki i radiowozy z włączonymi sygnałami świetlnymi. Zatrzymałam się, minął mnie jakiś mężczyzna, dźwięk cały czas się nasilał, *nie, nie, nie*.

– Co się stało? – spytałam stojącą naprzeciwko mnie kobietę.

– Jakiś mężczyzna wpadł pod samochód. Kierowca jechał jak wariat.

– Kto? Kto wpadł pod samochód? Żyje?

Kobieta wzruszyła ramionami i poszła dalej.

Podeszłam bliżej, poruszałam się powoli, jakbym przedzierała się przez muliste dno laguny. Na chodniku stała karetka, dwa policyjne radiowozy blokowały jezdnię. Obok stali ludzie, wyciągali szyje, żeby coś zobaczyć, i rozmawiali cicho.

– Co się stało? – spytałam ponownie. – Kto wpadł pod samochód? Przeżył?

Jakiś starszy mężczyzna z małym psem na smyczy pokręcił głową.

– Zginął na miejscu. Wyleciał w powietrze i znalazł się pod kołami. Nie można było nic zrobić.

Słońce odbijało się od szyb samochodów, na cmentarzu krzyczały ptaki. Chwyciłam starszego pana za rękę.

– Jest pan pewien?

Usta mężczyzny drżały, miał czerwone, przestraszone oczy.

– Widziałem wszystko. Mieszkam tu, właśnie wyszedłem na spacer z Charliem – powiedział, wskazując głową na psa. – To było straszne, samochód zjawiał się znikąd, jechał prosto na niego, biedak nie miał szans.

– Kto? Kto zginął? – powtórzyłam.

– Mój sąsiad z dołu. Johan. Johan Andersson.

Puściłam rękę mężczyzny, odwróciłam się i ruszyłam w stronę Värnhemstorget. Powietrze było gorące, gęste, pachniało asfaltem, nie mogłam oddychać. Usiadłam na ławce, włożyłam głowę między kolana, żeby nie zemdleć.

Ale może to nie był nikt z Banku, może to jednak był zwykły wypadek? Nie wiedzieć znaczy wierzyć.

Wyjęłam chustę, którą kupiła mi Clay, i owinęłam ją wokół głowy, zamieniając się w muzulmankę, niewidoczną, funkcjonującą gdzieś na obrzeżach społeczeństwa. Szłam przez miasto niemal po omacku, w końcu dotarłam do przystani i weszłam na prom płynący do Danii. Na pokładzie zaczęłam przeglądać przewodnik Clay po Europie, znalazłam rozdział *Getting there and away*. Na dworcu w Kopenhadze zdjęłam chustę, kupiłam

bilet do Frankfurtu w Niemczech, nikt nie poprosił mnie o pokazanie paszportu. Usiadłam w rogu poczekalni dworcowej i czekałam na odjazd pociągu.

Pociąg odchodził o 16.35. Nie wykupiłam miejsca w przedziale sypialnym, całą noc przesiedziałam, nie śpiąc, przypatrywałam się Europie za oknami. W Hanowerze zaczęło padać.

Czy to ja doprowadziłam ludzi z Banku do Johana? To wszystko stało się z mojej winy?

Więc dlaczego ja ciągle żyłam? Powinni już dawno się mnie pozbyć.

A może przeceniałam znaczenie swojej osoby? Może miałam za wysokie mniemanie o sobie? Skoro mnie udało się odnaleźć Johana, to ludzie z Banku zapewne też potrafili to zrobić.

Może to był zwykły wypadek? Jakiś podniecony fan piłki nożnej wracał nieco za szybko do domu.

Nie bardzo w to wierzyłam, ale przecież nie dało się tego wykluczyć.

Zaczęło świtać, a godzinę później byłam już na miejscu. Na lotnisko pojechałam taksówką. To jedno z największych lotnisk w Europie, rzeczywiście było ogromne. Kupiłam bilet w dwie strony do San Francisco i zamówiłam pokój w hotelu Elan w Los Angeles, 8435 Beverly Boulevard. Samolot odlatywał za kilka godzin, zostały już tylko bilety w klasie business, zapłaciłam gotówką w dolarach amerykańskich.

Samolot odleciał o czasie. W klasie business można było rozłożyć fotel tak, żeby móc spać, ale nie mogłam zasnąć. Siedzący obok mnie mężczyzna pił alkohol z małych butelek, w które zaopatrywały go stewardesy, aż w końcu usnął i zaczął głośno chrapać.

Lot ciągnął się w nieskończoność. Nie miałam miejsca przy oknie, więc wpatrywałam się w pusty ekran telewizora na oparciu fotela przede mną, szukając pocieszenia w słowach, które Vladimir wypowiedział w samochodzie przed domem po śmierci Williama: „Nic, do cholery, nie jest dane na zawsze”.

Kolejka do kontroli paszportowej w San Francisco była równie długa jak ta w Los Angeles. Powiedziałam, że jadę w odwiedziny do przyjaciół w Kalifornii. Zostanę tam tydzień, a potem wracam do męża do Frankfurtu. Pokazałam bilet powrotny, z którego wynikało, że wracam do Europy za osiem dni. Dostałam wizę turystyczną ważną trzy miesiące.

Z lotniska wzięłam taksówkę na dworzec autobusowy, gdzie przesiadłam się na autobus jadący bezpośrednio do Los Angeles. Słyszałam opowieści o sławnej Highway One, która wiała się wzdłuż wybrzeża Oceanu Spokojnego, mijając legendarne miejsca, takie jak Carmel, Monterey, Big Sur, Santa Barbara, ale autobus, do którego wsiadłam, nie jechał tą drogą, tylko pędził autostradą, zatrzymując się na stacjach, żeby zatankować i żeby pasażerowie mogli pójść do toalety.

Dotarliśmy na miejsce późnym wieczorem. W Los Angeles było gorąco i duszno. Dworzec autobusowy, położony niedaleko downtown, otaczały brzydkie budynki pokryte graffiti, ulice były brudne. Długo czekałam na taksówkę. Poprosiłam kierowcę, żeby pojechał na 1336 North Citrus Avenue i zaczekał na mnie przed domem: musiałam odebrać tam jakieś rzeczy. Kierowca kręcił nosem, ale zostawiłam mu puste walizki i bilet lotniczy do Europy i w końcu pozwolił mi wyjść z samochodu.

Ulica była ciemna, moje kroki odbijały się echem od betonu. Weszłam po schodach, żółta żarówka oświetlała galerię. Nasłuchiwałam uważnie, nie chciałam spotkać nikogo z sąsiadów. Minęła już północ, ale w wielu oknach nadal paliło się światło, mieszkańcy Hollywoodu chodzili późno spać. Zatrzymałam się przed numerem siedem, wewnątrz było ciemno i cicho. Policzyłam na palcach, od wyjazdu mojego i Clay minęło siedem tygodni – naprawdę nie więcej? Zastanawiałam się, czy mieszkanie zostało już komuś wynajęte. Wiedziałam, że czynsz płacono z góry za kwartał, pamiętałam, że Vladimir tak właśnie kiedyś powiedział: że zapłacił za kwartał z góry. Tak więc wszystkie rzeczy powinny nadal być w mieszkaniu, mimo że Clay nie żyła, a wszyscy zniknęli.

Wiedziałaś, że okno można otworzyć od zewnątrz? Trzeba lekko wcisnąć ramę i jednocześnie pchnąć nieco szybę.

Zrobiłam tak, jak to opisała Laura tamtej nocy, kiedy zgubiła klucz. Okazało się to nie takie proste, próbowałam kilka razy, coraz bardziej spocona i zestresowana – bałam się, że kierowca jednak odjedzie, ale w końcu coś stuknęło, haczyk uniósł się i szyba przesunęła się do góry. Weszłam przez okno i zamknęłam je za sobą. W świetle żółtej żarówki podeszłam do regału z książkami, gdzie leżał dziennik Kinga. Poszłam do kuchni i zapaliłam światło, zobaczyłam, że wszystkie krzaki pomidorów zwiędły i uschły. Przerzucałam kartki, szukając tych, na których King pisał o Strachu na wróble. Pisał, że zostawiłam dzieciaki na jakiejś południowej wyspie i ruszyłam szukać faceta, który ode mnie zwiął. Najłatwiej byłoby po prostu zabrać dziennik, ale nie potrafiłam tego zrobić, King nigdy by mi tego nie darował. Następnie zabrałam trzy paszporty, nie chciałam, żeby ludzie Banku dowiedzieli się, że Clay miała trzy różne tożsamości. Włożyłam do plecaka okulary w czarnych oprawkach, egzemplarz Biblii i książkę *Mniej niż zero*, nie będą jej już potrzebne. Zatrzymałam się na chwilę przy stole: przypomniałam sobie, jak siedziałyśmy tu, siekałyśmy szczypiopek i obierałyśmy ziemniaki, było niedzielne popołudnie, na zewnątrz panował upał nie do wytrzymania. To było niedługo po wyjeździe Vladimira do domu, Clay była smutna i nie w humorze, ale ja niczym niezrażona opowiadałam jej o demokracji i wolności słowa. W końcu Clay przerwała mi, mówiąc, że prawa człowieka dzisiaj też stały się religią, równie fundamentalistyczną i nietolerancyjną jak wszystkie inne. Natychmiast zaprotestowałam, oczywiście wolno było jej twierdzić, że różne rzeczy są nic nie warte, ale nie prawa człowieka.

– Jeśli „tolerancja” stanie się kwestią poza wszelką dyskusją, fundamentalistyczną religią, to jest równie nic nie warta jak wszystkie inne sekty – stwierdziła Clay.

Słyszałam jej głos odbijający się echem od ścian, położyłam dłoń na

zimnym blacie stołu.

– Ludzie mają się za „lepszyc” od innych, bo są „tolerancyjni”. Zostali „oświeceni” i to czyni ich lepszymi. Reszta, czyli wszyscy, którzy nie podzielają ich opinii, to rasiści albo homofobi, czy po prostu barbarzyńcy, kretyni, którzy niczego nie rozumieją. Dokończ siekać szczypiorek, a ja rozgrzeję patelnię.

Zamknęłam oczy i zobaczyłam, jak odwraca się w drzwiach kuchni.

– Humanizm czci człowieka – powiedziała. – Humanisci twierdzą, że człowiek, homo sapiens, przewyższa wszystko we wszechświecie i wobec tego ma prawo uciskać innych. Może przetrzymywać zwierzęta w ciasnych klatkach przez całe ich życie, zabierać im potomstwo, zabijać je i zjadać, ponieważ uważa, że ma do tego prawo. Rośliny i zwierzęta nie mają żadnych praw. Jeśli człowiek uzna, że chce uprawiać ziemię, to to robi, nawet kosztem innych. Każdy, kto kwestionuje i zwalcza ten porządek, zostaje uznany za niebezpiecznego i destrukcyjnego...

Taksówkarz na dole zaczął trąbić. Szybko zebrałam swoje rzeczy, wychodząc, jeszcze na chwilę zatrzymałam się w drzwiach i po raz ostatni spojrzałam na cienie w kątach, na kanapę i regał z książkami, na stół jadalny i telewizor, po czym zamknęłam drzwi. Żółte światło żarówki migotało w wilgotnym nocnym powietrzu.

Taksówkarz zawiózł mnie do hotelu Elan, 8435 Beverly Boulevard. Okazało się, że leży tuż obok Beverley Center, dużej galerii handlowej, gdzie Bongo i Bianca lubiły chodzić na zakupy.

Mój pokój już na mnie czekał.

Położyłam się na łóżku i zasnęłam, jakby ktoś dał mi w głowę.

Jest pani pewna? – spytała fryzjerka.

– Całkowicie – zapewniłam ją.

– Pani włosy bardzo na tym ucierpią. Zrobią się słabe. Teraz są piękne i błyszczące, może pani dodatkowo podkreślić kolor...

– Podejmuje się pani tego czy mam poszukać innego zakładu?

Fryzjerka Chrystal – tak było napisane na plakietce – zacisnęła zęby i zaczęła mieszać farbę, mającą zmienić kolor moich włosów na jasny blond.

Przede mną leżał paszport Clay z okresu, kiedy nazywała się Rita Miller, była blondynką, miała bujne loki i nosiła okulary w czarnych oprawkach. Wytłumaczyłam Chrystal, że właśnie tak chcę wyglądać, miała ufarbować mi włosy i ułożyć tak jak na zdjęciu. Oprawki oddałam do optyka naprzeciwko galerii handlowej, żeby wstawił do nich zwykłe szkła.

Miałam wrażenie, że Chrystal, czesząc moje włosy, nieco za bardzo je szarpie, poza tym farba wżerała mi się w skórę głowy. Nie zachowałam miłego wspomnienia z tej mojej pierwszej wizyty w salonie fryzjerskim, ale rzeczywiście zostałam blondynką.

Loki podskakiwały mi na głowie, kiedy udałam się do sklepu golfowego, gdzie kupiłam największą torbę golfową, jaką mieli w magazynie, a następnie do sklepu z akcesoriami podróżnymi, gdzie z kolei poprosiłam o wielką walizkę z okuciami z czarnego metalu, tej samej marki co teczka Erika. W drogerii kupiłam samoopalacz i sztuczne rzęsy, w księgarni znalazłam kieszonkowe wydanie *Filarów ziemi*. W sklepie z modną odzieżą, specjalizującym się w kostiumach dla nowoczesnych urzędniczek, znalazłam granatową spódnicę i pasującą do niej marynarkę, niewygodne czółenka i brzydką torebkę. W biurze podróży przy wyjściu z galerii Rita Miller zarezerwowała hotel oraz kupiła bilet z Los Angeles do Rarotongi i z powrotem. Chciałam lecieć wieczorem. Kiedy kobieta w biurze podróży rezerwowała mi pokój w hotelu, przyglądałam się ludziom na ulicy: wszyscy byli w drodze dokądś, spieszyli się, samochody dodawały gazu, hamowały, jakieś dziecko jechało z ojcem na rowerze, nastolatki śmiały się,

żyły gumy balonowe, wszystko zlewało się, tworząc harmonijny obraz, symfonię dobrobytu. Przypomniałam sobie ostatnią rozmowę z Johanem, przed moim wyjazdem do Lund.

– Co stanie się, jeśli Chinom i Rosji naprawdę uda się przejąć dolara? – spytałam.

Johan długo się zastanawiał.

– Mając wiedzę na temat kursu dolara, można zarobić duże pieniądze na międzynarodowym rynku finansowym – powiedział w końcu. – Nie sądzę jednak, żeby to był ich podstawowy cel – dodał. – Tu chodzi o politykę. Chcą doprowadzić do chaosu. Zniszczyć to, co jest, i wprowadzić własne rządy. Sabotować amerykańską gospodarkę, tak by ich własne społeczeństwa wydały się lepsze i stabilniejsze. Dążą do upadku Stanów Zjednoczonych.

– A co by się stało, gdyby Erikowi udało się ich powstrzymać? Gdyby rozwiązał fundację i zlikwidował konto. Co wtedy?

– To byłaby zdrada stanu – odpowiedział Johan krótko.

Innymi słowy: kula w tył głowy.

Idąc do hotelu, całą drogę o tym myślałam.

Zanim się wymeldowałam, zadzwoniłam do Nowego Jorku na amerykańskim wschodnim wybrzeżu, do centrali telefonicznej na rogu 43. Ulicy i Pierwszej Alei. Połączono mnie z kobietą, która była chętna mi pomóc.

Cel aktu założycielskiego: *Wspierać pokój, demokrację i rozwój gospodarczy, skupiając się na przyszłości.*

Tym samym załatwiłam wszystko, co miałam do załatwienia w Stanach Zjednoczonych.

Jako amerykańska obywatelka Rita Miller, ubrana w granatowy kostium i czółenka, wylądowałam na Rarotondze pogrążonej w całkowitych ciemnościach. Nie spieszyłam się, wyszłam z samolotu jako ostatnia, świadoma, że będę musiała stać w długiej kolejce do kontroli paszportowej. Jakiś mężczyzna z wieńcem kwiatów wokół szyi grał na ukulele w hali przylotów, kolejka, wijąc się, posuwała się powoli do przodu. Pasażerowie z Rarotongi, którzy lecieli do Auckland, weszli już na pokład samolotu, szyby w oknach zadrżały, kiedy wielka maszyna wzbiła się w powietrze. Miałam nadzieję, że kiedy przyjdzie moja kolej, mężczyzna w okienku kontroli paszportowej będzie już tak zmęczony i znudzony, że nie zauważy, że paszport jest już nieważny i że ponoć urodziłam się w 1932 roku.

– Gdzie będzie pani mieszkać? – spytał zmęczonym głosem, kartkując pobieżnie mój amerykański paszport. Rita Miller podróżowała po całym świecie – to było zapewne w okresie, kiedy Clay była stewardesą.

– W Moana Sands – powiedziałam, starając się naśladować amerykański akcent Clay.

Mężczyzna podstemplował paszport, dostałam miesięczną wizę turystyczną.

Za stanowiskiem odprawy celnej czekał na mnie młody mężczyzna z tabliczką, na której napisane było: Rita Miller. Miał zawieźć mnie do hotelu, transport wliczony był w cenę pokoju. W drodze na południe wyspy nie odezwał się do mnie nawet słowem. Sama musiałam zanieść bagaże do samochodu, i dobrze, bo zapewne zdziwiłby się, dlaczego podróżuję z pustymi walizkami.

Kiedy mijaliśmy Mataverę, spojrzałam przez szybę, ale z drogi nie było widać domu mojego stryja.

Zarezerwowałam podwójny pokój w hotelu Moana Sands, z widokiem na morze. Zapłaciłam za dwie doby. Był to chyba najładniejszy pokój, w jakim kiedykolwiek mieszkałam. Sama wniosłam walizki, po czym zdrzemnąłam się chwilę na łóżku.

Kiedy się obudziłam, słońce stało już wysoko na niebie, poszłam do recepcji i spytałam, kiedy odchodzi autobus do Avarua.

– Autobus kursujący ze słońcem czy w drugą stronę? – spytała kobieta w recepcji, nie podnosząc wzroku.

– Na ten najbliższy – powiedziałam.

– Ten kursujący ze słońcem odjeżdża dwadzieścia sześć minut po pełnej godzinie, ten drugi sześć minut po – poinformowała mnie kobieta, nadal nie podnosząc głowy, co bardzo mi odpowiadało.

W oczekiwaniu na autobus zjadłam śniadanie składające się z owoców tropikalnych i grzanek. Było mi tak dobrze, że niewiele brakowało, a byłabym się rozplakała.

Autobus odjechał zgodnie z rozkładem. Za dziesięć dwunasta dotarł do końcowego przystanku przy Cooks Corner, tuż obok banku ARB.

Rita Miller wysiadła z autobusu, gotowa robić interesy.

Na Wyspach Cooka mamy prawo, które mówi, że żaden dom nie może być wyższy niż najwyższa palma kokosowa. To sprawia, że budynki zwykle nie mają więcej niż dwa piętra, ale budynek banku ARB w Avarua stanowił wyjątek.

Kiedy byłam tu za pierwszym razem, ograniczyłam się do wizyty na parterze, gdzie zwykli obywatele wpłacali swoje oszczędności, teraz jednak zaproszono mnie na trzecie piętro. Tam znajdował się gabinet z widokiem na targ i port. Mój puls był spokojny i regularny, droga wiodąca ku przepaści – szeroka jak autostrada. Bankowiec przedstawił się jako mister Bishop.

– Otrzymałam pełnomocnictwo od zarządcy jednej z waszych fundacji – powiedziałam z przeciągłym amerykańskim akcentem po tym, jak już podaliśmy sobie ręce i Rita Miller się przedstawiła.

Kiedy się poruszałam, moje blond loki podskakiwały, okulary były źle dopasowane i cały czas zjeżdżały mi na nos. Czółenka uwierały i ocierały mi pięty.

– O jaką fundację chodzi? – spytał mężczyzna.

Miał sześćdziesiąt parę lat, ubrany był na sportowo, w szorty i jasną koszulę.

Położyłam na stole dziwny kluczyk z koperty znalezionej w teczce Erika i jego prawo jazdy wystawione na Sebastiana Anderssona.

– To legitymacja zarządcy. Chodzi o konto opatrzone kodem. Chcę zrobić przelew.

Zastanawiałam się, czy brzmię jak Clay.

– Oczywiście – powiedział mężczyzna. – O które konto chodzi?

Podalam mu numer z pamięci.

– A kod?

Napisałam kod na kartce, którą przesunęłam w jego stronę. Mężczyzna sprawdził coś w komputerze, po chwili skinął głową.

– Jaka suma ma zostać przelana? – spytał.

– Cała.

– Cała?

– Tak.

– To bardzo duża suma pieniędzy – powiedział.

Poprawiłam się na krzesło, przesunęłam okulary, które znów opadły mi na nos, założyłam nogę na nogę.

– Zapewniam pana, że jestem tego świadoma.

Mężczyzna otarł czoło chustką, zaczął przerzucać jakieś papiery, po czym znów sprawdził coś w komputerze. Przez dobrą minutę siedział w milczeniu. Mój puls przyspieszył.

– Muszę porozumieć się z dyrektorem, zanim przeprowadzę transakcję na tak dużą sumę – powiedział w końcu i wstał.

Poczułam, jak ogarnia mnie panika, przeszedł mnie zimny dreszcz. Boże, jak mogłam być na tyle głupia, by uwierzyć, że uda mi się zrealizować mój szalony plan? Głos uwiązał mi w gardle, więc tylko skinęłam głową. Słyszałam, jak mężczyzna wychodzi z pokoju i zbiega po schodach, a potem głosy, ale nie potrafiłam rozróżnić słów. Po chwili na schodach znów rozległy się kroki, tym razem szły dwie osoby. Zaczerpnęłam powietrza, jak przed zanurkowaniem, i zmusiłam się, żeby wstać. Do gabinetu weszło dwóch mężczyzn, mister Bishop i potężnie zbudowany mężczyzna z rzadką brodą.

– Dyrektor Ngatangiiia – przedstawił go mister Bishop.

Podaliśmy sobie dłonie. Ucisk, który czułam w klatce piersiowej, nagle zelżał, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ngatangiiia to wioska sąsiadująca z Mataverą. Dyrektor otrzymał swoje nazwisko w taki sam sposób jak moja rodzina. A więc był jednym z nas; pomyślałam o stryju i naszym miejscowym funkcjonariuszu, Evereście. Uśmiechnęłam się szeroko, pokazując zęby.

– Miło mi pana poznać – powiedziałam. – Przychodzę w konkretnej sprawie, chodzi o przelew z konta w waszym banku.

– Tak, poinformowano mnie – odpowiedział krótko dyrektor, nie odwzajemniając uśmiechu. – Proponuję zacząć od aktu założycielskiego.

– Oczywiście – zgodziłam się. Wzięłam leżący na stole kluczyk do skrytki bankowej i poszłam za mężczyznami do sąsiedniego pomieszczenia. Przypominało nisko sklepiony sejf w Handelsbanken w Lund. Było co prawda mniejsze, ale poza tym zaplanowane niemal identycznie. Ścianę pokrywały prostokąty z podwójnymi zamkami, tyle że te tutaj nie miały żadnych numerów. Były błyszczące, bez żadnych znaków szczególnych. Stałam w drzwiach, mężczyźni weszli do skarbcza. Czułam, jak krew odpływa mi z głowy. Co miałam robić? Nie miałam pojęcia, która skrytka jest właściwa.

– Ma pani kopię czy oryginał? – spytał dyrektor Ngatangii, wskazując głową na mój kluczyk.

Spojrzałam na kawałek metalu w mojej ręce. O co mu chodziło? Kopię czy oryginał? Czy to miał być jakiś podstęp? Wszyscy byli przekonani, że kluczyk Erika zaginął w morzu.

Mają kopię, ale nie wiedzą, w której skrytce jest oryginał.

Przypomniałam sobie ledwie słyszalny głos Erika w pomieszczeniu pod lokalem bankowym na Mali Street. Zapach jego skóry: sól i migdały.

– Mam jedną z kopii – powiedziałam.

Mobutu ma pieniądze. Zostaną przelane, są już w drodze... Druga od dołu, po lewej stronie. Nie puszczą nas.

– Przepraszam – zwróciłam się do dyrektora Ngatangii i minęłam go z lewej strony. Włożyłam kluczyk do zamka drugiego od dołu prostokąta po lewej stronie. Po chwili podszedł mister Bishop z odpowiednim kluczykiem w rękę, po czym jednocześnie je przekręciliśmy.

Rozległo się ciche stuknięcie i drzwi skrytki się otworzyły.

Był w środku. Akt założycielski podpisany przez przywódców Chin i Rosji. Wzięłam go do ręki i zniosłam do gabinetu z widokiem na port i targ.

Cel trustu został określony dokładnie tak, jak przedstawił mi to Johan. Beneficjentami mogły być firmy, instytucje i organizacje międzynarodowe działające na rzecz pokoju, demokracji i rozwoju gospodarczego, skupiające się na przyszłości. Położyłam dokument na biurku i usiadłam na krześle dla gości. Mister Bishop zajął miejsce przy komputerze, dyrektor stanął za nim.

– Kto jest odbiorcą? – spytał.

Napisałam długi rząd cyfr, który podała mi kobieta w Nowym Jorku, kiedy rozmawiałam z nią przez telefon. Kobieta, która miała biuro na rogu 43. Ulicy i Pierwszej Alei. Mężczyzna przyglądał się cyfrom przez kilka sekund.

– To numer konta UNICEF-u w Nowym Jorku – powiedziałam. – ONZ-owskiego funduszu działającego na rzecz dzieci.

Mężczyźni patrzyli na mnie.

– No cóż... – zaczął dyrektor Ngatangia. – Właściwie celem trustu jest...

Chwyciłam mocniej leżącą na moich kolanach torebkę.

– UNICEF jest organizacją międzynarodową – powiedziałam. – Działa w ponad stu osiemdziesięciu krajach. Statut ONZ-etu stwierdza wyraźnie, że jest to organizacja działająca na rzecz światowego pokoju i bezpieczeństwa. Prawdę mówiąc, można to przeczytać w pierwszym punkcie statutu, gdzie również zdefiniowano istotę demokratycznych relacji między poszczególnymi krajami oraz sposoby rozwiązywania problemów związanych między innymi z rozwojem gospodarczym. UNICEF działa zdecydowanie na rzecz przyszłości, walczy o prawa dzieci.

Dyrektor chwycił się mocniej oparcia krzesła, na którym siedział mister Bishop.

– Odniosłem wrażenie, że trust powstał dla celów...

– Tekst aktu założycielskiego został zaakceptowany na najwyższym szczeblu – powiedziałam wyraźnie. – Mają panowie jakieś uwagi do niego?

Dyrektor Ngatangia przełknął głośno ślinę. Mister Bishop zerknął przez

ramię na swojego przełożonego. Przez kilka sekund panowała cisza.

– Oczywiście, że nie – odezwał się w końcu dyrektor.

Puścił oparcie krzesła, zrobił kilka kroków do tyłu i wskazał głową na komputer.

– Wszystko jest w porządku.

Mister Bishop zaczerpnął głęboko powietrza i przystąpił do dzieła: przelał pieniądze Yinhang Dengi Finance na konto UNICEF-u w Nowym Jorku. Dyrektor pożegnał się i wyszedł. Stosowne potwierdzenie zostało przesłane faksem.

– Minie kilka dni, zanim pieniądze wpłyną na konto organizacji w Nowym Jorku – powiedział mister Bishop.

Zaczęłam się zastanawiać, po jakim czasie Yinhang Dengi Finance zorientuje się, że pieniądze zniknęły z konta w ARB? Pomyślałam, że być może jeszcze zanim trafią na konto w Nowym Jorku.

Odliczanie się zaczęło. Bomba zegarowa tykała.

Zastanawiałam się też, co się stanie z siedzącym przede mną mężczyzną, kiedy Yinhang Dengi Finance zrozumie, co się wydarzyło. Przesłuchają jego i dyrektora? Zapewne. Będą wobec nich brutalni? Mało prawdopodobne. Co mężczyźni będą mogli im powiedzieć? Że młoda Amerykanka, Rita Miller, opróżniła konto. Że pieniądze przelano na konto UNICEF-u. Powiedzą to, co ode mnie usłyszeli: ludzie wierzą w to, co słyszą. Biuro linii lotniczych Air New Zealand – jeśli ktoś z Banku do nich dotrze – potwierdzi zeznania obu bankowców. Rita Miller kupiła bilet zaraz po przylocie na Rarotongę, a następnego dnia opuściła wyspę. Wróciła do domu, do Los Angeles.

Na pewno Bank będzie jej szukać, ale miasto miało piętnaście milionów mieszkańców, a kraj zamieszkiwało ponad ćwierć miliarda ludzi. Domyślą się, że kobieta to tak naprawdę Frank Hollingworth, blisko sześćdziesięcioletni mężczyzna, którego stracili w Dar es-Salaam kilka tygodni temu? Mam nadzieję, że nie. Połączą ją z Biancą Rockford, która tej samej nocy utonęła w wodach Oceanu Indyjskiego? Szalenie mało

prawdopodobne.

Najważniejsze pytanie brzmiało jednak: czy rozumieją, że tą kobietą była Kiona Matavera z Manihiki?

Nie mogłam tego całkowicie wykluczyć. Na pewno udadzą się do Tukao. Kolejny jacht zakotwiczy przy rafie, mężczyźni wyjdą na ląd. Będą uzbrojeni nie tyle w broń, ile w pytania. Będą szukać śladów, sprawdzać, czy ktoś coś wie, ale jeśli Papa Tane zakaze ludziom mówić, to nikt nic nie powie. Tak będzie. I dopóki się tam nie zjawię, osada będzie bezpieczna. Z drugiej strony ktoś jednak opróżnił konto, Bank na pewno tego tak nie zostawi. Będą szukać mnie do skutku.

– To oznacza, że fundacja chwilowo nie ma żadnych środków – powiedział mężczyzna.

Zapewne domyślał się, że coś jest nie tak, ale przecież poinformował dyrektora, więc nie będzie można mu niczego zarzucić. Co miał na myśli, używając określenia „chwilowo”?

– Zakładam, że zastanawia się pan nad drugim kontem – powiedziałam. – Tym niedawno założonym, na którym jeszcze nie ma żadnych środków.

Mężczyzna odchrząknął.

– Podczas mojego ostatniego kontaktu z zarządzającym odniosłem wrażenie, że wkrótce należy się spodziewać wpływu.

Pieniądze Mobutu najwyraźniej były w drodze.

– Nowe konto ma zostać zlikwidowane – powiedziałam i przesuwając kluczyk w jego stronę, dodałam: – Skrytka bankowa też nie będzie nam już potrzebna. Trust spełnił swoje zadanie. Co mam zrobić, żeby go rozwiązać?

– Rozwiązać? Nie ma takiej konieczności. Jeśli żadne środki nie wpłyną...

– Tak, wiem – powiedziałam nieco za głośno. – Co mam zrobić?

Mężczyzna znów odchrząknął, widziałam, że się poci.

– Proszę skontaktować się z adwokatem i wystąpić o permutację.

Mężczyzna wytłumaczył mi, co dokładnie mam zrobić, procedura wydała

mi się skomplikowana i wymagająca czasu. Słuchałam go coraz bardziej zestresowana, bomba zegarowa tykała. W końcu przerwałam mu, wzięłam do ręki akt założycielski i szybkim, zdecydowanym ruchem przedarłam go na pół. Mężczyzna zaczerpnął powietrza, przełknął głośno ślinę. A ja dalej darłam dokument, aż nie byłam już w stanie.

– Przekazuję likwidację fundacji w wasze kompetentne ręce – powiedziałam. Włożyłam podarty na kawałki dokument do mojej brzydkiej torebki i wyszłam z banku. Echo moich kroków towarzyszyło mi jeszcze na ulicy.

Zdrada stanu.

Kula w tył głowy.

Nie obchodziły mnie ich pieniądze, ale n a p r a w dę nie powinni byli zabijać mojego męża.

W domu towarowym CITC kupiłam nożyczki i czarną farbę do włosów, trzy zielone *pareu* i trzy T-shirty w kolorze oliwki, pięć dużych pudełek zapalek – tak naprawdę potrzebowałam wszystkiego znacznie więcej, ale nie chciałam przesadzić – i jeszcze sześć zielonych kubków z twardego plastiku. W domu towarowym była też apteka: kupiłam płyn do dezynfekowania ran i kompresy chirurgiczne, dwa opakowania antybiotyku o szerokim spektrum działania i pięć opakowań paracetamolu. W sklepie obok kupiłam dziesięć wodoszczelnych plastikowych pudełek, które można było ustawić jedno na drugim: miały służyć do przechowywania resztek jedzenia w lodówce.

Następnie wróciłam autobusem do hotelu. Obciąłam krótko włosy i przefarbowałam na czarno. Jasne loki, okulary Clay i wszystkie jej paszporty, granatowy kostium, pustą torebkę i niewygodne czółenka wrzuciłam do papierowej torby, którą następnie włożyłam do mojej dużej torby golfowej.

Ubrana w *pareu* i T-shirt opuściłam hotel. Z torbą golfową, walizką i plecakiem przeszłam na piechotę dobry kilometr. Zameldowałam się w niewielkim hotelu, Matengas Beach Bungalows, który już wcześniej wypatrzyłam z okien autobusu, zapłaciłam z góry za jedną noc.

Następnie wzięłam papierową torbę i czarną walizkę i pojechałam autobusem do stolicy wyspy, Avarua. Papierową torbę wyrzuciłam do niemal pełnego kontenera na śmieci obok Cooks Corner.

W pobliskim biurze podróży kupiłam bilet w obie strony na lot na wyspę Atiu. Samolot odlatywał o godzinie jedenastej następnego dnia. Młody mężczyzna nie zażądał ode mnie żadnego dowodu tożsamości, poprosiłam o wystawienie biletu na Christinę Kautai – posłużyłam się imieniem żony Ivana w Londynie i nazwiskiem rodziny, która płynęła ze mną „Lady Moaną” na odsłonięcie nagrobka na Atiu. Mężczyzna polecił mi hotel składający się z niewielkich bungalowów z własną kuchnią: zarezerwowałam jeden na dwie noce. Kiedy dokonywałam rezerwacji,

wzięłam kilka broszurek turystycznych ze stojącego obok drzwi stelaża: w Tanzanii okazały się bardzo przydatne.

Jak szybko ktoś z Yinhang Dengi Finance dotrze na Rarotongę?

Różnica czasu między Afryką a Europą wynosiła dwanaście godzin: co najmniej dwadzieścia cztery godziny lotu. Ale może mieli swojego przedstawiciela na amerykańskim zachodnim wybrzeżu? Jeśli tak, to mogli tu być już następnego dnia rano.

Nie mogłam nic na to poradzić.

Wzięłam bilet lotniczy i vouchery na hotel. Poszłam do pobliskiego marketu budowlanego, Punanga Nui Market, gdzie kupiłam cztery duże płachty cienkiego brezentu, wszystkie zielone. Dwie liny, jedną bardzo długą, drugą krótszą. Niewielką łopatę, maczetę i kompas. Kupiłam też komplet noży w różnych rozmiarach, żeliwną ostrzałkę i średniej wielkości nożyce. Wzięłam dziesięć dużych pudełek zapalek, cztery zielone wiadra, mocną latarkę kieszonkową i dodatkowe opakowanie baterii. Zapłaciłam za wszystko, owinęłam latarkę folią, a następnie włożyłam wszystko do dużej torby podróżnej. Wypełniłam ją po brzegi.

Kiedy wsiadłam do autobusu, żeby pojechać do mojego nowego hotelu, słońce już zachodziło.

Gdy dotarłam na miejsce, zdążyło już zrobić się ciemno. Postawiłam torbę w pokoju i poszłam zjeść kolację w pobliskiej restauracji, zamówiłam *mahimahi* z *taro* i *ika mata*, smakowało bosko.

Kiedy ruch na ulicach nieco się uspokoił i światła w sąsiednich domach zgasły, wyszłam na zewnątrz, biorąc ze sobą nóż i łopatę. Wzdłuż Liputa Road, jednej z przecznic, które mijałam za dnia, zauważyłam rzędy niewielkich drzewek cytrynowych. Poszłam tam. Przemierzając plantację, dostrzegłam rosnącą na jej obrzeżach niedużą roślinę. Wykopałam ją z twardej ziemi, odciąłam najdłuższe gałęzie i włożyłam drzewko, korzeniami do dołu, do dużej torby foliowej, którą dostałam w markecie budowlanym. Wracając do hotelu, rozglądałam się czujnie dookoła. Jakiś

pies zaczął szczekać, ale nie sędzę, żeby ktoś mnie zauważył.

Drzewko cytrynowe włożyłam do torby golfowej. Musiałam nieco zgiąć najdłuższe gałązki, ale akurat się zmieściło.

Położyłam się na łóżku, wsłuchując się w uderzenia fal o rafę. W świetle nocnej lampki zaczęłam przeglądać broszury turystyczne.

Przeczytałam, że Rarotonga ma dziesięć tysięcy mieszkańców.

Nawet jeśli ktoś z Yinhang Dengi Finance dotrze tu samolotem jutro rano, nie zdążą do godziny jedenastej przed południem przepytac wszystkich.

Będą obserwować lotnisko?

Na pewno.

Nawet miejscowe połączenia między wyspami?

Niekoniecznie.

Atiu.

Zaczęłam szukać w broszurkach informacji o wyspie strachu, o której opowiadała Babcia Vaine. Czytałam o *makatea*, ostrej jak noże, o jamach, które pochłaniały zarówno ludzi, jak i zwierzęta, o grotach, w których znajdowano szkielety zjedzonych wrogów – a więc nie był to wymysł babci, pomyślałam. Pobyt w hotelu, w którym miałam zamieszkać, opisywano jako niezwykle doświadczenie, którego nigdy się nie zapomina: poczułam ciarki na plecach.

Przejrzałam również reklamę wyspy Mangia. Była to najbardziej na południe wysunięta ze wszystkich Wysp Cooka, od niedawna dostępna dla samolotów.

W jednej z broszurek wspomniano też o Takutea, niezamieszkaney wyspie położonej dwadzieścia kilometrów na północny wschód od portu w Atiu. Był to zakazany teren, niebezpieczny i trudno dostępny. Wyspą zarządzała organizacja mieszcząca się na Atiu, specjalnie utworzony w tym celu trust. By odwiedzić wyspę, należało mieć pozwolenie trustu i jego prezesa, Wysokiego Szefa Rongomatane Arikiego. W broszurce była

niewielka mapa wyspy: owalna koralowa wysepka o kształcie jajka, otoczona niemal ze wszystkich stron trudną do pokonania rafą. Zmrużyłam oczy, próbując przyjrzeć się jej dokładniej.

Na zachodnim krańcu, jakby na szczycie leżącego jajka, była w rafie drobna szczelina. Czyżby to była prawda? Czy może osoba, która narysowała mapę, nie zrobiła tego wystarczająco dokładnie?

Dziesięć po piątej rano usłyszałam, jak wielki jumbo jet Air New Zealand schodzi do lądowania.

Czy na pokładzie był ktoś z Yinhang Dengi Finance?

To była wielka niewiadoma. Z tą świadomością zasnęłam.

Pojechałam autobusem na lotnisko i zostawiłam bagaże w przechowalni. Wróciłam na piechotę do miasta, gdzie odszukałam sklep ze sprzętem do nurkowania, The Dive Shop.

Za ladą stał Szwed, ten sam, którego widziałam, kiedy byłam tu za pierwszym razem. Wówczas, cztery miesiące temu, puszczał piosenkę, którą śpiewał mi Erik, dzisiaj jednak w sklepie panowała cisza.

Weszłam do środka, mężczyzna spojrzął na mnie, powiedział „dzień dobry” i wrócił do swoich zajęć – zapisywał jakieś cyfry w zeszycie. Zaczęłam się rozglądać, czekając, aż odłoży długopis.

– Mogę w czymś pomóc? – zwrócił się do mnie po chwili.

Zastanawiałam się, czy zdziwi się, że młoda kobieta kupuje strzelbę harpunową. Mogłam też ją ukraść, a tego nie chciałam robić.

– Tak, chciałam kupić dwie strzelby harpunowe, jedną krótką, drugą długą – powiedziałam.

Krótką łatwiej było manewrować pod wodą, długa miała większy zasięg.

Mężczyzna wydał się nieporuszony, odwrócił się i zniknął na zapleczu.

– W razie potrzeby można je złożyć – powiedział, kiedy znów się pojawił, trzymając w rękach obie strzelby: gładkie ostrza błyszcząły w porannym świetle.

– Bardzo dobrze.

– Dokąd mam je dostarczyć? – spytał.

– Wezmę je ze sobą. Lecę zaraz na Mangaia.

– Ach tak – skwitował mężczyzna. Złożył strzelby, tak że idealnie zmieściły się w torbie golfowej. – Jeszcze coś? – spytał, zawijając mój zakup w cienką tekturę.

– Cztery maski, cztery fajki, kilka par butów do chodzenia po rafie i płetwy – powiedziałam.

– Jasne. Dodam jeszcze kilka gumek do strzelb harpunowych.

– Dziękuję.

– I zaczepy do fajek, one najszybciej się zużywają.

– To prawda. Ma pan może zapalniczki?

– Nie, ale mam zapalniczki. Starczą na dłużej.

Kupiłam pięć sztuk.

– A widziała pani to? – powiedział, pokazując mi małą latarkę. – Jest wodoszczelna i można ją ponownie ładować. Ma niewielki panel solarny.

Latarka nie dawała dużo światła, ale wzięłam dwie sztuki, jedną żółtą i jedną niebieską. Za wszystko zapłaciłam gotówką w amerykańskich dolarach, szybko podziękowałam Szwedowi i zdążyłam złapać jadący na lotnisko autobus.

Przez okno zobaczyłam, jak znów pochylił się nad rachunkami: pieniądze, najbardziej tolerancyjna rzecz na świecie.

Na lotnisku odebrałam bagaże z przechowalni i przepakowałam je w toalecie dla niepełnosprawnych. Strzelby harpunowe, sprzęt do nurkowania i cytrynowe drzewko schowałam do torby golfowej, brezent i pozostałe rzeczy włożyłam do metalowej walizki – musiałam usiąść na niej, żeby móc ją zamknąć.

Jeśli ktoś wysłany przez Yinhang Dengi Finance zdążył już przybyć na wyspę, na pewno będzie bacznie obserwował wszystkich, którzy stąd wyjeżdżają.

Z głośno bijącym sercem ruszyłam przez halę odlotów.

Przy bramce na lotnisku czekało już kilkanaście osób. Zajął miejsce na końcu kolejki i przyglądałam się moim współpasażerom. Przedemną stały trzy starsze osoby: para i kobieta, która chyba podróżowała sama. Dwie kobiety miały kolczyki na twarzach i liczne tatuaże, dwóch miejscowych mężczyzn i kobieta mieli na sobie jasnoniebieskie bluzy z firmowym emblematem. Było też dwóch mężczyzn w lnianych koszulkach i klapkach kąpielowych, nieśli pudła ze styropianu.

Nikt z nich nie wyglądał na wysłannika Banku, ale wiedziałam, że gdyby ktoś taki się pojawił, nie miałby jego logo na czole.

Wszyscy mieli ze sobą mnóstwo bagażu – na szczęście. Turyści najwyraźniej zabierali ze sobą wszystkie walizki, nawet jeśli jechali na Atiu na kilka dni. Miejscowi mieli ze sobą styropianowe pudła, nazywane potocznie *chilly beans*, pełne mrożonych lub suszonych produktów spożywczych.

Zaczęto wpuszczać pasażerów na pokład. Bagaże były ważone, ale nikt ich nie otwierał. Nikt nie zareagował na moją torbę golfową.

Samolot był opóźniony, kazano nam czekać. Kupiłam kanapkę i najnowszy numer „Woman’s Weekly”, usiadłam i udawałam, że czytam.

Lotnisko było ciche i mroczne. Nie ogłaszano żadnych innych lotów. Potężny dach zabierał dużo światła, nad kamienną posadzką wyczuwało się powiewy ciepłego i wilgotnego wiatru. Zimno metalowej kanapy przenikało moje *pareu*.

Starsi państwo siedzieli wyprostowani i rozglądali się, w ich oczach malowały się ciekawość i oczekiwanie. Wyglądało na to, że pogodzili się z sytuacją, zdawali się otwarci i tolerancyjni, wytrawni podróżnicy, akceptujący, a nawet doceniający różnice między ludźmi, również za cenę pewnych niedogodności. Zostali wysłani przez Bank? Wątpliwe.

Samotnie podróżująca kobieta wydawała się introwertyczką, patrzyła w książkę, nie podnosząc wzroku. Mogła być urzędniczką bankową, pomyślałam i puls mi przyspieszył.

Kobiety z tatuażami stały odwrócone do mnie plecami. Jedna poruszała się tanecznym krokiem w takt muzyki, którą tylko ona słyszała. Na prawej łydce miała wytatuowanego wielkiego czerwonego skorpiona. Wysłanniczka Banku? Może.

Wszyscy pozostali podróżujący wyglądali na mieszkańców Wysp Cooka. Nie musiałam się nimi przejmować.

Podniosłam wzrok. Na płytę lotniska wtoczył się niewielki samolot, podobny do tych, które czasem lądowały na Manihiki. Na lotnisku zrobił się ruch, zaczęto ładować bagaże: skrzynie z jedzeniem, nylonowe torby kobiet z tatuażami i nieco zniszczone walizki starszych państwa z licznymi naklejkami, moją torbę golfową i czarną metalową walizkę.

Christina Kautai miała miejsce 5G.

Weszliśmy na pokład samolotu.

Silnik zaczął pracować, samolot przypominał gigantyczną osę. Przed odlotem nikt nie zmówił *pure*.

Rarotonga zniknęła w dole: owalny szmaragd w niebieskim świecie.

Kobieta z wytatuowanym czerwonym skorpionem na łydce przez cały lot opowiadała głośno egzaltowanym australijskim angielskim o wszystkim, co widziała; robiła mnóstwo zdjęć małym aparatem, głównie sobie i swojej przyjaciółce.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Po niecałych czterdziestu minutach spędzonych w powietrzu po prawej stronie ukazała się Atiu, wulkaniczna wyspa z bujną zieloną roślinnością, bez laguny. Wyciągnęłam szyję i spróbowałam dojrzeć coś nad głową gadającej bez przerwy Australijki. Daleko na horyzoncie po lewej stronie zobaczyłam niewielką zieloną kreskę: to była Takutea.

Koła samolotu uderzyły z hukiem o płytę lotniska: ubity szarobiały piasek koralowy, gdzieniegdzie jakieś rośliny, żwir i niskie zielone zarośla wzdłuż brzegów; zakręciło mi się w głowie: na moment wróciłam na Manihiki.

Witamy, witamy!

Mężczyzna przedstawił się jako Donald, wziął moją dłoń i potrząsnął nią serdecznie. Był menadżerem naszego hotelu, zapowiedział, że czekają nas niezapomniane przeżycia, co już wiedziałam, bo przecież przeczytałam broszurkę. Starsi państwo mieli zostać w hotelu tydzień, wydawali się bardzo podnieceni czekającą ich przygodą.

Jechaliśmy samochodem z przyczepą podskakującą na wyboistych drogach. Wyspa wydała mi się dziwna. Nie było tu laguny, niska rafa sięgała niemal brzegu. Fale uderzały o niego z niespotykaną siłą i hukiem. Przy porcie skręciliśmy w stronę płaskowyżu, na którym ludzie pobudowali swoje domy.

Starsi państwo zarzucili Donalda mnóstwem pytań. Natychmiast zapisali się na wycieczkę do grot z ludzkimi czaszkami, na spacer historyczny po wyspie i na oglądanie ptaków z Birdmanem George'em. Mieli też odwiedzić palarnię kawy i wziąć udział w *tumunu*, miejscowym święcie piwa.

– A pani na co ma ochotę? – spytał Donald, patrząc na mnie w lusterku wstecznym.

– Chciałabym odwiedzić kościół – powiedziałam.

Z lektury broszur wiedziałam, że kościół na Atiu jest największy i najstarszy na Wyspach Cooka. To tutaj kapitan Cook zszedł na ląd i tu zbudowano pierwszy chrześcijański kościół.

– Zadbam o to – powiedział Donald, a ja mu uwierzyłam.

Okazało się, że zajmuje się hotelem sam, starsi państwo i ja byliśmy jego jedynymi gośćmi. Dostałam niewielką chatę. Była w niej szafka pełna najróżniejszych konserw. Na werandzie na zewnątrz siedział maleńki kotek i miauczał. Odstawiłam bagaże, zamknęłam chatę, wypożyczyłam rower i pojechałam na dół, do portu. Droga była długa, dłuższa, niż sądziłam. Musiałam pokonać dobre dziesięć kilometrów.

Wokół portu leżały wyciągnięte na brzeg kanu, doliczyłam się blisko dwudziestu. Niektóre były zrobione z ciężkiego starego *tamanu*, mahoniu

południa. Duży magazyn portowy po prawej stronie był pusty, otwarte drzwi łomotały na wietrze. Wokół ciągnęła się zielona ściana bujnej roślinności. Zastanawiałam się, czy były tu jakieś jamy.

Stałam przy basenie portowym i spojrzałam na morze.

Daleko na horyzoncie prosta linia załamywała się, stawała się lekko poszarpana: Takueta. Dwadzieścia kilometrów stąd, połowa drogi na Rakahangę.

Wróciłam na rowerze do miasteczka. Były tu dwa sklepy oferujące owoce i warzywa, kupiłam po kilka sztuk każdego rodzaju: kilka papryk w różnych kolorach, pomidory i ogórki, bakłazana, papaję i fasolę, owoce karamboli i męczennicy, mango, jabłka i gruszki, cebulę i czosnek, *taro* i marantę. Wzięłam też rolkę torebek foliowych, dziesięciopak zeszytów i opakowanie długopisów. Kupiłam środek przeciwko komarom i tampony. I trzy pary plastikowych kłapek.

W hotelu zjadłam wszystkie mięsne konserwy, które znalazłam w szafce. To, czego nie mogłam zjeść, dałam kotu.

Kiedy starsi państwo zgasili światło, a Donald odjechał swoim samochodem, włożyłam dzinsy, a do kieszeni schowałam jeden z mniejszych noży. Wzięłam torbę golfową i wyszłam. Za pomocą sznurka umocowałam torbę między siodełkiem a kierownicą roweru i ruszyłam w drogę.

Doprowadzenie roweru do portu zajęło mi prawie trzy godziny. Ręce mi zdrętwiały, od nadmiaru kwasu mlekowego bolały mnie mięśnie. Odpoczęłam chwilę na skraju lasu, po czym sięgnęłam po nóż i zaczęłam wycinać przejście w bujnej roślinności. Po chwili wróciłam po torbę i schowałam ją wśród zarośli.

Wróciłam rowerem do hotelu.

Kot czekał na mnie.

Następnego dnia Donald miał wolne, pojechał do Aitutaki na ślub, w hotelu została kobieta o imieniu Soraya. Zawiozła starszych państwa na miejsce zbiórki spaceru z Birdmanem George'em, a ja, korzystając z okazji, przeszukałam ogród. Miałam szczęście, szybko znalazłam taczkę z gumowymi oponami.

Wybrałam się na spacer poza osadę: to właśnie tu w pobliżu były jamy i *makatea*. Kawałki skorup orzechów kokosowych zbieleły w słońcu, widok przypominał sceny z filmu *Pola śmierci*.

Na lunch zjadłam owoce i trochę warzyw, zostawiając sobie nasiona.

Niebo zaciągnęło się ciężkimi, ciemnymi chmurami. Po chwili zaczęła się ulewa.

Siedziałam pod dachem na werandzie i patrzyłam, jak woda płynie trawnikiem. Kot skulił się obok mojego krzesła, chowając się przed ulewą. Z jakiegoś powodu przypomniał mi się deszcz w Los Angeles, wielkie krople bijące o beton na tyłach mieszkania Clay, żółta żarówka świecąca nocą na galerii, stojące powietrze w upalne dni i ciekące lody w rożkach, które jadły dziewczęta. Dyskusje o wierze i nauce i wywody Kinga na temat ewolucji. Przypomniałam sobie, jak pewnego dnia siedzieliśmy przy stole, rozmawiając o Jezusie, o tym, czy był postacią historyczną, czy nie.

– Wyobraź sobie Jerozolimę na tydzień przed Wielkanocą – powiedziała Clay. – Musiało tam panować straszliwe zamieszanie. Zewsząd przybywali ludzie, setki tysięcy ludzi, może miliony, Żydzi z Grecji i Włoch, z Afryki i z Bliskiego Wschodu.

– Woodstock bez kapel rockowych i przenośnych wucetów – odezwał się King po drugiej stronie stołu.

To było popołudnie, kiedy Clay i King wypełniali dokumenty potrzebne do złożenia podania o pobyt w ośrodku pomocy. W pewnym momencie Clay wstała i zgarnęła je na kupę, po czym zaczęła zbierać ze stołu długopisy i brudne talerze.

– W tym czasie Rzymianie okupowali Palestynę – mówiła dalej. –

W kraju było wielu samozwańcych mesjaszów, wiadomo było, gdzie są i co robią, nikt nie miał więc powodu interweniować, o ile nie sprawiali zbyt wielu kłopotów. Kawy, King?

– Poproszę – odpowiedział King.

Ja odmówiłam. Jeśli piłam kawę po południu, nie mogłam potem spać. Pamiętam, że w tym momencie otworzyły się drzwi i do mieszkania wpadły dziewczęta z lodami w ręku, zapach pachnących truskawkami warg Bianki wypełnił cały pokój.

– Jezus z Nazaretu należał do tych mniej ważnych! – zawołała Clay głośno z kuchni.

– O czym rozmawiacie? – spytała Bongo. Usiadła na kanapie obok mnie.

Przypomniałam sobie, że roztopione lody zaczęły kapać na moją chorą rękę i pomyślałam, że już prawie zapomniałam o moim wypadku.

– O tym, czy Chrystus jest postacią historyczną, czy nie – powiedział King.

– *Jesus Christ Superstar* – zawołała Bianca. – Mam tę płytę.

Clay weszła do pokoju, niosąc dwa kubki: jeden postawiła blisko Kinga, drugi wzięła ze sobą. Bianca usiadła obok Kinga i zaczęła pić jego kawę.

– Przez kilka lat Jezus przebywał na północy, nie powodując większego zamieszania – powiedziała Clay i poprawiła się na krześle. – Jednak tej Wielkanocy postanowił udać się do miasta, za nim podążyła spora grupa jego zwolenników.

– Do jakiego miasta? – spytała Bongo.

– Do Jerozolimy – odpowiedziałam.

– Rozmawialiśmy już o tym – przerwała mi Clay, patrząc na Biancę i Bongo. – Opowiadałam wam tę historię o Jezusie z Nazaretu. Chrześcijanie wierzą, że jest Synem Bożym.

– A był nim? – spytała Bongo.

– Właśnie o tym dyskutujemy – wtrącił King.

– Tak czy inaczej, okrzyknął się królem Judejczyków. Mówił

o zrównaniu świątyni z ziemią, zaczął więc przysparzać problemów. Jego przybycie do Jerozolimy tydzień przed Wielkanocą zamieniło się w zamieszki...

Starsi państwo wrócili z wyprawy z Birdmanem George'em, mieli na sobie takie same kolorowe peleryny i pomachali mi w strugach deszczu. Też im pomachałam i pomyślałam o wjeździe Jezusa do Jerozolimy w Niedzielę Palmową. Pamiętam, że bardzo się starałam, żeby dobrze wypaść w oczach Clay.

– Postanowiono uciszyć ludzi, a Jezus wtedy powiedział: „Jeśli oni będą milczeć, wówczas przemówią kamienie”.

– Ewangelia według Świętego Łukasza, rozdział dziewiętnasty – wtrącił King.

– Gdzie kupiłyście lody? – spytała Clay.

– U Turka – powiedziała Bongo. – Dlaczego doszło do zamieszek? Czy jakiś policjant skopał kogoś niewinnego?

– To niewykluczone – odpowiedziała Clay. – Ci wszyscy ludzie, którzy przybyli do Jerozolimy, musieli wymienić pieniądze, by kupić zwierzęta ofiarne, wino i kadzidło i inne potrzebne poganom w ten dzień rzeczy.

Kupcy sprzedający w świątyni. Pastor Boyd opowiadał, jak Jezus przewrócił stragany i zaczął bić ludzi sznurem, by ich stamtąd przegonić.

– „Mój dom będzie domem modlitwy, a wy uczyniliście z niego jaskinię zbójców” – powiedziałam.

– Nie przypuszczam, żeby wyrządził komuś krzywdę, bo gdyby tak było, natychmiast zostałby pojmany – powiedziała Clay. – A tak się nie stało. Zaczekano do wieczoru poprzedzającego początek uroczystości, dopiero wtedy wysłano patrol, który go aresztował.

W jej ustach to wszystko brzmiało tak trywialnie. Czwartek, jak każdy inny, kilku żołnierzy zostało wysłanych z nakazem zatrzymania miejscowego awanturnika. A jednocześnie ten wieczór przyniósł wydarzenie, które stało się jednym z najważniejszych w historii świata:

Ostatnią Wieczerzę. Jezus uczył uczniów dzielić się chlebem, pić wino, ostatnia komunia, bo potem Judasz wydał go za trzydzieści srebrników. Pieniądze! Ludzie zrobią wszystko dla pieniędzy.

– Następnego dnia Jezus z Nazaretu stanął przed sądem – powiedziała Clay. – A co było potem, to wszyscy wiemy.

– Przybili mu ręce gwoździami do krzyża – powiedziała Bongo.

– Zmarł na krzyżu za nasze grzechy – dodałam.

– Bo rzucił wyzwanie kapitałowi – oświadczył King.

– Jest jeszcze kawa? – spytała Bianca.

Clay wskazała na kuchnię.

– Proszę bardzo, tam jest czajnik i kawa rozpuszczalna.

Bianca zniknęła w kuchni. King wrócił do swojego wywodu.

– Szkoda, że ocenzurowano ewangelie – powiedział.

Clay roześmiała się. Jej radosny śmiech rozbrzmiewał na werandzie w Atiu. Wtedy, tam w mieszkaniu pod numerem siódmym, było gorąco, w powietrzu bzycały muchy. Nagle uświadomiłam sobie, że płaczę. Kot wskoczył na krzesło i zwinął się w kłębek na moich kolanach, zaczął lizać moją dłoń, jakby chciał mnie pocieszyć.

Siedziałam nieruchomo i patrzyłam w mrok, pozwalając, by łzy wyschły.

Jezus poświęcił życie dla ludzi, ale przecież wielu zwykłych śmiertelników też to robiło. Na przykład Clay. I Johan. I Erik.

T ej nocy załadowałam czarną walizkę na taczkę i zawiozłam ją do portu. Po drodze dwa razy słyszałam zbliżające się samochody i dwa razy schodziłam na pobocze, by schować się w zaroślach. Kiedy w końcu dotarłam na miejsce, zaczął padać deszcz. Bolały mnie ramiona, poślizgnęłam się na gliniastym podłożu i rozbiłam sobie kolano. Byłam tak zmęczona, że gdybym miała siłę, tobym się rozplakała. W drodze powrotnej zostawiłam taczkę w jamie przy drodze, nie miałam siły ciągnąć jej z powrotem do hotelu na płaskowyżu. Przepraszam, hotelu.

Po powrocie wzięłam długi prysznic i przespałam się kilka godzin, do wschodu słońca.

Kiedy usłyszałam samochód Sorayi, wyszłam na zewnątrz i poprosiłam, żeby podwiozła mnie na lotnisko.

– Ale samolot do Rarotongi odlatuje dopiero za kilka godzin – powiedziała zdziwiona.

– Wiem, ale lubię być trochę wcześniej.

Westchnęła głośno, ale ustąpiła.

– Przyniosę pani bagaż i możemy ruszać.

– Wszystko mam tutaj – powiedziałam, pokazując na plecak i torbę z warzywami, które kupiłam w miasteczku.

Usiadłam na tylnym siedzeniu i ruszyliśmy. Jechałyśmy w milczeniu. Tuż przed lotniskiem Soraya spytała, jak się tu czułam. Powiedziałam, że wspaniale, to był niezapomniany pobyt.

– Nie musisz na mnie czekać – rzuciłam, kiedy podjechała pod pusty o tej porze terminal lotniska.

Kiedy ucichł odgłos silnika samochodu, ruszyłam w stronę portu.

Ukryłam się w zaroślach przy porcie i patrzyłam na sunące po niebie chmury. Owady chodziły mi po nogach, komary krążyły wokół głowy. Widziałam, jak trzech mężczyzn wypływa aluminiową łodzią. Po kilku godzinach wrócili z rybami w sieci. Poza tym przez cały dzień nic się nie działo. Nikt nie wypłynął żadnym z kanu. Było bardzo gorąco, zamknęłam oczy.

Byłam nikim, nie żyłam. Kiona Matavera wyjechała z Rarotongi i nigdy już nie dała znaku życia. Bianca Rockford utonęła w morzu u wybrzeża Dar es-Salaam. Rita Miller wróciła do Los Angeles i rozplynęła się w powietrzu, Christina Kautai opuściła Atiu, ale nigdzie już się nie pojawiła.

Kołysała mnie wieczność.

– Na początku było bardzo wiele ewangelii – przypominałam sobie słowa Clay. – Co najmniej dwanaście: Świętego Piotra, Nikodema, Tomasza, Filipa, Bartolomeusza, Marii Magdaleny i wielu innych. Z różnych powodów nie zostały uwzględnione w ostatecznej wersji Biblii.

King zaczął rechotać, mnie jednak nie było do śmiechu.

– Daj spokój, Kiona. Ewangelia według Świętego Tomasza jest naprawdę zabawna. Opowiada o Jezusie, kiedy był dzieckiem. Podobno był z niego niezły gagatek, ale już wtedy miał jakąś magiczną moc. Robił wróble z gliny i zamieniał przyjaciół w kozy.

Bongo roześmiała się, jej lody kapały coraz bardziej.

– Bardzo zabawne – oświadczyłam.

– Czterech ewangelistów przetrwało i trafiło do opublikowanej wersji Biblii. Wszystkie cztery ewangelie czerpią z tego samego źródła – ciągnęła Clay, jej głos brzmiał spokojnie i łagodnie. – Ewangelia Świętego Marka, Mateusza, Łukasza i Jana. Żaden z ewangelistów nie znał jednak Jezusa osobiście. Wszystkie ewangelie zostały spisane długo po jego śmierci, tak naprawdę również długo po liście Świętego Pawła, który zresztą prawie nie wspomina o żadnych faktach z jego życia.

– Jezus był dobry dla dzieci – powiedziała Bongo.

Obudziły mnie wielkie krople, które padały mi na twarz. Było prawie ciemno.

C hmury zakryły księżyc i gwiazdy. Noc była czarna jak smoła. Zaczekałam, aż deszcz nieco ustał i widoczność się poprawiła. Niewidoczna dla nikogo zaczęłam po cichu iść w stronę średniej wielkości jasnyniebieskiego kanu, które już wcześniej sobie upatrzyłam. Leżało razem z kilkoma innymi na brzegu w połowie drogi do magazynu portowego. Przecięłam sznur i zepchnęłam je na wodę. Było znacznie lżejsze niż mahoniowe kanu Dziadka Tanego, do którego byłam przyzwyczajona na Manihiki. Potem poszłam po torbę golfową i walizkę, wzięłam plecak i torbę z owocami i warzywami, włożyłam kompas do klapka, tak jak to robił Kapitan Mareko, gdy płynął na Rakahangę. Obok położyłam latarkę.

Załadowałam wszystko do kanu. Walizkę położyłam z tyłu, torbę golfową z przodu. Plecak owinęłam folią i włożyłam pod ławkę, wzięłam też dodatkowe wiosło, na wszelki wypadek, i zepchnęłam kanu na wodę.

Dwadzieścia kilometrów. Pięć kilometrów na godzinę, z taką samą prędkością szłam.

Powinnam dotrzeć na miejsce, gdy zacznie wschodzić słońce.

EPILOG

Nikt nie wie, że tu jestem. I nikt nigdy się tego nie dowie.

Żyję w Hadesie, Krainie Śmierci, piję wodę, którą zbieram w kanu, żywię się rybami z morza, kokosami rosnącymi na palmach i warzywami, które tu uprawiam – jak pozyskuję nawóz do moich upraw, zostawiam wyobraźni czytelników. Drzewko cytrynowe niestety nie przetrwało, pewnie za bardzo obciąłam mu korzenie.

Właściwie mam wszystko, czego mi trzeba. Moje ciało może przetrwać dziesiątki lat. Z czasem samotność stała się mniej dokuczliwa, Hades jest gęsto zaludniony. Są tu Clay i Johan, i Moana, William i Ngaru, i oczywiście Erik. Cały czas z nimi rozmawiam, o wierze, nadziei i wiedzy. O miłości do zmarłych, tych z punktu widzenia ewolucji całkowicie nieważnych.

Dwa razy jakieś łodzie przybijały do wyspy, ludzie wychodzili na brzeg, nurkowali i kąpali się. Pewnego razu przybyła liczniejsza grupa, ludzie wyszli na ląd i robili notatki dotyczące życia ptaków, ale nie zapuszczali się w głąb wyspy, zostali na brzegu. Oczywiście nie widzieli mnie. Mieszkam na samym środku wyspy, ukryta za zaroślami i krzewem hibiskusa. Rozpalam ogień rzadko i zawsze za dnia, niewielkie ogniska z suchych skorup orzechów kokosowych, dym jest wtedy jasny i lekki. W niedzielę ubieram się ładnie, wkładam T-shirt Bongo i czytam na głos Biblię. Wszyscy mnie słuchają, odmawiam *pure*, modlimy się wszyscy razem.

Woda na zewnątrz rafy obfituje w ryby, ale i tu są białe rekiny. Czasem wypływam z harpunem, ale zawsze na krótko. Jeśli coś mi się stanie, to

właśnie z powodu rekinów. W ten sposób podzielę się doświadczeniem śmierci z Moaną.

Ktoś rozwiązał fundację i opróżnił konto, Bank nadal go szuka. Jeszcze się nie poddali. Nawet gdy organizacja została rozwiązana, chęć zemsty nadal jest żywa, jest częścią systemu państwa. Ale tu nikt mnie nie znajdzie. Johan Geronimo i Iva są bezpieczni, Papa Tane i Amiria też, i jej dzieci, jeśli kiedyś będzie je miała.

Robię plany na przyszłość. Jeśli chodzi o tę najbliższą, to chcę nauczyć się łapać kraby kokosowe, ciągle mi się to nie udaje. Wiem, że tu gdzieś są, muszę szukać dalej. Na dłuższą metę chciałabym znów wynurzyć się na powierzchnię. Móc znów zaczerpnąć powietrza w świecie żywych, porozmawiać z nimi.

Bo jak powiedział kiedyś Vladimir:

Nic nie będzie trwać wiecznie.

Pewnego dnia wrócę na Manihiki.

PODZIĘKOWANIA

Wyspa Manihiki, na której Kiona dorastała, już nie istnieje. Cała, z wyjątkiem kilku kościołów, została zniszczona podczas cyklonu Matini, 1 listopada 1997 roku. Dziewiętnaście osób zginęło, między innymi wszyscy mieszkańcy Tauhunu. Jeśli dzieci Kiony i jej rodzina mieszkali wówczas w Tukao, to prawdopodobnie przeżyli. Po przejściu cyklonu ewakuowano niemal wszystkich mieszkańców wyspy, nowa osada, która z czasem powstała w tym miejscu, była inna niż ta, którą zabrały fale. Jest niewiele zdjęć przedstawiających Tukao i Tauhunu z okresu przed cyklonem, tak więc społeczność, którą opisuję w powieści, nie jest dokładnie tamtą społecznością. Domy i infrastruktura osady nie odtwarzają jej obrazu z początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Zainteresowanym katastrofą polecam gorąco książkę Rachel Reeves *Matini – The Story of Cyclone Martin*.

Moja książka jest powieścią. Jej bohaterowie są wytworem mojej wyobraźni: łącznie z postaciami szefów państw i dyktatorów, nawet jeśli ich imiona i nazwiska są identyczne z imionami i nazwiskami osób będących ich pierwowzorami. Także przebieg wydarzeń został wymyślony przeze mnie. Szczegóły dotyczące działalności banków, hoteli, restauracji i komunikacji promowej w niektórych przypadkach mają odniesienia do rzeczywistości, w innych nie. Na przykład statek „Lady Moana” na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku nie docierał do Manihiki, to stało się dwadzieścia siedem lat później.

Informacje dotyczące ludobójstwa w Rwandzie są prawdziwe, pochodzą

z różnych oficjalnych źródeł.

Jeśli ktoś byłby zainteresowany Systemem Rezerwy Federalnej, proponuję, by obejrzał film dokumentalny Jamesa Corberta *Century of Enslavement*, jest dostępny na YouTube. Wiedza Clay na temat najróżniejszych dziedzin życia była w owym okresie zapewne dość wyjątkowa, ale Clay była osobą wyjątkową, która już wówczas potrafiła przewidzieć pewne rzeczy. Jeśli ktoś chciałby dowiedzieć się więcej o poruszanych przez nią tematach, może – jak ja to zrobiłam – sięgnąć do dzieł takich autorów jak: Yuval Noah Harari, Lasse Berg, Richard Dawkins, Stephen Hawking, Nick Bostrom oraz do Biblii i Koranu.

Jeśli chodzi o cenę światową czarnych pereł, to od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku znacznie się obniżyła. Kiedyś na Manihiki było prawie dwieście farm pereł, dzisiaj jest ich niespełna dwadzieścia.

Natomiast ceny dużych amerykańskich banków poszły w tym czasie znacznie w górę. Pięć największych amerykańskich banków zrealizowało wizję Erika: skupiły i podporządkowały sobie tak wiele mniejszych banków i firm, jak to było możliwe, od 2014 roku kontrolują niemal połowę zasobów całego przemysłu w Stanach Zjednoczonych. Tym samym przestało chyba istnieć niebezpieczeństwo wrogiego przejęcia Rezerwy Federalnej, ale co kto może wiedzieć?

Wszelkie ewentualne błędne informacje są zamierzone.

Ta powieść nie mogłaby powstać bez wydatnej pomocy wielu osób. Należą do nich:

Ken Hallin i Nida Mirabel, Matavera, Rarotonga, którzy od wielu lat są moimi serdecznymi przyjaciółmi.

Tamuela Karaponga, Tukao, Manihiki, właściciel farmy pereł i technik posiadający akredytację AVAKI Grader przy Samuela Pearls Services Ltd. Pozwolił mi zamieszkać w pokoju nad warsztatem obok laguny na Manihiki. Jego żona ma na imię Nitika, a dzieci – Bella, Giana i Tamuela junior.

Mehau Johnson, właściciel farmy pereł i technik posiadający akredytację AVAKI Grader przy Manihiki Pearl Techs, w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku był nastolatkiem i mieszkał na Manihiki.

Niki Rattle, spikerka parlamentu, zamieszkała w Rarotondze, w opisywanym okresie była pielęgniarką na Manihiki.

Charles Little, L.L.B, adwokat, zamieszkały w Rarotondze, mój dobry, nieodżałowany przyjaciel, uznany za zaginionego.

Raymond Newham, w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia był jednym z pierwszych właścicieli farm pereł na Manihiki, obecnie mieszka na Rarotondze.

Trainee Samson, pastor, mieszka w Tukao, na Manihiki.

Michael Tavioni, ekspert w dziedzinie kanu, mieszka na Rarotondze.

Tina i Micael Edler, moi dobrzy przyjaciele z Dar es-Salaam.

Jacqueline Tanga, prowadzi hotel na wyspie Atiu.

Nikolas Strömstedt, muzyk, dzięki któremu poznałam fantastyczne utwory: *Om* („Jeśli”) i *Sista morgonen* („Ostatni ranek”).

Erik Nordgren, mój dobry przyjaciel, mieszkający w Zurychu.

Podziękowania kieruję też do działu prasowego brytyjskiego Companies House, który robił wszystko, żeby odpowiedzieć na moje pytania – rozumiem w pełni, że w końcu się poddaliście i przestaliście odpowiadać na moje e-maile!

Inne osoby, którym także pragnę podziękować, to: Amanda Aspeborg, Anna Laestadius Larsson, Annika Sandahl, Katarina Görts Öberg, Mikael Aspeborg, Nina Brodin, Thomas Bodström, Tove Alsterdal i Wiwi Wahlström.

Dziękuję Neilowi Smithowi, który był moim tłumaczem.

Dziękuję Niclasowi Salomonssonowi, mojemu agentowi, oraz pracownikom Salomonsson Agency.

Dziękuję Ann-Marie Skarp, mojej wydawczynie, pracownikom wydawnictwa Piratförlaget, a przede wszystkim reżyserowi i pisarzowi

Ronniemu Sandahlowi.

Przypisy końcowe

[1](#) Ten i następne cytaty za Biblią Tysiąclecia.

[2](#) Fragment piosenki pt. Om Niklasa Strömstedta.

[3](#) Fragmenty piosenek Niklasa Strömstedta występujące na stronach 111, 112, 135, 181, 357, 391, 417-418 są przekładem własnym tłumaczki.